

Ridley Pearson
Kluczowy Dowód

Powieści Ridleya Pearsona
w Wydawnictwie Amber
Kluczowy dowód
Nie oglądaj się
Twarde lądowanie
Twórca aniołów
Przekład MARTA WOLIŃSKA
Tytuł oryginału PROBABLE CAUSE
Ilustracja na okładce TOMHALLMAN
Redakcja merytoryczna JOANNA ŁUCZYŃSKA
Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta DOBIESŁAW KUBACKI

Copyright © 1990 by Ridley Pearson. All rights reserved
For the Polish edition Copyright © 1996 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
ISBN 83-7082-524-9
Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1996. Wydanie I Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Są ludzie, którzy tajemniczym zrządzeniem losu pojawiają się w naszym życiu i pozostawiają po sobie ślad, za który zawsze będziemy im wdzięczni. Ludzie ci, przelewając na nas swoją wiedzę i doświadczenie, pomagają nam odnaleźć kierunek naszej życiowej drogi. Taki właśnie człowiek pojawił się w moim życiu pięć lat temu w osobie mojego agenta literackiego. On to na przemian gnębił mnie i zachęcał, krytykował i pocieszał. Potem „ wyprawił mnie w dalszą drogę”. W każdej mojej książce jest i będzie jakaś jego część. Zawdzięczam karierę literacką Franklinowi Hel-lerowi. Współpracy z nim zawsze będzie mi bardzo brakowało.

Tytuł oryginału PROBABLE CAUSE
Ilustracja na okładce TOM HALLMAN
Redakcja merytoryczna JOANNA ŁUCZYŃSKA
Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI
Korekta DOBIESŁAW KUBACKI

Copyright © 1990 by Ridley Pearson. All rights reserved
For the Polish edition Copyright © 1996 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
ISBN 83-7082-524-9
Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1996. Wydanie I Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Są ludzie, którzy tajemniczym zrządzeniem losu pojawiają się w naszym życiu i pozostawiają po sobie ślad, za który zawsze będziemy im wdzięczni. Ludzie ci, przelewając na nas swoją wiedzę i doświadczenie, pomagają nam odnaleźć kierunek naszej życiowej drogi. Taki właśnie człowiek pojawił się w moim życiu pięć lat temu w osobie mojego agenta literackiego. On to na przemian gnębił mnie i zachęcał, krytykował i pocieszał. Potem „ wyprawił mnie w dalszą drogę”. W każdej mojej książce jest i będzie jakaś jego część. Zawdzięczam karierę literacką Franklinowi Hel-lerowi. Współpracy z nim zawsze będzie mi bardzo brakowało.

Podziękowania

Mam dług wdzięczności wobec detektywa sierżanta „Pete'a” Poitras z komisariatu policji w Carmel-by-the-Sea za wiele godzin, które poświęcił tej książce; dziękuję również kapitanowi Rickowi Buvii z komendy policji w Monterey; Rayowi Johnsonowi z Laboratorium Kryminalistycznego w Salinas; Philowi Soto z Laboratorium Daktyloskopijnego Departamentu Sprawiedliwosci Stanu Kalifornia; doktorowi Christianowi Harrisowi, psychiatrze sądowemu z Seattle, Washington; doktorowi Donaldowi Reayowi, naczelnemu lekarzowi sądowemu z King County, Washington; sędziemu Danielowi Albanowi, z Blaine County, Idaho; Terry'emu

Hogue, adwokatowi; Maidzie Spaulding, przygotowującej rękopis; Mary Peterson, prowadzącej biuro; Ollie Cosmanowi, czytelnikowi; redaktorowi Tomowi McCormackowi; Peterowi Ginnie, za pomoc edytorską. »
Dziękuję też Clare, Clarence'owi, Briar i Tonie. Oraz, jak zawsze, Colleen za towarzyszenie mi w mojej pracy.

Prolog

eżcie się furii, z męża cierpliwego szydząc
va żądają, niech zatem Prawo twarz swoją odsłoni.

N DRYDEN, Absalom i Achitofel

James Dewitt skierował się w stronę

rodziny czekającej na niego przy drzwiach sali sądowej. Jego bystre, czujne spojrzenie zdradzało nieprzeciętną inteligencję. Prosta linia ust i niewielka bruzda na brodzie przywodziły na myśl twarze farmerów ze środkowego zachodu. Przerzedzone rudawobrazowe włosy, trochę odstające uszy, twarde rysy, spojrzenie ujawniające niezależność myślenia i brak poszanowania dla utartych przekonań - tworzyły wizerunek osoby wyróżniającej się w tłumie, trochę irytującej i budzącej obawę przed jakąś nieobliczalną reakcją.

Trzeba się było pospieszyć. Zaplanowali na dzisiejszy wieczór wyprawę do kina, a przedtem obiecali dziewczynkom kolację we włoskiej restauracji. Dlatego wszystkie czekały na niego tutaj, w gmachu sądu hrabstwa Monterey. Żona Julia i córki, Emmy i Anna, były bardzo do siebie podobne: trzy błękitnookie blondynki z włosami opadającymi na ramiona wyglądały prześlicznie, wprost rozbrajająco, jak... reklama mydła Ivory.

Na widok Julii odzyskiwał siłę. Po piętnastu latach małżeństwa zachowała wygląd dwudziestolatki: zgrabna sylwetka, kształtne piersi, szczupła talia, twarz o gładkiej cerze, mająca w swym wyrazie jednocześnie coś z dziecka i z dojrzałej kobiety. Jego pani! W ciągu tych piętnastu lat nie zdarzyło się jeszcze, żeby nie czekała na niego po rozprawie, by zapytać jak poszło, wesprzeć go, zrozumieć i pocieszyć. Nie miał pojęcia, skąd czerpała energię, bo z pewnością to nie on był jej źródłem, choćby nawet sama tak uważała. Kobieta z żelaza, rzadko skarżąca się na coś, niestrudzona, a przy
^rozumiała i życzliwa! Będąc jej mężem czuł się jak uzurpator. Bo sgóle ktoś na nią zasługiwał?

a rzadko przyprowadzała dziewczynki do sądu. Przesłuchania e były dla eksperta sądowego przeważnie bardzo uciążliwe,

0 dzisiejsze okazało się dla Dewitta prawdziwą męką. Pożałował, rosił je do kina. Tego wieczoru należało mu się kilka koktajli , zmysłowy masaż pleców. Chciał zapomnieć o doznanym upo-iu.

y zbliżając się do nich przemierzał salę sądową, Julia instynktownie a jego niezwykle wzburzenie. Stojąc między córkami, odruchowo gnęła dziewczynki do siebie. One były dla niej żrenicą oka -
iły centrum jej świata.

!o jest, James?

umbrowski kompletnie mnie zgnoił.

wił wyraźnie, lecz dyskretnie ściszoneg głosem. Chociaż sąd za-
już na dzisiaj obrady, główni aktorzy wielogodzinnego spektaklu
aę jeszcze w pobliżu ławy sędziowskiej.

unes! - oburzyła się. Stulonymi dłońmi zasłoniła dziewczynkom

)biecali sobie przecież nie używać wulgarnych słów przy dzie-

^nastoletnia Emmy, starsza z sióstr, była stworzeniem niezależnym wniczym.

Towarzyska, niezwykle dynamiczna, bez zastanowienia la świata swoje opinie i
poglądy. Julia wojowała z nią o zachowanie

l manier, starając się pohamować potok słów dziewczynki, który opłynąć w
zupełnie niestosownych momentach. Odkąd Emmy w okres dojrzewania, matczyrna
opiekuńczość wydawała jej się ibsolutnie nie na miejscu i traktowała ją jak
niezasłużoną karę. i córka nie najlepiej się ostatnio dogadywały.

ny z wypiekami na twarzy odsunęła rękę matki. Sytuacje konflik-
ciągały ją i zaciekawiały. Pięć lat młodsza Anna zdawała się na nic
icać uwagi.

ibrykuje rzekome dowody rzeczowe, których nie mogę przyjąć.

l, w krzyżowym ogniu pytań, kiedy zeznaję pod przysięgą, zarzuca
[opatrzenia w ciągłości zabezpieczenia tych jego „niezbitych”

w.

va. federalne i stanowe wymagały zachowania „ciągłości zabezpieczenia dowodów rzeczowych”. Gromadzono w tym celu obszerną notację, potwierdzającą, że żaden dowód nie został spreparowany pomiędzy miejscem zbrodni, laboratorium, miejscem przechowywania rozpraw.

deprzył całą tę sprawę - mówił Dewitt do żony. - Najwyraźniej /a! chłopaka na podstawie podejrzenia, stary chwyt policyjny, i się schlał i zapomniał poprzeć oskarżenia jakąś konkretną notacją. A w końcu preparuje dowód, jaki jest mu potrzebny. A mnie stawia w paskudnym świetle. Mówię ci, ten sukinsyn zrobił mi cholerne świństwo.

Emmy lubiła mocne słowa. Z trudem stłumiła śmiech.

- James!

- To zwykle draństwo. Ostrzegłem Saffeletiego zaraz na początku, że nic nie mieliśmy przeciw temu chłopakowi. I co, powinienem może się cieszyć? Co z tego, że odroczyliśmy sprawę i wrócimy do niej za kilka tygodni. To tylko strata czasu. Nie uwierzę, że to g... Ten cyrk nikomu dobrze nie robi. Lumbrowski szaleje z wściekłości. Wydiera się teraz na chłopaka i straszy go karą śmierci. A tamten wprost odchodzi od

zmysłów.

Anna, stojąca przed ojcem, spoglądała na salę za jego plecami. Młodsza córka Dewitta była dzieckiem marzycielskim i ciągle zamyślonym. Spokojnym nie do uwierzenia. Miała charakter badacza-amatora i dzieliła z ojcem fascynację życiem morza. Wiecznie była zatopiona w książkach. Zachwycała ją muzyka klasyczna, zwłaszcza Bach, i najlepiej się czuła przesiadując godzinami ze swymi książkami i walkmanem - zamknięta we własnym świecie, do którego rzadko dopuszczała kogokolwiek. Julia niepokoiła się o nią, tymczasem Dewitt był przekonany, że z Anną jest wszystko w porządku. On był taki sam w jej wieku. I Anna na pewno wejdzie kiedyś w świat. Potrzebowała po prostu trochę czasu, żeby się właściwie przygotować.

Zdawało się, że światło zabłysło w źrenicach dziewczynki, gdy na drugim końcu sali powstało zamieszanie. Drzwi były otwarte. Ekipa filmowa czekała, przygotowana do zdjęć. Jaskrawa lampa oślepiła Dewitta. Obrócił się i zobaczył potężne cielsko detektywa Howarda Lumbrowskiego wychylone ponad stołem obrony ku młodemu Stevenowi Millerowi - oskarżonemu w tym procesie. Dwóch strażników próbowało interweniować. W kilka sekund rozpętała się prawdziwa burda. Jak piłkarz wyrwyjający się łącznikowi atakowanej drużyny, Miller wydostał się z tłumu i ruszył pędem wzdłuż sali ku Dewittowi i jego uroczej rodzinie.

Dopiero kiedy chłopak wznosił rękę grożąc im, Dewitt spostrzegł w jego dłoni rozbitą, okrwawioną szklankę. Zębata krawędź szczyrzyła się ku niemu. Schylił się raptownie, cudem unikając ostrza. Gdy podniósł oczy, zobaczył jak Miller popycha osłupiałą, pobladłą Annę, która pada na podłogę. Usłyszał trzask pękających kości, gdy krucha czaszka dziecka uderzyła z impetem o kamienną posadzkę. Popłynęła krew. Dewitt ukląkł nad córką, czując, że ma pustkę w żołądku i nogi jak z waty.

Emmy, której udało się odskoczyć w bok i zejść z drogi napastnika, dobiegła do ojca.

Na widok Anny, Julia krzyknęła i rzuciła się na Millera, tłukąc go pięściami. Ten przeciął jej ramię szkłem, zapaśniczym chwytem ujął ją za

11

^ę i wywlókł za sobą na korytarz. Howard Lumbrowski, wymachując grabnie rewolwerem, przebiegł obok Dewitta.

- Puść ją - ryczał. Miller jego też skaleczył; pod okiem Lumbrowski brzydka, czerwoną szramę.

- Cofnąć się! - krzyknął Dewitt.

Jtan córki pogarszał się gwałtownie; pokaleczoną żonę napastnik nał za gardło.

- Wyłączcie to! - wrzasnął do pary reporterów telewizyjnych. Gdzie jchrona? Strażnicy! To wszystko działo się o wiele za szybko, choć całe zenie wydawało się rozciągnięte w czasie jak na zwolnionym filmie, rżał na Emmy, która stała wystraszona, opierając się o ścianę miennych bloków, z oczami wlepionymi w siostrę. Wzniósł rękę, jak :jant na skrzyżowaniu, dając jej znak: nie ruszaj się.

ulia spojrziała na męża i zaraz potem na Annę. Dewitt nigdy nie widział | tak przerażonej.

Aimbrowski wykrzykiwał coś do Millera, wymachując bronią, jak iki dyrygent nie panujący nad orkiestrą. Miller odpowiadał mu tykułowanym bełkotem. Dewitt był ekspertem kryminalistycznym, : policjantem, ale dostatecznie znał się na procedurze policyjnej, by ić, że Lumbrowski źle to rozgrywa.

Lumbrowski, cofnij się - Dewitt starał się mówić spokojnie. - Daj rochę miejsca. Rzuć to - rozkazał Miller. Wepchał Julię w kąat korytarza. Za sobą powiększoną kopię panoramy Monterey z końca dziewiętnastego cia. Oparł się o nia.

rdzie u licha są strażnicy? Jaskrawa lampa reporterów rzucała ostre 3. Wydawało się, że cała podłoga faluje, umbrowski rzucił rewolwer na podłogę.

Dobrze - zgodził się - uspokój się!

roń ślizgając się po podłodze zatrzymała się tuż koło stopy Dewitta. browski obrócił się lewym bokiem, zmuszając Millera, aby ten obrócił prawo i odsłonił się przed Dewittem.

umbrowski wciąż nacierał do przodu. Rzucił Dewittowi znaczące zenie, jakby chciał powiedzieć: zastrzel drania! Upuścił broń rozmyśl-Dewitt zerknął na nią. Stój! - krzyknął Miller do detektywa, ale ten przysuwał się coraz bliżej.

Brow! Nie osaczaj go!

[iller odchylił głowę Julii, trzymając ją za włosy i przytknął szklanę j naprężonej szyi. Julię ogarnął szal - Dewitt ujrzał żonę taką, jaką zawsze, nie cofającą się przed niebezpieczeństwem. I zaraz potem zał, jak próbuje spazmatycznie złapać powietrze, gdy szkło przecinało ławicę. Miller wyrzucił ręce w górę w geście poddania się, a zarazem Taktji. Szklanka upadła, rozpryskując się na podłodze.

Jestem bezbronny - oświadczył Miller z dumą.

Wspaniałe ciało Julii osunęło się do przodu i zwinęło jak krwawy łachman u jego stóp; gardło miała głęboko przecięte.

Dewitt sięgnął po rewolwer Lumbrowskiego. Wydało mu się, że wykonuje jeden powolny, płynny ruch, kiedy wymierzywszy broń w Millera, naciskał spust raz za razem, aż do wyczerpania magazynka, gdy tymczasem wokół unosił się coraz intensywniejszy gorzko-słodki zapach kordy tu. Nie widział niczego przez łzy. Cztery kule chybiły, ale dwie ostatnie przygwoździły Millera do ściany. Martwy, osunął się na podłogę.

Julia umarła w karetce.

Nieprzytomną Annę odwieziono do szpitala.

Pięć miesięcy później

1

Wtorek, 10 stycznia

1

- ZZ na skrzyżowaniu Scenie Drive

i Ósmej Alei - oznajmił ciepły głos Wirginii Fraizer - sekretarki, telefonistki i operatorki radiowej.

Znaleziono zwłoki. Przy plaży. Kiedy chodziło o zwłoki, posługiwali się telefonem. Zbyt wielu maniaków lubujących się w krwawych jatkach podsłuchuje rozmowy policji. W takich przypadkach woleli nie używać radia. Niebiosom niech będą dzięki, że zesłały im Ginny. Ta dziewczyna potrafi utrzymać porządek w komisariacie.

- Przekaż, że jestem w drodze - odpowiedział detektyw-sierżant James Dewitt. Odłożył słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu.

ZZ! Dobrze, że nie 187.187 oznaczało zabójstwo. Po zaledwie dwóch miesiącach praktyki na nowym stanowisku. Powinien się pospieszyć. Na otwartym powietrzu ślady przestępstwa zacierają się szybko, a co gorsza, padało, kiedy się obudził o wpół do szóstej. Znał to miejsce: wyasfaltowana zatoka na nieprawdopodobnie wąskiej drodze, z której roztaczał się widok na plażę Carmel. Miejsca tyle, co dla trzech parkujących samochodów. Może to potrącenie i ucieczka z miejsca wypadku?

Znaleziono zwłoki. Jednego był pewien: obudził się na dobre.

Czekał, aż kawa się zaparzy, aby obudzić Emmy i wyprawić ją do szkoły. Przejrzał się w lustrze. Tak wygląda człowiek w drodze.

Szttywne, wyprostowane ciało leżało na chodniku. Jak uszkodzony manekin porzucony na podłodze salonu z konfekcją. Samobójstwo, sądząc

15

samochodzie. Waż gumowy przeciągnięty od rury wydechowej do ;nka pasażera. Dewitt zatrzymał się przy zwłokach. Ceniąc sobie Dwny dar życia, dziwił się, że ktoś mógł wybrać śmierć. Samobójstwo ozgniewało i na chwilę poczuł żal, że nie może kupić życia Julii za życie ' człowieka.

3ył chłodny ranek styczniowy. Dewitt miał na sobie płaszcz sportowy ażowej wełny -jedyne sportowe okrycie, jakie posiadał, które zresztą dawno należało wymienić na nowe. Dwa naderwane, czarne guziki ;ładaly smutno jak oczy basseta. Znakiem firmowym Dewitta pozo-' jego muszki, dziedzictwo piętnastu lat spędzonych w laboratorium, 2 muszka była wygodniejsza, bo nie wplątywała się w każde urządzenie ak krawat. Dziś nosił zieloną z wzorzystej wełny - prezent od Emmy. 1 okulary, chuchnął na szkła i zaczął je powoli, systematycznie aerać. Po tej operacji umieścił okulary z powrotem w stale zaczer-ionym wgłębieniu na nosie. Przeszedł przez ciało i przykucnął przy ich denata. Jednym spojrzeniem objął całość, a potem sprawdzał igóły - od głowy, aż po palce u nóg. ames Dewitt wciąż najpewniej czuł się w świecie mikroskopijnych ek. Rzadko kiedy coś uszło jego uwadze.

fiewiele, jak dotąd miał do czynienia z ofiarami wypadków - zwłaszcza-nartwymi. Ponieważ przez całe lata przedmiotem jego badań były)dy rzeczowe, ciągnęło go i teraz do materiału dowodowego, co - tak ił - usprawiedliwiało lekceważenie, jakie na razie okazał zwłokom, rócił się w stronę samochodu. Formalnie rzecz biorąc, był teraz tywem Dewittem. Detektywem-sierżantem. Jednak na miejscu prze-twa instynktownie wracał do swego poprzedniego ja - eksperta ijącego w niewidzialnym świecie mikrośladów. Jego koledzy pogardli-azywali specjalistów z laboratorium kryminalistyki „dłubkami". Co wiedzieć o tej pracy? Czy inny świeżo upieczony detektyw mógłby lżyć, że na podszwach denata nie było śladu piasku, choć drobniut-idobny do cukru piasek pokrywał cały parking? W jaki więc sposób my samobójca przeciągnął waż doprowadzający spaliny do okna?) właśnie był urok dowodów materialnych: albo dawało się je tnaczyć, albo nie. Świadcowie mogli dostarczyć tuzin różnych relacji i samym wypadku, ale dowód materialny zawsze opowiadał jedną,) jedną, historię.

mochód i zwłoki będą musiały opowiedzieć swoją historię. Wątpliwe, iii jacyś świadcowie tak wcześnie rano. W prawej kieszeni płaszcza t nosił rękawice chirurgiczne i szwajcarski scyzoryk wojskowy, lej - pęsetę, woreczki na próbki, małą lupę i latarkę. Wciągnął ice i zawołał patrolowego Andersona, który właśnie przeciągał zącą taśmę wokół placyka parkingowego. Napis: POLICJA. 1P WZBRONIONY odstraszał przechodniów. Wiatr zmienił kierunku-lorze szumiało uspokajająco. Dewitt poczuł zapach soli i kropelki

wody. Walczące z wiatrem sosny, o konarach poskręcanych w fantastyczne kształty, pochylały się boleśnie w stronę wybrzeża.

Anderson przyznał się zawstydzony, że wyciągnął ciało z samochodu. Dewitt postanowił zarządzić odprawę wszystkich dwudziestu patrolowych z Carmel i przypomnieć im o obowiązkach funkcjonariusza przybywającego jako pierwszy na miejsce przestępstwa. Nie zarzucał im głupoty, raczej brak doświadczenia. W ostatnich latach policjanci z Carmel rzadko widywali zwłoki. Jednakże przestrzeganie ustalonej procedury zapewniało spójność czynności śledczych, a tego właśnie wymagały sądy.

Dewitt wyjął portfel zmarłego. Prawo jazdy wydane w Kalifornii. Nazwisko: John Galbraith Osbourne z Sacramento. Detektyw poczuł lekkie ukłucie w sercu i jakby nagłą niestrawność. Trzeci dokument był kartą dawcy narządów. I nowe ukłucie, bardziej bolesne. W karcie wpisano najbliższą osobę, którą należało zawiadomić w razie śmierci: Jessica Osbourne. Wszyscy ją znali -popularna reprezentantka stanu z partii republikanów. Zeszłego roku nazwano ją „Sfaulowaną Jessie". Zagrała w meczu koszykówki na cele dobroczynne ze stanową drużyną, i w połowie rozgrywki wycofała się z dwoma zdobytymi punktami i rozkrwawionym nosem. Pięćdziesięcio-pięcioletnia pani Osbourne przejawiała wciąż żywiołowość młodej kobiety.

Dewitt wsunął portfel do zabezpieczającej torebki i znów zdjął okulary, przetarł je starannie i założył z powrotem.

Okrażył swój teren łowny, przyglądając się badawczo. Osbourne wykonał niezłą robotę - ale dlaczego właśnie tutaj? Miejsce przestępstwa było takim samym dowodem jak wszystko inne. Może samobójca chciał "umrzeć kontemplując piękny widok? Tylko czy w ogóle coś tu było widać godzinę temu? Chyba było za ciemno? Dlaczego właśnie tu?

Z tylnego siedzenia służbowego pojazdu Dewitta, samochodu marki Mercury Zephyr

bez znaków policyjnych, dobiegło szczekanie. Detektyw skarcił Rusty'ego - towarzyszącego mu wszędzie mieszańca collie. Pies posłusznie zamilkł. Dewitt znów klęknął przy zwłokach. Facet wyglądałby całkiem przyzwoicie, gdyby nie ten sinoszary kolor skóry. Przednie światła nadjeżdżającej karetki koronera oświetliły chodnik, gdy samochód zjeżdżał Ósmą Aleją ze wzgórza. Trzy klejnociki błysnęły w świetle, przyciągając uwagę Dewitta. Przesunął się w kucki do tego miejsca. Świeży olej silnikowy, sądząc z wyglądu. Mimo że lało o 5:30, kiedy to Dewitt się obudził, deszcz nie zmył oleju. Czy to możliwe przy takiej ulewie? Szwajcarskim szczyrykiem pobrał próbkę oleju, zapieczętował w torebce i opatrzył etykietką.

- Czy radiowóz parkował w tym miejscu? - krzyknął do Andersona.

- Na pewno nie, sierżancie - odpowiedział Anderson, który właśnie skończył ogradzanie terenu taśmą i przywiązywał jej koniec do zderzaka swego radiowozu. Zgromadzony w bagażniku zephyra ekwipunek urastał do rozmiarów przenośnego laboratorium kryminalistycznego. Oprócz zapasowej opony,

2 - Kluczowy dowód

17

izelki kuloodpornej i apteczki Dewitt wozził ze sobą dwie duże, czarne y komiwojazeera, zawierające komplet narzędzi śledczych. Wyjął apa-fotograficzny i zrobił zdjęcia plam oleju i ich położenia. Rusty ;zekał, lecz Dewitt go uciszył. Co nowego? - spytał Anderson, podchodząc chwilę później, 'atrząc w oczy młodemu patrolowemu, palcem osłoniętym rękawicą itt wskazał zmarłego Johna Osbourne'a. Ktoś go odwiedzał - rzekł.

Biurowiec szefa policji Clarence'a Hinde-

i było największe w budynku. Chociaż zegar ścienny wskazywał 3:30, itt nie zdążył jeszcze zjeść lunchu. Komendant Karl Capp i James itt siedzieli w szarych, stalowych fotelach na wprost zwierchnika, f zasiadał za obszernym, metalowym biurkiem tworzącym komplet elami. Okno za jego plecami wychodziło na malownicze wybrzeże id.

larl Capp, który pocił się chyba od urodzenia, ogryzał z zapalem x ołówka numer dwa firmy Montel. Okrągłutki brzuszek przelewał ię nad ciasno zapiętym pasem; siedział z wyciągniętymi nogami, żeby noważyc obciążenie. Jego twarz przypominała białoczerwoną gumonłkę. Niezmiennie ponure spojrzenie maskowało jego prawdziwy ój. Gdy chciał się uśmiechnąć, z widocznym wysiłkiem przezwyciężał gniewny wyraz oczu. Odpryski żółtego lakieru z ołówka, które epily mu się do górnej wargi, wyglądały jak ropiejaca opryszczka. zuł się nieswojo. Był najstarszym z policjantów na półwyspie Monte-'rzywykl sam prowadzić swoje sprawy, więc zwierchnictwo Hinde-1 traktował jako czysto formalne. Komendant nie lubił siadywać po tej ie biurka. Udało mu się ustanowić, a następnie egzekwować narzucozez siebie zasady hierarchii. Oficjalnie był zobowiązany zgłaszać się do Dewitta w celu omówienia spraw. Zamiast tego, detektyw-sierżant wzywany do jego biura, gdzie słuźbowy fotel, niczym skórzany tron ł Cappowi poczucie bezpieczeństwa. Clarence Hindeman, postawny żyzna solidnej budowy trochę po pięćdziesiątce, starannie utrzymaną :owatą bródką maskował cofniętą dolną szczękę. Koszula z rozchylo-kołnierzem bardziej mu odpowiadała niż konwencjonalny krawat, mówił, miał zwyczaj gestykulować, a widoczne odciski na jego nych dłoniach dawały świadectwo zamiłowaniom do stolarki i wioś-m. Odezwał się podniesionym, szorstkim głosem. Wygląda to na samobójstwo dzieciaka Jessie Osbourne. app bez chwili namysłu odparł:

- Wygląda? Nie mamy tu nic do roboty. Raz dwa ułożymy do snu naszego oseska.

- Wygląda na samobójstwo - powtórzył Dewitt w zamyśleniu. - Parę rzeczy się jednak nie zgadza.

- Co to u diabła ma znaczyć? - oburzył się Capp.

- Chciałbym zostawić sprawę otwartą na kilka dni - wyjaśnił Dewitt. - Poczekać na wyniki ekspertyz, zanim wydamy oświadczenie dla prasy. Ubranie odesłano do laboratorium. Ludzie Jessie Osbourne kazali mi się zwrócić do kuzynki, Priscilli Laughton, żeby zidentyfikowała zwłoki. Chciałem mówić z samą Jessie, ale nie odpowiedziała na mój telefon. Sekcję zaplanowano na jutro, ale raczej nie zdąży przed czwartkiem. Chodzi o to, komendancie - zwrócił się do Cappa - że jeśli będziemy zmuszeni prostować przedczesne oświadczenie, wyjdziemy na niekompetentnych głupków. To potrwa najwyżej dwa dni. Sprawdzi się kilka szczegółów i będziemy mieć o niebo lepsze rozeznanie, co naprawdę jest grane.

- Jessie zgodziła się na sekcję? - spytał Capp. -Wierzyć mi się nie chce.

- Nie było potrzeby jej pytać - odrzekł Dewitt, spojrzeniem prosząc Clarence'a o poparcie.
- Oficjalnie, Karl, w obecnym stanie rzeczy musimy działać jak w przypadku niewyjaśnionych okoliczności. Dlatego sądziłem, że powinniśmy porozmawiać. Jak rozumiem, przeczytałeś uwagi Dewitta.
- Manny Roth nie będzie tym zachwycony, szefie - rzekł Capp. Poczul na języku płatek ołówkowego lakieru, który nie zatrzymał się na wardze. Wypluł go. - On i Jessie trzymają się razem. Nie zapominaj, że to ona sponsoruje jego fundację.
- Nasz czcigodny burmistrz jest byłym instruktorem golfowym, komendancie - przypomniał Dewitt - a nie policjantem. Są pewne procedury...
- A nasz detektyw jest byłym „dłubkiem” - przerwał mu Capp. - Gdybyś był policjantem miał odrobinę większe doświadczenie, może byś pojął, że to zupełnie inaczej wygląda z punktu widzenia policji, niż laboratorium Salinas.
- Moim zdaniem, szefie - zwrócił się do Hindemana - należy jeszcze raz się zastanowić, komu przydzielić tę sprawę. Wiem, że moje miejsce jest przy biurku, ale Dewitt pracuje u nas dopiero dwa miesiące. Trudno było przewidzieć, że coś takiego się wydarzy, kiedy go przyjmowałeś.

W ciągu pięciu miesięcy od śmierci Stevena Millera Dewitt przeszedł istne piekło. Za zastrzelenie Millera aresztowano go pod zarzutem umyślnego zabójstwa; musiał znieść trzy tygodnie procesu, pociągające za sobą niezwykle dla niego bolesną popularność człowieka z pierwszych stron gazet. Scenę uniewinnienia przez ławę przysięgłych pokazano w pierwszym wydaniu wiadomości CNN, a następnego dnia powtórzyły to wszystkie trzy sieci telewizyjne.

19

camizelki kuloodpornej i apteczki Dewitt woził ze sobą dwie duże, czarne orby komiwojażera, zawierające komplet narzędzi śledczych. Wyjął apa-at fotograficzny i zrobił zdjęcia plam oleju i ich położenia. Rusty :aszczekał, lecz Dewitt go uciszył.

- Co nowego? - spytał Anderson, podchodząc chwilę później. Patrząc w oczy młodemu patrolowemu, palcem osłoniętym rękawicą Dewitt wskazał zmarłego Johna Osbourne'a.

- Ktoś go odwiedzał - rzekł.

Biuro szefa policji Clarence'a Hinde-

ana było największe w budynku. Chociaż zegar ścienny wskazywał 3:30, ewitt nie zdążył jeszcze zjeść lunchu. Komendant Karl Capp i James ewitt siedzieli w szarych, stalowych fotelach na wprost zwierchnika, óry zasiadał za obszernym, metalowym biurkiem tworzącym komplet fotelami. Okno za jego plecami wychodziło na malownicze wybrzeże irmel.

Karl Capp, który pocił się chyba od urodzenia, ogryzał z zapalem nieć ołówka numer dwa firmy Montel. Okrągłutki brzuszek przelewał i się nad ciasno zapiętym pasem; siedział z wyciągniętymi nogami, żeby iwnoważyć obciążenie. Jego twarz przypominała białą-czerwoną gumo-pilkę. Niezmiennie ponure spojrzenie maskowało jego prawdziwy itrój. Gdy chciał się uśmiechnąć, z widocznym wysiłkiem przezwycięzał gniewny wyraz oczu. Odpryski żółtego lakieru z ołówka, które ylepiły mu się do górnej wargi, wyglądały jak ropiejaca opryszczka. Czuł się nieswojo. Był najstarszym z policjantów na półwyspie Monte-. Przywykł sam prowadzić swoje sprawy, więc zwierchnictwo Hinde-na traktował jako czysto formalne. Komendant nie lubił siadywać po tej >nie biurka. Udało mu się ustanowić, a następnie egzekwować narzuc->rzez siebie zasady hierarchii. Oficjalnie był zobowiązany zgłaszać się do :a Dewitta w celu omówienia spraw. Zamiast tego, detektyw-sierżant wzywany do jego biura, gdzie służbowy fotel, niczym skórzany tron ał Cappowi poczucie bezpieczeństwa. Clarence Hindeman, postawny czyzna solidnej budowy trochę po pięćdziesiątce, starannie utrzymaną ikowatą bródką maskował cofniętą dolną szczękę. Koszula z rozchylo-kołnierzem bardziej mu odpowiadała niż konwencjonalny krawat. mówił, miał zwyczaj gestykulować, a widoczne odciski na jego żnych dłoniach dawały świadectwo zamiłowaniom do stolarki i wioś-wa. Odezwał się podniesionym, szorstkim głosem.

Wygląda to na samobójstwo dzieciaka Jessie Osbourne. "app bez chwili namysłu odparł:

- Wygląda? Nie mamy tu nic do roboty. Raz dwa ułożymy do snu naszego oseska.
- Wygląda na samobójstwo - powtórzył Dewitt w zamyśleniu. - Parę rzeczy się jednak nie zgadza.

- Co to u diabła ma znaczyć? - oburzył się Capp.
- Chciałbym zostawić sprawę otwartą na kilka dni - wyjaśnił Dewitt. - Poczekać na wyniki ekspertyz, zanim wydamy oświadczenie dla prasy. Ubranie odesłano do laboratorium. Ludzie Jessie Osbourne kazali mi się zwrócić do kuzynki, Priscilli Laughton, żeby zidentyfikowała zwłoki. Chciałem mówić z samą Jessie, ale nie odpowiedziała na mój telefon. Sekcję zaplanowano na jutro, ale raczej nie zdąży przed czwartkiem. Chodzi o to, komendancie - zwrócił się do Cappa - że jeśli będziemy zmuszeni prostować przedwczesne oświadczenie, wyjdziemy na niekompetentnych głupków. To potrwa najwyżej dwa dni. Sprawdzi się kilka szczegółów i będziemy mieć o niebo lepsze rozeznanie, co naprawdę jest grane.
- Jessie zgodziła się na sekcję? - spytał Capp. - Wierzyć mi się nie chce.
- Nie było potrzeby jej pytać - odrzekł Dewitt, spojrzeniem prosząc Clarence'a o poparcie.
- Oficjalnie, Karl, w obecnym stanie rzeczy musimy działać jak w przypadku niewyjaśnionych okoliczności. Dlatego sądziłem, że powinniśmy porozmawiać. Jak rozumiem, przeczytałeś uwagi Dewitta.
- Manny Roth nie będzie tym zachwycony, szefie - rzekł Capp. Poczul na języku płatek ołówkowego lakieru, który nie zatrzymał się na wardze. Wypluł go. - On i Jessie trzymają się razem. Nie zapominaj, że to ona sponsoruje jego fundację.
- Nasz czcigodny burmistrz jest byłym instruktorem golfowym, komendancie - przypomniał Dewitt - a nie policjantem. Są pewne procedury...
- A nasz detektyw jest byłym „dłubkiem” - przerwał mu Capp. - Gdybyś był policjantem miał odrobinę większe doświadczenie, może byś pojął, że to zupełnie inaczej wygląda z punktu widzenia policji, niż laboratorium Salinas.
- Moim zdaniem, szefie - zwrócił się do Hindemana - należy jeszcze raz się zastanowić, komu przydzielić tę sprawę. Wiem, że moje miejsce jest przy biurku, ale Dewitt pracuje u nas dopiero dwa miesiące. Trudno było przewidzieć, że coś takiego się wydarzy, kiedy go przyjmowałeś.

W ciągu pięciu miesięcy od śmierci Stevena Millera Dewitt przeszedł istne piekło. Za zastrzelenie Millera aresztowano go pod zarzutem umyślnego zabójstwa; musiał znieść trzy tygodnie procesu, pociągające za sobą niezwykle dla niego bolesną popularność człowieka z pierwszych stron gazet. Scenę uniewinnienia przez ławę przysięgłych pokazano w pierwszym wydaniu wiadomości CNN, a następnego dnia powtórzyły to wszystkie trzy sieci telewizyjne.

19

itował go stary przyjaciel, Clarence Hindeman, obecny szef komisji-olicji w Carmel, który zaproponował mu pracę detektywa-sierżanta na utworzonym stanowisku, przewidzianym specjalnie dla kogoś nościach i doświadczeniu Dewitta. A Dewitt miał nadzieję, że ująć tę ofertę, będzie wiódł spokojną egzystencję tropiciela fał-:h czeków i skradzionych rowerów w niewielkiej miejscowości zynkowej. Gdy znaleziono zwłoki Osbourne'a, wyczuł, że w ich ręce poważna sprawa. Pewnie najprościej byłoby się jej zrzec; Dewitt, wymieniając spojrzenia z Hindemanem, przecząco pokręcił głową, dda się tak łatwo, ideman powiedział ostro:

'a sprawa podlega Dewittowi, Karl. Będzie ci zdawał sprawozdania, ażdego innego śledztwa. Po to go tu sprowadziłem. Piętnaście lat w kryminalistyce. Z tego osiem jako ekspert sądowy. Jesteśmy więc lale przygotowani, żeby sobie z tym poradzić... łągdy nie prowadził sto osiemdziesiąt siedem... to osiemdziesiąt siedem? - zdziwił się Hindeman. -A ktoś wspomni-łj o zabójstwie? Omawiamy samobójstwo.

)n mówi o zabójstwie - zaprzeczył Capp, wskazując Dewitta. -ruje zabójstwo.

otrzebuję tylko kilku sprawozdań - sprostował Dewitt - niczego Zresztą badałem zabójstwa jako ekspert kryminalistyczny. Nie imiaru się teraz spierać o naturę tego wypadku, syscy trzej wdali się w krótki pojedynek słowny, który zagłuszył głośnym szczekaniem. Hindeman pozwolił Dewittowi przyprowa-sa do komisariatu. Formalnie zakwalifikowano Rusty'ego jako kę. Hindeman znów wybuchnął. Dewitt dwukrotnie strzelił pal-Lusty ucichł i ułożył się spokojnie.

rowadziłem tuziny zabójstw - podsumował Dewitt. - Jest bardzo >żnica...

jest diablo duża różnica - sprzeciwił się Capp. !o to za akademickie dyskusje - ryknał Hindeman. - Czytałeś Dewitta o okolicznościach wypadku, czy nie? e facet nie miał piasku na podszwach. Że obok był jakiś olej vy. Przecież to parking, jak rany Boga. I to mają być podejrzane ności, szefie? Trzymajcie mnie! Zdawało mi się, że mówimy o synu)sbourne.

dpowiesz mu, Dewitt? - Mimo starej przyjaźni, mimo że ich córki decznymi

przyjaciółkami, jednak ze względu na rangę i stanowisko łanowi zależało na zachowaniu dystansu. Wprawdzie od czasu do czasu zapomniał, ale w komisariacie starał się zwracać do Dewitta po ;u. Nie mógł sobie pozwolić na faworyzowanie przyjaciela. d prostu badam wszystkie możliwe warianty - wyjaśnił Dewitt. -wowa rzeczą, której się uczysz jako „dłubek” - powiedział, spoglądając na Cappa - jest to, że dowód rzeczowy opowiada dokładnie jedną, zawsze tę samą historię. Anderson przeniósł zwłoki. To dodatkowy kłopot. Jeśli przeczytałeś moje sprawozdanie, to musiałeś się dowiedzieć, że bagaż Osbourne'a był upchnięty z tyłu bagażnika. Dlaczego? Możesz to jakoś wytłumaczyć?

- Kogo to obchodzi?

- Mnie obchodzi! Mam dowód, który się kupy nie trzyma.

- Zupełnie nieistotny - obruszył się Capp.

- Zgoda. Nie będę się kłócił. Dowód jest nieistotny i może nie ma żadnego znaczenia. Ale nie dowiemy się tego, póki wszystko nie ułoży się w całość.

Dlaczego robimy z igły widły? - zwrócił się do Hindemana. -Proszę tylko o wykonanie kilku prób, żeby wyeliminować wszelkie możliwe niespodzianki.

- Prosisz o wstrzymanie oświadczenia dla prasy. Nie zapominaj, że chodzi o syna Jessie Osbourne. Mamy w tym roku wybory. Wiesz, co to znaczy?

- Skoro w tym wydziale niektóre osoby nie liczą się z moją opinią... -Dewitt skierował tę aluzję pod adresem komendanta - proszę o dodatkową konsultację. Z opinią laboratorium Salinas będziesz się chyba musiał zgodzić?

- Nie zaczynaj ze mną, Dewitt.

- To znaczy, tak czy nie?

Twarz Cappa nabiegła krwią, poprawił się na krześle.

- Uważam, że popełniamy błąd. Powinno się raz dwa zrobić z tym porządek, wydać oświadczenie dla prasy, i mieć wszystko za sobą. Wywlekanie jakichś przypadkowych okoliczności nikomu nie pomoże, a już najmniej Jessie Osbourne. A jeśli Jessie będzie niezadowolona, to i Manny, a to już będzie bardzo niedobrze dla nas wszystkich.

- Karl - powiedział Hindeman z wyrzutem. - Ja nie zbieram głosów, tylko informacje. Twierdzisz z całą stanowczością, że John Osbourne popełnił samobójstwo? Nawet w świetle tego, co odkrył Dewitt?

- Twierdzę, że on gówno odkrył - Capp zamyślił się na chwilę. -Opowiedz Billowi Saffeletiemu o kilku kroplach oleju i o tym, jak był załadowany bagażnik. Nie musisz mi potem mówić, jak cię przyjęli w biurze prokuratora okręgowego. Oszczędzę ci trudu. Całe miasto będzie się z nas śmiało.

Dewitt zwrócił się do Hindemana:

- Zdaje mi się, że źle mnie rozumiano. Jesteśmy małym, skromnie wyposażonym komisariatem. Nie warto robić wrażenia niekompetentnych, wydając przedwczesne oświadczenie. Przydałby się pożegnalny list samobójcy. Albo telefon do kogoś świadczący o jego depresji. Coś w tym rodzaju. I znowu- musimy trochę podreptać wokół wyjaśnienia tych rzeczy. Chcę wiedzieć, skąd jechał Osbourne, dokąd się wybierał, czym się zajmował. Chcę móc zaprosić Jessie Osbourne i zdać jej sprawę ze

21

iriego, co działo się z jej synem, powiedzmy, od szóstej wieczorem aż do szóstej rano dzisiaj. Dziennikarze, jeśli nie kto inny, będą się i grzebać tak długo, aż uda im się dokładnie zrelacjonować jego ią dobę. Mamy się narażać na to, że nas prześcigną?

Co ty na to, Karl?

Mnie się to nie podoba. Facet zwyczajnie nałykał się spalin, szefie. wajmy go. Nie ma co kroić go na plasterki.

isty zawarczał i przewrócił się na grzbiet, oczekując pieszczot.

Na razie zbierzmy wszystkie dowody - zdecydował Hindeman,

: się na psa. - Póki co wypadek ma pozory samobójstwa, do-
enie w toku.

ipp zerwał się z niewygodnego krzesła i jak burza wyleciał z biura.

Będziemy mieli kłopoty - rzekł Dewitt.

Jak ten pies zesmrodzi się w moim biurze, dowiesz się, co to znaczy dopóty.

:witt i Rusty wynieśli się w mgnieniu oka.

Jezdnia tonęła w ponurym mroku, anym chwilami przez światła sygnalizacyjne i migające reklamy, inastobiegowy rower przemknął obok; furkoczący odgłos na skutek i Dopplera opadał w miarę oddalania się pojazdu, przechodząc mry jęk. Mężczyzna kręcił się przed publiczną kabiną telefoniczną, lał rękę w kieszeni spodni, bawiąc się schowanymi tam monetami, itrze cuchnęło spalinami. Po drugiej stronie, za brudnym oknem różowa neonowa palma pulsowała miarowo, reklamując wino an. Gdy drzwi baru się otwierały, człowiek niecierpliwie czekający elefonie słyszał wrzask kibiców z meczu Lakersów, transmitowanego telewizję. Zatrzymał się i zapatrzył w telefon. Jego profil w słabym e rysował się jak wycięta sylwetka. Czy Lumbrowski podniesie iż słuchawkę? Mają ze sobą do pomówienia, ężczyzna wsunął monetę do otworu i nasłuchiwał, jak spadała ?ac we wnętrzościach automatu. Zdążył się już nauczyć numeru na

!Ć.

den dzwonek... Tupnął niecierpliwie.

Rusz się wreszcie - powiedział do siebie.

wa dzwonki...

Odbierz telefon, ty draniu!

Hę? - odezwał się ochrypły, zapijaczony głos.

ężczyzna zawahał się.

Hę? - powtórzył Lumbrowski.

- Cały dzień staram się do ciebie dodzwonić - odpowiedział po chwili jego rozmówca.

- Byłem bardzo zajęty. Kto mówi, do diabła?

- Radzę ci się trzymać bliżej telefonu.

- Nie twój zasrany interes. Dźwięk odkładanej słuchawki.

Mężczyzna zmrużył oczy, starając się opanować. Odchylił głowę i sapał z oburzenia. On tu dzwoni, żeby pomóc, a tamten ma czelność przerwać rozmowę. „Nie twój interes”, doprawdy.

Wepchnął następną monetę i nacisnął numer.

-Hę?

- Widziałem cię dziś rano - powiedział. Cisza. Sapanie pijanego mężczyzny.

- Myślałem, że się zainteresujesz.

- Co o tym wiesz? - spytał Lumbrowski.

- Mam pewne potrzeby.

- Chodzi o pieniądze?

- Przydałyby się.

- Czy już kiedyś ubiliśmy interes?

- Nie.

- Teraz jestem zajęty. Mam swój rozkład dnia.

- Pewnie, że masz. Ale ja cię w i d z i a ł e m. Znów cisza.

- Chcesz czegoś ode mnie?

- To ty chcesz czegoś ode mnie - nalegał rozmówca.

- Nie sędzę.

Lumbrowski znowu odwiesił słuchawkę.

Mężczyzna walnął pięścią w telefon, a potem szarpnął gwałtownie za słuchawkę.

Obiema rękami chwycił za osłonę kabla, całym ciężarem na niej zawisł i znów szarpnął. Potem jeszcze raz. Wreszcie się zerwała.

Przyglądał się przez chwilę trzymanej w ręku słuchawce z zerwaną osłoną kabla, spod której wyłaziły poszarpane druty, zwisając jak ogon. Wepchnął słuchawkę na widełki i szybko przeszedł przez ulicę do baru. Wybrał miejsce w kącie, gdzie światło nie raziło go w oczy.

Po meczu pokazano w telewizji wieczorne „Najnowsze wiadomości”. Był właśnie przy trzecim piwie i czuł się znacznie lepiej. Jaskrawo umalowana spikerka uśmiechała się fałszywie, jak pielęgniarka. Mówiła niskim, przytłumionym głosem: „Ciało syna reprezentantki hrabstwa Sacramento Jessiki Osbourne, Johna Galbraitha Osbourne'a, znaleziono w okolicznościach, które rzecznik komisariatu policji w Carmel określił jako wskazujące na samobójstwo. Nie podano żadnych szczegółów, a dochodzenie jest w toku. Nasi informatorzy z programu pierwszego dowiedzieli się jednak od osób blisko związanych ze śledztwem, że nie wyklucza się morderstwa. Prowadzący dochodzenie detektyw James De-

dmówił komentarzy. Więcej w tej sprawie w jutrzejszych »Wiadomo-

1 porannych«. Mężczyzna pijący piwo odstawił szklankę. Nie wy-

2 się morderstwa - powtórzył w myślach. Jeszcze jedno? - spytała kelnerka.

To wszystko zmienia - powiedział człowiek pijący piwo. Dewitt okazał plakietkę policyjną przy bramie wjazdowej z Carmel do Pebble Beach, żeby uniknąć pięcio-dolarowej opłaty pobieranej od turystów za przejazd trasą widokową wokół półwyspu. Detektyw doskonale się orientował w labiryncie krętych dróg wijących się pośród przeszklonych domostw, powstałych w wyniku współdziałania świetnie zachowanej przyrody z osiągnięciami techniki budowlanej. Siedziby warte miliony dolarów były ukryte w lasach cedrowych, wśród dzikich traw i krzewów, otoczone aksamitną zielenią pól golfowych, obwiedzione poszarpaną, nieregularną linią brzegową wiecznie niespokojnego Pacyfiku. Dewitt nie mógł się nadziwić, skąd ludzie mają takie pieniądze. Pejzaż bogactwa i przywilejów roztaczał się wokół, wprawiając go w zawstydzenie. Nawet z pomocą związku ledwie mu starczało na podstawowe potrzeby. Jego córka Anna po wypadku przebywała w Szpitalu Miejskim, gdzie ułożona w pozycji płodu i podłączona do aparatury podtrzymującej procesy życiowe, niknęła w oczach. Skutek tego był taki, że nikt nie widział też w oczach oszczędności Dewitta.

Radzono mu, aby przeniósł córkę do tańszego szpitala publicznego, i kilkakrotnie się nad tym zastanawiał. Ponieważ jednak do najbliższego takiego szpitala musiałby jechać dwie godziny, porzucił tę myśl, uważając że codzienny kontakt z rodziną może pomóc Annie, choć jak dotąd w jej stanie nie nastąpiła najmniejsza zmiana. Lekarze, urzędnicy, a także duchowni, na różne sposoby próbowali przemówić mu do rozsądku, Dewitt jednak nie rozstawał się z nadzieją. Nadzieja trzymała go przy życiu przez ostatnich pięć miesięcy.

trętna myśl o pieniądzach wciąż wracała, jakby w jego głowie xłtwarzał w kółko tę samą taśmę: opadająca spirala depresji, tak nie znosił. Żeby pokonać samotność - żeby przetrwać - bował optymizmu i nadziei. Mnóstwo krzepiących frazesów) się w jego umyśle i starał się wierzyć, że musi jechać przez las, dząc drzew. Wyczuwając nastrój swojego pana, Rusty wychylił się ;go siedzenia i przejechał różowym jęzorem od kołnierza do ucha ta. Ten sięgnął ręką za siebie i podrapał psa. Na widok bigla mego do drucianej prowadnicy, Rusty rzucił się do bocznego z głośnym ujadaniem. Zawsze lubił mieć do czynienia z bezbron-przeciwnikiem. Dewitt próbując przekrzyczeć tę kakofonię, za-ił się na podjeździe wychodzącego na ocean domostwa Priscilli iton.

sjście osłaniało zadaszenie z drewna sekwoi zawieszzone na kolumnach-toloru orzecha - o kwadratowym przekroju - wznoszących się na oś sześciu metrów. Przeszkłone ściany pozwalały Dewittowi bez kódk spoglądać poprzez budynek na rozpościerający się za nim any, szarobłękitny ocean. Przy dwuskrzydłowych dębowych ich wisiał ogromny dzwon mosiężny w kunsztownej orientalnej Dewitt zamachnął się ramieniem i dzwon zabrzmiał donośnym ciem. Wtedy detektyw zauważył po lewej oświetlony dzwonek ntował się, że dzwon był rodzajem zmyślnego urządzenia uruchamia->rzez wiatr, jakie ustawiano w zamiejskich posiadłościach. Kupiony ne u Neimana-Marcusa.

ni Laughton była osobą tuż po trzydziestce, ubraną jak lalka, co :y jej pokroju zwykle świetnie potrafią. Bezbłędnie zrobiona twarz, a zapewne efektem dwugodzinnych zabiegów kosmetycznych, har-;ująca z ciałem Jane Fondy. Przedramię obwieszona srebrnymi aletkami. Opaleniżna dwustuwatowa, gdy wziąć pod uwagę obecną ię i porę roku. Fryzura lwicy. Wąska, prowokująca szczelina między nimi zębami śnieżnej białości. Różowy błyszczak na ustach, blado-oczy, starannie dobrany makijaż eksponujący kości policzkowe, :, patynowane kolczyki lekko kołyszące się, gdy mówiła: Więc to pan jest tym detektywem. Pan Dewitt... Pani Laughton? Priscilla.

:stem zaprosiła go do środka. Rozejrzał się z nabożnym podziwem, ; się nieswojo, jakby znalazł się w muzeum. Skąd właściwie mogły tdić takie pieniądze? Foyer z szarego granitu wiodło do położonego ialonu z wyściełanymi meblami pokrytymi specjalnie zaprojektowaną lą. Wszędzie kolorowe, świeże kwiaty o zabójczo intensywnej woni. poziomowa budowla rozciągała się ku rozległemu, zadbanemu trawki, schodzącemu fantazyjnie do Pacyfiku, który leżał u stóp posiadło-: wycieraczka. Detektyw zagłębił się w łososiowej kanapie. Nerwowo obracał w palcach związaną czerwoną kokardą kraciastą torebkę, pachnącą jak las sosnowy na wiosnę.

- Rozmawiałem z ludźmi pani ciotki - zaczął.

- Wiem. Zidentyfikowałam Johna wczoraj wieczorem. - Umilkła na chwilę. - Nigdy przedtem nie byłam w kostnicy.

- To bardzo przykre doświadczenie. Żałuję, że musiała pani przez to przejść. - Zamilkł, a gdy podniosła na niego oczy ciągnął dalej. - Mam nadzieję, że zdaje

sobie pani sprawę, jak trudno jest osiągnąć postępy w takim śledztwie jak to. Nie zetknąwszy się nigdy osobiście z ofiarą...

- Ofiarą?

- Zmarłym - poprawił się Dewitt. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Każdy dowód, który odkrywamy, powie detektywowi znacznie więcej, gdy będzie znał osobowość, wzorce zachowania, zwyczajnie zmarłego. Powinno się uszanować prywatność śmierci. Niestety samobójstwo -niewczesna śmierć w niejasnych okolicznościach - na to nie pozwala. My, wykonujący czynności śledcze, kręcimy się z woreczkami z folii i dziwną aparaturą, grzebiąc w ludzkiej prywatności. Doświadczyłem tego także z tej drugiej strony i wiem, jakie to nieprzyjemne. Ale taka jest nasza praca - polega na zdobywaniu informacji: im więcej ich zdobędziemy, tym szybciej zakończymy całą sprawę. Mówię pani o tym, gdyż współpracownicy pani Osbourne zdają się tego nie rozumieć. Chyba zależy im po prostu na odsunięciu jej od śledztwa. Mówię na podstawie osobistego doświadczenia i mam nadzieję, że pani przekaże jej moje słowa, że im chętniej rodzina współpracuje z nami, tym szybciej zamyka się dochodzenie i uznaje sprawę za zakończoną. A pani wolałaby uniknąć rozgłosu - dodał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Milcząc bawiła się bransoletkami.

- Pomogę, w czym zdołam - odrzekła po chwili.

Dewitt otworzył notatnik do stenografowania i przejrzał przygotowaną uprzednio listę pytań.

- Bliscy - zwłaszcza rodzina - mają pokusę koloryzować przeszłość zmarłego. Nikomu to nie pomoże. Już za późno na stworzenie właściwej wizji Johna Osbourne'a - dorzucił.

Założyła nogę na nogę, nadal idealnie wyprostowana.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy, detektywie.

- Chyba najlepiej będzie, gdy zacznę od pytania, czy nie wie pani, dlaczego John Osbourne znalazł się w tych okolicach.

Zastanawiała się przez chwilę, co rozczarowało Dewitta, bo gdy ludzie za długo myślą, na ogół redagują swe wypowiedzi.

- Mogłabym powiedzieć, że było mu po drodze, to całkiem sensowne, prawda? Ale prosił pan o szczerą, więc szczerze oświadczam: nie mam pojęcia.

- Utrzymywała pani z Johnem bliskie stosunki?

Bliższe niż reszta rodziny, to znaczy czasem rozmawialiśmy ze sobą. arną owcą, detektywie. Porozumiewał się z matką za moim pośrednictwem. Byli skłóceni. Nie mówili ze sobą od... teraz to już chyba będzie at.

\absolutnie nic nie przychodzi pani na myśl? kręciła głową. \ co pani przypuszcza?

Lubił tę okolicę. Domyślałam się, że jechał do hrabstwa Orange albo id wracał.

3 ile nam wiadomo, był menedżerem w przemyśle rozrywkowym. To naczało, że ktoś musiał opłacać jego podróże, tymczasem nie liśmy rachunków ani przy nim, ani w jego rzeczach. Nie dziwi to pani? Przykro mi, ale nie byłam wprowadzona w jego sprawy finansowe. \le był menedżerem? To się zgadza?

Fylko w najszerszym znaczeniu tego pojęcia. Reprezentował prze-ozrywkowy Sacramento. Głównie kompozytorów rockowych. Refo-rzepisów podatkowych, praktyka rozliczeń, prawa autorskie - tym nował. No i ubezpieczenia. Warunki ubezpieczenia wielkich koncer-I teraz bardzo niekorzystne, więc szukał jakichś sposobów, by jnać z agencji ubezpieczeniowych jak najwięcej. Me nie angażował się w to zbyt?

Hhyba nie. John sam próbował kariery muzycznej. To go pociągało, wydaniu Los Angeles lub Hollywood, a nie prowincjonalnego aento. Lubił się pokazywać w otoczeniu sław, przesiadywać na i nagraniowych, kręcić się za kulisami na koncertach. Jego ambicją ależenie do tego światka. Do tego by mi pasowały narkotyki.

mieniec, który wystąpił na jej dekolcie, wpełził rozkosznie na szyję po)kach. Rumieniec jest bezcennym narzędziem śledczym. Dewitt nie ł zbyt na detektorze kłamstwa, wierzył natomiast, że rumieniec > zawodzi.

Wiele się mogło zmienić - odpowiedziała wymijająco. Zadzwoniłem do policji w Los Angeles. Nie zaskoczyło pani, że iko pani kuzyna figuruje na niektórych listach wydziału narkoty-Tak, proszę pani, jednak narkotyki. Nigdy nie wytoczono mu f, Nie był aresztowany. Ale mają go na listach. Zdaje sobie pani 5, co to oznacza? skał. Kolor oceanu zmieniał się powoli jak skóra kameleona; gdy /w zmrzył oczy, odniósł wrażenie, że ogląda z góry wierzchołki niezmierzonej puszczy.

ii Laughton milczała. Usadowiła się jak modelka pozująca do tu, w pełni świadoma własnych walorów.

ednym z haseł tegorocznej kampanii Jessie Osbourne jest zaost-ustawy o narkotykach, prawda?

- Jessie zawsze zwalczała uliczny handel narkotykami, tak jest i teraz. Zabrzmiało to jak wypowiedź na konferencji prasowej.

- Czy John był typem samobójcy?

- Nie. W pierwszym odruchu powiedziałabym, że nie, z pewnością nie był. Ale w końcu, jak rozpoznać typ samobójcy? Często nie wiemy, póki tego nie zrobi, prawda? John żył w sztucznym świecie. Przemysł muzyczny jest... niepodobny do żadnego innego. W pewnym sensie John istotnie był typem maniakalno-depresyjnym. W ciągu ostatnich kilku lat nikomu nie udało się z nim zbliżyć. Nawet mnie, a przecież kiedyś byliśmy prawie jak rodzeństwo.

- Pieniądze?

- Przekleństwo losu ciążyące na nim, jak mi się zdaje. Praprzyczyna jego odsunięcia się od Jessie...

- Taka rodzina jak Osbourne'owie... Chciałem powiedzieć, że należą do historii Kalifornii... Istnieje majątek rodzinny, prawda? - spytał, rozglądając się po pokoju.

Zaśmiała się z wystudiowaną pewnością siebie, której - jak zapewne sądziła - należało po niej oczekiwać.

- Oczywiście. To, co tu widać, jest jednak owocem pracy doskonałego agenta rozwodowego. - Takie kobiety jak Priscilla Laughton nigdy nie używały określenia adwokat. - Mój mąż był ceniony na tym polu. - Jej wymowa wskazywała na pochodzenie z Bostonu. - Nadal jest, prawdę mówiąc. - Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z każdej chwili swojego życia, z każdego swojego centa.

- Czy Johna odcięto od pieniędzy?

- John nie był już na utrzymaniu rodziny.

Działała mu na nerwy. Miał wrażenie, że recytuje przygotowany tekst. Chwilami Dewitt ulegał złudzeniu, że pani Laughton odczytuje odpowiedzi z tablicy wyświetlonej gdzieś nad jego głową.

- Nie znaleźliśmy żadnego listu - rzekł. - To mnie niepokoi. Nie wie pani, gdzie John się zatrzymywał, gdy bywał w tych okolicach? Czy czasem nocował tutaj u pani?

- Nie, tutaj nie. Jakiś czas temu zadzwonił do mnie. Z Wybrzeża. Chciał się spotkać. Pojechałam tam, ale żeby pan zobaczył ten lokal, gdzie się ze mną umówił! Proszę mi wierzyć, nawet nie wysiadłam z samochodu.

- Jakiś bar?

- Speluna! Wprost przerażająca. Bezguście. Jacyś okropni motocykliści.

- Pamięta pani nazwę lokalu?

- Nazwę? - zachichotała. - Żartuje pan chyba!

- To było...?

- Pyta pan, kiedy dokładnie? Boże drogi, rok temu, czy coś koło tego.

- Miał przyjaciół w tych stronach?

- Nikogo, kogo bym znała.

Ue czasem bywał w tej okolicy?

fak sądzę. I jeśli miał podobne upodobania względem moteli co , to wolę nie wiedzieć, gdzie się zatrzymywał. - Spojrzała badawczo yitta. - Chyba się pan rozczarował, detektywie.

Vidzi pani, mamy tu zatrzesienie różnych moteli. Gdyby było no, w którym się zatrzymał, można by poszukać listu. Może byśmy zcze odkryli.

witt przeglądał notatki, zastanawiając się, czy ze strony Priscilli ton można liczyć na coś jeszcze poza słodkim zapachem perfum jnymi spojrzeniami.

i^nie by nie zawiadamiał - powiedziała.

^zy mogę mówić szczerze? - spytał.

'roszę - pochyliła się ku niemu z nagłym zainteresowaniem.

Vcześnie czy później będę musiał porozmawiać z Jessie Osbourne. dniej będzie do tego doprowadzić, tym bardziej sprawa będzie się i prasa zdąży się jej ucześcić... Chcielibyśmy wszystko zatuszować - - już o tym zresztą mówiłem. Szczerze mówiąc, uniki pani rne są dość zaskakujące. Gdyby szło o moje dziecko, to chciałbym z każdym, kto prowadziłby dochodzenie w jego sprawie. Jniki, to zbyt mocno powiedziane, detektywie. Drogi

Jessie i Johna y się już dawno.

Świadomie użyłem tego słowa - odrzekł. Czy tutaj nigdy nie lużą goście czegoś do picia? - Sądzę, że to już wszystko. "zy mogę o coś spytać? - odezwała się. vitt skinął głową.

Chodzi o pewnego policjanta, detektywa... ktoś o nim mówił na iu w zeszły weekend. Zdaje się zresztą, że tak naprawdę... on już nie icjantem, ale kiedyś był, i moi przyjaciele chcieliby zlecić mu pewną powiedzmy, rodzaj ekspertyzy w sprawach ochrony. Żeby stwierdzenie zabezpieczenia są potrzebne w ich domu. Nie chodzi o pracę nego detektywa, ale o rodzaj porady. I tak sobie pomyślałam, że an go zna i mógłby coś o nim powiedzieć.

lógłbym, jeśli on jest stąd - po raz pierwszy wyczuł niepewność osie. Coś zmyślała. - Jak on się nazywa? - spytał, [oward Lumbrowski.

vitt prychnął z odrazą i popatrzył w okno. Szarozielone fale zwijały eustannym ruchu. Maleńki stateczek przesuwiał się po widnokregu, an go zna - stwierdziła. oinformowano panią o tym? - spytał ironicznym tonem. Fie. Jak rozumiem, pan by go nie polecał. fie jestem odpowiednim informatorem.

Jeż tak. Proszę, to dla mnie ważne. Nie chciałabym, żeby przyjacielona złego wyboru. Jej wydał się całkiem do rzeczy, o sprawa osobista. Po prostu mnie nie należy o niego pytać.

- Gdyby pan coś doradził...

- To sprawa osobista!- powtórzył szorstko, pochylając się do przodu i próbując się wyzwolić z objęć pluszowej kanapy, która jakoś nieprzyjemnie zaczynała go wsysać. - Czym pani karmi to bydłę? - spytał.

- Czy jeszcze kogoś będzie pan przesłuchiwał? - zapytała rzeczowo, wstając z fotela.

- Co takiego?

Nie do uwierzenia. Wróciły jego własne słowa: śmierć powinna być sprawą prywatną. Jego nazwisko i historia jego rodziny miesiącami przewijały się przez szpalty gazet. Pani Laughton z pewnością śledziła bieżące wydarzenia. Kilka tygodni temu, w końcu września, był pewnie głównym tematem rozmów na wszystkich przyjęciach.

- Wpadnie pan kiedyś? Prywatnie...

Gdyby nie był w Kalifornii, poczułby się zaskoczony. Mieszkał w tym stanie od prawie piętnastu lat, a przecież wciąż jeszcze nie przywykł do tego rodzaju agresywnej seksualności, do tej filozofii otwartej książki, tego „odłóż wszystko na bok i kieruj się uczuciem”. Pasta do zębów z avocado i rozchylone kołnierzyki wciąż jeszcze go drażniły.

- Czy wie pani, jak my, policjanci, nazywamy Carmel? Spojrzała pytająco.

- Disneyland bez kolejek.

- Ach tak. A Pebble Beach?

- Sam trafię do wyjścia - rzekł, a po kilku krokach w stronę gigantycznych drzwi frontowych dorzucił: - Przynajmniej tak mi się zdaje.

- Proszę zadzwonić, gdyby pan mnie kiedyś potrzebował, detektywie.

• • •

Wieczorem, gdy Emmy siedziała w domu i usiłowała odrobić lekcje, nie przerywając maratonu telefonicznego, Dewitt dotarł do Szpitala Miejskiego już po godzinach odwiedzin. Nie przejmował się tym, gdyż miał opracowaną specjalną strategię na takie okazje. Podjechał pod szpital od tyłu, kierując się strzałkami dla pojazdów dostawczych. Zatrzymał samochód w zatoce, gdzie rozładowywano furgonetki. Wsiadł i skierował się do otwartych drzwi przy kuchni. Przeszedł szybko tylnym korytarzem, mijając pomieszczenia magazynowe, pokój dla personelu - o tej porze pusty -i dział gospodarczy. Wmawiał sobie, że pielęgniarki i strażnicy nie zdają sobie sprawy, że wśliznął się po godzinach, pomimo że już wielokrotnie przyłapywano go śpiącego w fotelu przy łóżku córki.

Uchylił drzwi przeciwpożarowe, zlustrował uważnym wzrokiem korytarz prowadzący do pokoi pacjentów i jednym susem dopadł pokoju 114. W środku olśniło go niesamowite migotanie i błyski miriady aparatów podtrzymujących procesy fizjologiczne. Upchnął ręcznik w szparze pod drzwiami, po czym zapalił górne światło.

(gromne łóżko z nierdzewnej stali przypominało diabelski młyn cający się wolniutko zgodnie ze wskazówkami zegara. Miało tylko biegać odleżynom. Jednak uwięziona w tym dziwacznym urządzeniu czynka przestawała być dzieckiem -

istniała już tylko jako część ycznej maszynerii. Leżała przymocowana pasami, uwięziona za siatką, ięta jak zwiędły, spopielały liść. Emmy nazwała to urządzenie klatką dórki.

'okój, wypełniony pełnym dysonansów brzęczeniem urządzeń, robił :enie futurystycznego laboratorium badawczego, a nie pomieszczenia icago uzdrowić jego małą córeczkę. Dewitt nie chciał o tym myśleć, iał zaakceptować ten stan rzeczy. jodziny życia Anny były pożyczzone od tej aparatury. Początkowo Ldzano przeniesienie jej gdzie indziej. Teraz podsuwano jeszcze jedną liwość, która dla Jamesa Dewitta była nie do pomyślenia, mianowicie: iaęgnąć wtyczkę z kontaktu. Za pomocą odpowiednich przycisków obrócił łożko, tak żeby Anna ła poziomo. Rozwiązał siatkę zabezpieczającą i delikatnie dotknął idnej twarzy dziewczynki. Z szuflady przy łożku wyjął szczotkę z różo-o plastyku, opuścił stalowy pręt i usiadł obok córki. Wyszczotkował ystko, co zostało z bujnej czupryny, czyli kilka nędznych pasemek, re układały się pod wpływem jego wysiłków. Pochylił się nisko nad .cą i zaczął łagodnie przemawiać. Wierzył w relacje pacjentów wyleczo-h ze śpiączki, którzy twierdzili, że słyszeli i rozumieli rozmowy toczone y nich, gdy uważano ich za nieprzytomnych. Uznał więc te jednostronne mowy z córką za rodzaj terapii.

- Tęskniłem za tobą ostatniego wieczoru, kochanie. Przepraszam cię. wadzę teraz śledztwo, i zajęło mi to dużo czasu. Moja praca jest teraz leńnie inna. Naprawdę czuję się jak policjant. Dziś byłem w pięknym nu w Pebble Beach. Na pewno by ci się podobał. Widok na ocean i cała sta. Dom jest tak ogromny, że ma własny kod pocztowy. A kiedy echodzisz do drugiego pokoju, musisz przestawiać zegarek na inny czas. Zerknął, czy na ustach Anny nie pojawi się cień uśmiechu. Nic.

- Wieloryby się nie pokazały, ale kiedy zobaczyłem statek, przypo-iały mi się wszystkie nasze wyprawy... Jak się już obudzisz, kochanie,)w razem popłyniemy. Zobaczysz.

Przez chwilę w milczeniu czesał jej włosy. Grymas bólu wykrzywił mu irz, gardło miał ściśnięte.

- Prawie nic nowego się nie zdarzyło od poniedziałku - odezwał się awu. - Rusty upolował ptaka, a przynajmniej przywłókljnego szczatki do nych drzwi. Emmy tęskni za tobą i cię pozdrawia. Spędza tyle czasu przy efonie, że jeszcze trochę i będzie trzeba chirurga, żeby amputował arat.

Wyprostował się i wpatrzył w jej zabiedzoną twarzyczkę, odruchowo wyskubując cienkie włosy ze szczotki, którą odłożył potem do szuflady. Przetarł okulary i wziął swoje papiery na kolana.

Tej nocy nie będzie płakał. Wypłakał już wszystkie łzy. Lubił wypełniać tu swoje formularze, cieszyła go obecność córki, pomimo jej stanu, jej uzależnienia od tej maszynerii. Papierkowa robota zdawała się nie mieć końca. Dzisiejsza była przeznaczona dla Departamentu Sprawiedliwości Stanu Kalifornia. Płeć męska, typ kaukaski: przekreślił ołówkiem dwa okienka. Przed sobą miał zaledwie 138 pytań.

3 -

.

3

Czwartek

Wczesnym rankiem w czwartek, pod- is golenia, Dewitt wzdrygnął się na przeraźliwy dźwięk telefonu. Złe :eczucie ścisnęło mu serce i pomyślał, że lekarze z podobnym niepo-jem muszą reagować na każdy nieoczekiwany telefon. Stanęła mu oczach wizja szarej, matowej skóry Osbourne'a rozciągniętego na adniku.

Jeszcze jeden dzwonek i Emmy podniesie słuchawkę. Spała jak zwykle rdzo mocno i jej sen można było porównać do zimowego snu nie-wiedzia, ale z aparatem ustawionym przy samej poduszce, nawet Emmy udzi się po jeszcze kilku takich dzwonekch.

Dla Emmy była to ciężka noc. Wciąż budziła się z krzykiem i płaczem, ześladował ją koszmar. Dewitt spędził przy niej prawie całą noc, symajac ją za rękę i patrząc na nią z troską. Gdyby koszmar był urojony, twiej byłoby się z nim uporać, niestety Emmy wciąż przeżywała praw-iwe zdarzenia. Wracały w jej snach, a on nie umiał jej pomóc. Dewitt wieszał się myślą, że miała już za sobą okres paru miesięcy, który eksperci I ludzkich dusz uznali za najcięższy. Teraz pozostało jeszcze tylko kilka oków do przodu, z których największym będzie przekonanie Emmy, by rozstała się z prochami matki. Ceramiczna urna na biurku Emmy yjawiła się jako symbol jej wspomnień, wciąż żywej przeszłości. A ojciec

cięż modlił się o jej przyszłość.

Jednorazowa maszynka ześliznęła się do umywalki i pływała wśród ysepek kremu do golenia spiętrzonych na kształt gór lodowych. Pod-asząc słuchawkę detektyw zerknął na budzik, który wskazywał 6:30.

- ZZ na Del Mar - powiedziała uroczyście Ginny, tonem ostrożnym, prawie przepaszającym. - Słyszysz mnie, James? - upewniła się, gdy przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

- Kto ma tam służbę?

- Nelson. Mówi, że niczego nie tknął. Zdaje się, że wzięli sobie do serca twoją pogadankę.

To właśnie była cała Ginny: wiedziała, jak podtrzymać na duchu, gdy najbardziej tego potrzebujesz. Przy okazji środowych odpraw Dewitt prowadził szkolenie odświeżające wiedzę o zasadach postępowania pierwszego funkcjonariusza na miejscu przestępstwa. Ginny jednak przesadnie oceniła skuteczność tych zajęć: Nelson po prostu był najlepszym mundurowym policjantem w oddziale.

- Samobójstwo?

- Zgadłeś, skarbie. Wolałabym przekazać ci wiadomość, że wygrałeś w lotto, ale nie mam wyboru.

- Kogo zawiadomiono?

- Ty jesteś pierwszy. Mam przed sobą listę. Chcesz, żebym obudziła komendanta?

- Cappa? Chyba powinnaś. I zadzwoń do Hindy'ego. Zreferuj mu sprawę i powiedz, że już tam jadę. - Wynikałoby z tego, że ktoś powinien się dzisiaj zaopiekować Em. - Zadzwoń do Zorra... do doktora Emmanuela, będzie mi tam potrzebny, i jeszcze obudź Briana Marney'a i każ mu przysłać eksperta kryminalistycznego. Chcę, żeby tym razem nasze działania były pod każdym względem prawidłowe. Warto by zadzwonić do biura prokuratora okręgowego. Może też będą chcieli kogoś przysłać. Musimy ściągnąć więcej radiowozów. Sprawdź, kogo da się przywołać. Tylko przez telefon. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek używał radia. Nie będziemy urządzić tam zoo. Zamykamy Ocean Avenue od góry. Scenie Drive też.

- Drewniane zapory?

- Właśnie.

- Zrobione.

Skończyli rozmowę. Dewitt obrócił się i popatrzył na Rusty'ego, który wyciągnięty jak długi spał przy drzwiach, nie mając pojęcia o bożym świecie. Ot, jak wygląda pieskie życie.

Na wpół ogolony detektyw wrzucił na siebie wczorajsze ubranie, przekonany, że zwłoki na parkingu nie należały do samobójcy. Było to z pewnością 187 - to znaczy zabójstwo.

Przyjechał na parking przy plaży, który w meldunku określono jako Del Mar.

35

Brutusie, zgaś światła radiowozu - zwrócił się do patrolowego rda Nelsona. - Nie ma sensu bez potrzeby zwracać na siebie

V-

Nelson zostawił włączone migające światło na dachu. Mała grupka 3w tłoczyła się przy wejściu na parking. W odgradzonej taśmą :e stała samotna furgonetka marki Chevrolet, biaława, ze zdezelowaną obudową skrzyni przerobionej na niskie pomieszczenie kempin-;. Silnik pracował i niebieskoszare spaliny wypełniały kabinę. Ij mężczyźni zatrzymali się tuż obok samochodu.

Sprawdziłem tętno na szyi - wyjaśnił Nelson. - Nic się nie dało ić. Skóra była zimna. Dotykałem tylko drzwi od strony kierowcy.

Zaraz go wyjmemy - powiedział Dewitt. - Niech jeszcze chwilę zostanie, póki nie zrobię kilku zdjęć.

- Stapałem ostrożnie, tak jak pan prosił. No i znów znalazłem takie 3 ślady oleju. Obrysowałem je kredą.

Wskazał zakreślony krąg na chodniku, oddalony o najwyżej pół-metra od furgonetki.

- W kształcie trójkąta?

- Wygląda dokładnie jak to, o czym mówił pan wczoraj na rawie.

Dewitt zbliżał się do kredowej linii powoli i ostrożnie, z oczami wionymi w chodnik tuż przed czubkami butów. Serce łomotało mu ersi jak po kilku filiżankach kawy; a przecież tego ranka w ogóle y nie pił. U stóp miał wyraźnie widoczny, taki sam jak poprzednio, cęt nakreślony olejem silnikowym.

3 dziwo, Dewitt nie zareagował jak ekspert kryminalistyczny - nie zebował

chromatogramów i zdjęć porównawczych, żeby mieć ność, że ten olej pochodzi z tego samego pojazdu co w przypadku ourne'a. Jego reakcja była paniką detektywa, lodowatym zimnem rniającym go od pachwin po gardło. Wzięciem na siebie ciężaru owiedzialności za jeszcze jedno stracone życie. Kolejna ofiara, jba się spieszyć. Począwszy od tej chwili, obowiązkiem Jamesa ritta jest nie dopuścić, by to samo zdarzyło się jeszcze raz. Odpowiedzialność przytłaczała go. Gdzieś w pobliżu był zabójca -achowany zbrodniarz zrzecznie maskujący swe czyny. Mężczyzna? też kobieta? Czarny? Typ kaukaski? Azjata? Latynos? W jakim tu? W jakim stanie umysłu? Dwie ofiary w ciągu trzech dni. James vitt doznał dziwnego, trudnego do nazwania uczucia przerażenia iczonego z przyływem energii wobec stojącego przed nim wy-nia. Okoliczności postawiły go na starcie wyścigu, w którym ktoś ci życie, jeśli on nie wygra. Słyszał o podobnych historiach, znał raporty śledcze. Miał nazwis-iaa końca języka: Ted Bunny, Green River... To nie może być t o, iriedział sobie, wciąż zapatrzony w olej. Zbyt starannie zaplanowa- ne. Zbyt widoczne. Boże drogi, ileż uwagi temu poświęcono. Obejrzał się na Nelsona, który przyglądał się z boku czekając na instrukcje. Uniósł rękę i dotknął swej muszki, tym razem czerwonej. Dusila go.

- Proszę sprawdzić sąsiadów - polecił.

Rusty szczechnął z tylnego siedzenia. Jego nos przesuwiał się po szybie jak pełzający ślimak. Niska mgła, niby dym z niewidzialnego ogniska, docierała do parkingu. Deszcz wisiał w powietrzu. Dewitt zdjął okulary i przecierał szkła w zamyśleniu. Z nadejściem mgły zrobiło się zimno. Detektyw zahaczył okulary za uszami, a potem skierował się do swego nieoznakowanego samochodu po ekwipunek. Była kobieta około trzydziestki, o cudownej cerze. Wyglądała jak Sigourney Weaver w roli intelektualistki. Dewitt od razu zauważył jej piękne ręce - mogłaby być pianistką. Nosiła okulary w stylu Perry Ellisa i w sam raz tyle ile trzeba szminki. Miała na sobie niebieską kurtkę nieprzemakalną zapinaną z przodu na suwak, wełniany szalik i dzinsy wydłużające jej i tak długie nogi. Robiła dobre wrażenie -błyskotliwa, sprawna fizycznie, a przy tym troszkę nieśmiała. Pamiętał ją z laboratorium; nie można jej było nie zauważyć. Dopiero teraz z wyrazu jej twarzy zorientował się, że i ona go pamięta. Przedstawili się sobie wymieniając mocny uścisk dłoni. Clare O'Daly, ekspert z Laboratorium Kryminalistycznego w Salinas. Spodobała mu się jej pewność siebie. Spytała go:

- Dlaczego to były ekspert kryminalistyczny wzywa obecnego eksperta?

- Myślę, że mógłbym sam sobie poradzić - przyznał, wyładowując jeden z jej ciężkich, czarnych worków. Odniósł wrażenie, że to ona wolałaby sobie sama poradzić. - Rzeczywiście, wożę trochę sprzętu w bagażniku.

- Jak słyszałam, pana wóz przypomina ciężarówkę laboratoryjną -przerwała mu.

- Mniejsze sprawy załatwiam osobiście. Po to zaangażowano mnie tutaj jako detektywa. Ale wiem z doświadczenia, że Bili Saffeleti, nasz gorliwy prokurator okręgowy, w poważnych sprawach lubi podział kompetencji. Wolałby, żeby robota laboratoryjna była prowadzona przez laboratorium, żeby potem nie wyjaśniać przysięgłym zawiłych powiązań kompetencyjnych.

- Przysięgłym? - spytała, rozkładając automatyczną parasolkę nad głową. - Zgłoszono nam ZZ.

- Badamy to jako możliwe 187 - sprostował.

- A nie samobójstwo?

37

- Właśnie - odrzekł zdecydowanym tonem zniechęcającym do izych pytań. - Tylko tyle mogę na razie powiedzieć. Nie chciałbym i sugerować jakiegoś określonego kierunku śledztwa. Bo mogłoby v przyszłości obrócić się przeciwko mnie.

- Saffeleti - powtórzyła. - Pan się już szykuje do procesu.

- To skutek mojej praktyki kryminalistycznej. Nawyk chronienia rodów rzeczowych. Tak łatwo ktoś może je nam wykraść: ad-caci, sądy. Nabiera się takich nawyków - patrzeć na wszystko I kątem procesu, bez względu na to, czy sprawa trafi kiedykolwiek sądu.

- Proszę mi nie prawić kazań, detektywie. Ich oczy spotkały się.

- Już nie będę - powiedział przeproszającym tonem.

- Chce pan mnie przeegzaminować, jak mi się zdaje. To nawet by dobrze zrobiło - nie pracowałam dotąd w terenie, ale bardzo proszę ie nie pouczać.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli ktoś ujawni, że kierowałem lia, że ukierunkowałem na pewne dowody, zaszkodzi to wszystkim titeresowanym. To pani

raczej powinna mówić do mnie, a nie yrotnie. To pani śledztwo, z kryminalistycznego punktu widzenia. To jej się spodobało.

- Chcę mieć chwilkę dla siebie, zanim parking zamieni się w zoo -siedziała.

- Tyle, ile pani zechce - rzekł, odsuwając się.

Nigdy by nie przypuszczał, że to tak trudno przyglądać się jej)oku, gdy przystępuje do swych zadań. Zabawne - podobnego 'Mcia. doświadczał, patrząc na Emmy wsiadającą pierwszy raz w ży- do szkolnego autobusu.

Odszedł poza obszar ogrodzony przez Nelsona. Ona tymczasem ;dziła kilka minut krążąc wokół pojazdu i fotografując.

Rusty szczeknął i Dewitt obejrzał się w samą porę, żeby zauważyć ijeżdżającą karetkę koronera i zaraz za nią srebrne BMW serii demdziesiąt.

Doktor Ricardo Emmanuel nosił okulary w grubej czarnej opraw- których soczewki powiększały mu oczy.

- Cześć, James - powiedział, po czym podali sobie ręce. Zorro, jak nazywali, wsunął shermana bez filtra między wargi, wessał policzki ;aciągnął się głęboko. Nosił czarne, poliestrowe spodnie i czarne)kasyny z gęstymi frędzlami ze skóry, a kruczoczarne włosy miał :esane do góry i mocno pokryte żelem, tak że oparłyby się wiatrowi >ile huraganu. W dłoni trzymał plastikowy kubek z kawą; papierosa brązowej bibułce wetknął głęboko między palce. Nozdrzami wypusz- czał jasnoszary dym. Zapusił cienkie jak ołówek wasy, które przyczyniły się w znacznej mierze do jego przewiska, i jak wielu chirurgów, utrzymywał dłonie w nienagannej czystości. Gdy się uśmiechnął, ukazywał lśniące, śnieżnobiałe zęby, z jedyną skazą w postaci brązowej plamy o kształcie diamentu - ślad po jego papierosach bez filtru. Zorro mówił po angielsku bez zarzutu, zachował jednak twardą wymowę cudzoziemca.

- Wierzysz w zbiegi okoliczności, James? - zapytał, wypuszczając gęsty dym nosem i ustami równocześnie.

- Nie - odrzekł Dewitt.

- Ja też nie.

Chociaż sekcje i ekspertyzy w terenie opłacano nad wyraz skromnie, trzej miejscowi chirurdzy, którzy dzielili między siebie obowiązki lekarza policyjnego, godzili się wykonywać tę pracę z poczucia obowiązku wobec społeczeństwa. Zorro mruknął coś po hiszpańsku. Dewitt nie znał tego języka.

- Lepiej nie mieć diabła za towarzysza - powiedział po angielsku. -Wolałbym, żebyś wezwał kogoś innego. Nie mam wprawy w pracy na miejscu zbrodni.

- Świetnie do nas pasujesz, Zorro. Mamy w ten sposób laboran-tkę, która stała się ekspertem kryminalistycznym - wskazał na Clare - eksperta kryminalistycznego, który stał się detektywem, i chirurga, który został lekarzem policyjnym. Witaj na pokładzie.

- Czego właściwie ode mnie chcesz? Częściej bywałeś przy czymś takim niż ja.

- W takim przypadku - wyglądającym na uduszenie się - dane medyczne są niezwykle cenne.

- Nienawidzę papierkowej roboty. To najgorsza część tego zawodu. - Emmanuel rzucił shermana i zgasił go czubkiem lśniącego mokasy.

- Dwa trupy w ciągu trzech dni. Ale kim jest ten, kto utrzymuje to tempo? - spytał Dewitt.

- Nikt nie dotykał ciała?

- Jeden z mundurowych sprawdził tętnicę szyjną. Poza nim nikt.

- Dobrze.

- Muszę wiedzieć, kiedy, jak i gdzie umarł, jeśli to w ogóle mogło się zdarzyć.

- Jak to?

- Osbourne nie miał żadnych obrażeń, tak? Ani śladu przemocy. W krwi nie wykryto żadnych leków. Tylko nieznaczne zatrucie. Więc, jeśli to istotnie 187, to jak ten facet to zrobił, prosił ofiary, żeby zechciały uprzejmie zaczekać, aż je zagazuje?

- Faktycznie ciekawe. W jaki właściwie sposób? Nie zastanowiłem się.

39

Może je urzeka. Jak ty kobiety - dodał Dewitt. orro cieszył się znacznie przesadzoną reputacją ulubieńca kobiet, rzy pomocy dwóch strażaków z załogi karetki koronera, wyniesio-iło z kabiny ciężarówki dostawczej. Zorro wyciągnął rękawice ze :j torby lekarskiej i przystąpił do badania zwłok. Tymczasem tt w takich samych rękawicach sprawdzał zawartość portfela lego. Clare O'Daly fotografowała chodnik za ciężarówką. Zacięto to Dewitta, ale wstrzymał się z

pytaniem. Uduszenie się, oceniając na pierwszy rzut oka - powiedział z. -1 znów żadnych widocznych obrażeń, badał oczy zmarłego, a potem delikatnie przesunął ręką wzdłuż ramion, uciskając je, żeby sprawdzić kości. Dochodząc do dłoni, edział:

Tu są jakieś sińce.

lewitt podszedł do niego zaciekawiony.

Przedstawiam ci Malcolma McDuffa - rzekł, przeglądając prawo ' zmarłego. iorro uklonił się niebieskawej twarzy tamtego. Mieszka w Santa Rosa. Mieszkał- poprawił Emmanuel.

Spójrz na to - dodał, wskazując wewnętrzną stronę prawej dłoni 1. - Lekki siniec, sądząc z koloru powiedziałbym, że powstał tuż i śmiercią.

ewitt rzucił się do swojego bagażnika i po kilku sekundach wrócił iema białymi torbami papierowymi i rolką taśmy klejącej. Wspól-i Emmanuelem zabezpieczyli dłonie zmarłego papierowymi tor-i - konieczny środek ostrożności, żeby zachować ewentualne ody śladowe. To odczłowieczenie zmarłego sprawiło, że detektyw ;ił myśla do innych scen zbrodni. Obaj traktowali McDuffa jak ; materiału dowodowego.

doktor uniósł ramię trupa i zaraz je delikatnie opuścił. Potem :nał szyi.

- Nie żyje od co najmniej dwóch godzin - powiedział.

- Żadnych rachunków - odezwał się Dewitt, sprawdzając portfel -3 jest gotówka.

- Nic więcej nie powiem, póki nie zdejmę z niego ubrania.

- Nie będę cię wypytywał - zgodził się Dewitt, wkładając portfel do bki, zaklejając ją i przyczepiając etykietkę z datą i numerem sprawy.

- Gdybyś spróbował, musiałbyś poszukać sobie innego lekarza >wego.

W tej chwili - było dokładnie wpół do ósmej - na ręce zmarłego rzęczał elektroniczny budzik. Dewitt i Emmanuel sięgnęli każdy do :go przegubu. Dewitt rozdarł torbę od góry, żeby się dostać do irka, który tymczasem sam ucichł.

- Czekaj... - zwrócił się do Emmanuela, wskazując paseczek białej skóry na prawym przegubie denata. - Widzisz? - zapytał.

- Linia bez opalenizny - rzekł Emmanuel - ślad po...

- Zegarku - dokończył Dewitt, trzymając zwłoki za lewą rękę. -Więc skąd ten zegarek na lewej ręce?

- Zwykle przekładam zegarek na czas operacji.

Przez chwilę Dewitt przyglądał się McDuffowi. Otyły mężczyzna, mniej więcej czterdziestopięcioletni, o siwiejących włosach.

- Jak się do niego zabierzesz, Zorro, nie tylko zabezpiecz wszystkie części garderoby, ale przejeźdź po nim laserem i poszukaj odcisków.

- Na wypadek, gdyby ktoś go ubierał.

- Właśnie. Ten ktoś mógł zostawić odcisk palca na skórze McDuffa, nie wiedząc, że mamy urządzenia, które to wykrywają.

- Laser to twoja specjalność. To sprzęt kryminalistyczny.

- To prawda.

- I tak będziesz dziś przy sekcji Osbourne'a. Jak dostaniemy dokumentację w sprawie tego faceta, załatwimy obu jednego dnia.

- Spieszę się - zażartował Dewitt. - Dziś nie mam czasu na lunch.

- Nieraz już brałeś udział w sekcjach - nalegał Emmanuel, jakby cokolwiek o tym wiedział.

- Bardzo dawno temu. Jedną z zalet pracy w kryminalistyce jest to, że kto inny pakuje ciało do worka i zabiera sprzed twoich oczu.

- Właśnie to powinienem teraz zrobić - stwierdził Emmanuel, dając znak ludziom koronera, że jest gotowy. - Do zobaczenia na lunchu - powiedział.

Clare fotografowała ciężarówkę pod różnymi kątami. Rekonstrukcja zbrodni - powtarzała sobie, czując na sobie spojrzenie Dewitta.

Jeśli to morderstwo, jak jej sugerował, to sprawca zostawił tu ciało, pomajstrował przy ciężarówce, a potem zniknął z miejsca zdarzenia. Na czworakach szukała śladów, przyglądając się wszystkiemu z nowej perspektywy, tuż nad chodnikiem. Znalazła gumę do zucia, pestki, patyczek od lodów, niedopałki, zgnieciony kapsel od piwa. Lekko zmieniła kąt widzenia i nagle zobaczyła wzór na piasku. Wyraźnie mogła odróżnić ślady opon furgonetki prowadzące na parking. Ale nie to było interesujące, lecz wąziutki, kręty ślad, który wił się z powrotem ku słupkom ustawionym przez Nelsona. Ślad opon roweru!

Trzymała aparat pod tym samym kątem, taśmę mierniczą wykorzystwała jako skalę.

Zrobiła kilka zbliżeń odcisniętego wzoru na piasku. Wiedziała, że znalezisko może się okazać niezwykle ważne dla śledztwa. Podmuchy wiatru nawiewały trawę morską na parking, nieustannie zanieczyszczając arenę zbrodni. Spieszyła się. Zrekonstruować zbrodnię. Zabójca uciekł na rowerze, który miał schowany z tyłu

41

rowki. To zabójca przyprowadził tutaj ciężarówkę. Boże drogi, ała jak to robił, jakby w głowie wyświetlał jej się film. Więc to był ireszczyk emocji, który czuje się, pracując w terenie? Parkuje rówkę, potem inscenizacja z wężem... Odtwarzała zdarzenia w myśl->k po kroku, wyobrażając sobie przypuszczalne działania mordercy, rekonstruować zbrodnię.

kleją okno pasażera, sprawdza, czy zrobił to dobrze. Jest prawie a noc. Nosi rękawice, żeby nie zostawić odcisków palców. Prze-ń na tył ciężarówki, podnosi drzwiczki do pomieszczenia z włókna nego, otwiera tylną klapę i wyciąga rower. Trzy cechy eksperta inalistycznego: dobry wzrok, wrodzona ciekawość, cierpliwość, /zięła się do starannego przeszukiwania podłogi furgonetki, za-ijac od tylnej klapy - podzieliła w myśli obszar przed sobą na [ranty i przyjrzała się uważnie każdemu z nich, wyczulona na niejsze odchylenie od normy. W połowie zaokrągłonej krawędzi j klapy rzucało się w oczy świeże zadrapanie zakończone plamką rraźnie innej barwie. Farba! W pokrywie swej skrzynki Clare ily miała różne narzędzia: pesety, nożyczki, skalpel, kombinerki, , taśmę mierniczą i dużą lupę. Najpierw obejrzała ślad farby przez potem go sfotografowała, a następnie skalpelem zeszkrobała kę na szalkę Petriego, którą oznaczyła etykietką z lokalizacją ki i własnym nazwiskiem. Kilka minut później, wspinając się do ca, odkryła ślady lekkiego smaru i wykonała te same rutynowe lości: fotografowanie, pobieranie próbki, opis.

tarał się nie wdepnąć w miejsce na chodniku, które zabezpieczyła a. Podszedł do Clare od tyłu. Jego umysł odruchowo zarejestrował lalne skojarzenie. Klęczała pochylona na podłodze furgonetki, iodę ruchu mając ograniczoną przez niski dach z włókna szklane-łoś było w tej pozie - na chwilę przypomniał sobie Julię w takiej j pozycji.

Jak idzie? - spytał.

Świetnie - odpowiedziała. - Prawdziwa ucztą kryminalistycz-dodała, starając się wydostać z furgonetki, /skazała mu obszar otoczony taśmą ochronną i wyjaśniła: Ślad roweru prowadzący prosto do lub od furgonetki. Sfotografowałam go na tle skali. Powinniśmy dostać idealny wzór opon, będziemy mieć szczęście, określimy markę roweru i może jeszcze r jego użytkownika. To - tłumaczyła dalej, wskazując szalkę ego - może nam powiedzieć, jaki to był typ roweru. V ciemnych płatkach na szkiełku rozpoznał farbę.

Znalazłam to na klapie bagażowej - pochwaliła się. - I jeszcze lę oleju, do smarowania łańcucha, tak mi się zdaje. Zrobię chromatogramy obu tych próbek. Później zbadam wnętrze kabiny, nie ma powodu, żeby tutaj się w tym grzebać, ale zauważył pan pusty otwór w tablicy? Widzi pan te druty? Stereo zostało...

- Skradzione?

- Sprawdzimyabinę w laboratorium pod kątem odcisków palców. Niech odholują stąd wóz - powiedziała zdecydowanie. Zaczęła pakować narzędzia do skrzynki. - To wprowadzie pana dziedzina, sierżancie, ale z kryminalistycznego punktu widzenia trudniej wyjaśnić to jako samobójstwo, niż jako sto osiemdziesiąt siedem. Chyba że -zastanowiła się - denat wozil rower w ciężarówce. Jeśli tak było, mógłby pan zrekonstruować kradzież po samobójstwie: złodziej zabiera stereo i rower, i odjeżdża. Taka możliwość istnieje.

- Sto osiemdziesiąt siedem? To moje słowa, czy pani?

- Dlaczego Brianowi Marney'owi przyszło do głowy mnie przydzielić tę sprawę?

- A teraz kto tu kogo egzaminuje? - spytał. - Z pewnością prowadziła pani badania w sprawie Osbourne'a.

- Brawo! Kogo miał tu przysłać, jeśli nie osobę zaznajomioną z dowodami w pierwszym przypadku? Ten wąż ogrodowy i uszczelka z PCV wyglądają bardzo podobnie, prawda? Albo taśma na szybie? Uczono nas, by nie wierzyć w zbiegi okoliczności, zgadza się pan, detektywie?

- James - poprawił Dewitt.

- Sierżancie! - Nelson podbiegł do nich. - Chyba mamy świadka -oznajmił zdyszany.

Nazywał się Antoni De Sica, z budowy

ciała przypominał Dewittowi komendanta, Karla Cappa: okrągły, tęgi i krępy. Prawie łyśy, z workami pod oczyma, ustami błyszczącymi od śliny. De Sica kipiał energią, co objawiało się przenoszeniem pokaźnego ciężaru ciała z jednej nogi na drugą.

Dewitt przedstawił się i uściśnił szeroką, twardą dłoń rozmówcy.

- Widział pan jakiś samochód w pobliżu? - zapytał.

- Tam dalej - odrzekł De Sica. - Widzi pan tamto miejsce, tam, między drzewami?

Dewitt odwrócił się i popatrzył we wskazanym kierunku. Dostrzegł tył pickupa MacDuffa. Kazał Nelsonowi przynieść z bagażnika zephyra sprzęt fotograficzny; chciał zrobić stąd ujęcie pokazujące perspektywę. Nelson oddalił się szybko.

- O której to mogło być godzinie? - spytał Dewitt.

43

JJi

fuż mówiłem - wyjaśniał mężczyzna - że co dzień rano robię kawę lnie o piątej. Zaparza się dziesięć minut. A wtedy właśnie piłem filiżankę. Musiało być koło wpół do szóstej.

[ktoś się zatrzymał?

Z. początku nic nie widziałem. Usłyszałem tylko taki głośny huk, ktoś wystrzelił z rewolweru.

witt poczuł, że serce w nim zamiera. Nieraz zdarzali się „twórczy cowie”, którzy zmyślali jakieś bajeczki, żeby mieć swój udział ztwie. Może De Sica słyszał od kogoś, że znaleźli tu zwłoki i stąd oskował, że ktoś strzelał, a teraz wymyśla swoją historyjkę. Dewitt się nie wykluczył żadnej możliwości, lecz jego chwilowy entuzjazm szybko stłumiony.

i Sica opowiadał dalej:

Dopiero wtedy spostrzegłem samochody.

O wpół do szóstej musiało być jeszcze ciemno - zwrócił mu uwagę t.

Widniej niż by się pan spodziewał. Zobaczyłem dwa samochody -

wił się zaraz - jeden samochód i tę ciężarówkę.

Widział pan któryś z pojazdów, kiedy nadjeżdżał?

Nie.

\ może przypadkiem widział pan któregoś z kierowców?

Pewnie, że widziałem. Tak jakby. Jak już powiedziałem temu

ikowi... potężny facet. Podchodził do drzwiczek ciężarówki, jak go

żyłem. Włączył latarkę... ale nic nie mogłem dojrzeć. Potem zawrócił

1 samochodem i odjechał. Drzwi zatrzasnął z takim samym hukiem. >nie głośno.

Poznał pan, jaki to był samochód?

Dwukolorowy, mogę pana zapewnić. Chyba z podnoszonym da-
zdaje się białym.

:lson wrócił z torbą ze sprzętem fotograficznym. Zrobicie mi zdjęcie? - spytał

De Sica. Nie - rzekł Dewitt, oglądając się w stronę zatoki do parkowania.

ten człowiek mógł rzeczywiście zobaczyć w półmroku?

notatniku Dewitt zapisał: „Dwukolorowy, kabriolet, potężny mę-ł”.

Chciałbym się przebrać w świeżą koszulę, gdybyście mieli mnie ;rafować - odezwał się Antoni De Sica.

I

Trochę później zaroilo się od repor-i przedstawicieli władzy różnego szczebla.

Dewitt streszczał przebieg

wydarzeń komendantowi Karłowi Cappowi, a także przedstawicielowi biura

prokuratora okręgowego i porucznikowi z biura szeryfa hrabstwa Monterey.

Capp formułował skrócony raport i starannie dobierał słowa oświadczenia, które w

zasadzie było zapowiedzią przyszłej konferencji prasowej. Odmówił podania

dokładnego terminu konferencji, a także podania przyczyny zgonu. Ostrzegł

dziennikarzy, że niestosowne spekulacje ze strony mediów mogą niepotrzebnie

spowodować przykre następstwa dla mieszkańców Carmel. Wyglądał na pewnego

siebie. Kilka minut później wysliznął się niepostrzeżenie.

Dewitt przybył do biura o jedenastej, przerzucił stos różowych karteczek z

zapiskami, po czym podzielił się podejrzeniami z zawsze pomocnym Clarence'em

Hindemanem. Do południa zdążył zadzwonić do archiwum Departamentu

Sprawiedliwości w Sacramento i zamówić akta z ostatnich pięciu lat wszystkich

przypadków śmierci z powodu uduszenia się.

Ginny w jakiś czarodziejski sposób wynalazła mu raport Ośrodka Badania Aktów
Przemocy FBI. OBAP, będący placówką Sekcji Nauk Socjologicznych FBI, utworzono

na początku lat osiemdziesiątych. Ośrodek prowadził ewidencję wszystkich brutalnych przestępstw „przeciwko bezpieczeństwu obywateli”. Gdyby zbrodnie podobne do tutejszych popełniono na terenie stanu Kalifornia, Dewitt miałby o tym informację z Sacramento. Jeśli zaś morderstwa tego rodzaju miały miejsce w innych stanach, wiedziałyby o nich FBI. Uśmiechnął się sarkastycznie na myśl, że szczerze pragnie nie znaleźć informacji, której tak gorliwie szuka: gdyby któraś z dwóch agencji potwierdziła jego podejrzenia, znaczyłyby to prawdopodobnie, że prowadzi śledztwo w sprawie seryjnych zabójstw. Zestawienie tych dwóch słów przepełniało lękiem nawet najstarszych policjantów.

Dewitt przybył do Szpitala Miejskiego wczesnym popołudniem i zajrzał do Anny. Był tam tylko chwilę, bo dwie pielęgniarki właśnie ją myły.

Potem pojechał do Pacific Grove, do Domu Pogrzebowego Maratia. Architektura tej budowli - stiuki i czerwona dachówka - była reminiscencją wpływów hiszpańskich z końca osiemnastego stulecia, kiedy to misjonarze katoliccy jako pierwsi osiedli w tych stronach. Brama z kutego żelaza zatrzasnęła się za wchodzącym. Tutejsze krzewy nawet w styczniu były w pełnym rozkwicie. Muzyka Windhama Hilla sączyła się z głośników sufitowych w sali przyjęć. Odświeżacz powietrza o zapachu dżemu malinowego niezbyt skutecznie zwalczał zjadliwy odór chemikaliów przenikający z pomieszczenia bez okien znajdującego się na tyłach budynku. Niektórzy nazywali je sklepem rzeźnika.

Tam to właśnie Dewitt zastał doktora Emmanuela siedzącego jak na grzędzie na swym wysokim stołku. Gdy doktor podniósł wzrok, jego oczy wydały się ogromne za soczewkami okularów.

45

Uzgodniłeś z żoną McDuffa sprawę identyfikacji zwłok? - spytał.

Tak, zresztą jeszcze dziś się z nią spotkam. Znáży tu dojechać ero wczesnym wieczorem.

Nie możemy go pokroić, póki nie ma pozytywnej identyfikacji - jmił Emmanuel. Tak skromnie dzisiaj? - dowcipkował Dewitt - Chcesz powiedzieć, >staniemy na lunch tylko jednego?

)ewitt odwlókl rozpoczęcie sekcji Osbourne'a. Rozpoczął od skont-vania jego ciała przenośnym laserem. Światło lasera nadawało włosom)knom fluoryzująca, zieloną barwę dobrze widoczną na tle skóry, nika, którą wprowadzono na początku lat osiemdziesiątych, była ziej precyzyjna niż poprzednio stosowana metoda silnego powiek-a. W rezultacie wykrywalność dowodów śladowych na miejscu zbro- w laboratoriach zwiększyła się znacznie, jmmanuel zgasił światło.

rzesuwając niewielką pałeczkę wzdłuż nogi Osbourne'a, Dewitt opo-ał chirurgowi historię sprzed dwóch lat, kiedy dzięki laserowi rozwią-igadkę morderstwa połączonego z gwałtem - na udzie ofiary odkryto >strzegalny dla oka ślad naturalnego tłuszczu z odcisku palca. Podob-tk włosy i włókna, odcisk palca jest widoczny w laserowym świetle jako awozielony obiekt. Te właściwości urządzenia sprawiły, że pracownicy iaru sprawiedliwości nazywali je „magiczną różdżką”.

Właśnie ten wały postępy techniczny czynił kryminalistykę dziedziną fascynującą, vitt w chwilach takich jak ta czuł się w swoim żywiole - ufny w potęgę h narzędzi i pewny siebie. Zabrał się do zbierania włosów i włókien :zionych na łydkach i torsie Osbourne'a i pakowania ich do fiolek, : Emmanuel opatrywał etykietkami. Rozczarował go brak odcisków >w, ale za to odkrył dość dużo kłaczków bawełny na łydkach, idkach i łopatkach denata. Włókna naturalne, takie jak bawełna, były o lekceważone w śledztwie, ponieważ występowały powszechnie w każ-niemal przypadku. Praktyka kryminalistyczna nauczyła jednak Dewit-f niczego nie lekceważyć: każdy dowód należało zebrać i przechować -leżnie od tego, czy kiedyś okaże się istotny dla śledztwa, linęło sporo czasu, zanim Dewitt dotarł do głowy Johna Osbourne'a cu rozmazanych odcisków, które pochodziły od palców zmarłego, ząc wiązką laserową po włosach Osbourne'a, Dewitt zwrócił się do ara: Posłałeś ubranie do laboratorium?

Tak, każdą sztukę w oddzielnej torbie, jak sobie życzyłeś. Dlaczego iz?

Znalazłeś coś?

>ewitt zanurzył ostrożnie pęsetę we włosach denata i wydłubał włókno. :ażdy profesjonalista, miał opanowane arkana swego zawodu. Podob-ik stolarz wyciąga właściwy gwóźdź ze stosu różnych gwoździ i jak rg bezbłędnie identyfikuje organ, Dewitt rozpoznawał włosy i włókna.

- Ma tego dużo we włosach po tej stronie - powiedział, oświetlając syntetyczny poskręcany strzępek. Włókno naelektryzowało się pod wpływem światła.

- Co to takiego? - spytał doktor.

- Jeśli się nie mylę, to włókna z syntetycznego dywanu. - Odłożył pałeczkę, odszedł od trupa i włączył oświetlenie. Dopiero teraz mógł zobaczyć prawdziwą barwę włókna. Uniósł je pod światło. Od razu rozpoznał ten kolor. - Bagaż Osbourne'a znaleziono upchnięty z tyłu bagażnika. Z początku nie umiałem tego wytłumaczyć. Chyba teraz już wiemy, dlaczego.

- No i dlaczego?

- Nie mógł zmieścić roweru w bagażniku - oznajmił Dewitt, zaskakując doktora, który nie znał szczegółów sprawy - wobec tego włożył tam ciało.

Dewitt nie znalazł zastępcy. Musiał

stawić się do swej ochotniczej pracy w Akwarium Zatoki Monterey za dziesięć siódma. W college'u jako główny przedmiot fakultatywny wybrał naukę o morzu, nim wciągnęła go kryminalistyka. Jak wielu innych pracowników wymiaru sprawiedliwości, nie potrafił powiedzieć, co spowodowało, że trafił do tego zawodu. Wieczory w Akwarium pozwalały mu wrócić do pasji młodości; dawały pożądane urozmaicenie.

Akwarium znajdowało się w budynku w kształcie litery U wychodzącym na ocean; kiedyś mieściła się tutaj fabryka konserw. Dewitt z ulgą stwierdził, że tego wieczoru było mało turystów. Wszedł jak zawsze bocznym wejściem dla personelu, przechodząc pod dwudziestometrową makietą w naturalnych proporcjach przedstawiającą wielorybią matkę z małym. Sufitowy system wentylacyjny warczał o wiele za głośno. Dewitt zirytował się, że jeszcze go nie naprawiono. Poszedł prosto do znajdującej się przed nim budki informatora. Nad nim stadko gipsowych orek płynęło w kierunku dużych okien. Kilkunastu gorliwych zwiedzających zniknęło, rozpraszając się po wytyczonej dla nich trasie.

Chciał pogawędzić chwilę z Cynthia Chatterman. Cynthia, rozwódka o gardłowym głosie, była aktywną członkinią zarządu, angażująca całą swą energię w działalność społeczną. Potem zajął swoje stanowisko przy Lesie Morszczynowym. Ten, na dziesięć metrów głęboki i dwadzieścia długi największy zbiornik w Akwarium zawierał 1250 metrów sześciennych wody morskiej. Umieszczono tu większość spośród pięciu tysięcy gatunków żyjących w wodzie. Dewitt znał angielską i łacińską nazwę każdego gatunku. A bardziej wyróżniającym się okazom nadał nawet przezwiska;

47

ulubieńcem był żółw Wosk. Praca tutaj polegała na pełnieniu funkcji izacej encyklopedii -pana, który „wszystko wie”. Dewitt bardzo brał e do serca swoje obowiązki.

Drzewa ciemnozielonego morszczynu poruszały się rytmicznie, zgodnie chem sztucznych fal. Rekiny, łososie i ryby z rodziny Belonidae stukały imi w szklane szybki. Dewitt wyjaśnił młodemu małżeństwu, że bogatą >ożywienie wodę z oceanu pompuje się wieczorem do zbiornika ybkością 7500 litrów na minutę. O świcie filtruje się ją z tą samą ikością w celu oczyszczenia z pożywnych zawiesin przed kolejnym an zwiedzania i dlatego jest teraz krystalicznie czysta. Przy niedużym tłoku Dewitt musiał wprawdzie wykonywać swą pracę irzerwanie, lecz nie w szalonym tempie. O wpół do ósmej obszedł ;oło łuk budynku i skierował się do kawiarenki dla publiczności, trice McDuff siedziała samotnie przy stoliku. Rozpoznał ją po czarnej ni i smutnym wyrazie oczu.

- Czy pani McDuff? - spytał dla pewności. Przygryzła dolną wargę i skinęła głową potakująco.

- Detektyw Dewitt - przedstawił się. - James. Pochyliła głowę.

Usiadł naprzeciw niej i czekał dłuższą chwilą, aż podniosła wzrok. Para / sąsiednim stoliku skarżyła się znajomym na ludzi palących w auto-ze. Jakiś sześciolatek stał przy jednym z ogromnych okien i gapił się na ietlone, skaliste baseny na zewnątrz. Zawołał: „Mamusiu, zobacz jakie lory by”. Przyglądał się właśnie parze ocierających się o siebie orek, órych jedna była ciężarna.

- Dziękuję, że zadała sobie pani trud, żeby tu przyjść - zaczął detek-. - Nie znalazłem nikogo, kto by mnie zastąpił. - W istocie wiedział, że zymała się w pobliskim hotelu.

Przejechała paznokciem po plastikowej okleinie stolika imitującej słoje svna.

- Dojazd tutaj zabrał mi sporo czasu - powiedziała. - Jednej rzeczy iałabym się od pana dowiedzieć - ciągnęła z goryczą. - Mam go lentyfikować, ale nie mogę go zabrać do domu... Czy to pan się > postarał?

- I ja, i jeszcze kilka osób, jak sądzę - przyznał.

Jej twarz ściągnęła się. Patrząc na niego niewidzącymi oczyma, gestem i zdawała się go oskarżać.

Dewitt próbował się usprawiedliwić:

- Ta zwłoka ma swoje powody: sądzymy, że pani mąż mógł paść ofiarą rderstwa. Jako dowód...

- Bogu dzięki - powiedziała, przerywając mu. - To nie samobójst-?... - zawahała się.

Zrozumiał, że nie mogła pogodzić się z myślą, że w jakiś sposób /iodła męża i popchnęła go do samobójstwa.

- Wiedziała, że to nie samobójstwo - powiedziała z widoczną ulgą.

- Muszę zadać pani kilka pytań. Skinęła głową.

- Okazuje się, że w furgonetce był kiedyś odtwarzacz magnetofonowy. Czy wie pani, kiedy go ukradziono?

- Ukradziono? To niemożliwe.

Dewitt postanowił poczekać. Wiedział, że gdy czekało się dostatecznie długo, rozmówca nieodmiennie zaczynał mówić, żeby jakoś wypełnić ciszę. Ona też się odezwała:

- Kiedy wczoraj w południe z nim rozmawiałam, nie wspominał o tym. Niemożliwe.

Mój Mac był bardzo przywiązany do swego odtwarzacza. Szalałby z wściekłości.

Ukradziono go?

- Rozmawiała pani z mężem wczoraj w południe?

- Zawsze starał się dzwonić do mnie dwa razy dziennie, jeśli tylko miał taką możliwość.

- Nie wspominał o odtwarzaczu?

- Nie, proszę pana. Dewitt notował.

- I nie zadzwonił drugi raz?

- Nie jestem pewna. Byłam u sąsiadki, która źle się czuje. Może wtedy... Ale gdyby ukradziono mu stereo, jedno panu mogę powiedzieć: natychmiast by do was zadzwonił. Trzeba przecież mieć protokół z policji dla zakładu ubezpieczeń. Dobrze o tym wiemy, bo w zeszłym roku ukradziono mu przynęty.

- Przyjechał tu w interesach? - spytał Dewitt.

- Tak. Naprawiał przekaźniki mikrofalowe - odrzekła cichym głosem.

- I zajmował się domowymi antenami satelitarnymi, prawda?

- Tak, istotnie.

- Znaleźliśmy odpowiedni sprzęt w jego ciężarówce - wyjaśnił. -A jaki był cel tego wyjazdu?

- Problemy z mikrofalami w Fort Ord. Zdaje się, że bywał w Fort Ord raz lub dwa razy w miesiącu. Mają własnych pracowników, ale Mac dawał sobie radę prawie ze wszystkim. Kiedyś sam był w wojsku...

- Fort Ord - powtórzył Dewitt.

- Tak.

- Więc zatrzymywał się gdzieś tutaj?

- To zależało od tego, dokąd miał dalej jechać. Zatrzymywał się tylko, jeśli jechał dalej na południe albo musiał zostać tutaj, w Big Sur. Jak mu się udało wszystko wcześniej skończyć, nigdzie nie nocował po drodze.

- Jeśli nocował poza domem, to gdzie? Ulubione miejsca posiłków, motele i tym podobne.

- Nie mój Mac. Co to, to nie. Mac zawsze próbował czegoś nowego. Taki już był.

No, nie mówię, że nie wracał od czasu do czasu do tych

4 - Kluczowy dowód

49

i miejsc, ale nie regularnie. Różnorodność jest przyprawą życia - iła się. - To była jego zasada.

Lozumiem.

o źle?

pvtitt wzruszył ramionami. Nie ułatwia mi to sprawy - miał ochotę zieć. Zamiast tego spytał:

lzy mąż przechowywał rachunki, prowadził notatki, coś w tym

i?

i& pewno tak.

lo konkretnie?

tfiał notes. Mniejszy niż ten pański.

•Jic takiego nie znaleźliśmy przy nim ani w jego rzeczach.

'adnego notesu? To niemożliwe. Musieliście go przeoczyć. Mac nosił sobą tutaj - rzekła, unosząc rękę do wymagowanej kieszeni na :h -jak kaznodzieja Biblię. Naprawdę porządnie prowadził zapiski.

dożę go zapomniał zabrać?

Wie, proszę pana. Gdyby nawet zapomniał, natychmiast kupiłby Trugi.

^ rachunki?

'rzymał je w portfelu. W prawej tylnej kieszeni - powiedziała I, znów spuszczaając wzrok. Odruchowo poruszyła dłoń, i Dewitt iził sobie, jak wyciąga ten portfel, stojąc przy pralce.

V portfelu nie znaleźliśmy rachunków - powiedział.

' pewnością pan się myli. To nieprawda - sprzeciwiła się. - To tnie niemożliwe. Zawsze przegląda portfel ostatniego dnia miesiąca. tiki spina gumką i je pakuje. Wiedziałabym, gdyby je wyjął - Izę mu księgowość. Powinien mieć w portfelu rachunki za benzynę z co najmniej dwóch tygodni. W tym miesiącu dużo jeździł. Musiał inóstwo rachunków.

ivitt zanotował.

Ctoś je zabrał? - spytała.

Niewykluczone - zgodził się Dewitt. Przy Osbourne też nie znaleźli ków. - Czy mąż kiedyś nie wymienił nazwiska Osbourne?

"ego, o którym pisali w gazetach? Chce pan powiedzieć, że ten, bił mojego Maca, zabił też tamtego chłopca? Czy to pan miał na >zy pani mąż miał coś wspólnego z Johnem Osbourne'em?

'amiętałabym to nazwisko - potrząsnęła głową.

ie ofiary wykonywały zawody, które zmuszały je do podróży wzdłuż :za po nadmorskich miejscowościach. Czy MacDuff handlował ykami? - zastanawiał się Dewitt.

Izy interesy mogły ich jakoś zetknąć? John Osbourne pracował myślę rozrywkowym. Czy pani mąż miał do czynienia z zarządem ji satelitarnej lub z czymś podobnym?

- Wszyscy instalatorzy mają z tym do czynienia. „Zwłaszcza niezależni przedsiębiorcy tacy jak Mac” - powie pan pewnie. Przypuszczam, że mieli szansę się spotkać z Osbourne'em, ale nie wydaje mi się, żeby do tego doszło. Zapamiętałabym to nazwisko.

Zadał jej jeszcze kilkanaście pytań, starając się określić plan pracy zmarłego i jego przyzwyczajenia. Szybko się jednak zniechęcił. Jak się okazało, „Mac” McDuff prowadził jednoosobową firmę i wciąż zmieniał swoje zwyczaje, by uczynić bardziej znośnym życie w ciągłych podróżach.

Wrócił do pytania o rachunki.

- Ze stanu ciężarówki można wnioskować, że pani mąż nie przywiązywał wielkiej wagi do porządku. Chyba zgodzi się pani ze mną?

- Mówi pan, że Mac był niechlujny. Może i był bałaganiarzem, ale zawsze wiedział, gdzie co położyć. To taki typ inteligencji. Jak mu została czysta para skarpetek w walizce, to wiedział dokładnie, gdzie je wetknął. A czy szukał pan rachunków w walizce? - spytała. - Jeśli miał ich dużo, mógł je związać gumką i włożyć do walizki. Jak mówiłam, to był pracowity miesiąc. Może te rachunki są w walizce.

- Sprawdź - odrzekł Dewitt i podziękował jej. - Jeszcze nie zaczęto badań laboratoryjnych.

- Zajrzyjcie do walizki - powtórzyła cichutko.

Beatrice McDuff błędziła gdzieś myślami, może właśnie wspominała pakowanie walizki. Dewitt wyciągnął rękę nad stolikiem i lekko ujął dłoń kobiety. Zdawało się, że nie zauważyła. Może to nie ma dla pani znaczenia, chciał jej powiedzieć, ale robimy wszystko co w naszej mocy, żeby złapać mordercę. Miał skłonność do myślenia frazesami, kiedy nie bardzo wiedział jak się zachować. Tym razem jednak powiedział:

- Ja straciłem żonę kilka miesięcy temu. Pani jest bardzo silna, jeśli to może być pocieszeniem.

Skłoniła się uprzejmie, a po jej policzkach popłynęły łzy.

Howard Lumbrowski źle się czuł. Po

incydencie ze Stevenem Millerem udowodniono mu alkoholizm i uznano go za psychicznie nie zrównoważonego - zawieszono w czynnościach, i czasowo wypłacono pensję. Miał się leczyć. Tymczasem dalej włóczył się po barach. Teraz próbował nowej metody: nie odstawiać alkoholu całkowicie, ale i nie przekraczać ustalonej dawki. Ograniczał się do czterech drinków dziennie - akurat tyle ile potrzebował, żeby się nie rozkleić. Paliło go w żołądku. Oblał się potem, a

serce zaczęło mu bić gwałtownie, jak po wstrzyknięciu dawki adrenaliny.

51

To wszystko zaczęło się od Johna Osbourne'a i koki, którą przewoził. Cóż to był za szok! Wszystko się skomplikowało. Lumbrowski zaraz zaczął prowadzić rozmowy telefoniczne, próbował nadać bieg wypadkom. Gdzieś tam komuś brakowało do rozliczenia paczki wartej kilka tysięcy - paczki, którą on przechwycił. To nie była odpowiednia chwila na kontrolowane picie, o nie. Trzeba było przemyśleć sprawę i ułożyć plan działania.

I na dodatek ten telefon od jakiegoś szpicla, jakby bez niego miał za nałóg problemów. Właśnie był po drinku i skrzywił się. Szpicle byli deprzewidywalni, jak kobiety. Facet widział go - to pewne. Należało oprowadzić do spotkania i pokazać tamtemu, z kim ma do czynienia, okierować nim. Tylko, czy to był szpicel-szantażysta, czy właściciel roreczka koki szukający swej zguby?

Dobłą stroną tego wszystkiego było to, że sytuacja zmuszała go do ichowania jasnego umysłu. To była jakaś szansa. Jakby wróciły dawne asy.

Ale ten jeden kieliszek jednak mu się należał. Była 10:30 rano, a on czuł ; jak późnym popołudniem. Nie spał od osiemnastu godzin. Lekko zechylił butelkę i z rozkoszą patrzył, jak wódka wypełnia kieliszek, iszłego wieczora nie napełnił go do końca, okazało się, że nie może znieść ;o ograniczenia i ma trudności z zasypianiem dręczony koszmarnymi :bami spalin... widokiem sinoszarej skóry... Miał zamiar pić wolno, ale nie zdołał. Gdy tylko poczuł na języku ragniony smak, jednym haustem wlał wódkę do gardła. Gdy pięć minut później zadzwonił telefon, Lumbrowski wymiotował sedesu, zaklinając los, żeby pozwolił mu utrzymać w żołądku alkohol 5cució jego błogie działanie. Najwierniejszy przyjaciel go zdradził. Nie zna liczyć na wieczną lojalność, nawet wódki.

Wstał zbolący, wytarł usta rękawem koszuli, po czym odebrał telefon. -Hę?

- Dziś rano znów cię widziałem - powiedział ten sam głos. - Nie |zys, że mógłbym ci pomóc?

- Jak? - spytał Lumbrowski.

- Wzajemnie możemy sobie pomóc. -Jak?

| No proszę, już nie odkładasz słuchawki? To bardzo uprzejmie. Chcesz czegoś ode mnie, czegoś co ja mam? Przecież już ci mówiłem - odrzekł tamten. - To ty chcesz czegoś, co

Nudzisz mnie. Odłóż słuchawkę, jak będziesz mi dalej zawracał

?•

Nie rób tego, bo pożałujesz. Pamiętaj, że cię widziałem. Tak...? Widziałeś... że co robiłem, chłoptasiu? Prawda jak cudownie jest na plaży o świcie?

Lumbrowski znów poczuł falę mdłości, wznoszącą się do gardła gwałtownie jak płomień. Upuścił słuchawkę i runął pędem do toalety. Krew rzuciła mu się ustami. Szlag by to trafił. Niczego nie można być pewnym na tym świecie.

Dewitt stał na progu szpitalnego pokoju Anny. Jak człowiek powracający po latach do rodzinnego domu, spoglądał wokół oczami obcej osoby, a osobą tą była Clare O'Daly. Przez cały wieczór wciąż wracał do niej myślą. Wyobrażał sobie, jak do niej mówi: „Chciałbym ci przedstawić moją córkę”. Czy ktoś obcy zgodziłby się uznać za jego córkę to ciało zawieszony w pozycji płodu, z cieniutkimi jak opłatek rączkami i włosami jak z cukrowej waty? To było tylko ciało, nic więcej, zamieszkująca je dusza dawno już uleciała. Nagle zdał sobie sprawę, że nie myśli już oswojej córce. Myśli o c i e l e. Doznał nagłego olśnienia: jego córka odeszła.

Wstrząśnięty zbliżył się do ciała. Uśpione dziecko przypominało mu bardziej jedną z ofiar zbrodni niż własną córkę. Pomyślał sobie, że jest określona temperatura, w której lód staje się na powrót wodą; jest dzień w kalendarzu, kiedy kończy się zima; w jednej określony minucie noc zamienia się w dzień. I tak jak lód już nie jest lodem, wiatr nie niesie chłodu, a nieba nie zasnuwają ciemności, tak i to ciało już nie jest jego córką. Zmiana w sposobie widzenia była tak radykalna, a jej akceptacja tak zaskakująca, że Dewitt najpierw zaczął się śmiać, a potem rozpłakał. Bezradnie ścisnął w dłoniach wątłą rączkę, a nieunikniona kolej rzeczy przerażała go tak samo jak nieuchwytny zabójca.

8

Prokurator okręgowy Bili Saffeleti nie

lubił się kłaniać, a już w żadnym razie nie instruktorowi gry w golfa. Zbyt wiele lat chylił czoła na prawo i lewo, aby zyskać zaufanie wyborców, wymieniał uściski, prawil pochlebstwa sędziom, wygrywał sprawy. Nie trzeba go było uczyć, na czym polega ta gra - nikt nie znał się na tym lepiej od niego. Wyskubał jakiś

kłaczek przyczepiony do rękawa garnituru z ciemnoszarej wełny, skręcił go między palcami i oderwał. Garnitur kosztował go 780 dolarów, eleganckie mokasyny - jedna cholerna para butów - 233 dolary. A tu dziś, gdy tak bardzo się spieszy - w przypływie szczodrości, czy też z poczucia winy, pozwala jakiemś bezdomnemu wyczyścić sobie buty. A ten używa przez pomyłkę jakiegoś oleju zamiast pasty i robi mu nieusuwalną plamę na samym środku lewego dużego palca. Ruina. Buty wyglądają, jakby kot na nie naszczał.

Burmistrz Manny Roth chodził wzdłuż okien swego okazałego domu w Carmel-by-the-Sea. Roth był dawniej graczem w golfa. Zyskał jednak większą sławę występując w reklamach telewizyjnych, niż wygrywając w turniejach. Z daleka można go było poznać po jego ulubionych strojach w charakterystycznych zestawach kolorów. Dziś miał na sobie ubranie w zielono-różową szkocką kratę, żółte skarpetki i czerwone skórzane buty. Był łysy, miał kaprawe oczy, twarz łasicy i uszy słonia. Istny kłown! Zdaniem Saffeletiego facet był w połowie idiotą, w połowie geniuszem. Na zebraniach rady miejskiej był absolutnie nie przekonujący. Ale wyborcy uwielbiali go za sprośne dowcipy i talent do improwizacji. Roth, który przejął biuro burmistrza Carmel po Clincie Eastwoodzie, zachowywał się tak, jakby wraz z urzędem spłynęła na niego sława wybitnego aktora.

Niedawno przebudowany dom świadczył o siedmiocyfrowych zarobkach jego lokatora w ciągu kilku ostatnich lat. Gdyby Roth panował nad swoimi wyskokami, miał szansę być pierwszym u dworu. Brakowało mu tylko żony. Próbował pięć razy - traktował żony jak podpórki - ostatnia opuściła go zaledwie dwa miesiące temu, jak plotkowano, dla działacza sportowego z Los Angeles. W rezultacie Roth, cierpiący na syndrom nierozładowanej energii, przemierzał pokój w tę i z powrotem jak ojciec czekający na szczęśliwe rozwiązanie. Potrzebował na noc płatnej profesjonalistki. Zresztą o tym także krążyło mnóstwo plotek.

- Rano się z nimi spotkam, Bili. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje - rzekł Roth.
- Nie radziłbym spotykać się osobiście. Na miłość boską, poślij Tada. Pierwszy człowiek w mieście mógłby przypilnować takiej sprawy.

- Chcę sam nad tym czuwać.

- To intensywne śledztwo policyjne. Faceci w rodzaju Hindemana i Dewitta traktują to bardzo poważnie. Co innego ktoś taki jak Capp. On est ze starej szkoły. Musisz się pilnować, Manny. Możesz im powiedzieć, jak ta sprawa wpływa na twoje interesy, ale ani słowa więcej.

- Ale co z dowodami?

- Dowody... na razie ich nie mają. Ale jeszcze dużo zostało do robienia.

- Wystarczy, żeby nazwać to morderstwem? To słowo mnie komplet-de przeraża.

Wiesz, co się zacznie dziać?

- Z tego, co mi tu pokazałeś, wynika - i nie będę cię wypytywał, skąd lasz te dokumenty - że to tylko poszlaki. Nie mają żadnych bezpośrednich dowodów, żeby wnieść sprawę, chociaż wnioski są oczywiste. Dewitt st chyba najlepszym ekspertem kryminalistycznym, jakiego w życiu jotkałem. Jak go coś ugryzie... Znam go. Wierzę w jego intuicję. Na ipierze mamy dwa samobójstwa z pewnymi dowodami koincydencyj-

nymi. Byłeś kiedyś w laboratorium Salinas? Powinieneś tam pójść. Kiedyś Dewitt znalazł ślady pyłku kwiatowego w woszczynie z ucha ofiary, masz pojęcie? Jak Boga kocham. To wystarczyło, żeby przekonać przysięgłych. Trójką oleju silnikowego może wydać się głupstwem nam obu...

- Mów wyraźnie, możesz wytoczyć sprawę czy nie?

- Manny, to nie takie proste.

- Tak czy nie?

- Nie.

- No widzisz! Więc czy to nie przedwczesne nazywać samobójstwo morderstwem na tym etapie, panie prokuratorze?

- Zabójstwem.

- Wszystko jedno.

- Nie można tego nazwać samobójstwem, chyba że masz dowody, że to samobójstwo - przypomniał Saffeleti.

- Do diabła, Bili. To jest samobójstwo, dopóki nie udowodnimy, że to morderstwo.

- Formalnie to niemożliwe. Dewitt wykazał, że poszlaki wskazują na niewyjaśnione przyczyny...

- Nie cierpię tej nazwy...

- ... co pozostawia sprawę nie rozstrzygniętą, dopóki wszystkie dowody nie

zostaną ocenione co do ich wartości dla śledztwa.

- Dopóki utrzymujemy nasze stanowisko „bez komentarzy”, siedzimy w ukryciu. Prasa może sobie spekulować co chce.

- Pytałeś mnie o zdanie, więc odpowiadam. Dewitt prowadzi to właściwie. Zachowuje cierpliwość, mimo interwencji Jessie Osbourne.

- Kto tu coś o niej mówił? - spytał urażony Roth.

- Nikt nie ma potrzeby - odrzekł Saffeleti. - Jedno ci powiem, po przyjacielsku, Manny. - Bili Saffeleti nie znosił uniżoności, to prawda, ale tak samo umiał pociągać za sznurki jak jego rozmówca. Gdyby republikanie oczyścili teren, Saffeleti mógłby wygrać w następnej turze, pozostając w cieniu Rotha. Współpraca to właściwy klucz do kariery. - Te kopie - ciągnął, przerzucając papiery sprawy Osbourne'a, leżące przed nim - są nielegalne. Nie odnotowane w rejestrze. Policja ma ustalone procedury kopiowania aktualnych dokumentów. Ta kopia jest nie notowana - powtórzył z naciskiem - więc posiadasz ją nielegalnie. Dobrze ci radzę, Manny: na twoim miejscu nie chodziłbym z tym w teczce. I to by było wszystko, co mieliśmy sobie do wyjaśnienia - powiedział wstając. - Jeśli chcesz się bawić w te klocki, to twoja sprawa. Ale ja tego pliku nie widziałem.

- Zgoda - Roth znów zaczął swoją wędrówkę. - Nie wiedziałem, jak to z tym jest. Dzięki, Bili.

- Jeszcze jedna rzecz do rozważenia. Ktokolwiek skopiował to dla ciebie, musiał mieć do tego dostęp, a to znaczy, że wiedział, jaka jest

55

policyjna procedura. I to też zasługuje na uwagę. Zostaliśmy wybrani na nasze urzędy, Manny. I bardzo łatwo ktoś może nam zaszkodzić.

- Zrozumiałem.

- Daj mi znać jutro, co się dzieje.

- Dobrze.

Podali sobie ręce. Może ten facet jest daltonistą. Może to wyjaśnia sprawę. Piątek

1

Kiedy w piątek o 7:30 odezwał się telefon, Dewitt się nie zdziwił. Czasami jego matka albo Clarence Hin-deman dzwoniли o tej porze.

- To ja, Clare - nieoczekiwanie usłyszał niepewny głos, przepraszający za poranny alarm.

Skwapliwie zapewnił, że pora jest najzupełniej stosowna.

- Pracowałam wczoraj wieczorem do późna i mam parę ciekawych wyników, a że mieszkam tu w dolinie, pomyślałam sobie, że może podrzucę ci je do domu, zamiast opowiadać przez telefon - w jej głosie wyczuł zdenerwowanie.

- Doskonale. Właśnie nastawiłem kawę - powiedział. Wytłumaczył jej, jak ma dojechać, odłożył słuchawkę i zaczął pospiesznie sprzątać pokój. Emmy patrzyła na niego podejrzliwie.

- Ubierz się - nakazał jej. - Zaraz ktoś tu przyjdzie.

Patrząc na nią, ubraną w obcisły podkoszulek, uświadomił sobie, że to już nie dziecko, lecz młoda kobieta. Przemiana fizyczna dziewczynki dokonująca się stopniowo w ciągu ostatnich dwu lat, robiła na Dewitcie wstrząsające wrażenie. Emmy do złudzenia przypominała matkę. Obecność kopii nieżyjącej Julii była dla niego zarazem bolesna i pożądana.

Sprzątał łazienkę - Emmy tymczasem kończyła poranną toaletę przy umywalce - gdy Clare zastukała do drzwi frontowych. Zderzył się z córką, usiłując opłukać ręce, ta zaś szamocząc się z nim, spytała:

- To kobieta, zgadłam?

57

Próbowała sobie jakoś wytłumaczyć jego gorączkową krzataninę. Nie ipowiadając, bezradnie rozejrzał się za rącznikiem, po czym chwycił mmy za koszulkę na plecach i wytarł o nią ręce.

- Ubierz się - powtórzył.

- Od razu wiedziałam, że to kobieta - oznajmiła dziewczynka z tri-nfem.

Dewitt rzucił jej groźne spojrzenie, ale w ostatnich miesiącach nie ywierało to pożądanego efektu. Emmy przejrzała go na wylot, co było 3Ść irytujące.

Nie stosując się do poleceń ojca, Emmy przyglądała się z holu, k otwierał drzwi.

Po wstępnej wymianie zdań przy wejściu Clare jąła wskazane miejsce na sofie i otworzyła teczkę, którą ze sobą •zyniosła.

Rusty, wymachując przyjaźnie ogonem, zbliżył się do Clare. Ob-pała go pieszczołami, po czym pies wycofał się do kuchni i zajął się roją miską.

- Zdaje mi się, że mam kilka istotnych rzeczy - zaczęła Clare -którymi powinienes się jak najszybciej zapoznać. Warto by to załatwić szcze przed weekendem. Po pierwsze, obie próbki oleju pasują do siebie:

Penzoil 1040 o jednakowej zawartości aluminium, wskazującej na lżycie silnika. Ten sam samochód parkował obok pojazdów obu ofiar. To wnie pewny ślad jak odcisk palca. Po drugie, wykryliśmy sierść zwierzę-i po wewnętrznej stronie drzwiczek w obu samochodach. Psia sierść... ieszańca collie -mówiac to, zerknęła na Rusty'ego. - Według wszystkich ożliwych testów - sprawdzono substancję rdzenna, substancję korową, włóczkę, pochwęki, masę właściwą, długość -pochodzą od tego samego a. - Znów spojrzęła na Rusty'ego.

- To nie od Rusty'ego - powiedział.

- Wolałabym jednak sprawdzić - odrzekła.

- Mówię ci przecież - zaczął się bronić - że nie tknąłem ciężarówki cDuffa. Nie ma sposobu...

- Pewnie masz rację, ale chciałabym wyeliminować tę możliwość.

- Proszę cię bardzo! - Podniósł ręce do góry. - Co mi to szkodzi! Ale pewniem cię, że tylko marnujesz czas.

Nastroszona, wyjęła kartonową teczkę i podała mu pakiet czar-•-białych fotografii.

- Dzięki temu mamy coś więcej niż poszlaki - wyjaśniła. - Każda tografia przedstawia w powiększeniu urwane końce taśmy izolacyjnej ytej do oblepienia okien samochodów. Na dolnych marginesach jest imeracja i opisy próbek. Możemy połączyć każdy kawałek taśmy kawałkiem, od którego go oderwano. Trzy kawałki taśmy na każde no... oszczędne i charakterystyczne. Pierwszy kawałek okręcono wokół szań od lewej do prawej, drugi i trzeci zalepiają powstałą szczelinę, mochody McDuffa i Osbourne'a uszczelniono w podobny sposób.

Celowo nie użyła zakazanego w kryminalistyce słowa identyczny, bo to nic nie znaczy w sądzie, nic też nie znaczy w fizycznym świecie. Nie ma dwóch rzeczy absolutnie identycznych.

- Wzorzec zachowania - stwierdził.

- Trzecia fotografia - objaśniła - to nasz koronny dowód. Możemy dopasować część trzecią taśmy Osbourne'a do części pierwszej taśmy McDuffa.

- Ta sama rolka taśmy.

- To twój niezbity dowód, James - powtórzyła. - To muszą być zabójstwa. Ten sam sprawca zalepił oba okna tą samą taśmą. Użył też węża ogrodowego podobnego w gatunku i co do stopnia zużycia... Dwa różne kawałki tego samego węża, choć nie znaleźliśmy śladów narzędzia do cięcia, które by to potwierdziły.

Sprawdziła, co ma jeszcze na liście.

- Nie mamy materiału porównawczego dla tej opony rowerowej, ale myślę, że dotrą do tego w Sacramento. Pracujemy nad tym. Pytałeś o włókna znalezione przy wczorajszej sekcji. Jeszcze nie zrobiliśmy wszystkich prób, ale wstępne oględziny wskazują, że tworzywo wplątane we włosy Osbourne'a jest takiego samego koloru i długości jak włókna wykryte na jego ubraniu, które z kolei, jak dobrze zgadłeś, rzeczywiście pochodzą z wykładziny na podłodze samochodu.

- I w bagażniku - dorzucił.

Emmy przerwała im, pytając, czy ma pojechać do szkoły autobusem, czy też ojciec ją odwiezie. Obiecał ją odwieźć. Clare zaczęła się zbierać do wyjścia. Dewitt poprosił, by została jeszcze chwilę, a Emmy wróciła do swojego pokoju.

- Co z odciskami palców? - zapytał.

- Na taśmie nic nie było. Na obu kawałkach węża też nie. Odkryliśmy mnóstwo odcisków w kabinie dzięki technice metalizacji próżniowej. Posłałam je do zbadania do Departamentu Sprawiedliwości w Sacramento. Ich system SKAD działa także w weekendy. Jak na coś trafiają, natychmiast przekażą.

W zainstalowanym w Departamencie Sprawiedliwości Systemie Komputerowej Analizy Daktyloskopijnej zakodowano około sześciu milionów odcisków. Baza danych oprócz sekcji przestępców oraz sekcji osób pełniących funkcje publiczne miała także trzecią sekcję - z odciskami palców pracowników ośrodków opiekuńczych i szpitali, prywatnych detektywów i innego personelu, który prawo stanowe nakazuje

rejestrować w ewidencji. Wyrafinowany program sztucznej inteligencji ustalał indywidualne cechy odcisku - wiry, pętlące i bruzdy - a potem wyszukiwał odciski pasujące do założonego wzorca. Komputer czasem „wypluwał” z tuzin albo i więcej możliwych odcisków, po czym specjalista przeprowadzał analizę porównawczą, by maksymalnie zawęzić obszar poszukiwań.

59

- Czy tylko zgodzą się przyjąć nasze zgłoszenie? - spytał Dewitt z obawą.
- Może mogłabym jakoś pomóc? Mógłbyś mi to powierzyć?
- Znasz Ramireza?
- Nie.
- Ja znam. Był detektywem od narkotyków, kiedy pracowałem w mieście w laboratorium. Ładnych parę lat temu.
- Chcesz sam go poszukać, czy ja mam się rozejrzeć?
- Na pewno nie masz nic przeciwko temu?
- Nie proponowałabym, gdybym nie chciała tego zrobić - powiedziała, przyjmując pewną siebie pozę.

Dewitt wybrał fotografie pasujących końców taśmy.

- Tego właśnie potrzebowałem. Dobra robota, i z pięć razy szybsza niż się spodziewałem.
- Jak już wiemy, że to zabójstwa, Brian z pewnością przydzielili nam większy zespół i nada sprawie priorytet. Szybko zrobimy resztę badań. Może nawet zgodzi się na jakieś nadgodziny w weekend.
- Oczywiście - zgodził się Dewitt - z mojej strony... Chcę mieć wszystkie dane, jak tylko czegoś się dowiesz. Analiza włókien, ślad roweru, wyniki sekcji. Dzwon do mnie do domu, gdybym już wyszedł z biura. Ja mam siedmiodniowy tydzień pracy.

Wstała i zajęła się układaniem fotografii.

- Jak się czuje człowiek po drugiej stronie... to znaczy jako detektyw? Zastanawiał się przez chwilę i odpowiedział jedynym słowem, które mu przyszło do głowy:
- Oszałamiająco.

Odgłos był podobny do strzału. Dewitt

obrócił się na swoim służbowym krześle, otworzył weneckie okno, i wyjrzał na parking na tyłach domu, używany zarówno przez radiowozy jak i nie oznakowane samochody. Nie dostrzegł jednak dymiącego rewolweru, lecz dymiącego mustanga, którego natychmiast rozpoznał po zderzaku z napisem: „Nigdy nie hamuję!”. Gdy auto skręciło w lewo, w oknie mignął profil Howarda Lumbrowskiego.

Szaroniebieski mustang z białym podnoszonym dachem przypominał Dewittowi wywiad z Antonim De Sika. Świadek opisał mu właśnie taki samochód i taki sam głośny trzask przy zamykaniu drzwi. Dewitt podniecony przerzucał kartki notesu, o mało kilku nie wrywając. Znalazł notatkę: „Dwukolorowy kabriolet? Głośny trzask. Potężny mężczyzna.” „Howard Lumbrowski?” - dopisał na czystej kartce.

60

Nie miał czasu zaprzętać sobie tym głowy. Za trzy minuty miał spotkanie.

Przybycie burmistrza Manny'ego Rotha wywołało ogólne poruszenie. Capp ubrał się w sportowy płaszcz, a Clarence zrezygnował z uprzywilejowanego miejsca za biurkiem. Stalowe krzesła były ustawione tak, jakby mieli za chwilę rozegrać turniej brydżowy, brakowało tylko stolika. Roth nerwowo zaplatał ręce na kolanach. Capp kłął się w udo swym pogryzionym ołówkiem.

- Czy to Lumbrowski był tu przed chwilą? - zapytał Dewitt.

Capp udał, że nie słyszy. Hindeman zwrócił się do Dewitta:

- Kiedy zawiadomiliśmy pana Rotha o nowych dowodach, o tej taśmie i wężu, wyraził chęć, żeby się z nami spotkać. Interesuje go, jeśli się nie mylę, ile z tego przekazujemy do prasy.

Roth odezwał się szorstko:

- Zrozumcie, ja nie próbuję was pouczać, na czym polega wasza robota.

Wstał, obszedł biurko Hindemana i zbliżył się do okna. Pociągnięciem sznura uniósł zakurzone żaluzje. Dewitt niewiele o nim wiedział, miał jednak niejasno wrażenie, że burmistrz uczył się kiedyś gry aktorskiej. Roth teatralnym gestem wskazał na ulicę za oknem

i ciągnął:

- Ale moja robota dotyczy tego wszystkiego, co jest tam... Ulic, sklepów,

galerii, restauracji i całej reszty. Jak zaczniemy rozpowiadać, że morderca chodzi sobie jakby nigdy nic po mieście, wszystkie chodniki opustoszeją w jeden wieczór. A my, panowie, żyjemy z turystów, spacerujących po tych chodnikach. Bez turystów nie ma interesów, nie ma podatków, nie ma zarobków...

- Nie ma głosów - bąknął pod nosem Dewitt.

- Słucham pana, detektywie? - Roth zrobił szybki obrót.

- Panie burmistrzu, bardzo cenię pana troskę o dobro publiczne. Musimy jednak wszelkimi dostępnymi środkami powstrzymać tego faceta. Prasa jest bardzo skutecznym narzędziem. Nie tylko ostrzeżemy ludzi, a tym samym pozyskamy tysiące oczu i uszu dla naszej sprawy, ale może uda nam się nastraszyć tego drania, żeby dwa razy pomyślał, zanim ośmieli się znów to zrobić. Prasa już rozważa możliwość...

- Może sobie rozważać - Roth przerwał Dewittowi. - Ale o ile wiem, nikt nie wystąpił jeszcze z oświadczeniem, że to morderstwo. Widzi pan różnicę? Cóż by nam szkodziło wydać oświadczenie, że śmierć nastąpiła w nie wyjaśnionych okolicznościach i śledztwo jest w toku? Unikniemy w ten sposób słowa „morderstwo”, niczego nie ukrywając przed społeczeństwem.

- Zrozum, Dewitt - warknął Capp - za żadne skarby nie możemy ujawnić naszych dowodów. Jeśli je ujawnimy, zabójca będzie wiedział,

61

;zego unikać następnym razem. Samo wydanie oświadczenia ostrzeże sukinsyna, że jesteście na jego tropie. Najlepiej dla wszystkich byłoby przez jakiś czas siedzieć cicho.

- To mogłoby się obrócić przeciwko nam, Manny - odezwał się Hindeman. - W końcu kiedyś i tak do opinii publicznej dotrze, ile wiedzieliśmy i kiedy, a jeśli nie zdołamy się uporać z tą sprawą, będą nam zarzucać, że gdybyśmy działali bardziej otwarcie, udałoby się uniknąć kolejnych ofiar.

- To, co chcemy powiedzieć - wyjaśnił Dewitt, machinalnie rysując tabelkę w notesie - on i Hindeman w jednej kratce, Capp i Roth w drugiej - to to, że jest nieprawdopodobne, by ten facet się wycofał. W takich przypadkach... zawsze jest więcej ofiar. Może by się udało tak go nastraszyć, żeby przestał. Proponuję wydać oświadczenie, że uznaliśmy oba przypadki za zabójstwa, że współdziałamy z prokuraturą okręgową i biurem szeryfa hrabstwa Monterey i że szykujemy się do głównej obławy.

Roth chodził wzdłuż okna w tę i z powrotem. Wyraz niechęci malował się na jego twarzy. Dewitt nie mógł uwierzyć, że można się tak ubierać. Spróbował sobie wyobrazić, w co Roth będzie ubrany, kiedy śmierć go zaskoczy: nie do pomyślenia, żeby człowiek umarł, mając na sobie któryś z tych kraciastych ciuchów, a już w żadnym razie wszystkie naraz.

- Pozwoli pan, detektywie, że zadam panu pytanie. Gdyby za pięć minut ktoś wszedł do tego pokoju i przyznał się do obu zbrodni, a pan dysponował tylko tymi dowodami, które ma pan teraz, to czy Bili Saffeleti miałby podstawy do wniesienia oskarżenia?

Dewitt poszukał spojrzeniem Hindemana. Pytanie było podchwytliwe.

Tylko te dowody, co teraz.

- Gdybyśmy mieli takie oświadczenie, dostalibyśmy nakaz rewizji i z pewnością odkrylibyśmy nowe dowody, więc pana pytanie to pytanie-pułapka.

- No, ale gdybyście nie odkryli nowych dowodów. Czy jakkolwiek z dowodów pozwala przypisać którąś ze zbrodni konkretnej osobie?

Usiłując się wybronić, Dewitt odpowiedział:

- Moglibyśmy znaleźć samochód, z którego wyciekł ten olej. Capp odpowiedział ostro:

- Olej na nic ci się nie przyda, bo wskazuje tylko na to, że ktoś był w pobliżu miejsc zbrodni. Nie świadczy o prawdopodobnej winie. I chyba do licha nie będziesz próbował skazać kogoś na podstawie psiej sierści - zażartował.

- Znaleźliśmy odciski palców i badamy je - przypomniał Hindeman.

- Odciski? - spytał zaskoczony Roth.

- Nic nie wskazuje na to, żeby ten, kto ukradł magnetofon, był też zabójcą - zauważył ostro Capp. - Zbadaliśmy to. Dlaczego w kabinie były tylko odciski McDuffa?

62

Dewitt poczuł, że sprawa wyslizguje mu się z rąk. Kiedy ktoś ciągnie za sznur z całej siły, czasem można zwalić go z nóg po prostu puszczając sznur.

- No tak, to jest tylko poszlaka. Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział. Dostrzegł wyraz zaskoczenia na twarzy Hindemana.

- Za mało na domniemanie winy? Istotnie, na razie za mało. W każdym śledztwie jednak jeden dowód często wskazuje na dwa lub trzy inne. Tutaj stawiamy sobie pytanie, czy podać informację do publicznej wiadomości. Jeśli o mnie chodzi, nie chcę mieć następnej ofiary na sumieniu. Jeśli pan woli to inaczej rozegrać - zwrócił się do Manny'ego Rotha - to będzie to pańska decyzja. Pan bierze na swoją głowę następne zabójstwo, nie ja. Proszę pamiętać, że naszym głównym obowiązkiem nie jest schwywanie zabójcy.

Rott spojrział na Dewitta pytająco. Ten potwierdził:

- Przede wszystkim mamy go powstrzymać. Chcę, żeby ten drań wiedział, że na niego czatujemy. Żeby się obejrzał przez ramię.

- Zwołam konferencję prasową - rzekł Hindeman, w oczywisty sposób zgadzając się z Dewittem.

- Rany boskie! - zawołał Roth - to nam się zaczyna wyslizgiwać z rąk.

- Zaczyna? - spytał Dewitt.

Przeprosił ich i w pośpiechu opuścił pokój.

Lumbrowski wrócił do siebie kilka

minut po czwartej, zniechęcony zmarnowanym, jak mu się zdawało, dniem.

Mieszkanie cuchnęło gorzej niż pusta parcela w sąsiedztwie. Zdezcelowane łóżko i stół stanowiły jedyne umeblowanie, nie licząc skrzynki po mleku, na której stał czarno-biały telewizor z ekranem wielkości maszyny do tostów. Dawniej było tam jeszcze krzesło z plecionym oparciem, ale kiedy oparcie się przetarło, Lumbrowski wystawił na drabinkę przeciwpożarową za oknem ten bezużyteczny sprzęt, który tkwił tam do tej pory.

Sprawy nie układały się najlepiej. Za wszelką cenę należało wyśledzić, kto krył się za znaną paczuszką koki, póki ta paczuszka nie stanie się głównym dowodem w śledztwie. To była sprawa życia i śmierci.

W telefonie odzywającym się zawsze we właściwej chwili było coś, co budziło w Lumbrowskim policyjną nieufność w zbiegi okoliczności. Po siedemnastu latach służby człowiek ma wyrobiony instynkt. Z pewnością ktoś go śledził. Może za nim chodził.

63

Mógłby nie podnosić słuchawki, niech sobie tamten dzwoni do upadłego, zawsze jednak w końcu odbierał telefon. W tym zawodzie należało wykorzystać każdego, kto mógł się na coś przydać. Chodziło o jedno - o wykonanie roboty. Próbował przez jakiś czas pracować inaczej - to trwało może parę miesięcy - w innym miejscu, daleko stąd, gdy był jeszcze początkującym patrolowym. Z biegiem lat nauczył się jednak, jak najłatwiej osiągnąć sukces w tym fachu. Jeśli damy na to zatrzymujesz dziwkę czwarty raz z rzędu, i oboje wiecie, że posiedzi sobie jak ją spiszesz, to dajesz jej wybór: albo będzie grzeczna i odda ci małą przysługę, albo zawieszysz ją w takie miejsce, gdzie zrobią jej śliczne fotografie z numerkami na szyi. Jeśli musisz trzepnąć jakiegoś typka parę razy, żeby zaczął śpiewać, to uważaj, żeby go nie posiniaczyć. Zawodowe triki. Ma się swoje sposoby, żeby naoliwić tę zgrzytającą maszynę, która zacina się co chwila na cholernych ustawach wymyślonych tylko po to, żeby taki czy inny skurwiel mógł bezkarnie popełniać zbrodnie, na jakie mu przyjdzie ochota. Dlaczegoż to Sprawiedliwość ma zawiązane oczy? Żeby nie widziała, kto ją gwałci.

- Hę? - mruknął do słuchawki i spojrział na zegarek, zastanawiając się, czy już nie czas na kolejną dawkę stabilizatora.

- Musimy w końcu ubić interes - powiedział znany głos. - Pewnie już cię zmęczyła ta przepychanka.

- Słucham z uwagą.

- No, nareszcie.

- Nie spiesz się tak, bratku.

Lumbrowski odszukał wzrokiem trzecią od góry szufladę kuchenną. Tam właśnie leżała butelka. Czekala.

- Musimy pomówić. W cztery oczy. Nie przez telefon. Myślę, że zainteresują cię

moje zdjęcia.

- Zdjęcia? - spytał Lumbrowski zdziwiony, próbując sobie przypomnieć, czy w tamte ranki było na tyle widno, by ktoś mógł robić zdjęcia.

- Dobrze usłyszałeś. Myślę, że bardzo byś chciał je obejrzeć.

- Za ile?

- Dogadamy się - odrzekł głos. - Ale kiedy indziej. Dziś tylko zawrzemy znajomość.

- Mów dalej. Ja słucham - powiedział Lumbrowski.

- Powiem ci, gdzie masz czekać. Ktoś cię tam znajdzie. On nam wszystko zorganizuje. Jak wyczuję, że coś kombinujesz, więcej mnie nie zobaczysz. A jak mnie wykończysz, to nie uda ci się położyć łapy na tych zdjęciach. I wcale ci się to nie spodoba, jak zobaczysz, kto je dostał. Na razie wracaj do baru „Pod Podkową”, zadzwonię tam do ciebie.

Tamtem odłożył słuchawkę.

„To nie ten gość, bracie” - powiedział do siebie Lumbrowski. Poszedł do kuchni i otworzył trzecią szufladę. Zawahał się przez chwilę, nim sięgnął po butelkę. To niezbyt rozsądne schlać się właśnie teraz. Facet nie jest

64

głupi: starannie obmyślił swój plan. Z pewnością będzie śledził każdy jego krok przez kilka najbliższych godzin. To zawodowiec.

Ale co on u licha mógł robić na tych parkingach o piątej rano?

Kilka minut po czwartej, zaraz po

zakończeniu sekcji zwłok McDuffa, która przyprawiła go o skurcze żołądka, ale też dostarczyła kilku istotnych dowodów, Dewitt postanowił rozejrzeć się za mustangiem Lumbrowskiego, od rana wciąż mając w uszach ów charakterystyczny głośny trzask drzwi. Zajrzał jeszcze do Anny. Nic się nie zmieniło. Potem ruszył do Seaside, gdzie mieszkał Lumbrowski. Bez trudu odszukał szarobłękitny samochód na zadaszonym parkingu przylegającym do jednego z budynków.

Wypuścił Rusty'ego. Pies przez chwilę dopraszał się zabawy, po czym zniechęcony ruszył węsząc przed siebie.

Miejsca do parkowania pod wiatą były ponumerowane, co wskazywało na to, że miały stałych użytkowników. Dewitt wsunął rękę pod samochód, i stwierdził, że ma dłoń usmarowaną olejem. Czy to właśnie to, czego szukał? Potrzebny był jednak bardziej obiektywny test: trzeba wyłożyć papierem czyste podłoże i zaparkować nad nim wóz. Tego jednak nie mógł zrobić bez urzędowego nakazu. Stwierdzony wyciek oleju z samochodu Lumbrowskiego, opis pojazdu dostarczony przez de Sikę, może i przekonałyby Saffele-tie-go, żeby wystąpił o sądowy nakaz rewizji, Dewitt jednak mocno w to wątpił.

Głos mężczyzny miał charakterystyczne brzmienie zwolnionego nagrania.

- Ach, to defektyw Debiut - odezwał się Lumbrowski, stając na podeście schodów.

- Czemu zawdzięczam tę nieprzyjemność?

Dewitt zerwał się na równe nogi i szybko wytarł chusteczką olej z dłoni. Przed nim stał groteskowy olbrzym z wystającym brzuchem, wyzierającym spod nie dopiętej, wygniezionej koszuli. Jego bladawa twarz i czerwony kark sprawiały wrażenie, jakby je napompowano sprężonym powietrzem. Wysunięte barki, niewielkie blizny na czole i stale opuchnięte przykurczone palce zdradzały nieomylnie boksera.

- Zwykła ciekawość - wyjaśnił detektyw. - Jeden ze świadków zlokalizował szaroniebieski wóz na miejscu drugiego zabójstwa.

- Wiesz chyba, defektywie, dokąd prowadzi ciekawość?

- Mówią, że to pierwszy stopień do piekła.

Rusty szczerkała radośnie i doskoczył do nich, witając Lumbrowskiego, jak dawno nie widzianego przyjaciela. Ten pogłaskał psa.

- Widzisz, defektywie? O n mnie lubi.

- Nie ufałbym temu zbytnio. Rusty łąsił się kiedyś do manekina.

5 - Kluczowy dowód

65

Klepnął się po udzie, przywołując psa, który posłusznie wykonał siad przy nodze pana.

- Chciałbym cię o coś zapytać. Czy zdarza ci się czasem spacerować wzdłuż plaży Carmel?

- Nie mam obowiązku odpowiadać, detektywie - Lumbrowski uśmiechnął się.

Zrobił krok naprzód i rozmyślnie nadepnął czubkiem buta na łapę Rusty'ego. Pies zaskomlał z bólu, Lumbrowski zaś udał, że traci równowagę, i całym ciężarem

swojego cielska przygniół Dewitta do mustanga, tak że ten nie mógł złapać tchu.
- Przepraszam - rzekł Lumbrowski, chwytając Dewitta za kłapy i znów niemal miażdżąc go o maskę mustanga, po czym nagle opuścił ramiona. - Jezusie, ale ze mnie niezdarą.

Dewitt miał ochotę powiedzieć mu po męsku: „Spotkamy się jeszcze, kiedy nie będę nosił odznaki”, czy coś w tym rodzaju. Ale Bogiem a prawdą lepiej było nie zaczynać z przeciwnikiem, który ważył ze sto dwadzieścia kilogramów i był ogólnie znany jako były bokser, zwycięzca turnieju Golden Gloves. Spróbował więc innej strategii.

- Chyba będziesz musiał się zwrócić do adwokata, Howie - powiedział.

- Zastanów się, Debiut. Nie masz nic przeciwko mnie. Masz numer rejestracyjny? Z pewnością nie, bo inaczej nawet ty nie grzebałbyś się z tym tak długo. To nie adwokata potrzebuję, Debiut. Potrzebuję drinka. A teraz odpieprz się ode mnie. I uważaj na tego swojego kundla. Nie rozglądam się za bardzo, kiedy włączam wsteczny bieg.

Otworzył drzwi mustanga. Kiedy zatrząskiwiał je za sobą, zawiasy znów wydały przeraźliwy, głośzący dźwięk.

Dewitt zastał prokuratora okręgowego

Billa Saffeletiego w pokoju przyjęć w jego biurze w Monterey. Prokurator przygotowywał się do wyjazdu na weekend. Nawet nie zachęcał gościa żeby usiadł. Powiedział tylko krótko:

- Za pół godziny muszę być na drinku z prokuratorem generalnym. Przyjechał z okazji turnieju Manny'ego. O co ci chodzi? Co znowu nowego?

- Mój świadek w sprawie McDuffa podał dokładny opis starego biało-niebieskiego samochodu sportowego. Kierowcą miał być jakiś potężny facet.

66

Opowiedział, jak usłyszał przypadkiem odgłos drzwi wozu Lumbrowskiego i jak obejrzał ten samochód, i stwierdził wyciek oleju.

- Wiem, że to piątek... ale tu chodzi o zabójstwo, i to dwukrotne, więc chciałbym zatrzymać ten samochód i porównać próbki oleju.

Zauważając sceptyczny wyraz twarzy rozmówcy, dodał:

- Wszyscy kierujemy się jakimiś podejrzeniami, Bili. Jeśli ten samochód zostawia takie trójkątne ślady oleju, to muszę go zatrzymać i skierować do laboratorium.

- Rany boskie, Dewitt - Saffeleti odwrócił się od niego, zrobił kilka kroków wyraźnie zirytowany, po czym obejrzał się. - Na jakiej podstawie?

- Zeznań naocznego świadka. Saffeleti pokręcił głową.

- Twoja niechęć do Lumbrowskiego jest ogólnie znana w kołach prawniczych. Chyba nie zaprzeczysz?

- Wcale jej nie ukrywam.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, jakby to wyglądało. Pierwszy wydany nakaz byłby wymierzony w twojego śmiertelnego wroga. Podłożyłbyś się wszystkim, James.

- A gdybym tak wsunął arkusz papieru pod jego samochód, czy byłoby to naruszenie prawa?

- Wyłazi z ciebie dłubek - stwierdził Saffeleti. - Dalej zbierasz swoje dowody.

- Przez chwilę się zastanawiał. - Do tego chyba nie musimy mieć nakazu. Zeznania świadka nasuwają ci uzasadnione podejrzenia; aby je sprawdzić, musisz mieć pewną swobodę ruchów.

Wprowadził Dewitta do swego pokoju, znalazł na półce oprawny w skórę tom i zaczął go kartkować. Po kilku stronach coś czytał, potem znowu i wreszcie znalazł to, o co mu chodziło.

- Ten olej można by traktować jako dowód porzucony, podobnie jak w przypadku, gdy podejrzany wyrzuca jakiś przedmiot* jadącego pojazdu, na oczach funkcjonariuszy porządku publicznego. Wtedy jest to ważny dowód, jeśli tylko zaobserwowano jego wyrzucenie.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli zobaczą na własne oczy kroplę oleju kapiącą z podwozia mustanga, to podłożenie gazety, by na nią skapnęła, można będzie potraktować jak podniesienie porzuconego dowodu?

- Pamiętaj tylko, James - zastrzegł Saffeleti - żadnego aresztowania czy zatrzymania, póki nie stwierdzisz zgodności próbek. Dopiero ich zgodność da ci uzasadnione podejrzenie, że Lumbrowski we własnej osobie jest w to zamieszany. Jak się już zatrzyma samochód, reszta zależy od laboratorium. Jeśli uzyskają pozytywny wynik, możesz Lumbrowskiego przesłuchać... ale tylko przesłuchać - przypomniał.

- Rozumiem.
- Jak będziesz zatrzymywał wóz, weź ze sobą formularz 181. Jeśli to nie będzie twój rejon, bylibyśmy na lepszej pozycji, gdyby załatwił to mundurowy. I uważaj, żebyś przepuścił numer rejestracyjny przez centralną kartote-

67

kę p o sprawdzeniu próbek oleju, a p r z e d zatrzymaniem samochodu. Po twoich perypetiach z Lumbrowskim, będzie wyglądało, że zastawiłeś na niego pułapkę, jeśli pomylisz kolejność.

Dewitt wrócił do biura po formularz

CHP180, używany przez wszystkie posterunki, gdyż był to dobry formularz, a co dobre nieprędko wyjdzie z użycia. Urzędująca w recepcji Ginny zagadnęła go ściszym głosem, rzucając konspiracyjne spojrzenie. Jadowicie zielony cień do powiek kontrastował niepokojąco z głęboką czernią jej skóry. Wśród pracowników komisariatu Dewitt miał grupkę swoich ulubieńców, a wśród nich z całą pewnością była Ginny.

- Widzisz, James, kto ma taką pracę jak moja, to czy chce, czy nie, musi zauważyć, jak coś się dzieje nie tak jak zawsze, no nie?

Uśmiechnęła się. Coś mu chciała przekazać. Wargi miała umalowane purpurową szminką, której odrobina przyłgnęła do jej przednich zębów.

- Chodzi o to, że jeszcze nigdy nie widziałam, żeby coś kopiował w archiwum. Mówię o Cappie - dodała, jakby Dewitt nie wiedział, kogo ma na myśli. - Przysięgłabym, że on nie ma pojęcia, który guzik nacisnąć. No więc niechcący rzuciłam okiem na to, co miał w ręku, kiedy wychodził, i całkiem niechcący zobaczyłam, że to kopia jednego z twoich raportów. Ty przecież wiesz, James, jak tu pilnują wszystkich dziewczyn, żeby rejestrowały każdą kopię z raportów śledczych. Takie są przepisy. No i powiedzmy, że chciałam zerknąć na wpis twojego szefa w rejestrze kopii, a tu się okazuje, że wpisu nie ma. To nie jest w porządku, James! Jak nam każą robić wszystko przepisowo, to i on powinien.

- Kiedy to było, Ginny?

- Widzisz, James, coś mnie tknęło dopiero za drugim razem. Przedtem do głowy mi nie przyszło sprawdzać, dopiero po tym drugim razie.

- Drugim?

- Po McDuffie. Pierwszy raz to był Osbourne. O ile wiem, nie rejestrował ani jednej, ani drugiej kopii.

Dewitt podziękował jej.

- Powiedz mi, James, dlaczego on to robi? Wzruszył ramionami w odpowiedzi.

- Kto to widział, żeby komendant sam nie trzymał się przepisów, a na nas wydzierał się, jak coś źle zrobimy?

- Mam zamiar go o to zapytać - odpowiedział.

- Ale, ale - przypomniała sobie - masz gościa.

68

Dewitt skierował się do swego pokoju, z nieodłącznym Rustym przy nodze.

- To ty, Sam? - rzekł do mężczyzny zajętego „czytaniem” specjalnego noworocznego wydania Sports Illustrated, poświęconego plażowej modzie. Rusty wetknął nos głęboko pomiędzy nogi gościa i zaczął entuzjastycznie wymachiwać już nie tylko ogonem, lecz całym swym ciałem. Mężczyzna spróbował odsunąć psią mordę od swej pachwiny, ale jego wysiłki były bezskuteczne.

Hector Ramirez, nazywany przez wszystkich Samem, był mężczyzną niskiego wzrostu, lecz solidnej budowy. Jego piwne oczy spoglądały surowo i badawczo spod długich, zrosniętych brwi. Twarz nosiła ślady przebytego trądziku, nos miał duży, a nozdrza zaczerwienione na skutek nieustannej walki z alergią. Był w średnim wieku i ostatnio kierował działem daktyloskopii w Departamencie Sprawiedliwości w Sacramento.

- Przyjechałem kilka minut temu. Clarence mi powiedział, że spodziewa się ciebie lada chwila. Powiedział, że nie będziesz miał nic przeciwko...

- Oczywiście, że nie.

Sam nosił sportowy płaszcz w kolorową szachownicę, koszulę w bia-ło-niebieskie prążki i czarny krawat z dzianiny. Z górnej kieszeni płaszcza wystawała różowa chusteczka. Rusty zdążył tymczasem zmienić obiekt zainteresowania i wetknął nos do kosza na śmieci. Dewitt skarcił psa. Rusty zwinął się w kłębek i ziewnął szeroko.

Dewitt usiadł na niezbyt wygodnym krześle przeznaczonym dla gości.

- Powinienem do ciebie napisać, po tym wypadku w sądzie... -usprawiedliwiał się Ramirez. - Strasznie mi wstyd.

Detektyw wzruszył ramionami.

- Daj spokój. Nie przyszedłeś z wizytą kurtuazyjną. Nosisz krawat tylko wtedy, gdy zjawiasz się gdzieś służbowo.

- Zawsze byłeś spostrzegawczy.

- A może wstąpiłeś do obozu Manny'ego? Może kwestujesz na turnieju golfowym na jego fundusz wyborczy? Myślałem, że jesteś demokratą.

- Nic z tych rzeczy. Ot tak ganiem na posyłki. Przed dziewiątą wieczorem muszę być z powrotem w Sacramento.

- Chyba masz jakąś większą zdobycz na oku. Nie tłukłbyś się taki kawał drogi w byle jakiej sprawie. Mam rację, Sam?

- Miałem do pogadania z Saffeletim o sprawie Sancheza. Proces zaczyna się w poniedziałek rano. Musimy dopracować parę szczegółów. Przy okazji zostałem gońcem. Masz tu zamówione akta... wszystkie uduszenia spalinami z ostatnich pięciu lat, które trafiły do sądu. Wszystko, od braciszków zamykających niechcący siostrzyczkę w samochodzie po szaleńców opętanych żądzą zabijania. Był to gruby plik dokumentów i Dewitt natychmiast zdał sobie sprawę, że musi komuś zlecić jego przejrzenie pod kątem zbieżności z ostatnimi dwoma zabójstwami. Miał nadzieję, że Nelson sobie z tym poradzi.

69

- A tutaj - rzekł Ramirez, pokazując dużą kopertę - masz swoją wielką wygraną. Cisnął pakiet w stronę Dewitta.

- Podziękuj tej O'Daly z laboratorium w Salinas. Jakiś dupek zalał kawał podstawowy dokument w sprawie Sancheza: wynik analizy ćwierci tony koki znalezionej w ładowni tego trawlera. Trzeba ci było usłyszeć Parkera. Chryste, jak on się miotał. Spryskiwał to odplamiaczem... Okazało się, że nikt nie pomyślał o skopiowaniu tych wyników, to znaczy nikt w biurze w Monterey. Więc, z pewnych względów, zwrócili się do nas... do Departamentu Sprawiedliwości w Sacramento. I, ma się rozumieć, my też nie mieliśmy tego cholernego raportu, więc zamówiliśmy go w laboratorium w Salinas, gdzie wykonywali badania. No i dziś po południu, kilka godzin przed moim planowanym przylotem tu do was, dzwoni do mnie ta dziewczyna z Salinas i powiada, że jak dostarczę ci wyniki badań odcisków z furgonetki McDuffa, to sądzi, że uda jej się odszukać nasz dokument. Masz pojęcie? Żeby taka nowicjuszka, taka smarkula, próbowała podkręcać mi śruby? O mało nie pękłem ze złości.

Dewitt wydobyl z koperty wielostronicowy wydruk komputerowy.

- Co to takiego, Sam?

- Już mówiłem. Prezent.

- Chcesz powiedzieć, że mam to wszystko przeczytać? - spytał przerażony Dewitt.

- Ta O'Daly przysłała nam trzydzieści pięć różnych odcisków, w tym czternaście fragmentarycznych z drutów pod deską rozdzielczą. Powiedziałbym, bardzo fragmentarycznych. Nieliczne skręty i pętla. Tu masz fotografie - od 1 do 14. Wiesz jak pracuje SKAD: komputer szuka w bazie danych wzorców podobnych do wskanowanych zdjęć. Przy tak niepełnych danych twój denat blokuje nam kompletnie system. Komputer może się z tym biedzić w nieskończoność. Dla ciebie istotny jest numer siedem -Dewitt posłusznie wyszukał fotografię. - Wszystkie inne wytrzymały próbę. Żadnych trafień. Niektóre pochodziły od McDuffa.

- Numer siedem miał wzorzec w bazie? Ramirez wyjął fotokopię raportu policyjnego.

- Twój człowiek nazywa się Marvin Wood. Obecnie mieszka na Seaside. Skazany i warunkowo zwolniony za poważną kradzież. Zatwardziały recydywista. Zdaje się, że lubi podwędzać samochodowe stereo. Coś ci to przypomina?

Dewitt gorliwie zaczął przewracać papiery i znalazł plik Wooda. Zdjęcia przedstawiały czarnego mężczyznę o szeroko osadzonych oczach, miłej twarzy i spłaszczonym nosie. Miał 180 cm wzrostu, ważył 105 kg. Kawaler. Dziewięć razy aresztowany. Dwa razy skazany. W obu przypadkach zwolniony warunkowo. Był pod kuratelą prawie bez przerwy przez trzy ostatnie lata. Raport kuratora podawał aktualne zatrudnienie - stacja Shella w Carmel.

70

!

- Możemy udowodnić, że Wood był w samochodzie McDuffa -tłumaczył Ramirez. - Możemy mu dowieść, że miał w ręku druty od stereo. Poczytaj sobie o nim, a potem

przyznasz, że Wood nie jest kandydatem do stypendium Fulbrighta.

- A inne odciski? To nie jego?

- Nie, tylko ten jeden.

- Wyobraź sobie, że zeznajesz jako biegły. W jaki sposób wytłumaczyłbyś sądowi obecność odcisków tylko na drutach, i nigdzie więcej? - spytał Dewitt. Jego obowiązkiem było myśleć trzy kroki do przodu, uprzedzać ewentualne zastrzeżenia.

- Pamiętaj, że są różne smugi. To mogą być jego ślady. Albo może wszystko powycierał, a zapomniał o przewodach. Albo zdjął rękawice, żeby łatwiej mu było majstrować przy drutach. To się często zdarza.

- Całkiem rozsądne.

- Dziękuję, panie Prokuratorze. Słuchaj. Mogę wsadzić Wooda do tego wozu. Reszta to już wasza sprawa.

- Żadnych wcześniejszych aktów gwałtu, żadnej przemocy, agresji... -podsumował Dewitt raport policyjny o Woodzie. - Absolutnie czysty. To nie pasuje do zabójcy.

- Też na to zwróciłem uwagę - przyznał Ramirez. - Ludzie jak widać się zmieniają. Jak twoja córka?

- Emmy?

- Nie, ta, która była ranna.

- Anna. Źle. Ciągle w śpiączce.

- Gdybym nosił mniejsze buty, zatkałbym sobie jednym gębę. Przepraszam, że spytałem.

- Nie szkodzi. Za to Emmy świetnie się sprawuje. Ma czternaście lat i więcej rozumu niż niejedna po czterdziestce. Jest wspaniała.

- Cieszę się.

- A jak twoje sprawy rodzinne?

- Będzie już dwa lata jak się rozeszliśmy z Rositą. Mieszkam sam, z kotem imieniem Beans i kolorowym telewizorem imieniem Sony. A ty wciąż trzymasz te egzotyczne ryby? O ile pamiętam miałaś w domu prawdziwy podwodny świat.

- Dobrze pamiętasz, Sam. Ale sprzedałem je. Nie pomieściłyby się w naszym obecnym mieszkaniu. Tamto budziło za dużo wspomnień. Rozumiesz.

- Hm. Ja, widzisz, sprzedałem nasze łóżko na wyprzedaży garażowej. Za każdym razem, jak do niego wchodziłem... Sam nie wiem. Musiałem je sprzedać. Wiesz, jak to jest...

Dewitt skinął głową. Jak tylko Ramirez wyszedł, sięgnął po słuchawkę telefonu. Najpierw zadzwonił do Buforda Nelsona. Potem do kuratora Marvina Wooda, a wreszcie do komisariatu w Seaside.

71

Clare O'Daly nie mogła już usiedzieć

na tandetnym, niewygodnym krześle. Zachowano tu stare krzesła, stare stoły, stare pensje, nawet stary budynek, przyznane fundusze budżetowe przeznaczono na chromatografy komputerowe, mikroskopy elektronowe i przenośne lasery.

Zastanawiała się, jak to się dzieje, że płacące podatki społeczeństwo pozwala na występowanie zbrodni w takim nasileniu i tak brutalnych, podczas gdy potrzeba tylko pieniędzy, żeby nad nimi zapanować. Aparat porządku i bezpieczeństwa publicznego cierpiał na brak kadry, brak wykształcenia i dotkliwy brak pieniędzy. Clare nie była politykiem i zawsze trzymała się od polityki z daleka. Nie mogła jednak wyjść ze zdumienia, że obywatele i rząd dobrowolnie przyzwalają na życie w lęku, w cieniu zbrodni.

Pudło znajdowało się przed jej oczyma. Zawierało wszystkie nieorganiczne dowody zebrane podczas sekcji McDuffa. Dowody organiczne - próbki tkanek i krwi - odesłano starannie zabezpieczone do laboratorium. Clare - jak powiedziała jej matka - zaczęła „bobrować” wśród zawartości pudełka, szukając czegoś ciekawego na początek. Pomyślała teraz o niej, gdyż matka nigdy nie pochwałała jej trybu życia- była przyzwoitą dziewczyną z Georgii, damą z Georgii w każdym calu, i chociaż Clare udało się pozbyć lekkiego akcentu wyniesionego z domu, nigdy nie pozbyła się piętna wykonywania męskiego zawodu. Gdyby matka pokierowała nią według swojej woli, teraz Clare, w zaawansowanej ciąży, siedziałaby na równie niewygodnym krześle przy kuchennym stole, słuchając zapewne jakiejś mydlanej opery, niepomna na to, że właśnie przypala się obiad. Matka dzwoniła co rano, wypytując o mężczyznę w jej życiu. W ostatnich miesiącach niewiele jednak miały tematów do rozmowy.

Notka opisująca niedużą fiolkę głosiła: „Znalezione między palcem wskazującym a

środkowym, ręka prawa". Clare odkręciła fiolkę i wlepiła wzrok w przejrzystą substancję. Śledztwo w sprawie zabójstwa ma to do siebie, pomyślała, że ma w nim udział wiele osób, a część z nich pracuje anonimowo, w cieniu, i nie może liczyć na uznanie swych zasług. Praca zespołu prowadzącego śledztwo była fascynująca. Taka mała orkiestra kameralna - lekarz sądowy, ekspert kryminalistyczny, laboranci, specjaliści od daktyloskopii, policjanci i patrolowi - działania ich wszystkich układały się w harmonijną całość kierowaną przez dyrygenta, którym był oficer śledczy. Bardzo jej się podobał ich dyrygent. Każdy z zespołu pracował z zapalem na swoim polu, tak jak teraz ona: pobrała próbkę białej, łuskowatej substancji z fiolki i przygotowała ją do przepuszczenia przez chromatograf- supermaszynę, która ogrzewała substancję aż do wyparowania, po czym analizowała komputerowo powstały gaz, żeby określić jego skład chemiczny. Uzyskane wykresy, po porównaniu z próbkami odniesienia opisanymi w segregatorze, pozwalały nie tylko ziden-

72

tyfikować substancję, ale i ustalić producenta. Wykres Clare zbliżał się do wzorców opisanych jako ŻYWICE SYNTETYCZNE. Powoli przewracała karty segregatora, bo wykresy były bardzo podobne, wreszcie znalazła -McDuff miał za paznokciami substancję określoną jako niskiej jakości pleksiglas produkcji Phillips Petroleum.

Wykonała opis zgodnie z procedurą wymaganą przez sąd. Jedną z pierwszych rzeczy, których trzeba się nauczyć pracując w kryminalistyce, jest ta, że często kluczowy dowód bywa odkryty i zbadany tylko po to, by sąd go odrzucił z powodu jakichś niedopatrzeń proceduralnych.

Podobieństwa, tak ją uczono, to kamienie milowe dla prowadzącego śledztwo. Nie ma identycznych przedmiotów. Dlatego, kiedy wpadła jej w ręce druga fiolka z napisem WŁÓKNA ZEBRANE Z NASKÓRKA, odstawiła ją na bok i natychmiast wzięła się do roboty. Z przechowalni dowodów pobrała zalakowane szkiełko Petriego zawierające bawełniane kłaczki zebrane przy sekcji Osbourne'a. Używając mikroskopu porównawczego, który pozwalał równocześnie oglądać dwie próbki - porównała te włókna, każde oddzielnie, ze znalezionymi na ciele McDuffa. Gdy stwierdziła podobieństwo, postanowiła wykonać chromatogramy obu próbek. Wkrótce potem z bijącym sercem wertowała złożone z luźnych kart katalogi, czekając na najważniejszą chwilę - gdy dręcząca zagadka znajduje nagle oczywiste rozwiązanie. Mieć w tym swój udział...

Odłożyła jeden katalog i sięgnęła po inny, szybko przewracając strony. Z pochyloną głową wodziła oczami od wykresów na ekranie do wzorców w katalogu. Żadna strona nie była całkowicie zgodna, jednak dwie trzecie ekranu zgadzały się idealnie. Dewitt z pewnością by się tym zainteresował. Błagałby o to! Na górze strony widniał napis:

WŁÓKNA MIESZANE Bawełna/polyester = (60/40)

Nie mogła się zorientować, co przedstawia pozostała część wykresu. Jakiś znany związek, którego nie mogła zidentyfikować. Wyszukała jeszcze jeden katalog i uważnie studiowała kolejne karty.

8

- Nie rozumiem - odezwała się Emmy. Jedli obiad. Mieli dziś włoski makaron. - Nie możesz po prostu zatrzymać tego faceta? Masz jego odciski.

- Przepisy nie pozwalają. Rozmawiałem z jego kuratorem, i poprosiłem go, żeby zadzwonił do Wooda i sprawdził, czy jest w domu. Niestety był. W Kalifornii obowiązuje prawo nazywane Ramey, od pewnego procesu przeciw oskarżonemu o tym nazwisku, które głosi, że nie można aresztować człowieka w jego własnym domu bez nakazu aresztowania.

73

Zwykle do aresztowania wystarczy dobrze umotywowany powód... tzw. uzasadnione podejrzenie. Dziś mamy piątek. Zaczyna się weekend, co gorsza weekend przeznaczony na kampanię wyborczą. Żeby dostać nakaz aresztowania musiałbym mieć skargę podpisaną przez prokuratora okręgowego, i nadać jej bieg urzędowy - znaleźć sędziego, który ją podpisze. Może jutro byłoby łatwiej, ale najprościej będzie chyba poczekać, aż facet wylezie ze swojej przyczepy.

- To nie w porządku.

- Prawo rzadko uczciwie traktuje obie strony.

- I musisz mieć nakaz?
- Mógłbym go aresztować na podstawie uzasadnionego podejrzenia, ale sąd by tego nie uznał.
- Chcesz obwarzanka? Poczęstował się.
- Posterunek z Seaside obserwuje przyczepę Wooda. Jak tylko wyjdzie, od razu go aresztują.

Rusty, węsząc po kuchni z nosem przy ziemi, znalazł okruchy, pozbierał i spojrzeniem poprosił o więcej.

- Przestań żebrać - powiedziała Emmy.
- Pięknie wyglądasz. Jakie masz plany na wieczór?
- Dziś nocuję u Briar - przypomniała mu.
- Chciałbym wiedzieć, dokąd się wybieracie.
- Do pasażu. Clarence nas podwiezie, i potem przyjedzie po nas.
- Pan Hindeman. Nie życzę sobie, żebyś mówiła o nim Clarence.
- Jemu to nie przeszkadza. Dlaczego tobie miałyby szkodzić?
- Em, mówiliśmy już o tym.
- Em, mówiliśmy już o tym - powtórzyła przedrzeźniając go. - Co z tego, że już mówiliśmy o tym,...
- O tym też już mówiliśmy - przerwał jej. - Przepraszam - dodał.
- Jesteś rozdrażniony - stwierdziła. - Powinieneś się odprężyć. Będiesz miał tego faceta.
- Mógłbyś zostawić Rusty'ego w domu dziś wieczór. Robi wrażenie znerwicowanego. Nie wychodzą mu na dobre te wyprawy - dodała, pieszcząc psa. - I ty też jesteś zestresowany, tatku - powiedziała. Wstała i pogłaskała go leciutko po skroni, targając mu włosy za uchem.

Gliny są jak zwierzyna na Serengeti

we wrześniu - zawsze wracają do tych samych wodopojów. Takiego starego wyjadacza jak Lumbrowski z pewnością znajdzie się w jednym z czterech, czy pięciu możliwych miejsc.

74

O ósmej Dewitt wytropił mustanga Lumbrowskiego pod barem „Pod Podkową”, wodopojem w Seaside, którego jaskrawy szyld migał wśród okolicznych domów. Dewitt zabrał z bagażnika kawał papieru, jaki zwykle rzeźnikom służył do pakowania mięsa, a jemu do owijania dowodów. Doskonałe podłoże dla kapiącego oleju. Wsunął papier pod silnik mustanga i przycisnął kamieniami. Ile też trzeba czasu, by krople utworzyły widoczny wzór?

Wrócił do zephyra i czekał. Czuł się osamotniony bez Rusty'ego.

Spróbował zrekonstruować w myśli zabójstwa. Czy morderca chował się w samochodach? Czatował na swe ofiary na parkingach przy plaży czy restauracji? Czy z nimi rozmawiał? Zdobywał ich zaufanie, a potem zabijał? Czy robił jakieś machlojki z pojazdami, żeby odmówiły posłuszeństwa, a potem przyjeżdżał ciężarówką do holowania, niby to pomóc?

Kluczem do zagadki były dowody. Dowody, jeśli się je właściwie opracuje, odpowiedzą na wszystkie pytania.

Dziesięć minut. Może już? Wrócił do mustanga i skierował wiązkę światła latarki pod samochód. Dostrzegł na papierze dwie duże krople. Podobne - pomyślał - do znalezionych na miejscach zbrodni. Trzeba poczekać, aż spadnie jeszcze jedna. Odwrócił się i spojrzał w boczne okno knajpy. Lumbrowski pił przy barze. W porządku.

Dewitt przenosił spojrzenie z olbrzyma za oknem do papieru pod mustangiem. Pięć minut później Lumbrowski odstawił ciężko kieliszek i zerknął na zegar. Czy może na automat telefoniczny? Był wyraźnie zdenerwowany. Dewitt wyczuwał jego podniecenie. Pomyślał, że Lumbrowski zbiera się do wyjścia. Pewnie dlatego tak się niecierpliwił. Kiedy wreszcie olbrzym wstał ze stołka, Dewitt rzucił się do drzwi frontowych.

Nim Dewitt zdążył wejść do baru, Lumbrowski siedział już z powrotem na stołku. Widać wstał tylko na chwilę, żeby podciągnąć spodnie. Teraz ociężale powiódł przekrwionymi oczyma po sali i napotkał w lustrze twarz Dewitta.

- Defektyw Debiut - zawołał. - Znów? Co za nieprzyjemność! Czy może tym razem służbowo?

Dewitt skinął głową grupce mundurowych z Seaside skupionych przy jednym ze stolików wokół dzbana z piwem.

- Jak tam twoja pamięć? - spytał Dewitt.
- Jak kryształ, cholera jasna. Absolutnie przejrzysta - Lumbrowski wzniósł

kieliszek z wódką bez lodu. Jego głos brzmiał całkiem trzeźwo, ale zdradzał go powolny, wydłużony rytm oddechu.

Dewitt wciąż stał z prawej strony Lumbrowskiego. Barman spytał, czy coś podać. Detektyw odmówił.

- Nawet na mleko się nie skusisz? - spytał Lumbrowski. - Może mleczko czekoladowe, co, Debiut?

75

Dewitt zerknął machinalnie na zegarek. Jak u licha zyskać jeszcze pięć do dziesięciu minut? Czym go zająć? Odezwał się łagodnie, familiarnie skracając jego nazwisko.

- Brow, jesteśmy gliniarzami, więc myślę że jestem ci to winien.

- Ty nie jesteś gliną, Debiut. Jesteś „dłubkiem”. I zawsze będziesz. Nie czujesz bluesa.

- W obecnym stanie rzeczy - ciągnął Dewitt - będę zmuszony cię przesłuchać w związku z tymi zabójstwami.

Lumbrowski nie okazał zdziwienia słysząc słowo „zabójstwo”, a nie „samobójstwo”, co od razu zwróciło uwagę Dewitta.

Olbrzym przypomniał sobie o kieliszku i podniósł go do ust.

- Jakbyś nie był na służbie, powybijałbym ci te cholerne zęby - rzekł. - Co ty, kurde, wiesz o prowadzeniu śledztwa w sprawie zabójstwa?

- Gdybyś zechciał teraz za mną pogadać, można by to inaczej rozegrać. Jeśli ktoś dobrowolnie udziela informacji, zasługuje na specjalne względy.

- Czy ty chociaż wiesz o czym mówisz? - dał znak barmanowi pstrykając palcami. Jak znak farmera na aukcji bydła dostrzegalny jest tylko dla prowadzącego aukcję, tak i ten jego gest przeoczyłby każdy, tylko nie barman. Podał wódkę. Dewitt odmówił.

- Wiesz dobrze, jak to jest, Howie...

- Czego nie da się powiedzieć o tobie, Debiut. Jesteś stracony. Spojrzał na zegarek i niecierpliwie zaczął przytupywać końcem buta.

Dewitt nie dawał za wygraną:

- Tym razem robię ci propozycję. Następnym razem będzie gorzej. Rzecz jasna, dla ciebie to nie pierwszozna, jak sądzę.

Lumbrowski wstał, przyjmując postawę zawodowego boksera, pochylił barki i zaatakował Dewitta niczym rozjuszony byk. Dewitt zatrzymał się na krawędzi stołu. Czterech mundurowych zerwało się w mgnieniu oka. Opletli Lumbrowskiego ramionami. Choć było ich kilku, a Lumbrowski jeden, ten zdołał ich powlec za sobą w kierunku Dewitta. Dewitt był na służbie. Miał obowiązek albo aresztować Lumbrowskiego pod zarzutem czynnej napaści, albo dać sobie spokój i zejść mu z oczu. Podjęcie walki nie było zbyt rozsądne. Zanim Lumbrowski uwolnił się z objęć policjantów, Dewitt zdążył już odejść.

W błysku latarki upewnił się, że zwlekał dość długo: trójkąt równoramienny, który utworzył wyciekający olej, zdążył zarysować się na białym papierze. W euforii detektyw wyciągnął arkusz spod samochodu i zaniósł go ostrożnie do swojego zephyra. Znalazł w bagażniku taśmę mierniczą i sfotografował trójkąt na jej tle, przygotowując materiał do późniejszych powiększeń. Flesz błysnął w ciemnościach.

76

Detektyw umieścił próbkę oleju w małej fiolce i oznaczył etykietką. Następnie zapieczętował swój arkusz w obszernej torbie z folii. Sięgnął po mikrofon nadajnika, ale po namyśle zmienił zamiar. Nie będzie ryzykował nadawania wiadomości przez radio. Jeżeli prasa dorwie się do tego, będzie niezły cyrk. Przewornie zablokował mustangowi wyjazd swoim wozem i poszedł do automatu zadzwonić.

Przekazał wiadomość, by sprawdzono numery rejestracyjne mustanga w centralnej kartotece. Potwierdzono, iż samochód należy do Lumbrowskiego. Patrol w mundurach natychmiast wyruszył z komisariatu Seaside, w ślad za nim ciężarówka do holowania.

Dewitt wrócił prosto do mustanga, żeby spisać wóz przed zatrzymaniem, z formularzem CHP 180 w ręku. W zapale twórczym zapomniał o odgłosie, jaki wydają te nieszczęsne drzwi. Zamarł z przerażenia, gdy usłyszał głuchy łomot. Oświetlenie w samochodzie włączyło się automatycznie, ukazując zużyte, wyblakłe,

żółte siedzenia. Dewitt sięgnął do schowka.

Nagle poczuł ciężką łapę na głowie, a straszliwa masa cieleśna niemal go zmiążdżyła.

- Odpieprz się od mojego wozu! - głos Lumbrowskiego drażnił mu uszy. Poczuł kwaśny odór człowieka, który od wielu dni się nie kąpał. Odchylił głowę do tyłu. Potężna pięść trafiła go w twarz, rozcinając mu wargę. Cofnął się. Lumbrowski przebił głową podnoszony dach... Dewitt wyturlał się z samochodu, gotów do walki, lecz jego przeciwnik nagle się uspokoił i przygładził włosy. Pochylił się ku Dewittowi. Rękę miał pokrwawioną.

- OK - rzekł. - Rozejm.

Dewitt nie mógł pojąć, skąd ta zmiana, póki nie spostrzegł nadjeżdżającego radiowozu, który po chwili zatrzymał się przy nich. Kierowca najwidoczniej nie zauważył ich starcia. Pozdrowił Lumbrowskiego, zwracając się do niego po nazwisku, skinął Dewittowi, mówiąc:

- To pan z pewnością jest sierżantem Dewittem. Roztropny chłopak.

Dewitt zwrócił się do Lumbrowskiego.

- Zajmujemy twój samochód jako ewentualny dowód w śledztwie w sprawie zabójstwa.

- Co? - jęknął Lumbrowski, zdając sobie sprawę, że jeśli zabiorą mu wóz, nie tylko może przegapić telefon od szpicla, ale nie będzie miał środka lokomocji, żeby udać się gdziekolwiek. - To świństwo, Debiut.

- Wykonujcie swoje czynności - rzekł Dewitt do mundurowego, dotykając bolącej wargi i stwierdzając krew na ręce.

- Nic panu nie jest? - spytał policjant, nagle dostrzegając ślady bójki.

Dewitt spojrział na Lumbrowskiego. Miał teraz okazję złożyć skargę o napaść, wiedział jednak, że może to negatywnie zaważyć na przebiegu

77

śledztwa. Cała sprawa będzie wyglądała na osobiste porachunki. Lepiej więc udawać, że nic nie zaszło.

- Upadłem - rzekł nieprzekonywająco.

- Głupstwo robisz, Debiut - ostrzegł Lumbrowski. - Chybiłeś.

- Dam sobie radę, już się nie bój. Na twoim miejscu zwróciłbym się do adwokata.

- Co chcesz powiedzieć?

- Czy to trzeba wyjaśniać? - spytał Dewitt. - A więc w obecności tu stojącego świadka - rzekł, zwracając się do policjanta - proszony jesteś o pozostanie w mieście.

- Nie mogę opuścić miasta? - podchwycił Lumbrowski. - A jak miałbym to zrobić? Dewitt zaczął czekać na ciężarówkę holowniczą, a potem zostawił mustanga pod nadzorem mundurowego - zgodnie z instrukcją Saffele-tiego. Na razie nie znalazł nic ciekawego. Potrzebował nakazu, żeby głębiej pogrzebać i zabezpieczyć dowody. Miał zamiar pojechać do domu i uzupełnić formularz 180, w pełni świadomy, że zaczął nierówną walkę

o uzyskanie nakazu w sobotę, nawet jeśli dopełni wszystkich formalności. Chciał działać natychmiast: oddać fiolkę z olejem do laboratorium jeszcze dziś, porównać trójkąt z oleju na papierze pakowym ze skalowanymi fotografiami z miejsc zbrodni. Laboratorium jednak zamknięte parę godzin temu. Przekonać jego dyrektora, Briana Marney'a, żeby zarządził pracę w sobotę, nie będzie rzecz jasna łatwo, ale z tym akurat może się udać - były podstawy, żeby śledztwo w sprawie zabójstw potraktować na odrębnych prawach. Ale w piątek wieczorem? Absolutnie wykluczone.

O dziewiątej wstąpił do Clarence'a, żeby pomówić o Lumbrowskim.

Kiedy drzwi otworzyła Tona Backman, Dewitt poczuł się niezręcznie, gdyż Clarence nigdy nie zapraszał Tony, kiedy Emmy u nich nocowała. Dewitt zabierał wtedy Briar do siebie. Tona, biegaczka

1 miłośniczka koni, miała coś z niewymuszonej elegancji w swojej smukłej, harmonijnej sylwetce. Nosiła połyskującą, błękitną suknię i była boso. Na stole stały resztki nie dojezionej kolacji.

- To James - powiedziała uradowana, jakby nie był tu intruzem. Hindeman zbliżył się do drzwi.

- Co za niespodzianka - rzekł Dewitt, nie ruszając się od progu. - O której miałeś pojechać po dziewczynki?

- Ja?

- Podrzuciłem tu Emmy.

- No tak, a ja zawiozłem je do pasażu, skąd ty miałeś je zabrać do siebie.
- Zdawało mi się, że miały tu nocować.
- Jesteście wyjątkowo tępi, zwłaszcza jak na gliny - przerwała im Tona. - Em mówi, że nocuje u Briar, Briar, że nocuje u Em. Stara, wypróbowana sztuczka, a wy dajecie się nabrać.

78

- To sprawka Talbota - rzekł Dewitt. - Ten typek kręci się koło niej od kilku tygodni. Ma własny samochód. Pojawia się o dziwnych porach, ciarki mnie przechodzą na jego widok. Sprawdziłem, co Tammy Cary o nim słyszała. Jest w końcu inspektorem nadzorującym naszą szkołę średnią. Ten chłopak to typ młodocianego przestępcy. Ostrzegłem Emmy przed nim. No i co, nie jestem chyba taki tępy?
- To Konkwistador? - spytał Hindeman.
- Kto taki? - spytała Tona, zapraszając gestem Dewitta do środka, ale on znów odmówił.
- Konkwistadorzy. W ostatnich miesiącach zarejestrowaliśmy wypadki uwiedzenia nieletnich. Niektóre dziewczyny zaszły w ciążę. Jeden z chłopaków, któremu przypisywano ojcostwo, kiedy skierowano przeciw niemu oskarżenie, ubił z nami interes, sprzedając informację o gangu nastolatków, który tak właśnie się nazywa - wyjaśnił Hindeman.
- Celem ich działalności - dodał Dewitt - jest „zaliczyć” jak najwięcej dziewczin do końca roku.
- To obrzydliwe.

Dewitt zwrócił się do Clarence'a:

- Z tego, co Tammy mi przekazała, nic nie powinno mnie zdziwić. Typek poczyna sobie jak Ferris Bueller.
- Masz rację - powiedział Hindeman, kierując się do wyjścia.
- Sam pojedę. Zobaczę, czy są w pasażu. Wybadam, czy jest gdzieś jakaś impreza. Zadzwoń do ciebie.

10

Spędził pół godziny w Pasażu Mon-terey, ulubionym miejscu spotkań nastolatków, a potem poszukał adresu w książce telefonicznej.

Podjazd domu w Pebble Beach był zastawiony samochodami. Z wnętrza dobiegał miarowy rytm rocka. Dewitt zablokował podjazd, ustawiając w poprzek zephyra, przekazał przez radio, że schodzi ze służby, zamknął broń w schowku samochodu. Jako ojciec w cywilu, ruszył do drzwi frontowych i otworzył je bez pukania. Ogłuszyła go muzyka. Wewnątrz panował mrok. Powietrze było przesiąknięte smrodliwym dymem trawki.

Zauważyli go dopiero, gdy nacisnął wyłącznik. Wszędzie przytulone parki. Zaczął miotać się jak oszalały po pokojach. Wpadł na parę nastoletnich kochanków wijących się w miłosnych spazmach, zapalił światło i kazał im się ubierać. Został Briar, Emmy, Billy'ego Talbota i jeszcze jakiegoś chłopaka w łazience na tyłach domu, całkiem nagich. Emmy nieźle się trzymała, za to Briar rozkleiła się zupełnie.

79

- Czekam na was w salonie - powiedział Dewitt.
- Niektórzy zdążyli uciec. Dewitt kazał wszystkim, którzy byli samochodami, zadzwonić po rodziców. Na stoliku znalazł opakowanie papierowe, lustro i żyłkę.

Pojawił się Talbot. Był to przystojny, dobrze zbudowany chłopak.

- Rodzice są w domu, Billy?
 - Pan wszedł bez pukania.
- Bezczelny bufon - pomyślał detektyw - zuchwały typ.
- Myślisz, że są w domu?
 - Pan nie był zaproszony. Nie pokazał mi pan żadnego nakazu. Wtargnął pan do cudzego domu.

Kamienny wyraz twarzy tego chłopca przerażał chłodem. Billy Talbot wyglądał na pozbawionego zasad psychopatę. Załazek intelektu w jego mózgu najwyraźniej rozwinął się w niewłaściwym kierunku.

- Więc wezwij policję.
- Moglibyśmy porozmawiać - rzekł Billy obojętnie, gdy tymczasem jego koledzy kolejno telefonowali. - Niepotrzebnie się pan wtrącał.
- Te dziewczynki są nieletnie, Billy. To może się dla ciebie źle skończyć. Bardzo źle.

Złośliwy uśmieszek przemknął po wargach chłopaka.

- Zdawało mi się, że pan tropi mordercę. A tu się okazuje się, że woli pan takie imprezy.

Dewitt obrócił się nagle i postąpił krok ku chłopakowi. Wyglądał tak, jakby chciał go rozszarpać na strzępy.

- Niech pan spróbuje - wyzywająco odezwał się Billy, kiwając palcem dla zachęty.

Duży, muskularny Billy Talbot. Dewitt zatrzymał się. To śledztwo wyprowadziło go z równowagi. Grożenie chłopakowi to było coś w stylu Howarda Lumbrowskiego.

- A może się za dobrze bawicie w komisariacie wachając kokę tego umarlaka? I już was mało obchodzi, kto mógł go zabić?

- O czym ty mówisz? - przez chwilę Dewitt był kompletnie zaskoczony.

- Z tego co słyszałem, ten zabity gość wiózł trochę koki, która nigdy nie trafiła do klientów. Słyszałem, że to gliny ją znalazły i nie pisnęły ani słówka. - Talbot popisywał się, w sposób coraz bardziej wyzywający. Widząc zdumienie detektywa, dodał: - Cholera, pan nic nie wiedział. Nie da się wyrazić słowami głupoty glin. Czy wy naprawdę niczego nie wiecie?

- Skąd ty wiesz, Billy? Czy był twoim łącznikiem?

- Powiedziałem już. Słyszysz się to i owo.

Czy Dewitt powiedział Emmy, że podejrzewają Osbourne'a o handel narkotykami? Czy wspomniał kiedyś o tym w jej obecności? Czy Emmy złamała jedną z ich najświętszych zasad, żeby nigdy niemowie o sprawach policyjnych z nikim oprócz niego? Spojrzał teraz na nią, szukając wzrokiem

80

jej dziecinnych oczu tak podobnych do oczu jego żony, ale nic z nich nie wyczytał.

- Amelio, zaczekaj z Briar w samochodzie - powiedział krótko. Emmy wyszła, zostawiając ojca w salonie sam na sam z Talbotem. Postąpił kilka kroków ku chłopcu. Wykonał głęboki wdech, żeby się uspokoić.

- Słuchaj, Billy, gdzie ta koka miała być dostarczona? - Pomimo gniewu, Dewitt pamiętał, że sprawa jest pilna. Może trafił na jakiś trop. - Słyszałeś, że przesyłka zaginęła po drodze - podpowiadał mu treść oświadczenia.

Talbot nie odpowiedział.

- Zastanów się, chłopcze, to może być dla ciebie wyjście z paskudnych kłopotów. Przemyślisz to sobie, czy wolisz zarzut o udział w uwiedzeniu nieletniej? Mogę ci zaszkodzić, Billy.

Talbot gapił się obojętnie na Dewitta.

- Nie rozumiesz, że to jest śledztwo w sprawie zabójstwa? Ja nie żartuję!

Talbot zmrużył oczy. Poraziło go napięcie w głosie Dewitta. Rozejrzał się.

- W szkole jest koka, tak? W weekendy zapotrzebowanie jest największe. Słyszysz różne rzeczy, i tyle.

- Mów dalej.

- Słyszałem, że jak potrzebujesz czegoś na weekend, to musisz kupić w czwartek rano, i musisz zapłacić parę dolców więcej. Dostawa się zmniejszyła, więc cena wzrosła.

- Co jeszcze słyszałeś? - podpowiadał Dewitt. - Jak mi nie podasz szczegółów, Billy, to jakbyś już brał miarę na parę bransoletek.

- Słyszałem, wie pan, nie od kogoś konkretnie, że ten, kto czekał na przesyłkę, nigdy się nie doczekał... Wiem tyle, że to wy zgarnęliście kokę, a potem postanowiliście zachować sprawę w tajemnicy. Wynikło małe zamieszanie na rynku, jeśli tak to można nazwać.

Ten Talbot przemawia, jakby cytował dialogi z Policjantów z Miami - pomyślał Dewitt.

- Gdybyś sobie przypomniał nazwisko, bardzo by ci to pomogło, Billy. Talbot uśmiechnął się szeroko. Wyćwiczony grymas, mający wyrażać niewiedzę. Wyglądał głupio.

- Tacy ludzie, proszę pana, nie mają nazwisk. Proszę mi wierzyć, facet wiózł dwadzieścia gramów koki. I wszystko jedno czy znaleźliście ją, czy nie.

Przyjechali pierwsi rodzice. Okazało się, że byli bardziej zainteresowani

skutkami prawnymi dla siebie, niż wpływem seksu, narkotyków i alkoholu na ich dzieci.

Talbot niecierpliwił się. Widać było, że dużo wypił. Protestował głośno, kiedy tylko miał okazję, nie ruszając się z wyściełanego fotela. Każda

6 - Kluczowy dowód

01

następna skarga bardziej przypominała groźbę. Czy Dewitt zdaje sobie sprawę ze swego czynu? Czy wie, że zrywanie przyjęć przynosi ludziom nieszczęście? Bezsensowne pogroźki zaczęły męczyć detektywa, ale postanowił nie dać się sprowokować.

Kiedy ostatni goście odjechali, Dewitt wrócił do Billy'ego.

- Kiedyś pewnie życie nauczy cię, Billy, że ostra gra jest ryzykowna - powiedział z pogardą. - Zawsze można trafić na lepszego gracza.

- Z ust mi to pan wyjął - zgodził się Talbot, celowo przeinaczając sens ostrzeżenia.

- Będę w kontakcie z facetami od narkotyków. Jeśli jeszcze raz się w coś wplączesz, będziesz skończony. Tym razem ci darujemy.

- Chyba nie chce pan mieszać do tego Emmy? - spytał Talbot.

- Jeśli idzie o uprawianie seksu z czternastolatkami... możesz za to dostać kilka lat. Możesz trafić w takie miejsce, gdzie kumple przywiążą cię za kostki do kija i ustawią się w kolejce, żeby ci sprawdzać poziom oleju. Kupa śmiechu.

- Drżę na samą myśl. Widzi pan?

- Myślisz, że żartuję. Urządzą wam kiedyś małą wycieczkę, tobie i twojej paczce.

- Mnie? Moim zdaniem jest pan przeklętym hipokrytą. Zdaje mi się, że gdyby Emmy nie było na tym przyjęciu, przejechałby pan obok, nie zwracając sobie głowy.

Czy też podjął pan krucjatę przeciw nastolatkom? Czy ja tu coś przeoczyłem?

- Wiesz, Billy, czego ci potrzeba? Trochę fizycznej edukacji.

- Jestem do pana dyspozycji - odpowiedział.

11

Dewitt był w paskudnym nastroju. Gdy podjechali od domu, zawrócił samochód i odezwał się:

- Życie jest brutalne, moja panno. Jesteś uziemiona. Żadnych telefonów. Żadnej dyskusji. Jak będziesz gotowa, oczekuję pełnych wyjaśnień i przeprosin. Żadnych numerów, Amelio. Nie będę tolerował żadnych numerów. Marsz do swego pokoju i nie wychodź stamtąd.

Wysiadła z samochodu i pobiegła z płaczem. Wygrzebała klucze z portmonetki i zniknęła za drzwiami. Dewitt przyglądał jej się zza kierownicy. Ogarnęła go wściekłość na samego siebie. Pragnął, żeby była przy nim Julia i pomogła mu się opanować, pragnął, żeby życie wróciło do normy - cokolwiek to miało oznaczać. Znalazł na drzwiach przyczepioną kartkę od Clare. „Mam ciekawy materiał. Zadzwoń”.

Kilka minut później rozkładała przed nim notatki. Bez przekonania zaproponował jej drinka, ale odmówiła.

82

Ciekawy materiał, rzeczywiście - myślał, czytając raport z laboratorium. Pleksiglas pod paznokciami McDuffa... Ślad jego pracy, czy też przedśmiertnych konwulsji? Włókienka bawełniano-poliestrowe znalezione na skórze obu ofiar wydawały się „identyczne” i były wybielane tym samym preparatem, chociaż Clare jeszcze nie ustaliła producenta. Ślad opony rowerowej wskazywał na wyrób koreański sprzedawany wyłącznie przez Schwinna. Trwało poszukiwanie próbek farby z tej firmy dla porównania z odpryskami znalezionymi w ciężarówce McDuffa. Jako były ekspert kryminalistyczny, Dewitt znał to uczucie: dowody składały się w całość, śledztwo nabierało rozpędu. Potrzebował dwóch szkockich i półtorej godziny, żeby zasnąć.

Obudził się nagle o 3 rano.

- Tatusiu, tatusiu!

Emmy potrząsała nim, starając się go obudzić; jej oddech czuć było jeszcze piwem z przyjęcia. Emmy -dręczona koszmarnym snem o śmierci matki. Pomimo, że był zły na córkę, zrobiło mu się jej żal. Otworzył oczy, wiedział że musi ją uspokoić, jak tyle już razy. Niebieskawe światło latarni zabarwiło ściany pokoju. Skośne cienie tworzyły wzory przypominające więzienne kraty.

- Ktoś chodzi na zewnątrz - szepnęła. - Z tyłu domu. Och, tatusiu! Gramoląc się z łóżka, próbował zebrać myśli.

- To Rusty - wyjaśnił, wstając leniwie.
- Nie. Rusty nawet nie szczechnął.
- Pada - stwierdził, podchodząc do okna. - Pewnie deszcz cię obudził. Nagle jego wzrok padł na otwartą furtkę.
- Do diabła. Furtka jest otwarta. To jednak Rusty!
- Rusty otworzyłby furtkę? Słyszałam skrzypnięcie drzwi od szopy dwa razy. Na pewno słyszałam. - Wetknęła mu rewolwer i pas. - Proszę cię. Nigdy jeszcze nie robiła takich scen. Dewitt przyjrzał się jej zaintrygowany i wyciągnął rękę po broń.
- Zostań tu - powiedział.

Włożył spodnie, z bronią w rękę przeszedł przez kuchnię, otworzył z klucza drzwi kuchenne i wyszedł przed dom. Poczł na barkach ciepły deszcz. Srebrzyste krople spływały z lampy nad tylnym gankiem jak diamentowe łzy. Dewitt próbował przywołać Rusty'ego. Zagwizdał trzy nuty - tylko im znany sygnał. Ale młody pies widać uganiał się za sukami z sąsiedztwa. Pół roku temu wdarł się przez okno do czyjegoś garażu, żeby dopaść pewną labradorzycę, która akurat miała cieczkę. Dewitt wsunął broń do kieszeni i na oślep wymacał stopnie, bo dzikie wino porastające mur domu przesłaniało światło z ganku. Zaklął, gdy uderzył się nogą o taczki. Dlaczego u licha nie są schowane w szopie? Najlepiej zrobi, jeśli

83

wróci po latarkę. Lecz w chwili, gdy zwrócił się w stronę domu, na progu stanęła zgnębiona Emmy, wyciągając ku niemu rękę z latarką. Dewitt wciąż miał nadzieję usłyszeć znajome pobrzękiwanie kolczatki. Słychać jednak było tylko szum deszczu wśród hści.

Postępując za światłem latarki, rozproszonym przez pasma mgły, James odsunął sterczącą gałąź, strząsając sobie przy tym rosę na spodnie, i zaczął się przedzierać przez zarośnięty krzakami podjazd, jak się okazało co najmniej dwa razy za wąski. Zmurszałe drewno starej szopy podkreślało dziwaczną płataninę cieni przesuwających się po dwuskrzydłowych wrotach. Sztaba służąca do ich ryglowania była wysunięta z blokującego gniazda. Skrzydło wrót wisiało swobodnie lekko uchylone. Pełen obaw zrobił krok naprzód. Poświecił wokół. Może Emmy naprawdę kogoś słyszała? Położył dłoń na kolbie rewolweru.

Coś poruszyło się w środku. Obrócił się gwałtownie i skierował snop światła w czarną otchłań wypełnioną strugami deszczu.

Równie szybko zwrócił się z powrotem w stronę szopy, gdy podmuch wiatru rozwarł wrota na oścież z przeraźliwym skrzypem zardzewiałych zawiasów. Instynktownie uniósł rewolwer, celując w majaczący przed nim kształt. Wyrzucał z siebie słowa rutynowego ostrzeżenia, nieco naprowadzając światło latarki na dostrzeżony obiekt.

I oto, może trzy metry przed sobą, ujrzał swego najlepszego przyjaciela, Rusty'ego.

Powieszono go za szyję.

5

Sobota

Czarny smutek opanował Dewitta - luksus, na jaki nie mógł sobie pozwolić w ciągu ostatnich miesięcy. Po tamtym dniu w sądzie, dla dobra Emmy, zamknął się w sobie, próbując ocalić resztki dawnego ja. Mord dokonany na Rustym niemal wytracił go z owego stanu niebezpiecznie chwiejnej równowagi. Spędził wiele godzin na deszczu, szukając choćby najmniejszego śladu; jedyne co znalazł, to skrawek mielonej wołowiny - zepsutej, sądząc po zapachu.

Za głównych podejrzanych uznał Howarda Lumbrowskiego i Billy'ego Talbota. Obu dał się we znaki poprzedniego dnia, obaj mieli więc powód, żeby się odegrać. Wiedział także, że jako biegły swymi zeznaniami posłał za kratki setki mężczyzn i kobiet. Każda z tych osób mogła zapragnąć się z nim porachować. Gdyby jednak wziął to pod uwagę, zakres poszukiwań poszerzyłby się tak bardzo, że znalezienie sprawcy nie byłoby nigdy możliwe. Wolał więc stłumić niepokojącą myśl w zarodku. Różowa poświata poranka zastała go w stanie wyczerpania. Trochę wypił minionej nocy. Niebo zasnuwała czerwona warstwa chmur, jego umysł zaś - kłębowisko wspomnień i opary szkockiej. Emmy siedziała obok przy stole. W milczeniu, skubała obwarzanek; jej gładkie zazwyczaj brwi nastroszyły się w wyrazie zmartwienia, co pewien czas rzucała ojcu zdziwione spojrzenie, jakby go nie poznawała.

- Czy moglibyśmy zrobić to dzisiaj? - spytała. Wiedział, o czym myśli. Wyczuł

to z jej tonu.

- Wolałabym to mieć za sobą. Myślę, że tak będzie lepiej dla nas obojga.

85

- Myślę, że tak - zaczął, ale głos mu się załamał i umilkł zakłopotany. Odsunął kieliszek, tak żeby go nie dosięgnąć.

- Myślę, że moglibyśmy wszystko załatwić od razu. Poprosilibyśmy Clarence'a i Briar, żeby przyszli.

- Pana Hindemana - poprawił.

To się jej nie spodobało. Odsunęła się od stołu z wyrazem niesmaku i rzuciła mu zaczepne spojrzenie.

- Odpowiadałoby mi dzisiejsze popołudnie - powiedziała, jakby jej życiem rządził bogaty rozkład zajęć. - Weź się w garść, tato.

- Wziąć się w garść? - powtórzył cicho, wyciągając rękę po kieliszek.

- Czy można zamówić kremację w tak krótkim terminie? Skinał głową. Emmanuel mu to załatwi.

- Dalej jestem uziemiona? - spytała już z holu.

Dewitt potrząsnął głową, nie była jednak pewna, czy usłyszał pytanie.

- Mogę ci jakoś pomóc? - odezwała się głosem drżącym z przejęcia.

- Cały czas mi pomagasz - odrzekł ze ściśniętym gardłem. - Nawet nie wiesz jak bardzo. Bez ciebie...

Opuścił głowę.

Przytuliła się do niego i wybuchnęła płaczem, obejmując go w geście rozpaczliwego smutku.

- Jestem z tobą, tato.

Dewitt schylił się nad nią, czując że łupie go w głowie, jakby coś mu się oblużowało pod czaszką. Gdy zadzwonił telefon, spojrzał z przerażeniem na zegarek: było wpół do dziewiątej.

- Dzięki Bogu, jeszcze zdążę - rzekł.

Obite szarą tkaniną ściany boksu w komisariacie Seaside, gdzie urzędował Peter Tilly, były obwieszane plakatami i wycinkami z kalendarzy przedstawiającymi opalonych, muskularnych pływaków płci obojga - jednak z przewagą kobiet.

Bezwstydne ciała obciśnięte głęboko powycinaną, elastyczną tkaniną, twarde sutki i umięśnione pośladki. Zdjęcie samego Tilly'ego harmonizowało z całą resztą.

Dzisiaj Tilly robił wrażenie równie sprawnego, jak na zdjęciu: chłopak z Południowej Kalifornii w każdym calu - czupryna w kolorze piasku, workowate ciuchy, złota bransoletka identyfikacyjna, błękitne oczy i mocno zarysowana szczeka. Nosił soczewki kontaktowe i nieustannie mrugał. Spod płaszcza błysnęła niklowana trzydziestkaósemka. Pretensjonalny. Dick Tracy w roli przedsiębiorczego młodzieńca. Mówił miękko, wysokim tenorem - doprawdy niezwykle głośno. Na biurku Tilly'ego leżały hantle. W tej chwili trenował właśnie prawą rękę.

86

- Dopiero co rozmawiałem z Saffoletim - rzekł Tilly. - Wiceprokura-tor okręgowy przez telefon polecił mi porozumieć się z szefem. Załatwiono nam zgodę na przeszukanie przyczepy. Papiery są w drodze. Miał już dość zwracania sobie tym głowy w weekend. Chcesz najpierw mówić z Woo-dem, czy przeszukać przyczepę?

- Nie naruszyliśmy Rameyl - spytał Dewitt. Przez grzeczność użył zaimka „my”.

- W żadnym razie. Nie po to ktoś sterczał pod jego oknem przez całą noc. Wood wynurza się rano odpicowany, żeby ruszyć w miasto, a tu nasi chłopcy go zgarniają. Koronkowa robota. Nie kantowaliśmy z Ramey. Widzisz, my tutaj nie jesteśmy tępi... tylko czasem przepracowani.

Uśmiechnął się. Miał piękne zęby i wąskie, blade wargi.

- Nie wyglądasz najlepiej. Zwłaszcza z tym spojrzeniem Dona Johnsona.

Dewitt czuł się, jakby stąpał po kruchym lodzie. Formalnie aresztowanie leżało w kompetencjach Tilly'ego. Zignorował docinki i poradził, żeby zacząć od rewizji.

- No to się rozumiemy - rzekł młody detektyw. - Od kilku lat pracuję nad pewną sprawą. Niektóre sklepy wystawiają na półkach legalnie zakupione stereo, a klientom instalują w samochodach kradzione urządzenia tej samej marki, dostarczane przez takich typków jak Wood. Dlatego właśnie bardzo mnie interesuje ten twój sprawca. Powiem wprost, o co mi chodzi. Twoje samobójstwa mają bez wątpienia priorytet. Ale mógłbyś mi rzucić jakiś ochłap... wiesz, żebym mógł z

nim chwilę pomówić... bardzo mi zależy. Spróbowałbym z niego zrobić swoją wtyczkę. Wiemy doskonale, co jest grane, a tracimy kupę czasu, na dowiedzenie winy.

- Jeśli o mnie chodzi, to się zgadzam.

- Świetnie. Dziękuję.

- Musimy zabrać mundurowego na przeszukanie. Wyczuwając niecierpliwość Dewitta, Tilly wstał.

- Kazałem jednemu z naszych być w pogotowiu. Chodźmy.

Kilka przegniłych drewnianych stopni prowadziło do zielonego domku na kółkach. Okna były zarośnięte brązową mazią. Oddział mrówek faraona sunął sznureczkiem wzdłuż pogiętej framugi i zniknął w otworze, z którego kiedyś wypadł przerdzewiały nit. Pożółkłe śmieci wdeptane w błoto tworzyły rodzaj rabatki obsadzonej papierem gazetowym. Przyczepy stały nie dalej niż trzy metry jedna od drugiej. Dewitt słyszał wyraźnie piosenkę Neila Diamonda dobiegającą z sąsiedniej rozpadającej się budy.

Dewitt podał Tilly'emu parę rękawic chirurgicznych.

- Włóż to, proszę.

- Żartujesz sobie ze mnie?

87

Po chwili wciągnął lateksowe rękawice, widząc że Dewitt już to zrobił.

- Wszystko po kolei - pouczał Dewitt. - Systematycznie i starannie. Ja się zajmę tyłem. W razie jakichś pytań czy problemów, chcę je usłyszeć tutaj, na miejscu, a nie za tydzień na wstępnym przesłuchaniu.

- Co za cuchnący chlew - stwierdził Tilly, wachlując się. Zasunięte firanki w oknach powodowały, że wewnątrz wydawało się ciaśniejsze niż było w rzeczywistości. Siedzenie samochodowe przymocowane do kilku pojemników na mleko stało na wprost czarno-białego telewizora, mającego za antenę zgięty wieszak na ubrania.

Dewitt przeszukał najpierw kuchnię. W lodówce cztery puszki piwa, ketchup, musztarda, jajka, pół litra pełnego mleka. W oszronionym zamrażalniku kilka mrożonych porcji obiadowych obok częściowo opróżnionych kratek na lód. Z tyłu utknięty woreczek z odrobiną trawki. O tak małej ilości nie warto wspominać Saffeletiemu. Drobne wykroczenie.

Gdy posuwał się wąskim korytarzykiem prowadzącym na tył przyczepy, poraził go straszliwy smród bijący z łazienki. W owym pomieszczeniu wielkości budki telefonicznej czarno-zielona pleśń porastała każdą szczelinę w tandetnej różowej glazurze, plastikową kotarę zasłaniającą kabinę z prysznicem, a także podstawę sedesu. Do przesuwania przedmiotów Dewitt posłużył się końcówką długopisu. Sypialnia sprawiała wrażenie sporej, ustawionej pionowo trumny, w której pomieściłoby się z sześciu wisielców. Odór przywodził na myśl stary, rozdeptany trampek. Pościel mogła być prana kilka miesięcy temu - trudno określić. Obok lampy stos „Playboy'ów" o postrzępionych rogach i pół słoiczka wazeliny do rąk. Ubrania w kupkach na podłodze: brudne, brudniejsze, najbrudniejsze. Dewitt odkrył niewielką ruchomą ściankę odgradzającą grzejnik do wody, a za nią kartonowe pudło z bogatą kolekcją sprzętu elektronicznego.

- Coś mam - zawołał, przenosząc pudło do zagraconej kuchni. Tilly zbliżył się i zajrzał mu przez ramię. Było tam kflka magnetofonów, zabranych z samochodów, i telefon komórkowy Panasonic. Dewitt grzebał wśród aparatów końcem długopisu, podczas gdy Tilly przytrzymał pudło.

- Ich metoda pracy polega na tym - wyjaśniał Tilly, upajając się brzmieniem własnego głosu - że facet obrabia wóz dziś wieczór, odkłada łup na bok, chowa go na kilka tygodni, aż sprawa przycichnie. Jutro puści w obieg coś, co zwędził parę tygodni temu. Wszyscy mają takie schowki. Czego dokładnie szukamy? - spytał.

- Tej drobnostki - odpowiedział Dewitt, sięgając na samo dno pudła. - Stereo samochodowe marki Pioneer, model KP 50-5-50.

Ostrożnie przekazał urządzenie Tilly'emu. Ten ujął je za krawędzie dłońmi w rękawicach. Dewitt przysunął się do światła, przewracając kartki w wysłużonym notesie. Po chwili zaczął czytać:

- Numer fabryczny: HF2117...

- To na nic - przerwał mu Tilly. - Zdrapał numery. To nic nie da.

- Nie szkodzi - uspokoił go Dewitt. - Mamy wóz McDuffa. Potwierdzone odciski Wooda na drutach pod tablicą rozdzielczą. - Dewitt wskazał na druty zakończone wtyczkami wetkniętymi z tyłu skradzionego urządzenia. - Jeśli to jest 50-5-50

zabrane z furgonetki McDuffa, to na pewno uda nam się wskazać ślady narzędzia, którym je odcięto i dopasować do siebie przewody. Chciałbym znaleźć skrzynkę z narzędziami. To by ułatwiło sprawę. Ale są szansę, że mamy go w ręku już z tym, co tu widać. Trzeba wszystko zaraz opisać i podrzucić do laboratorium w Salinas.

- W sobotę?

- Ktoś tam powinien już być. Dostali pewne dowody... - zaczął, lecz nagle ugryzł się w język.

Lumbrowski był tutejszym detektywem, a Dewitt wiedział, że policjanci z jednego komisariatu są lojalni i trzymają się razem.

- Odmówił zeznań? - spytał Dewitt, patrząc przez weneckie lustro na dużego, czarnego mężczyznę czekającego niespokojnie przy stole przesłuchań.

Standardowa procedura nakazywała odczekać między odczytaniem Mirandy a rozpoczęciem przesłuchania. Jeśli sprawca odmówił zeznań, nie wolno go było przesłuchiwać aż do czasu rozprawy. Niektórzy istotnie odwoływali się do Mirandy. Starzy wyjadacze wiedzieli jednak, że najkorzystniejsze porozumienia zawierało się, zanim cokolwiek trafiło do oficjalnego protokołu. Jedyną szansą na zwolnienie z czystym kontem była pełna współpraca z policją, zawsze jednak w obecności obrońcy.

- Nie - odrzekł Tilly. - Funkcjonariusz, który go aresztował, sądził, że jest naćpany - powiedział, przeglądając formularz. - Zażądał obrońcy.

- Ma doświadczenie. Który adwokat dziś dyżuruje?

- Mahoney. Już do nas jedzie. Znasz ją?

- Nie.

- Dużo straciłeś.

- Kiedy można się jej spodziewać?

- Niedługo. Jak ją znam, spędziła tę noc zabawiając się z wice-prokuratorem generalnym. Ona jest cholernie napalona, Dewitt... i finiszuje w różnych stylach, tak bym to określił. Teraz ma na widoku biuro prokuratora generalnego. Można by pomyśleć, że to dziwka, z tego co słyszałem kompletna nimfomanka. Dla niej co na drodze, to nieprzyjaciel - mundurowi, oficerowie, inni adwokaci, personel prokuratora okręgowego...

- Masz może kawę?

- Jeśli można to nazwać kawą.

Pięć minut później Dewitt wszedł do pokoju, niosąc filiżankę zbyt mocno palonej kawy. Pokój przesłuchań przesiąknięty był odorem dymu

89

papierosowego i potu, który zmieszał się z zapachem kawy. Dewitt przełknął pierwszy łyk i odsunął filiżankę jak najdalej od siebie.

Wood nie zwracał na niego uwagi. Wiedział, że Dewitt nie był jego obrońcą. Pewnie znał ich wszystkich z nazwiska.

- No to wpakowaliśmy się w wielkie kłopoty, Marvin - odezwał się Dewitt.

Żadnej reakcji.

- Wielkie przez wielkie W. W jak wyrok śmierci.

Chwilę odczekał.

- Nie myślisz chyba, że przychodziłbym tu w sobotę, gdyby chodziło o kradzież stereo. Zastanów się, Manin - zaszedł go od tyłu i przemawiał, stojąc za jego plecami. - Wiesz, jak cały ten system działa. Dlaczego, u diabła, detektyw z Carmel miałby w sobotę rano wzywać na rozmowę takiego zwykłego złodzieja, jak ty?

- Poczekamy, nie pali się. I nie jestem dla ciebie żaden Manin, glino. Mówi się do mnie per Wood. Jak ten mój facet się zjawi, możemy pogadać.

- A kiedy to adwokat w czymś ci pomógł, Perwood? Tak naprawdę pomógł? To ja ci mogę pomóc. Ja prowadzę tę sprawę. Nie detektyw Tilly.

1 nie posterunek Seaside. Ta sprawa jest moja. Jeśli masz coś do sprzedania, chcesz się dogadać, to musisz się zwrócić do mnie. Czekaj sobie na swojego obrońcę, ale jak twój adwokat się do tego wtrąci, narobi tylko zamieszania. Cholernego zamieszania. Kapujesz? A wiesz dlaczego? Bo to jest śledztwo w sprawie dwóch zabójstw, Marvin. I zgadnij, kto jest głównym podejrzanym?

Znów stanął na wprost niego po przeciwnej stronie stołu, patrząc mu w oczy, które zachowały kamienny wyraz.

- Słuchasz, Perwood?

Wood przechylił się na jeden pośladek i głośno puścił baka, lekko się

uśmiechając.

- Słucham, białasie. Ale lepiej poczekam na mojego faceta. Smród był nie do wytrzymania. Dewitt włączył wentylator.

- Tu nie ma żadnego białasa, Perwood, jest detektyw Dewitt, więc lepiej przymknij swoją niewyparzoną gębę. Mówię o dwóch morderstwach. Zatrzymał się przy drzwiach, licząc na to, że tamten zmieni zdanie. Drzwi rozwarły się na oścież i wtargnęła pani adwokat.

- Jak rozumiem, detektywie - zaczęła, nie tracąc czasu na przedstawianie się - mój klient domaga się reprezentacji adwokackiej. Tu za mną są drzwi. Poproszę pana kiedy, i jeżeli, będziemy gotowi.

Pani Mahoney zdjęła żakiet, poczytała coś w aktach, a potem spojrzała na Wooda. Stała przed nim wyprostowana jak struna, ze sterczącymi piersiami, których sutki przeświecały przez przezroczystą tkaninę. Twarz miała drobną - wysokie kości policzkowe, wystająca broda, haczykowaty nos. Oczy jak u kota. Wood wlepił wzrok w jej piersi. Wcale jej to nie peszyło. Usadowała swój zgrabny tyłeczek na krawędzi stołu, spódnicę

90

podciągnęła do pól uda, odsłaniając długie, smukłe, muskularne nogi. Dwie różne kobiety: sądząc z twarzy istota nieśmiała, delikatna, zakompleksiona. Poczynając od szyi w dół: wyzywająca i zwierzęca.

- Czekamy, detektywie.

Dewitt wyszedł do małego pokoiku i zamknął drzwi.

- Nieprzystępna baba - rzucił Tilly'emu. - Istna piła.

- Powiedz to tym, którzy ją przelecieli. Nieźle się uśmieją. Chodzą o niej takie gadki! Mówią, że wargami wysłałaby korek z butelki wina. I nie mówię tu o jej ustach.

Wreszcie poprosiła Dewitta. Gdy wszedł, zlustrowała go od stóp do głów, jak rzeźnik oglądający taksującym spojrzeniem połec mięsa. W tym przypadku raczej sflaczały ochłap. Wlepiła w niego wzrok. Wierciła się niespokojnie na krześle, koniuszkami języka wodziła po wilgotnych wargach, które ułożyła w przymilnym uśmiechu. Przyglądała piórka - ciągle coś poprawiała na sobie, wygładzała, rozprostowywała... Głos miała z natury łagodny. Włosy układające się w blond pasemka. Dewitt ocenił ją na tuż po trzydziestce. Był przekonany, że nosi barwione soczewki kontaktowe. Zieleń jej oczu nie mogła być naturalna. O mało jej nie poprosił, żeby przestała wyprawiać te figle językiem.

- Z tego co wiem, detektywie, pana obecność tutaj wskazuje na -jakby to określić? - większe zainteresowanie moim klientem, niż mogłyby to uzasadnić stawiane mu zarzuty.

- To prawda, pani mecenas. Właśnie wyjaśniłem to przed chwilą Perwoodowi. Wcale go to nie zainteresowało.

- Zainteresowało, białasie. Tylko musiałem poczekać na...

- ... swojego faceta - dokończył za niego Dewitt.

Miał nadzieję, że zirytuje Leale Mahoney, która zrobiła na nim wrażenie kobiety dumnej z kariery zawodowej na polu prawa karnego -dziedziny do niedawna opanowanej przez mężczyzn. Przydałoby się wbić klina między tych dwoje.

- Czy jestem właściwie poinformowana, detektywie, że kieruje pan śledztwem w sprawie ostatnich zabójstw i że zatrzymanie pana Wooda ma z tym jakiś związek?

- Nie dam się wrobić w żadne morderstwa - warknął Wood niskim, gardłowym głosem.

Niektórzy adwokaci doradzali swoim klientom, by wtrącali się co drugie zdanie, rozpraszać w ten sposób uwagę prowadzącego przesłuchanie. Dewitt sprawdzał grunt.

- To zależy od twojej gotowości do współpracy, Perwood. To co mam do powiedzenia tobie i pani mecenas, to to, że my, że ja mogę was wpakować w nie lada kłopoty. Jasne? W tych aktach mam - rzekł, wznosząc ku nim teczkę - niezbity dowód wiążący ciebie z furgonetką, w której znaleziono zamordowanego mężczyznę.

91

Czekał na reakcję Wooda. Rozczarował się jednak, gdy ten okazał kompletne zaskoczenie.

- Nazywam to współpracą. Oprócz mnie, po drugiej stronie tego lustera kilku

gliniarzy wprost się skręca z niecierpliwości, żeby cię przyłapać na większej kradzieży...

- Gdzie ty masz większą kradzież, człowieku? Rąbnąłem tylko samochodowe stereo.

- Rąbnąłeś ich co najmniej pół tuzina. Zrobiliśmy mały przegląd twojego grzejnika do wody, jeśli wiesz, o czym mówię.

- Oż ty, glino! Człowieku, przez ciebie wykopią mnie z roboty.

- Pan Wood niepokoi się, że anulowanie zawieszenia jego wyroku na skutek ostatnich oskarżeń spowoduje utratę jego dotychczasowego zatrudnienia - wyjaśniła pani mecenas, strzepując jakiś pyłek z wypchanego poduszka ramienia.

- Skoro tak lubisz swoją pracę - powiedział Dewitt - zacznij mówić. Leala Mahoney zajrzała do dokumentów.

- Warunki ostatniego zawieszenia wyroku pana Wooda głoszą, że powinien pozostawać nieprzerwanie w stosunku pracy przez co najmniej osiem miesięcy, oraz że w razie ponownego postawienia go w stan oskarżenia o wykroczenie natury kryminalnej, będzie ponownie sądzony, z dopuszczalną karą do czterech lat więzienia bez możliwości zawieszenia.

- Cztery lata, słyszysz Perwood? Kawał czasu spędzisz z wypiętym tyłkiem. Ani się obejrzyysz, jak kumple z celi cię przecwela - powiedział z naciskiem Dewitt.

- Co o tym sądzisz? No, ale cztery lata to jeszcze nic w porównaniu z życiem.

- Pierdolę to - rzekł Wood.

- Tu bym się z tobą nie zgodził. Powiedziałbym raczej, że to ciebie będą pierdolić. Pani wybacz - zwrócił się do Leali Mahoney, która wyglądała na rozbawioną. - Lepiej to sobie przemyśl... grozi ci dożywocie. Może uda się temu zaradzić. Może jest jeszcze jakieś rozwiązanie.

- Co mi tu będziesz pieprzył, białasie. Jestem spalony.

Dewitt spojrzał, pytająco na adwokatkę, która czytając akta Wooda, skinęła głową. Wood znał warunki zawieszenia lepiej niż ktokolwiek inny. Widać było, że ma doświadczenie.

- Jeszcze cię nie oskarżono, Perwood. Rozmawiamy sobie tylko. Aresztowano cię na podstawie podejrzenia,

Wood spojrzał na Dewitta z powątpiewaniem.

- Gówno prawda! Co chcesz mi powiedzieć?

- Właśnie, co dokładnie chce pan przez to powiedzieć, detektywie? - spytała Leala Mahoney, znów wiercąc się niecierpliwie.

- Ucieszyłaby mnie chęć współpracy ze strony pana Wooda. Jeśli zdobęde potrzebną informację i jeśli w dalszym przebiegu śledztwa okaże się, że pan Wood nie był bezpośrednio zamieszany w te zabójstwa...

- Nie wciskaj mi tu żadnych zabójstw.

92

- Nie widzę powodu, dlaczego pan Wood nie miałby być oczyszczony z obecnych zarzutów. Moglibyśmy poprosić go później na świadka. Tilly mogłby zwrócić się do niego o pomoc w innej sprawie. To wszystko jest do uzgodnienia, pani mecenas. Upewniła się, że jej klient rozumiał propozycję Dewitta.

- Pomogę ci, człowieku - odezwał się Wood.

- Panie Wood, pokażę panu kilka fotografii. Jedną - kremowego pickupa marki Chevrolet przerobionego na wóz kempingowy. Drugą - samochodowego urządzenia stereo Pioneer KP 50-5-50. Zgodnie z oświadczeniem żony denata, stereo skradziono z pewnością jedenastego stycznia w ciągu dnia lub wieczorem. Może o świecie dwunastego.

Podał zdjęcie Woodowi, który przyjrzał mu się obojętnie.

- Właśnie to stereo znaleźliśmy w pana schowku. Chciałbym wiedzieć, skąd się tam wzięło. Chciałbym dokładnie wiedzieć, gdzie parkował tamten wóz. To jest jedyna rzecz, na której mi zależy.

- Do diabła, człowieku, balona ze mnie robisz? Niby kiedy to miało być? Dewitt powtórzył:

- W środę, Perwood. Albo bardzo wcześnie rano w czwartek. Dwa, trzy dni temu. Wood podrapał się w głowę.

- Myślisz, białasie, że prowadzę dziennik, czy co? Skąd u kurwy nędzy mam pamiętać?

Przedrzeźniał go:

- Pioneer pięćdziesiąt ileś tam. Co za bzdura.

- Skąd kradniesz urządzenia stereo?

- Kto ci powiedział, człowieku, że ja ukradłem jakieś stereo? Obejrzał się na adwokatkę.

Leala Mahoney zmarszczyła brwi z niezadowoleniem.

- Panie Wood, na pana miejscu zastanowiłabym się nad tym, co mówię. Detektyw proponuje panu pewien kontrakt. Może się pan wybronić od tego oskarżenia, jeśli ruszy pan głową.

- Kapujesz, białasie, ja słucham co mi mówisz, tylko, kurwa, nic nie wiem o żadnym pięćdziesiąt coś tam.

- Wóz, o którym mówię - powiedział ostro Dewitt - furgonetka, rodzaj pickupa z przebudowaną skrzynią. Rany boskie, ile takich samochodów obrobiłeś w tym tygodniu? Zostawiłeś tam odciski palców. Kierowcę znaleźliśmy martwego. Widzisz jak to się układa? Twoje odciski i zwłoki. Jeszcze ci mam tłumaczyć? Proponuję, radzę ci, powiedzmy, żebyś się dobrze zastanowił, zanim zaczniesz coś kręcić. Zgoda? Ukradłeś te stereo, prawda, Marvin?

- Tak, proszę pana. To prawda. Wie pan, że to prawda - przyznał, nerwowo wodząc wzrokiem od Dewitta do adwokatki. - Ukradłem, to prawda.

- Skąd?

93

Przygryzł górną wargę i potrząsnął głową.

- Tak sobie krążę, wie pan. Widzę dobrą sztukę, to ją obrabiam. Gdzie? Cholera wie, nie pamiętam.

- Sama pani widzi, nie mogę nawiązać żadnego kontaktu - zwrócił się Dewitt do Leali.

- Panie Wood - odezwała się do swego pupila ciepłym głosem - detektyw Dewitt bardzo by sobie cenił, gdyby pan opisał mu miejsca, z których można ukraść stereo, miejsca, gdzie najmniej się ryzykuje. Jeśli pan nie pamięta akurat tej furgonetki, to trudno. Ale gdzie pan był w tym tygodniu?

Wood kiwał głową w zamyśleniu, jakby rozmawiał sam ze sobą. Oczywiście było, że nie ufa żadnemu z nich.

- Znaczy się, pytacie mnie jak jakiegoś eksperta, czy coś w tym rodzaju? - odezwał się do Dewitta. - O to tej dziwce biega?

Pani Mahoney błyskawicznie wymierzyła Woodowi policzek. Potem ujęła go pod brodę, takim samym gestem, jakim Dewitt zwykł był brać pod brodę Rusty'ego, i powiedziała jadowniczo:

- Nie jestem dziwką, panie Wood. Nie jestem cipą. Nie jestem lachą. Nie jestem cizią. Jestem pana obrońcą. Mam własne nazwisko i albo będzie się pan do mnie zwracał jak należy, albo poszuka pan sobie innego obrońcy z urzędu, tylko że on może się okazać znacznie mniej tolerancyjny niż ja. Czy jasne?

Dewitt pierwszy raz widział, żeby obrońca z urzędu uderzył podejrzanego. Wooda mniej to zaskoczyło. Jego rozdęte nozdrza zdradzały wściekłość, lecz nie odezwał się ani słowem.

- Jasne?

- Kapuję - odrzekł.

- Skąd mogłeś ściągnąć to stereo? - spytał Dewitt.

- Kina są niezłe, albo motele, park miejski, albo wie pan, jak jest mecz czy coś takiego. Niektóre mniejsze bary. Biurowce. Podziemne garaże, wie pan, wieczorami. No wie pan, takie miejsca, gdzie ma się pewność, że nikt nagle się nie pojawi. Widzi pan, są faceci, co obrabiają wozy w biały dzień, taka minutowa robota. Najczęściej mają wpadki... próbują i próbują... Sprytny gość tak nie robi. Sprytny gość zaczeka aż się ściemni i wypatrzy ciche miejsce. Zrobi jeden wóz, albo dwa, a potem zwinie się na kilka dni. -Wzniósł rękę i oświadczył z dumą:

- Nigdy nie wracać w to samo miejsce częściej niż raz na miesiąc. Mahoney spojrzała znacząco na Dewitta. Podchwycił jej spojrzenie.

- Więc zaznaczasz sobie jakoś, które miejsca zaliczyłeś - zauważył. -Inaczej byś się powtarzał.

- Miejsce to tak. Ale nie jakiś Pioneer pięćdziesiąt coś tam. Nie chevrolet pickup.

- No więc jakie miejsca obrobiłeś w tym tygodniu? Jakie miejsca masz teraz skreślone z listy?

94

- Teraz? Teraz już żadnych moteli. - Zagapił się w sufit. - To jest to, białasie. Chyba rąbnąłem je gdzieś blisko motelu, bo właśnie omijam motele. Wood spojrzał najpierw na Dewitta, a potem na Lealę Mahoney. Dewitt skinął

głowa.

- Popracujemy w laboratorium nad twoim samochodem - powiedział. - Przebadamy jego zawartość, no i twoją przyczepę. Jeśli się okaże, że naprawdę nie jesteś zamieszany w morderstwa, to myślę, że uda nam się wykazać twoją niewinność...
- Moja pierwsza mokra robota - mruknął Wood sarkastycznie.
- Nie wierzę, że zabiłeś McDuffa, Wood - ciągnął Dewitt - i chyba potrafię to udowodnić. Ale musisz nam pomóc. Powiedz mi o tych rzeczach, które znaleźliśmy w twoim pudle.
- Jestem ostrożny, człowieku. To tyle. Zacieram ślady, jak coś rąbnę. Dostałem pracę, dostałem zawieszenie. Wszystko się dobrze układało. Więc się pilnuję. Jak mi się zdarzy coś rąbnąć, to potem siedzę cicho ze trzy tygodnie, albo i dłużej, zanim to puszcze w obieg, słyszysz? Jak się dowiem, że w Seaside wściekają się o te wszystkie samochodowe bzdety stereo, które gdzieś wsiakają, to schodzę im z drogi. Najmniej trzy tygodnie, a potem opylam je dajmy na to w San Jose albo w Santa Cruz, nie jestem żaden amator, człowieku.
- O nie, nie jesteś amatorem - zgodził się Dewitt. - Nikt by ci tego nie zarzucił.

Po chwili milczenia spytał:

- Które motele skreśliłeś z listy?

Pomyślał, że może morderca usunął wszystkie rachunki, żeby ukryć, w którym konkretnie motelu czy pensjonacie wybiera swe ofiary. Przez chwilę widział oczyma wyobraźni przemykającego się w mroku zabójcę, czatującego na ofiarę. Poczuli, że krew uderza mu do głowy. Czy w tej chwili tamten też na kogoś czatował?

- Nie wiem, człowieku - jęknął Wood. - Ni cholery. Zdaje mi się, że to był motel. OK?

Dewitt nie potrafił powiedzieć, czy tamten podsuwa mu informację, której -jak sądzi -spodziewają się po nim, czy rzeczywiście mówi prawdę.

- W Seaside? Tutaj, w Seaside? Czy w Monterey albo w Carmel?

Jeśli nie uda się zawęzić kręgu poszukiwań, informacja będzie bezużyteczna. W hrabstwie Monterey było chyba więcej moteli niż stacji benzynowych.

Wood zacisnął powieki.

- Odwal się, człowieku. Mam dość tych cholernych pytań.

- Zastanów się, Marvin - zachęcała Leala Mahoney. - On chce się z nami dogadać. Rozumiesz? Zawrzeć umowę. Nie będzie żadnych oskarżeń.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Tilly wpadł jak bomba, psując szyki negocjatorom.

95

- Nie masz prawa tego proponować, Dewitt! - krzyczał.

- Peter! - przywołał go do porządku Dewitt.

- Co pan na to, detektywie? - spytała Leala.

- Jak chcesz kupczyć oskarżeniem o zabójstwo - ciągnął Tilly - to twoja własna głupota i nic mnie to nie obchodzi, ale nie obiecuj, u diabła, „żadnych oskarżeń”. Bez porozumienia z Saffeletem. Bez przedyskutowania pewnych szczegółów.

- Nabieracie mnie? - spytał przerażony Wood. Leala Mahoney i Dewitt popatrzyli na niego.

- Kurwa mać! Chcecie mnie wykiwać?

- Wyjdź stąd, Tilly! - krzyknął Dewitt.

- Nie wolno ci tego przyrzekać - powtórzył detektyw. - To nie w porządku - zwrócił się do adwokatki.

- Wynocha! - Dewitt postąpił krok ku niemu. -I zamknij za sobą drzwi. Tilly wycofał się.

- Co to za numery? - spytał Wood. - Nabieracie mnie?

- Słucham pana, detektywie - rzekła Leala Mahoney.

Dewitt wlepił wzrok w lustro, jakby widział przez nie Tilly'ego, który z pewnością tkwił po drugiej stronie, z uchem przyklejonym do słuchawki.

- Detektyw Tilly też będzie chciał ci zadać parę pytań. Mówiłem o tym na początku. Jeśli jednak okażesz chęć współpracy, pełnej współpracy, to nie ma powodu, by postawić ci zarzut.

- Gówno prawda. Nabierasz mnie i tyle. Szykujesz jakieś parszywe draństwo.

Wszyscy jesteście tacy sami, białasie. Cały czas kłamałem, człowieku. Słyszysz? Nie wiem o niczym, o żadnym chevroletcie! Niczego nie wiem!

- Marvin - błagała Leala Mahoney - nie rób tego. Zaufaj mi. Wood popatrzył na

nią.

.- Żądam innego obrońcy. Ma być facet, a nie jakaś cizia –powiedział. Mahoney natychmiast wzięła się do pakowania teczki, poruszając się sztywno i niezręcznie. Dewitt, zmordowany, oklapł jak przekłuty balonik.

- Głupiec na ciebie – rzekł do Wooda.

Zaczekał na adwokatkę i razem opuścili pokój przesłuchań. Gdy zamknął drzwi, powiedziała:

- Chciałabym pogadać z panem prywatnie, jeśli ma pan chwilę czasu. Nie czekała na odpowiedź; kręcąc biodrami ruszyła wąskim korytarzem i zniknęła za narożnikiem.

Wszedł za nią do pokoju wypoczynkowego dla personelu, wyposażonego w dwie wygniezione kanapy, kilka miękkich krzeseł, trochę zmielonej kawy i dwa automaty – z wodą sodową i z przekąskami. Leala siedziała na kanapie ze spódnicą wysoko zadartą, bez pantofli, zajęta rozcieraniem stopy. Kiedy pochyliła się, żeby rozmasować palce, zaprezentowała Dewittowi swe opalone piersi w całej okazałości. Przemknęło mu przez myśl pytanie, czy zdawała sobie z tego sprawę. Stwierdził z całą pewnością, że tak.

96

- Co za sprawa! – skomentowała.

- Myślałem, że mamy o czymś pomówić – rzekł, zbyt późno zdając sobie sprawę, że mogła wziąć jego słowa za zachętę.

- Ja też – odparła cieplejszym tonem, wpatrując się w niego zielonymi oczami.

- Miała pani już kiedyś do czynienia z Tillym?

- Detektyw Tilly ma rozum nie w tym miejscu, gdzie zwykle powinien się znajdować – rzekła, pochylając się i roztaczając przed nim ten sam widok.

- Zadzwoń pani po innego adwokata? – spytał.

- Do diabła z nim – odrzekła. – Niech Tilly się o to martwi. Ja skończyłam z tą sprawą.

- Co pani o tym myśli?

- O tym co powiedział?

- Czy zwyczajnie podsuwał mi to, co chciałem usłyszeć, czy mówił prawdę?

- Chciałby pan znać moją opinię? Mało kto pyta mnie o opinię.

- Ja pytam.

Był zbyt zmęczony, by tolerować jej gierki. Przeczesała włosy palcami.

- Naprawdę obrobił tę furgonetkę. I myślę, że rzeczywiście w jakimś motelu i że więcej nie pamięta. Sądząc z jego kartoteki, gdzieś w Seaside.

Dewitt skinął potakująco.

- Też tak myślałem. Z kartoteki... sądziłbym, że w Seaside, ale... Leala Mahoney przerwała mu.

- Może byśmy pomówili o tym później?

- Później? – Dewitta zdziwiła irytacja, którą usłyszał w jej głosie. Ona tymczasem pochyliła się, odsuwając na bok pantofle.

- Wyglądasz na trochę zmęczonego. Napiętego. Robię marną kawę, ale za to doskonałą gorącą kąpiel, mam łazienkę z cudownym widokiem i wspaniale masuję plecy. W końcu mamy sobotę.

A więc to było zaproszenie. Dewitt nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Masaż zawsze pomaga mi się odprężyć – powiedziała, przesuwając dłonią po włosach. Przymknęła oczy i westchnęła, zwracając uwagę na wdech i jego korzystny wpływ na kształt biustu.

Eskalacja. Od rozcierania pleców do pełnego masażu.

- Co ty na to? – spytała uwodzicielskim tonem.

- Co ty wyprawiasz? – spytał Dewitt.

Był zbyt zmęczony. Wiedział, że powinien się opanować, ale jakoś samo mu się to powiedziało.

- Skąd u ciebie ta poza show-girP. Popisujesz się, jakbyś tylko jedno miała w głowie. Nie dam się na to nabrać. Jesteś na to za bystra. Masz pod ręką pełno takich facetów jak Tilly. Czy to dla ciebie jakieś wyzwanie? Jakiś dreszczyk? Wstał.

7 – Kluczowy dowód

97

- Boże Wszechmogący! Masz tu sprawę do załatwienia, czy prowadzisz indywidualne

sanatorium? Kawa i masaż! Dowiedz się, że usiłuję zatrzymać przeklętego zabójcę, jeśli nie czytujesz ostatnio gazet. Twój klient ma dla mnie potrzebną informację. Dlatego tu jestem. Co sobie do licha wyobrażasz?

Wstała.

- Zapomnij o tym, Dewitt! Idź do diabła.

Jej twarz ściągnęła się jak zgnieciona papierowa torebka. Rzeczywiście nosiła szkła kontaktowe. Jedno ze łzami spłynęło jej po policzku. Odwróciła się do drzwi.

- Leala! - Dewitt próbował ją ułagodzić, zdając sobie sprawę, że posunął się za daleko. Zdecydowanie za daleko.

Zatrzymała się na chwilę, by powiedzieć:

- Do zobaczenia kiedyś w sądzie, detektywie. Życzę powodzenia. Będzie to, co ma być.

Jej wymuszony uśmiech nie wróżył nic dobrego.

Dewitt wrócił do swojego biura w Car-

mel. Rzucił okiem w kącie przy gabinecie z aktami, mając nadzieję, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, że zobaczy Rusty'ego.

- Dobrze się pan czuje? - spytał Nelson, unosząc głowę znad stosu papierów Departamentu Sprawiedliwości piętrzących się na biurku.

- Żeby tak wreszcie wszyscy przestali mnie o to pytać... Usiadł na swoim miejscu przy biurku.

- A więc - rzekł - sądzisz, że na coś trafiłeś. Nelson z namaszczeniem położył przed nim teczkę.

- Dostaliśmy ten stos ułożony alfabetycznie. Większość tych teczek zawiera akta osób, których nazwiska zaczynają się na pierwsze litery. Trochę to potrwało, żeby dojść do tych na C. Jak mogło się zdarzyć, aż tyle wypadków uduszenia się w ciągu zaledwie pięciu lat?

Dewitt otworzył teczkę. Na nalepce nazwisko Harveya Collette'a. Zdjęcie przedstawiało pociągłą, wychudzoną twarz o obojętnym wyrazie i mleczno-białej cerze. Wyłupiaste oczy i ściągnięte usta, bezlitosne i nieobecne.

- Powiedz mi o nim - rzekł do Nelsona.

- Rejon Sacramento, prawie pięć lat temu. Z tych cholernych papierów niewiele się można dowiedzieć, tyle tylko, że inscenizował uduszenia się, żeby zatuszować gwałty. To co rzuciło mi się w oczy, to użycie uszczelniającej taśmy z PCV i węża ogrodowego. To diablo podobne, sierżancie. Przejrzałem wszystko - powiedział, wskazując na piętrzący się stos.

- Gdyby ten facet nie siedział już w wariatkowie, myślałbym, że to on załatwił Osbourne'a i McDuffa.

98

-PCV?

- I wąż ogrodowy.

- Symulowanie uduszenia się?

- Aranżował to tak, żeby upozorować samobójstwa. Cała sztuczka polegała na tym, że dusił ofiary aż straciły przytomność, gwałcił, a potem, zanim zdążyły dojść do siebie, częstował spalinami. Wyglądało zupełnie jak samobójstwa. Dopiero Nakimita się na tym poznał - rzekł, myśląc o legendarnym lekarzu sądowym. - Znalazł włókna bawełniane na językach wszystkich pięciu ofiar. Z powłoczek na poduszki. Uznano faceta za niepoczytalnego i zamknięto w Atascadero, gdzie siedzi do tej pory.

- Dobra robota, Nelson. Pójdę tym śladem. Masz ochotę zająć się jeszcze jedną rzeczą? Wiem, że ten weekend miałeś mieć wolny. Jeśli chcesz, zlecę to naszym służbom specjalnym.

- Jestem do dyspozycji.

Dewitt wyciągnął raport laboratoryjny Clare.

- Chodzi o ten pleksiglas z zakładów rafinerijnych Philippsa. Muszę znać typowe zastosowania tworzywa, dostępność na rynku i punkty sprzedaży w naszym rejonie. Rozumiesz?

- Do czego się tego używa i kto może to mieć.

- Otóż to.

- No nie wiem, w sobotę...

- Rafinerie pracują bez przerwy całą dobę. Ktoś powinien coś wiedzieć. Prawda? - spytał Dewitt.

- Tak nas uczyli. Jeśli wierzyć w to wszystko, czego nas uczą.

- Jak się z tym uporasz, zapytaj jeszcze o coś w służbach specjalnych. Oni mają

swoich informatorów w szkole średniej. Wśród dzieciaków krążą plotki, że John Osbourne przewoził dwadzieścia gramów koki, która jak się zdaje nigdy nie została dostarczona. My z całą pewnością jej nie znaleźliśmy przy zwłokach. Przydałyby nam się ze dwa nazwiska. Sprawdź, co oni mają.

- Myśli pan, że zabójstwa mają związek z narkotykami?

Dewitt potrząsnął głową.

- To się nie da powiązać z Harveyem Collettem. Nie, nie sędzę. Moim zdaniem, mamy do czynienia z szaleńcem imitującym cudze zbrodnie. Ale kto może to wiedzieć na pewno?

Komendant Karl Capp mieszkał w osiedlu na północnym skraju Seaside. Dewitt czuł się niezręcznie, zakłócając mu spokój w weekend, mimo że uprzedził telefonicznie o swej wizycie. Capp nie lubił zajmować się sprawami służbowymi po godzinach

99

pracy. Jego żona Charlotte wyglądała niby Święty Mikołaj w spódnicy - korpulentna kobieta o bladej cerze i różowych policzkach. Nogi miała poznaczone węzłami żyłaków.

- Mąż jest w domu - powiedziała zdawkowo, gdy zobaczyła Dewitta. Dewitt wytarł obuwie o gumową wycieraczkę z napisem: WITAJ

W DOMU! Zastał Cappa w małym saloniku. Nagle wydało mu się to niezwykle, gdyż dotąd, kiedy się spotykali, Capp przeważnie siedział. Przypominający zabawkę kudłaty pudel w różowej obroży, wyskoczył zza ciemnozielonego, winylowego fotela i ochoczo zamachał sztywnym ogonkiem. James nie dotknął go. Capp miał twarz pokerzysty.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Nie powinno.

- To dobrze.

Dewitt zrelacjonował mu ostatnie wyniki Clare oraz odkrycie istnienia Harvey'a Colette'a, po czym rzucił tytułem próby:

- Skoro składam ci sprawozdania, chciałbym mieć twoją zgodę na nałożenie nadzoru nad Lumbrowskim i doprowadzenie go jak najszybciej na przesłuchanie. Chcę również...

- Na jakiej podstawie? - przerwał mu komendant.

- Oleju silnikowego - odrzekł Dewitt. - Mamy go jak na tacy. Dysponujemy dowodem, że był w obu miejscach zbrodni.

Komendant przemierzył swój mały salon, z pudlem towarzyszącym mu wiernie krok w krok i machającym kikutem ogona. Dewitt poczuł ukłucie w sercu na wspomnienie Rusty'ego.

- Jest jeszcze naoczny świadek - przypomniał.

- Zapomnij o świadku, Dewitt - powiedział Capp. - Był zbyt daleko, żeby się na coś przydał. A co do oleju... wiesz, że Lumbrowski wybronił się przed zajęciem samochodu?

- Co takiego?

Zdawało się, że Capp potyka się na każdym słowie.

- Słyszałem, że próbowałeś zatrzymać jego wóz... Zakwestionował nakaz bo były niedopatrzienia formalne. Jeśli masz do czynienia z Browem, musisz dokładnie określić zarzut i wiedzieć przeciw komu występujesz. O ile się orientuję, wchodziły w grę pewne względy proceduralne. On jest gliną dłużej niż ty. Mógłbyś go wezwać na przesłuchanie, ale zająć pojazd można tylko na podstawie konkretnych zarzutów albo w razie pogwałcenia zasad ruchu drogowego. W każdym razie wygrał. Wiceprokurator okręgowy dyżurujący pod telefonem nie mógł się skontaktować z Saffeletem, a sam nie chciał się w to mieszać. Tak więc, jeśli o mnie chodzi, nie sędzę, żeby ten olej w czymś ci pomógł, póki nie poskładasz do kupy swoich dowodów.

Dewitt zdziwił się, że Capp już w sobotę zna wszystkie szczegóły incydentu z piątkowego wieczoru. W dodatku Capp sprawiał wrażenie, jakby niechcący wygadał się z sekretu.

100

- Tak czy owak, był w obu miejscach zbrodni.

- Chcesz powiedzieć, że był na tych parkingach. Czy był w miejscach zbrodni?-to trzeba dopiero udowodnić. Pozwól, że powiem ci o nim coś, o co byś go nigdy nie

posadzał. Ten facet spaceruje po plaży każdego ranka o bladym świetle. Wspomina swoją starą. Dawniej zawsze spacerowali tak razem i kiedy... umarła, zachował ten zwyczaj.

- I znalazł się tam przypadkiem? To mi chcesz powiedzieć? Przemawiasz jak obrońca w sądzie.

- Słuchaj, Dewitt, zgódź się ze mną: jesteś zestresowany tą sprawą. Szukasz igły w stogu siana. Posłuchaj mojej rady, chłopie: musisz zwolnić obroty. Dwa zabójstwa w ciągu trzech dni... czterech z dzisiejszym... rzuciłeś się na to jak wariat. Zaczekaj trochę, Dewitt, rozejrzyj się spokojnie. Takie sprawy ciągną się czasem latami. Zgadza się przecież, że to seryjny zabójca? Hindeman mówi, że masz świra na punkcie tej sprawy. Niech będzie. Jesteś jednak moim detektywem. Doświadczenie uczy, że powinieneś przystopować i przygotować się na długi podjazd. Postępuj tak dalej, a wypalisz się przed końcem tygodnia. Dewitt kiwnął głową, zbyt znużony, żeby wysłuchiwać tego rodzaju wykładów. Hindeman, to co innego. Musiał jednak pamiętać, że był podwładnym Cappa. Musiał zastosować się do przyjętych reguł. Zawahał się, zanim zapytał:

- Nie słyszałeś przypadkiem o kilku dodatkowych kopiach moich sprawozdań krążących po mieście?

Twarz komendanta oblała się szkarłatem. Jego świńskie oczka chciały przewiercić Dewitta na wylot. Pudel merdał ogonem i usiłował schwycić Cappa za nogę, brzęcząc łańcuszkową obrozą jak dzwonkiem. Capp odepchnął go kopnięciem i pies wycofał się na bezpieczne pozycje w kuchni.

- Nie wiem o czym mówisz - spróbował.

- O nie udokumentowanych kopiach bieżących raportów - rzekł Dewitt, starając się, żeby to zabrzmiało jak cytata z regulaminu. Wiedział, że istnieją urzędowe instrukcje w tych sprawach, choć wątpił, czy zostały ujęte w formę precyzyjnych reguł.

- Oskarża mnie pan o coś, sierżancie? - spytał Capp.

- Sugeruję - powiedział Dewitt ostrożnie - że mógł pan skopiować jeden lub więcej raportów śledczych i zapomnieć o wpisaniu kopii do rejestru.

- Mogę zaglądać do wszystkich cholernych akt, kiedy mi się tylko spodoba. Skąd u diabła...

Capp sztywno pokiwał głową. Skapitulował. Dobrze wiedział, kiedy należy przejść na inne pozycje.

- Tak więc muszę utrzymywać zapiski w porządku - dodał Dewitt, dając Cappowi pole do manewru. - Tony papieru. Jak dojdzie do roz-

101

prawy, będziemy musieli wykazać, że mamy we wszystkim porządek. To miałem na myśli.

- Tak, no pewnie. Całkiem słusznie.

- A mogę wiedzieć, dlaczego interesują pana te raporty? Może mógłbym pomóc...

- Interesują? Ta sprawa mnie podlega, sierżancie. Dlatego mnie interesuje! Szczerze mówiąc, wątpię w pana kompetencję, w pana doświadczenie.

Capp rzucił mu złośliwe spojrzenie, a mięśnie szczęki napięły się, gdy zacisnął zęby.

- W poniedziałek doprowadzimy wszystko do porządku. Poruszał się powoli. Dewitt niemal odczuwał ból w każdym jego stawie zbyt obciążonym nadmiarem ciała.

Przełknął gorzką pigułkę. Byłoby niestosowne - i nierozsądne - gdyby próbował dalej się w tym grzebać. W końcu Ginny mogła się mylić. Cisza, która zapanowała po ostatniej wymianie zdań, z niezręcznej urosła do klaustrofobicznej. Tylko pudel, nieświadomy napięcia, znów zaczął drapać swego pana w łydkę. Przypominał Dewittowi szczura-albinosa z trwałą ondulacją.

Capp zostawił otwarte drzwi. Pudel wystrzelił przez nie jak biała, futrzana kula. Capp przywołał go gniewnym, warkliwym głosem. Gdy Dewitt znalazł się na zewnątrz, a pies wrócił do domu, Capp zamknął drzwi.

Dewitt przeszedł krótką, wyłożoną kamieniami ścieżką do podjazdu, gdzie zostawił zephyra. Kroczył ze spuszczoną głową, zatopiony w myślach, układając sobie w pamięci istotne fragmenty rozmowy. Dochodził do samochodu wciąż wpatrzony w żółtawy beton podjazdu. Tuż przed czubkami swych znoszonych butów, jakiś metr od zephyra, ujrzał znany trójkąt oleju silnikowego.

Znów Lumbrowski.

Dewitt zerknął za siebie w kierunku domu. Capp, z pudlem w ramionach, przyglądał mu się przez okno. Nie odrywając wzroku od Dewitta, pogłaskał pudła, potem

obrócił się i zniknął.

Mężczyzna tkwił skulony przy płocie ogradzającym myjnię samochodową. Jej otoczenie było zasypane spłowiałymi, pozwijanymi przez deszcz odpadkami - pamiątka po podróży. Kilka butelek plastikowych i mnóstwo wyblakłych puszek po napojach leżało wdeptanych w błoto, choć te aluminiowe w większości powybiali zbieracze śmieci, by sprzedać je na złom. Było to ulubione miejsce kotów.

102

1

Uwielbiały ten płot. Lubiły grzebać się w stosach śmieci. Hałasowały o każdej porze dnia i nocy, wrzeszczały morderczo przy spółkowaniu, pazurami próbowały utrzymać się na powierzchni nędznej egzystencji. Były uciążliwe - należy wątpić, czy ktokolwiek oprócz mężczyzny mógłby je docenić. Jeśli chodzi o niego - były pożyteczne.

Sięgnął do torebki z pokarmem dla kotów Kitty-Bitty. Starannie odliczając po jednej sztuce, porozkładał sucharki wzdłuż szlaku. Uważał na każdym kroku - zawsze, przez całe życie, całymi latami, i nie miał zamiaru teraz się zmienić. Skuteczna pułapka wymagała właściwej przynęty. Kitty-Bitty były najodpowiedniejsze. Miały kształt kół ciężarówki. Osiem, dziewięć... dziesiąty wepchnął sobie do ust i zaczął żuć. Jego matka mówiła: „Przeżuwaj jedzenie sto razy”. Uśmiechnął się na jej wspomnienie, kawałki kociego jedzenia weszły mu między zęby. Całkiem niezłe - smakuje trochę jak wątróbka. Przepadał za wątróbką smażoną na bekonie.

Wytyczona ścieżka prowadziła za róg budynku, gdzie wcześniej ustawił malutką miseczkę mleka z domieszką kodeinowego syropu od kaszlu. Ustawił zniszczone krzesło ogrodowe półtora metra od miseczki i usiadł. Teraz trzeba poczekać. Cierpliwości nauczył się już dawno temu. To cierpliwość sprawia, że staranne planowanie się opłaca.

Dzisiaj trwało to dłużej niż zwykle. Jakies czterdzieści pięć minut. Sparszywiały, pół ślepy kocur, którego widywał tu od kilku dni, wylazł zza rogu. Kierując się węchem, posuwał się wzdłuż wytyczonej linii. Sztwywny. Dziki jak diabli.

Mężczyzna siedział nienaturalnie spokojnie, prawie nie oddychając - był to jeden z jego świetnie rozwiniętych talentów. W tym przypadku, bardzo pożyteczny talent. Kocur wsadził brudną mordę do miseczki i wessał w siebie mleko.

To nie ciekawość zabiła kota. I nie brud. To człowiek.

Pozwolił kotu odejść, gdy ten skończył pić. Przyglądanie się było częścią zabawy. Śledzenie. Tak samo było z ludźmi. Bawiła go świadomość, że wszystko jest skończone, zanim się naprawdę zaczęło. Koty nigdy nie odchodziły daleko. Żaden z nich. Ten trzymał się lepiej niż inne. Uszedł parę kroków. Zawsze dało się rozpoznać po ogonie. Gdy kodeina dawała o sobie znać, nie mogły utrzymać ogonów w górze. Zaczynały im ciążyć. Mógł wtedy się zbliżyć, tak właśnie, jak zrobił to teraz. Kocisko obejrzało się za siebie, kierując na człowieka mętne spojrzenie wielobarwnych ślepi, niczym wynędzniały włóczęga, który słyszy za sobą kroki, lecz nie starcza mu siły, by usunąć się z drogi przechodnia.

Mężczyzna wciągnął parę grubych skórzanych rękawic i wziął kota na ręce. - Dobry kotek - szepnął mu cicho do ucha. Zabrzmiało to raczej, jak „Żegnaj kotku”. W pokoju człowiek owinał taśmą izolacyjną każdą łapę kota, unieszkodliwiając pazury. Po tej operacji kot zdawał się być ogłupiały, zaskoczony. Otumaniony gryzł jedną z oblepionych łap.

103

- Nie, nie - rzekł człowiek, wciągając kotu na łeb torbę plastikową i szczelnie obwiązując gumową taśmą podwójnie okręconą na szyi. Potem wypuścił zwierzę, pozwalając mu poruszać się po pokoju.

W ciągu paru sekund przezroczysta torba zamgliła się. Ciało nie miało już głowy ani oczu. Kot drapał łapami torbę, bez rezultatu. Szamocząc się zużywał szybciej bezcenne powietrze. Potem ruszył pędem i nic nie widząc, zderzył się z przeciwległą ścianą. Odbił się i wyprężony zaczął zataczać koła. Mężczyzna zaśmiewał się. Głupie kocisko.

Temu zajęło to jedenaście minut. Obijał się zabawnie o ściany i sprzęty w pokoju, wstrząsał gwałtownie łbem, wydawał z siebie najstraszliwszy wrzask - na nic. Mężczyzna wciąż zataczał się ze śmiechu, szczyrzył zęby uradowany, aż kocur wreszcie upadł i zastygł, dysząc spazmatycznie. Tylko przez krótką chwilę. Wkrótce zesztyniał. Mężczyzna oszalał z zachwytu. Na skali wrażeń od jednego do dziesięciu, to było jakieś sześć-siedem.

Powyżej średniej.

Rzucił ścierwo psu do zabawy, i obserwując go miał dodatkową uciechę. Pies przez chwilę krążył z nosem przy ziemi, obwąchując martwe zwierzę, tak samo, jak robił to ze skarpetkami mężczyzny, po czym wgrzył się w padlinę i oderwał nogę.

Tego było za wiele dla obserwującego.

Nie znosił widoku krwi.

Clarence Hindeman wystąpił z okazji

ceremonii pogrzebowej Rusty'ego na Point Lobos ubrany w szorty koloru khaki i tropikalną kurtkę mundurową jakiejś republiki bananowej. Point Lobos, malowniczy nadbrzeżny rezerwat stanowy, miał duże znaczenie w historii małżeństwa Dewitta, jego żałoby i powracania do życia. Postrzępione wybrzeże, zalesione miejscowym gatunkiem sosny, nieustannie wystawiane na miarowe uderzenia łamiących się grzywaczy, tworzących białą kipieli na tle szmaragdowych wód, sprawiało wrażenie zaczarowanego, bajkowego miejsca. Na omszałych, skalistych wysepkach wylegiwały się leniwie lwy morskie, chłonąc ciepło słonecznych promieni wyzierających spomiędzy obłoków. Pokraczne, sterczące konary skręcały się i wzdrygały w namiętym proteście przeciw brutalnemu naporowi wiejących do morza wiatrów. Tego popołudnia wiatr przesycony słońcą pianą i żywicznym aromatem zdawał się przytłaczać swym ciężarem przeszkody ustawione na jego drodze, gdy wdzierał się w głąb ładu. Brunatne trawy i bezlistne krzewy szeleściły uparcie, witając intruzów szeptami i pogwizdywaniem, jak ukryci w cieniu włóczędzy.

104

Hindeman, z puszką zimnego piwa w ręku, wprowadził ich na ścieżkę wiodącą przez Cyprysowy Gaj. Wyszli nią na cypel widokowy zwany Wieżą, przedzierając się pod gałęziami drzewa pochylonego boleśnie w stronę ładu, zgarbionego jak biznesmen próbujący przytrzymać kapelusz zrywany przez zimową wichurę. Natarczywy przybój huczał pod nimi, wyrzucając pióropusze białej piany kilka metrów w górę z hukami stłumionych eksplozji. Skupili się razem w zbitą grupkę, stojąc plecami do wiatru. Dewitt był wdzięczny losowi za takich przyjaciół jak Clarence i Briar. Ci dwoje należeli do rodziny.

Emmy otworzyła wieczko urny. Trochę popiołu uniosło się z wiatrem. Mała dłoń strzepnęła go z urny.

- Wygląda, jakby wrywał się na swobodę - Hindeman spróbował ich rozweselić, lecz udało mu się tylko z Dewittem, który odpowiedział wymuszonym uśmiechem. Briar rzuciła ojcu spojrzenie wyrażające głęboką dezaprobatę.

Emmy wiązało z tym miejscem wiele wspomnień - o matce, o ich rodzinnych wypadach weekendowych - i choć to ona zdecydowała, żeby tutaj przyjechać, teraz, załamana zwróciła się ku ojcu, szukając pocieszenia. Otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

- Nie musimy tego robić, Em - szepnął.

- Czy powiesz parę słów? - spytała. Odpowiedział smutno:

- Rusty i ja zawsze rozumieliśmy się bez słów. On wie dobrze, co czuję. Zawsze będzie przy mnie, Em. Zawsze. W tym sensie jest nieśmiertelny.

Wyciągnął rękę i dotknął ceramicznej urny.

Emmy wlepiła w urnę załzawione oczy, po czym spojrzała na ojca.

- Byliśmy już tu kiedyś, prawda tato? - spytała.

- Tak, Em - odrzekł i także zatonął we wspomnieniach.

Płakała. Dewitt też poczuł łzy. Nic nie bolało go bardziej niż widok płaczącej Emmy. Odezwała się:

- Myślę, że mogę tylko powiedzieć, że naprawdę kochałam Rusty'ego. My wszyscy kochaliśmy Rusty'ego, a teraz... on już na zawsze zostanie z mamą. Miał szczęście.

Dewitt objął córkę. Widział biegnącego Rusty'ego, słyszał jego szczekanie, czuł jego gorący, kwaśny oddech na szyi, jego jęzor na policzku. Cudowne uczucie.

Oparł brodę na głowie córki, moczając jej włosy własnymi łzami.

- Rusty miał szczęście - powtórzyła Emmy.

Cisnęła urnę ze skały, prochy rozsypały się szarym wachlarzem. Obróciła się i ukryła twarz na piersi ojca.

- To nie w porządku - poskarżyła się. Dewitt śledził znad jej ramienia spadającą urnę.

- Będzie mi cię brakowało, stary - szepnął.

Emmy splotła palce z palcami ojca i oboje zawrócili do samochodu. Samotni, zamknięci w swoim cierpieniu i rozpacz.

105

Howard Lumbrowski nie zamierzał kusić losu. Wstawił wóz do warsztatu, gdzie mechanicy pracowali nad nim prawie cały dzień: usunęli plomby, dokręcili sworznie i wymienili olej. Niech go sobie teraz Dewitt zajmuje; nic nie dojrzy pod wozem prócz błota, które zasypie te jego ciekawskie ślepia. Koniec z przeciekami oleju. Zamówił podwójnego drinka, swoją prywatną ucieczkę w absolut. Wypił dokładnie tyle, żeby podtrzymać bicie serca i nie dopuścić do dzwonienia w uszach. Genialnym posunięciem, jego zdaniem, było picie w knajpie „Pod Niedźwiedziem”, gdyż Dewitt nigdy nie wpadnie na pomysł, żeby go tutaj szukać; będzie rozglądał się po barach w Seaside. A nawet gdyby tu zajrzał, musiałby się porozglądać, bo mustang, zaparkowany za kręgielnią, był zupełnie niewidoczny. Żaden glina nigdy tu nie przychodził, a barman Pete był bliskim przyjacielem. Lumbrowski zostawił Bretowi numer „Pod Podkową”, z ostrzeżeniem, że Dewitt być może wkroczył już na wojenną ścieżkę. Przekonany, że Bret nigdy nie zawiedzie jego zaufania, wiedział z całą pewnością, że jeśli ktokolwiek tutaj do niego zadzwoni, to tym kimś będzie nieznany szpicel.

- To do pana - rzekł Pete, przysuwając telefon do Lumbrowskiego, jakby czytał w jego myślach.

Lumbrowski czując, że twarz mu płonie, powiedział w słuchawkę:

- Miałem mały kłopot wczoraj wieczór. Nie mogłem przyjść na randkę, kochanie.

'- Tak - odpowiedział znany głos.

- Więc?

- Pamiętaj, co mówiłem ostatnim razem?

- Podtrzymujesz propozycję? Mężczyzna podał nazwę motelu. W Seaside.

- Czekają tam na ciebie. Ja zjawię się, jeśli uznam, że jest bezpiecznie.

Lumbrowski oddał słuchawkę Petemu.

- Jeszcze jedna gwiazda czwartej ligi chce dostać lekcję aerobiku. Muszę jechać.

Motel był zbudowany w kształcie litery T i miał koło tuzina pokoi. Szyld z łamanych neonowych liter głosił: MIEJSC NIE MA. Wokół ani jednego samochodu, tylko zabiedzony pies włóczący się przed recepcją. W oknie recepcji odręczna notatka: TYMCZASOWO NIECZYNNE Z POWODU REMONTU. PROSIMY NAS JESZCZE ODWIEDZIĆ. Lumbrowski zastukał i czekał, aż ktoś otworzy. W biurze było ciemno, jedyne światło pochodziło od drugiego neonu reklamującego telewizję kablową. W drzwiach ukazał się potężny mężczyzna, przy którym Lumbrowski poczuł się niepewnie. Przez chwilę zawahał się.

- Proszę - powiedział tamten, wyraźnie zmieniając brzmienie głosu.

106

Lumbrowski zaryzykował i wszedł. Mężczyzna zatrzasnął drzwi, wcisnął mu klucz do ręki i obmacał go starannie. Znał się na rzeczy, gdyż nie omieszkał sprawdzić pachwin, co od razu dało Lumbrowskiemu do myślenia: miał do czynienia z zawodowcem. Uznał to za dobry znak. Szpicel prawdopodobnie był coś wart.

- Który pokój? - spytał, czując zimny klucz w ręku.

- Dwunasty - odrzekł niski, nierozpoznawalny głos. Też profesjonalny.

6

Niedziela

.

- Mamy następnego, sierżancie -

po-

wiedział przez telefon patrolowy.

Dewitt nie musiał pytać, o co chodzi.

- Tylko że tym razem nie w naszym rejonie - ciągnął Nelson. - Mam w domu urządzenie nasłuchowe. Monitor jest cały czas włączony. Ten, który się zgłosił, zrobił fałszywy krok. Użył radia. Postanowiłem to sprawdzić. Jestem teraz tutaj.

- Gdzie?

- Przy automacie telefonicznym. Zna pan boisko baseballowe w Seaside?

- Seaside? Brutusie, chroń miejsce zbrodni. Jeśli użyli radia, zaraz tam będzie zoo.

- Już jest. Dewitt jęknął.

- Cokolwiek tam robisz, miej na oku Lumbrowskiego. Zdażył przed nami już dwa razy. Jest poszukiwany w celu przesłuchania.

- Tym razem też nas wyprzedził - poinformował Nelson.

- Znów ten olej?

- Nie, sierżancie, nie olej. Trup w samochodzie. Facet otruty spalinami. To właśnie Lumbrowski.

Nieumiejętne wytyczenie sceny zbrodni wprawilo Dewitta w szewska pasje. Bylo za malo miejsca. Dwaj mundurowi z Seaside znajdowali sie

108

wewnatrz wydzielonego obszaru, tym samym niweczac wszelkie korzysci wynikajace z odgradzenia terenu taasma policyjna.

Pomyslna okolicznoscia byla nieobecnosc detektywow. Zadzwonil do Tilly'ego i zaazadal dopuszczenia do udzialu w sledztwie - byla to niezbedna formalnosc. Na terenie podlegajacym jurysdykcji innego komisariatu, Dewitt byl tylko gościem. Liczyl jednak na poparcie Tilly'ego. Wylegitymowal sie pelniacemu sluzbe patrolowemu i natychmiast przystapil do pracy, nie majac zludzen co do tego, ze jego autorytet moze byc w kazdej chwili zakwestionowany. Powierzyl Nelsonowi wlasciwe zabezpieczenie sceny zbrodni. Po wykonaniu wstepnych czynnosci mial przekazac wiadomosc Ginny, by zaalarmowala Clare O'Daly i doktora Emmanuela. Nagle lunal deszcz. Dewitt wrzucil na siebie nieprzemakalny plaszcz i trzymajac w pogotowiu aparat fotograficzny, ruszyl wprost do mustanga w obawie, ze straci wszystkie zewnetrzne dowody. Na czworakach badal popekany chodnik pod wszelkimi mozliwymi katami, przyciagajac kpiace, sceptyczne spojrzenia patrolowych z Seaside. Zlokalizowal slad na piasku - waski szlaczek przy drzwiach pasazera - czyzby rower? - lecz deszcz zmyl slad, nim udalo sie go sfotografowac. Wetknal aparat jednemu z umundurowanych gapiow i kazal mu sie fotografowac, gdy sam otwieral drzwi od strony kierowcy i przeprowadzal wstepne badanie ciaala. Mundurowy niechetnie wykonal polecenie. Klatka po klatce rejestrowal kazdy ruch Dewitta.

Lumbrowski stoczyl walke - znacznie bardziej brutalna niz ich ostatnie starcie. Palce mial pokaleczone, przecieta wargę; na szyi kilka brzydkich, czerwonych plam. Dewitt nigdy przedtem nie widzial takich sladow.

W chwili, gdy pochylajac sie nad cialem siegal po rolke papierowej taamy, uslyszal za soba slowa:

- To by bylo wszystko, dziekuje panu.

Glos o glębokim brzmieniu nalezal do porucznika Ricka Morna. Rick byl mezczyzna dobrze po piecdziesiatce - niedbale ubrany, lysiejacy, o przenikliwym spojrzeniu policjanta. Slyszeli o sobie wzajemnie przy okazji dawniejszych dochodzen.

- Wlaczymy pana na pewno. Na razie jednak poradzimy sobie sami. To nasz rejon. Moze sie pan tylko cieszc.

Dewitt dal znak mundurowemu, by przestal fotografowac.

- Oficer sledczy z biura prokuratora okregowego jest w drodze. Wie pan... gdzie kucharek sześć...?

- To jest element mojego sledztwa - zaprotestowal Dewitt.

- Zobaczmy - odparl Morn i spytal: - A co udalo sie panu odkryc?

Dewitt wiedzial, ze sprawa Lumbrowskiego laczy sie w sposob oczywisty z pseudosamobojstwami, nad ktorymi pracowal. Chcial uczestniczyc w tym sledztwie. Jednak stary policjant, jakim byl Mora, mial wlasne metody. Dewitt nie osmielil sie z nim walczyc. Mogl liczyc co najwyzej, ze Morn od czasu do czasu do niego zadzwoni.

109

- Rolke taamy. Tym razem uzyl taamy papierowej, a nie izolacyjnej. Wskazal na zalepione okno. Poczul sie nagle jak poslane do kata dziecko.

Jak oni mogli? Tak po prostu zabrac mu sledztwo? Ignoranci, nie majacy pojecia o zbieraniu materiału dowodowego... Większość policjantów ze starej szkoły, takich jak Morn, nie wierzylo w mikroslady, nie zdawalo sobie sprawy z ich waznosci, przeciwnie - uwazali je za poszlakowe, a to slowo bylo wyklęte przez kazdego eksperta sadowego. Dewitt nie mial wyboru - musial sie wycofac. Nelson szedl tuż za nim jak posluszny adiutant.

- Przykro mi, sierzancie - odezwal sie. - To panu nalezala sie ta sprawa, nie im.

- Ciekawe, kto ja w koncu dostanie - odrzekl Dewitt, pakujac swój ekwipunek z powrotem do bagaznika. - Zostawmy to Lumbrowskiemu - dodal. - Juz on sie postara dokopac mi, nawet po smierci.

Dewitt zdumial sie, ze raz od wielkiego

dzwonu system zadzialal sprawnie. Po porazce w sprawie Lumbrowskiego, wrócił do biura, gdzie czekala na niego wiadomosc od dyrektora Szpitala Stanowego dla Umyslowo Chorych. Po krótkiej rozmowie telefonicznej, udalo mu sie umowic na widzenie ze skazanym morderca Harveyem Collettem.

Choc Collette przebywal w zamknieniu, ostatnie morderstwa zbyt przypominaly w

swojej specyfice jego zbrodnie, żeby można to było uznać za zbieg okoliczności. Ktoś najwidoczniej znał ze szczegółami metody działania Colletta i wobec tego warto było z nim pomówić.

W czasie blisko dwugodzinnej jazdy Dewitt zrekonstruował w myślach dowody i podyktował sprawozdanie ze śledztwa, aż do bieżącej chwili. Zjadł lunch i dziesięć po pierwszej był w szpitalu.

W gabinecie dyrektora poczuł ostry zapach farmaceutyków. Odświeżane meble świadczyły o budżecie naciąganiem do potrzeb i ograniczonym przepisami. Starszy pan za biurkiem, doktor Bradford Shilstein, był blady i smutny. Nosił zamazane okulary w grubej oprawce, a na krawacie miał podłużną, tłustą plamę. Przed nim leżała otwarta teczka z aktami.

- Pan Collette należy do naszych stałych pacjentów - zaczął. - Do rezydentów. Pytał pan, czy mogę powiedzieć o nim coś, co będzie istotne dla policji. Powinienem naświetlić panu jego przypadek, zanim dojdzie do widzenia.

- Bardzo proszę.

- Nie znajdzie pan tego w żadnych aktach policyjnych.

Rozsiadł się wygodnie, jak człowiek gotowy, a nawet zdeterminowany, by mówić.

110

- Fascynacja śmiercią i asfiksją u Collette'a zdaje się mieć źródło w wieku młodzieńczym, potem rozwija się gwałtownie w obsesję. Wspólną cechą maniakałnych zabójców jest to, że zaczynają od eksperymentów na zwierzętach domowych. Nie wiemy dlaczego tak jest, lecz wciąż obserwujemy podobne przypadki. Może to być jakaś forma stopniowego osławiania się... przygotowywania do zamachu na życie ludzkie, przez próby z mniej ryzykownymi ofiarami. Collette jest tego świetnym przykładem. Pierwszym stworzeniem, któremu odebrał życie, był kot jego matki. Uduślił go. Przedtem zwabił w pułapkę, następnie uwięził w foliowej torbie. W wieku dwudziestu jeden lat, Collette pracował jako funkcjonariusz kontroli zwierząt. Uśmiercał bezpańskie zwierzęta doprowadzane do punktu zbiorczego. Wkrótce został hyclem. Tyle że nie wszystkie bezpańskie psy trafiały do schroniska.

Doktor zajrzał do leżącej przed nim teczki:

- Pięćdziesiąt siedem sztuk zabił na własną rękę. Wszystkie przez asfiksję. Przyłapano go i aresztowano. I w tym miejscu został popełniony pierwszy błąd. Ukarano go grzywną trzystu dolarów, poddano wstępnej pobieżnej ocenie psychiatrycznej, uznano za „poczytalnego” - doktor uniósł oczy - cokolwiek by to miało oznaczać, i zwolniono. W ciągu roku znalazł pracę w warsztacie rękawicznika. Jego fascynacja asfiksją nie słabła. Zanim władze trafiły na jego ślad, był podejrzany o zabicie dwóch osób, obu przez zmaistrowanie „przecieków” z rur wydechowych do wnętrza samochodów. Nie przedstawiono, czy też nie dotarto do konkretnych dowodów. Sprawę w końcu umorzono. Nie było procesu.

- Czy on się zgodzi ze mną współpracować?

- Nie zaskodzi spróbować. Zakładamy mu kaftan bezpieczeństwa, kiedy sprząta się jego pomieszczenie lub aplikuje leki. W zeszłym roku stał się bardzo agresywny. O mało nie zabił porządkowego. Niezwykle zachowanie u trapera.

- U kogo? - spytał Dewitt. Odezwał się brzęczyk.

- Collette czeka - powiedział doktor. - Możemy później dokończyć rozmowę.

- Czy przyniósł pan filmy, tak jak proponowałem? - spytał Dewitta.

- Taśmy - Dewitt uderzył ręką w teczkę. - Znalazłem tylko kilka nowości.

- Więc niech pan się koniecznie z nim potarguje. Jest pod działaniem leków, ale niech pan na niego uważa. On dobrze wie, do czego zmierza. Proszę mu patrzeć w oczy. Starać się naśladować jego ton głosu i sposób mówienia. Dostosować się do jego stylu bycia. Spróbować nawiązać więź. Jeśli uda się panu go obłaskawić, otworzy się przed panem.

Korytarz wyłożony brunatnymi płytkami i akustyczny sufit przypominały Dewittowi szkoły jego młodości. W dzisiejszych czasach dodano system przeciwpożarowy; galwanizowany przewód łączący czujniki biegł

111

wzdłuż korytarza. Pielęgniarka zabrała Dewittowi teczkę, opróżnił kieszenie, kazał oddać pasek i oba sznurowadła. Shilstein nie uprzedził go o tych środkach ostrożności i Dewitt poczuł się trochę wyprowadzony z równowagi. Wreszcie otwarto zamknięte na klucz drzwi z napisem: ODWIEDZAJĄCY i Dewitt wszedł do środka. Czas wywarł piętno na wystroju wnętrza. Przyśrubowany do winylowej

podłogi stół, był obłupany na brzegach. Ustawione wokół niego cztery metalowe krzesła też były przyśrubowane. Collette wyglądał zupełnie inaczej niż na zdjęciach w kartotece: spadające na ramiona włosy, zmierzwiona broda, czerwone i wilgotne wargi, spłaszczony nos, sterczące z nozdrzy kępki włosów, przekrwione oczy. Tak pokazują szaleństwo na filmach. Właśnie takich facetów. Co kryło się za tym spojrzeniem? Na kaftanie znać było ślady krwawych plam, które nie dość starannie wywabiono. Morderca siedział teraz z rękami skrzyżowanymi na piersi w wyzywającym geście. Był blady, oczy miał przymknięte wskutek odurzenia lekami. Wyglądał, jakby go oślepieno.

Dewitt poczuł strach. Obrzydliwy odór wypełnił nieduży pokój - obcy zapach, którego nie czuło się tu jeszcze przed chwilą. Odór go przerażał. Przez kilkanaście minut siedzieli w niezręcznej ciszy. Dewitt zatarł dłonie próbując je rozgrzać, wreszcie odruchowo podniósł je do ust i chuchnął.

Collette spostrzegł to i wyszczerzył zęby.

- Jestem Harvey - usłyszał.

- Wiem. Ja jestem James Dewitt.

- Jeszcze jeden doktor?

- Nie, glina. Jestem detektywem - dodał. - Chciałbym ci zadać kilka pytań.

- Z federalnej policji?

- Nie - odrzekł Dewitt.

- Jesteś żonaty?

- Nie.

- Czy Shilstein ci powiedział, dlaczego je zabijałem? Bo trupy są takimi spokojnymi kochankami - odpowiedział sam sobie. - Zwierzęta zaczynają ci się w końcu nudzić - przewrócił oczyma i zwilżył wargi grubym, różowym językiem. - Słyszałem, że owce są milutkie - uśmiechnął się szeroko - ale w moim sąsiedztwie nie było owiec.

Dewitt próbował pozbierać myśli.

- Mam parę pytań.

- Rozwiąż mnie, to porozmawiamy.

Dewitt zignorował propozycję. Pamiętając rady Shilsteina, rzekł:

- Twoje zbrodnie były trudne do wykrycia. Collette skinał potakująco.

- Nabierałeś policję urządzając to tak, że wyglądało jakby ofiary popełniły samobójstwo.

- Bo popełniły. Umarły wskutek uduszenia się.

- Jakbyś się czuł, gdyby ktoś cię naśladował?

112

- Naśladownictwo jest najszczerzą formą pochlebstwa.

- I ktoś cię naśladowuje? - spytał Dewitt.

- Anie?

Dewitt opisał obie zbrodnie - Osbourne'a i McDuffa.

- Co o tym myślisz? - zapytał.

- Nie chodzi o to, co myślę, tylko o to co wiem - odrzekł Collette, przewracając oczami.

- A co wiesz?

- Więcej niż ty - odpowiedział tamten. - Przynajmniej tak myślisz, bo inaczej byś tu nie przyjeżdżał.

- Przyjechałem, żeby się od ciebie czegoś nauczyć - powiedział Dewitt. - Ktoś cię naśladowuje, ale inaczej niż ty, nie zabija przed zainscenizowaniem samobójstwa. Jak sądzisz, Harvey, w jaki sposób ten ktoś mógł to zrobić?

- Zabijanie nie ma znaczenia. Nawet nie jest szczególnie zabawne. Być z nimi potem, to jest cudowne. Ciało stygnie dość szybko. Wiedziałeś o tym?

Gorzki odór znów wypełnił pokój. Dewitt szarpnął za kołnierzyk i rozpiął górny guzik koszuli.

- Głupio wyglądasz w tej muszce. Czy ktoś ci to mówił?

- Wszyscy mi to mówią - powiedział Dewitt, wciąż starając się nawiązywać zalecaną przez doktora więź. Nerwowo przetarł okulary.

- Widzisz, Dewitt, ja jestem nietypowy. Jestem geniuszem. Czy Shilstein ci powiedział, że jestem geniuszem? Czy mówił ci o moich testach?

- Geniusz doszedłby do tego, jak to się dzieje.

- Widziałem to w wiadomościach. Wiem wszystkoo tych przypadkach. Więcej niż myślisz. Dużo więcej. Ale ty możesz sobie stąd wyjść. A ja nie. Potrzebuję trochę motywacji.

- Teraz mi się zdaje, że kłamiesz. Nie okłamuj mnie, Harvey, przywiozłem ci filmy, i to nowe, ale nie dostaniesz ich, jeśli kłamiesz.

- Daj mi obejrzeć.

- Nie pozwolili mi ich przynieść. Myśla, że jesteś niebezpieczny, Harvey. Zaczął się szarpać, próbując wydostać się z kaftana.

- Nienawidzę tego!

Spadł z krzesła. Dewitt wstał i ruszył w jego kierunku. Strażnik wpadł do pokoju, co potwierdziło, że byli obserwowani. Trzymał pałkę elektryczną w prawej ręce - złagodzoną wersję urządzenia do klucia bydła, bliźniaczo podobną do bardziej skomplikowanego Tastera. Dewitt zetknął się z tym urządzeniem na seminarium na temat broni specjalnych.

- Proszę się odsunąć - zażądał strażnik. - To podstęp. Ugryzie pana. Strażnik potrząsnął bronią, grożąc Collettowi.

- Wracaj na krzesło, bracie, albo to co mam ze sobą ciebie ugryzie. Collette natychmiast znalazł się z powrotem na krześle. Strażnik nie zamierzał zostawić ich samych. Dewitt przez pięć następnych minut usiłował nawiązać kontakt z Collettem.

113

8 - Kluczowy dowód

J

- Zdejmijcie to ze mnie - powtarzał ten w kółko. Shilstein wszedł do pokoju i wlepił wzrok w Collette'a.

- Dobrze, Harvey, wygrałeś. Przeniesiemy cię na kort tenisowy. Ale jeśli nie pomożesz detektywowi, to koniec z telewizją - na cały tydzień. Właśnie to załatwiłeś sobie tym przedstawieniem. Proszę ze mną - rzekł do Dewitta. - To potrwa kilka minut.

Szli korytarzem. Dewitt potykał się w rozsznurowanych butach.

- Ten odór... - odezwał się.

- Dziwny, prawda? Ale to typowe. Sporo naszych rezydentów w tym skrzydle wydziela taki zapach. Niedoszłe ofiary, którym udało się wyratować, mówią, że smród jest jeszcze silniejszy przed zabójstwem. Pewna kobieta twierdziła, że jest wprost paraliżujący. Dobrze się pan czuje? - spytał.

- Kiedy nie zna się tej strony życia... - zaczął Dewitt. Nie wiedział, co powiedzieć.

- To istotnie przygnębiające - rzekł doktor.

Weszli do gabinetu. Dewitt usiadł na swoim krześle, Shilstein za biurkiem.

- To zajmie tylko kilka minut, zaraz będą gotowi.

- Elektrowstrząsy?

- Dawniej stosowaliśmy leki w nagłych atakach. Ale prąd o niskim napięciu działa szybciej. Nie ryzykuje się niewłaściwej dawki, nie trzeba nic przygotowywać. Ku naszemu zdziwieniu sama groźba zastosowania wstrząsu redukuje napady wściekłości u większości pacjentów.

- A wyższe napięcia?

- Strażnikom zaleca się stosowanie tylko niskich - rzekł Shilstein i dodał: - Nieźle sobie pan radził. Bardzo ważne, żeby nawiązać kontakt jak najwcześniej. Chyba zauważył pan skuteczność negocjacji. Szczególnie w przypadku Collette'a. Niech mu pan przypomina o tych taśmach. On chce je mieć. Rozumie pan?

- Strażnik twierdził, że Collette chciał mnie ugryźć. To prawda?

- Jak już wspominałem, wyłamał się z mentalności trapera. Nie jest całkiem jasne, dlaczego. Tacy ludzie jak Collette ciągle zmuszają nas do zmiany poglądów. Musimy pamiętać, że nie ma sztywnych reguł, są tylko wzorce zachowania.

Coś sobie zapisał, a potem uderzył dłonią w dwie leżące przed nim teczki.

- Prosił mnie pan, bym to przejrzał.

- Myślałem, że- jako psychiatra sądowy, mógłby mi pan pomóc w określeniu charakteru zabójcy, którego szukam. Podać portret psychologiczny. Shilstein uśmiechnął się.

- Były psychiatra sądowy. Wycofałem się z tej roboty. Teraz jestem administratorem. No... ale wciąż jeszcze śledzę postępy w tej dziedzinie. Trochę się interesuję. Czy prosił pan FBI o charakterystykę zabójcy?

114

- Nie. Jeszcze nie zdążyłem. Miałem zamiar zadzwonić do nich pojutrze.

- Ci faceci w Quantico są niesamowici. Słyszał pan pewnie o doktorze Brusselu?

Nie czekał na potwierdzenie, przekonany, że wszyscy pracownicy wymiaru sprawiedliwości musieli przynajmniej słyszeć nazwisko ojca psychiatrii sądowej, człowieka, który na podstawie oględzin miejsca zbrodni określał wiek, sposób bycia, nawyki i styl ubierania się podejrzanego, jeszcze zanim ustalono jego tożsamość.

- W Quantico są specjaliści równie dobrzy jak on. Ja się do nich nie zaliczam - rzekł. - Psychiatria sądowa jest zdradliwa. Lekarz porusza się po cienkiej linii między własną osobowością i osobowością pacjenta. Nawet dla najbardziej zrównoważonych umysłów, może się to zakończyć rozdzieleniem na doktora Jekylla i Mr. Hyde'a...

Uśmiechnął się nieśmiało, jak ktoś, kto boi się samego siebie.

- To Brussel powiedział, że zdumiewające jest to, iż umysł ludzki w ogóle działa, a jeszcze bardziej, iż większości z nas udaje się zachować nad nim jakąś kontrolę. Jakąś, detektywie. Docenia pan mądrość tego sformułowania?

Dewitt milczał. Po chwili doktor odezwał się znowu.

- Rzuciłem okiem na te akta, no i oczywiście śledziłem te sprawy w wiadomościach. Wyrobiłem sobie własną opinię, choć trudno ocenić, ile jest warta. Proszę pamiętać, że jak wspomniałem, ja się już tym nie zajmuję.

- Słucham pana.

- Pytał pan o traperów. Zaraz się nimi zajmiemy. Najpierw jednak musimy omówić zbrodnie bezkrwawe. Czy zetknął się pan z pracami doktora Ogdena Spiresa? Dewitt potrząsnął głową. Shilstein wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi.

Spojrzał na zegarek. Wyglądał jak człowiek czekający na pociąg.

- Są osoby, większość z nich to kobiety, które pomimo głęboko zakorzenionej potrzeby zabijania, czują odrazę do rozlewu krwi. Nie do samego morderstwa, tylko do krwawego morderstwa. Wtedy właśnie stykamy się z otruciami, utopieniami, podpaleniami, porażeniami prądem i uduszeniami. Harvey Collette jest... był jednym z takich zabójców. Pana zabójca też z pewnością do nich należy. Albo, powinienem to jasno powiedzieć, tylko chce, żeby pan go do takich zaliczał. Ten ostatni wariant jest bardziej złożony. Być może będziemy musieli do niego wrócić, na razie jednak powinniśmy zacząć od hipotezy, że mamy do czynienia z bezkrwawym zabójcą. Jeśli dobrze pamiętam, żadna z jego ofiar nie nosiła śladów jakiegokolwiek znęcania się fizycznego? - pytanie było retoryczne. -1 to właśnie jest znamienne.

Znów uderzył dłonią w teczkę.

115

- Podzielam pana przekonanie, że nasz przyjaciel nie jest seryjnym zabójcą, nie jest też zwykłym zbrojcem, chce tylko, żeby pan uważał go za kogoś w tym rodzaju. Możemy przyjąć tę hipotezę na podstawie podobieństw do morderstw Colletta. Ten modus operandi przyjął jako konwencję..., która w jego przekonaniu powinna wprowadzić w błąd organa śledcze. Nie wolno nam jednak przeoczyć możliwości, że przyjęty sposób działania jest dla niego również koniecznością. To znaczy, zbrodnie są dziełem bezkrwawego zabójcy, któremu brakuje inwencji i który, co jest całkiem prawdopodobne, działa na czyjeś polecenie. Byłoby przedwcześnie snuć teraz przypuszczenia, na czyje konkretnie. Jednak charakterystyczne unikanie przelewu krwi prowadzi nas wprost do przypadku, zdefiniowanego przez Spire'a jako syndrom traperską. - Doktor zaczął bawić się paskiem zegarka. - Polujących dla sportu dzielimy z grubsza na cztery kategorie: tych, którzy polują dla przyjemności; tych, którzy polują dla zysku; tych, którzy polują aktywnie; tych, którzy polują biernie. Przewodnik poluje dla zysku; weekendowy myśliwy dla przyjemności. Większość kupuje sobie strzelbę lub karabin dalekiego zasięgu i bierze się do zabijania zwierzyny. Lecz pewna grupa osobników poluje nie zabijając bezpośrednio. Oni polują bezkrwawo, chwytają ofiary w sidła czy sieci, kopią do-ły-pułapki, zatrują karmę lub wodopoje. Ogromna większość osób o zbrodniczych skłonnościach to zabójcy agresywni, z pewnością jednak nie wszyscy. Niewielki procent - różni podpalacze i im podobni - zabija swe ofiary metodą traperską. Niezdolni do przelewu krwi, szukają metody dokonania czynu w sposób, który nie budziłby w nich wstrętu.

Spójrzmy na Harveya Colletta. Gwałciciel, a nigdy nie wywijał nożem ani rewolwerem. On dusił swoje ofiary... urządzał zasadzki w ich własnych domach. Collettem kierowała fantazja seksualna, rozbudzona przez pornografię - rzekł z

przekonaniem. - On pamięta swoje zabójstwa zdumiewająco dokładnie. Opowie panu, jaka była w dotyku skóra ofiary, jak pachniały jej włosy, opowie precyzyjnie dokonanie mordu, a już szczególnie dokładnie zrelacjonuje akt seksualny. Inni, nie obdarzeni tak żywą wyobraźnią, nie są do tego zdolni. Zapominają szczegóły. Jestem przekonany, że zabójca, którego pan szuka - ciągnął Shilstein - jest niezdolny do krwawej zbrodni. Sądzę, że właśnie ta jego, czy też jej cecha, którą dzieli z Collettem, jest przyczyną wzorowania się na nim. Pana zabójca też jest traperem: zwabia ofiary w pułapkę, a następnie zabija, najchętniej przez uduszenie z braku powietrza. Czy jest to jednak seryjny zabójca, taki jak Collette? Nie. To wysoce nieprawdopodobne.

Shilstein przerwał. Przez kilka następnych minut był pochłonięty przeglądaniem akt, po czym spojrzał Dewittowi w oczy.

- Pana zabójca nie jest żonaty, mieszka sam. Jest zatrudniony na kierowniczym stanowisku. Jest świetnym organizatorem. Ma koło czterdziestu pięciu lat. Przed popełnieniem zbrodni trochę pije. Pewien niedostatek zdolności twórczych nadrabia starannością. Wszystko dokładnie

116

planuje. Snuje marzenia na temat swych zbrodni. Śledzi w gazetach przebieg dochodzenia. Nie miał żadnych motywów, gdy chodzi o dwie pierwsze ofiary. Jego celem był od początku Howard Lumbrowski. Nie wykluczam, że jest policjantem, choć nie wydaje mi się to prawdopodobne. Ubiera się zwyczajnie, nie ma problemów w stosunkach z ludźmi, łatwo nawiązuje kontakty. No i oczywiście, najważniejsze... Zakładam, że dlatego pan tu przyjechał, i muszę pogratulować panu intuicji. Zabójca miał kontakt z Harveyem Collettem. Bardzo osobisty kontakt.

Dewitt potrząsnął głową -nie dlatego tutaj przyjechał. A może jednak? Znów zabzyczał brzęczyk. Shilstein spojrzał na zegarek. Uśmiechnął się z dumą, że tak dobrze zmieścił się w czasie. Do jakiego stopnia charakterystyka doktora mogła być wiarygodna? Dewitt czytał, że takie hipotezy sprawdzały się co do joty, lecz nigdy sam tego nie doświadczył. Pewny siebie ton głosu doktora, jego uporczywe wpatrywanie się w oczy, wszystko to sprawiło, że Dewitt poczuł się zmęczony i zniechęcony. Dłonie miał zeszytniałe. Czuł swędzenie na czubku głowy. Świat pałek elektrycznych i kaftanów bezpieczeństwa działał na niego przygnębiająco. Ilu jest takich Collettów? - nie przestawał myśleć.

- Dostrzegam powątpiewanie na pana twarzy, detektywie. To jest wiedza nieścisła.

Doktor oddał Dewittowi teczek z aktami.

- Pana biegłość w zbieraniu dowodów zasługuje na pochwałę. To właśnie dowody pozwalają mi naszkicować sylwetkę mordercy. Analizowałem osobowość około sześciuset skazanych za morderstwo. Każdy jest jedyny w swoim rodzaju. Są jednak podobieństwa, dzięki którym można opracować takie charakterystyki. Niech pan się zwróci do FBI. Proszę sprawdzić, co oni powiedzą. Mogłem się pomylić. A teraz - rzekł wstając -Collette czeka.

Kort tenisowy był blisko dwa razy większy od pokoju, w którym odbyło się pierwsze przesłuchanie. Przez jego środek przeciągnięto drucianą siatkę z trzydziestocentymetrowych kwadratów, rozpiętą na gęsto rozmieszczonych grubych, stalowych kółkach przymocowanych do sufitu, ścian i podłogi. Ciężarówka Mack nie dałaby rady sforsować tej konstrukcji. Po wewnętrznej stronie metalowej siatki, w odległości metra znajdowała się druga siatka, tym razem sznurowa, z jednakowych kwadratowych elementów. Sznury konopne były powiązane w żeglarskie węzły. Czerwony pas szerokości pięciu centymetrów był wymalowany na podłodze wzdłuż przeszkody, metr od siatki stalowej. Wytarte czerwone litery szablonowego napisu głosiły po angielsku i po hiszpańsku: NIE PRZEKRACZAĆ. Po stronie obserwatorów znajdowały się cztery krzesła przytwierdzone do podłogi tuż przy tak samo zabezpieczonym stole. Dewitt zajął miejsce na jednym z krzeseł. Collette, już bez kaftana

117

bezpieczeństwa, chodził w kółko za sznurami. Pięć minut upłynęło w ciszy, po czym Collette powiedział:

- Tak jest dużo lepiej, nie sądzisz?

- O wiele lepiej.

- To tutaj Stanowa Komisja Psychiatryczna czasami bada pensjonariuszy.

Wiedziałaś o tym?

- Nie - odrzekł Dewitt.

- Nazywają to kortem tenisowym z powodu tych siatek.

- Tak.

Znów zaczął krażyć i minęło chyba z pięć minut, zanim znowu się odezwał. Dewitta irytowała ta praktyka. Mimowolnie obgryzał paznokcie. To sprawiło, że pomyślał o Emmy. Ona robiła to samo.

- Przywozłem ci taśmy - przypomniał Dewitt. - Najnowsze.

- Potrzebuję czegoś więcej! - warknął Collette. - Za to, co mam ci powiedzieć, potrzebuję dużo, dużo więcej.

Dewitt czekał z bijącym sercem. Coś się zmieniło. Collette był teraz silny, pewny siebie, inteligentny - inny człowiek.

- Jesteś ekspertem. Znasz się na tym lepiej ode mnie. Myślę, że mogę zatrzymać tego, który cię naśladuje, ale nie bez twojej pomocy.

- Jak chcesz, to go sobie zatrzymaj. Mnie to nie obchodzi. To twoja sprawa, człowieka. Mam inne zmartwienia. W takim miejscu jak to ma się pewne potrzeby.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał Dewitt. - Pomogę ci, jeśli będę mógł.

Collette zbliżył się do sznurowej siatki i wsunął głowę do jednej z ramek.

Wlepił szeroko otwarte oczy w Dewitta i zaczął się kiwać. Dewitt poczuł przyspieszone bicie serca.

- Hm... no to teraz posłuchaj - odezwał się Collette. Znów zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- Rzecz w tym, że to co człowiek chciałby tu mieć, to czego potrzebuje, to zdalnie sterowany Mitsubishi, dwudziestosiódmiocalowy, z kompletną instalacją telewizji kablowej, powtarzam - kompletną, i wideo firmy Panasonic, też zdalnie sterowane. Wszystko własne. To tyle. I jeszcze jakieś zamówienie pocztowe do jednego ze sklepów z kasetami w mieście. No wiesz, jakieś dziesięć filmów na tydzień, póki będą mnie tu trzymać. To jest coś, co czyni zamknięcie bardziej znośnym. Mówimy o potrzebach. Ci tutaj ogłupiają człowieka kompletnie. Tu nie ma żadnych problemów. Jedzie się łatwo i przyjemnie, ale bez celu. Nic, na czym można się skupić. Wiesz, co mam na myśli?

Dewitt wahał się.

- To poważne zamówienie. Musiałbyś powiedzieć mi więcej, żebym spróbował zdobyć dla ciebie taką rzecz.

- Słuchaj no, Dewitt - zawisł na siatce jak małpa. - Nie nabieraj mnie.

Postarasz się dla mnie o sprzęt - wtedy pomówimy.

118

- Nie mogę tego zrobić, Collette. Zastanów się. Muszę mieć jakiś dowód, jakąś podkładkę, że ta inwestycja się opłaci. Mówisz o paru tysiącach dolców.

Administracja Stanowa nie wyasygnuje takiej forsy na jakąś mrzonkę.

- Wcale mnie nie słuchasz. Wy gliny nigdy nie słuchacie. To twój problem.

- Ależ słucham.

- Gdzie tam. - Zrobił kilka kroków. - Mówię ci, wiem wszystko o twojej sprawie. Pozwól, że cię zapytam, detektywie, czy ktoś kategorycznie stwierdził, że umierali w swoich samochodach? Wiesz, że nie. No to gdzie umarli? Jak on ich zabił?

Słowa odbijały się echem o twarde ściany pokoju. A Dewitt czuł się tak, jakby to on był przesłuchiwany.

- Dlatego tu jestem, Harvey.

- Jesteś tu, bo on m n i e naśladuje.

- Chwyta ofiary w pułapkę - spróbował Dewitt.

- Oczywiście.

- W miejscu publicznym?

- Są dwa rodzaje pułapek. Z przynętą i bez. Do tych z przynętą trzeba zwabiać.

Do tych bez przynęty - po prostu wpadają przypadkiem. Jeśli chcesz złapać jakieś konkretne zwierzę, kładziesz przynętę. Jeśli ci wszystko jedno, co złowisz, to po prostu zastawiasz sidła na szlaku i czekasz. Czy to cię czegoś nauczyło?

- Tak.

- No pewnie. Bo to ja cię uczę - roześmiał się. - Tylko widzisz, Dewitt, nauczycielom się płaci.

- Przywozłem pięć kaset. Są twoje.

- To za mało. Chcę mieć cały sprzęt.

- Mówiłem ci, że się postaram. - Słowa odbiły się upiornym echem. - Będę potrzebował argumentów.

- Mam dla ciebie nowinę, Dewitt. On improwizuje. Stracił kontrolę nad swoim planem. To nie idzie po jego myśli. Naśladownictwo jest najszczerzym

pochlebstwem -powtórzył. - Myślisz, że go wydam za pięć filmów? On mnie uwiecznił. Mój geniusz odżył dzięki jego czynom. Oddałbyś coś takiego za pięć filmów? No, powiedz. Wiesz, skąd brałem te kobiety, glino? Czatowałem w supermarkecie. Panie domu wybierały' jedzenie, a ja wybierałem panie domu. Kto inny założył dla mnie przynętę, rozumiesz? Najbezpieczniej było z rozwódkami. I one były najgłupsze. Wiesz, jak rozpoznać rozwódkę? Po tym, że ma dzieci i nie nosi obrączki. Proste. Idzie się za taką do domu albo staje za nią w kolejce. Trzeba tylko odczytać nazwisko i adres wypisane na czeku. Małe sztuczki. Śledzi się mieszkanie. Trzeba mieć pewność.

- Nic mnie to nie obchodzi - krzyknął Dewitt. Nie mógł już tego słuchać.

119

- Zdaje mi się, że cię obchodzi - rzekł Harvey Collette. - Strażnik! -zawołał.

- Postaraj się o sprzęt dla mnie, glino.

Weszli strażnicy.

- Potrzebuję konkretów - zawołał Dewitt.

- Ty? Potrzebujesz sponsora.

- Kładź się i rozłóż ręce - rzekł strażnik z pałką elektryczną. Drugi ze strażników trzymał kaftan bezpieczeństwa.

- Twarzą do ziemi. Będziesz się rzucał, to tak ci przypalę dupę, że do śmierci popamiętasz.

- Dwudziestosiedmiocalowy. Ze zdalnym sterowaniem - pokrzykiwał Collette zza siatki, wykrzywiając twarz w uśmiechu.

Ponieważ Clarence Hindeman nalegał,

Dewitt zgodził się towarzyszyć Clare O'Daly na przyjęciu, którego celem było wsparcie funduszu wyborczego Manny'ego Rotha. Burmistrz szepnął słówko Hindemanowi: może będzie okazja, żeby porozmawiać z Jessie Osbourne. Dewitt ledwie zdążył podrzucić Emmy do Hindemana i przebrać się. Gdy zmęczony otwierał drzwi, była dokładnie siódma. Z uznaniem pomyślał o kobiecie, która umiała być punktualna.

Clare, ubrana w kaszmirowe spodnie koloru kawy, moherowy sweter ręcznej roboty z okrągłym dekoltem i złoty naszyjnik z perłą, przyciągała oczy idealnie wyprostowaną sylwetką. Pocałował ją w policzek. Pojechali jej samochodem.

Wkrótce minęli bramę wjazdową z Carmel do Pebble Beach i posuwali się krętą obwodnicą widokową, wijącą się przez wytyczony obszar do zwiedzania. Dewitt zapowiadał kolejne zakręty i znaki stopu.

- Pozwól, że wprowadzę cię w bieżący stan rzeczy - powiedziała.

- Słucham.

- Nie udało się zidentyfikować środka wybielającego z włókienek bawełnianych znalezionych na ciałach. To samo dotyczy odprysków farby z roweru. W niedzielę nie można było dotrzeć do właściwych ludzi. Jutro to zupełnie co innego. Najciekawsze są dowody dotyczące Lumbrowskiego. Kilka rzeczy - po pierwsze, tym razem użyto taśmy papierowej i jak widziałeś, mamy rolkę taśmy. To, czego nie widziałeś, to ślad odcisku wewnątrz bobiny, na którą była nawinięta.

Przekazaliśmy to Ramirezowi, bo stwierdziliśmy, porównując z kartoteką, że ten odcisk nie należy do Lumbrowskiego. Parę osób pracuje nad tą sprawą, więc oczywiście nie wszystkie dowody przechodzą przez moje ręce... prawdę mówiąc Morn jest chyba zdania, że z powodu mojego udziału w dwóch poprzednich śledztwach, nie powinnam się w ogóle mieszać do sprawy Lumbrowskiego. Na

120

szczęście Brian jest innego zdania, a to on jest moim szefem, nie Rick Morn.

Jeszcze jedna różnica: waż nie jest taki sam. Z tego co słyszałam, to Morn myśli, że Lumbrowski popełnił samobójstwo.

- To niemożliwe.

- Chce udowodnić samobójstwo wzorowane na poprzednich wypadkach - tak mi powiedział Brian. Krąży też plotka, że Morn chce przypisać Lumbrowskiemu dwa pierwsze zabójstwa.

- Musi się coś dziać za naszymi plecami, coś o czym nie mamy pojęcia. Widzisz, są dwa rodzaje plotek: takie, które się ukrywa, i takie, które podsuwa się specjalnie.

- Morn był rywalem Lumbrowskiego w sprawach o zabójstwa. Nie zmartwi się, że zapaskudzi mu kartotekę.

- To tylko zasłona dymna. Nie wierz plotkom. Ktoś tutaj stara się wszystko zatuszować. O to chodzi w tej całej historii -powiedział. Wskazał w lewo. Droga

była zapchana parkującymi mercedesami, lincolnami i BMW.

- Niedobra nowina - odezwała się z wahaniem - ani śladu przecieku. Musiał naprawić wóz i wymienić olej. Próbkę się nie zgadzają. Dewitt skinął głową. Tego się właśnie obawiał, odkąd dowiedział się od Cappa, że Lumbrowski obalił sekwestrację.

- Z tym też będzie problem techniczny - nigdy nie miałem prawa zatrzymać samochodu. Przynajmniej nie mogę udowodnić, że miałem. Teraz to może być zakwestionowane, może wypaść fatalnie. Nie mówiłem ci, ale pobiliśmy się z Lumbrowskim przed barem. W jego samochodzie, ściśle mówiąc. Może został jakiś ślad... Nie zgłosiłem tego. Jeśli teraz to zgłoszę, nigdy nie oddadzą mi śledztwa.

- Jakiś ślad?

- Starliśmy się dość ostro. Próbowałem przeszukać samochód. Jemu się to nie spodobało. A przecież wszystko zależało od tego oleju. Może został olej na podwoziu...

- Parowe czyszczenie, od góry do dołu.

- Więc nie możemy dowieść, że wóz był w miejscach tamtych zabójstw. Wspaniale!

- skomentował nowinę sarkastycznie.

Nie ruszał się z samochodu, rozmyślając o swojej dwuznacznej sytuacji. Nie miał świadka odkrycia zgodnego wzoru kropli zebranych skrzętnie przed barem „Pod Podkową”; miał na to tylko swoje słowo - a jego osobista niechęć do Lumbrowskiego była publicznie znana.

- Mam nadzieję, że to już wszystko? Skinęła głową.

Kiedy podeszli do domu Priscilli Laughton, usłyszeli dźwięki jazzowej kapeli.

Clare schwyła mocno Dewitta pod rękę i odciągnęła go od drzwi.

Otworzyła im przystojna kobieta w stroju pokojówki. Dewitt natychmiast pojął o co chodzi Clare, gdy jego wzrok padł na mężczyznę

121

w smokingu i kobietę u jego boku w długiej wieczorowej sukni i pantoflach na wysokim obcasie.

- No nie, James - powiedziała Clare, ciągnąc go za łokieć. - To nie są stroje codzienne! Ta Laughton powiedziała mi, żeby przyjść w stroju codziennym - dodała rozżalona.

Bohater dnia, łysy Manny Roth, zbliżał się wyciągając rękę w powitalnym geście. Uśmiechał się rutynowym uśmiechem polityka zabiegającego o głosy wyborców. Miał na sobie smoking w trawiastozieloną szkocką kratę, na którego widok świeczki stawały w oczach, do tego brzoskwiową muszkę i szarfę.

- Nie możemy tu zostać, James - syknęła Clare.

Dewitt chwycił ją mocno za łokieć i wciągnął do środka. Burmistrz podszedł do nich.

- Tak się cieszę, że cię widzę, James. Wiem, że Jessie chce z tobą pomówić. My się chyba nie znamy - zwrócił się do Clare.

Dewitt przedstawił ich sobie. Clare zarumieniła się i bąknęła jakieś przeproszenie.

- Chyba źle zrozumieliśmy informację o strojach - powiedział Dewitt.

- Nie bądź niemądry - rzekł Manny Roth. - A pani - zwrócił się do Clare - wygląda cudownie. Bardzo proszę do środka.

Rzuciła Dewittowi bezradne spojrzenie, gdy burmistrz przepuścił ich w drzwiach.

Stanęli na progu salonu. Tłum eleganckich, opalonych ludzi, kręcących się i rozmawiających ze sobą. Goście skupiali się w grupki, jak naradzający się piłkarze; śmiechy i rozmowy zlewały się w ogłuszający hałas. Wszędzie krążyli kelnerzy i kelnerki. Muzyka dobiegała z drugiego obszernego pomieszczenia frontowego foyer. Dewitta i Clare skierowano ku spiralnej klatce schodowej prowadzącej na górną kondygnację. Weszli do ogromnego pokoju o rozmiarach sali bankietowej; ściana na wprost wejścia była przeszklona. Dewitt dojrzał w oddali migoczące światełka Carmel i ciemną sylwetkę Point Lobos. W następnym pomieszczeniu znajdowały się dwa bary, obsługiwane przez barmanów. Panował tu największy tłok. Ludzie ustawiali się w grupki, a każda miała swojego rozgrywającego, skupiającego uwagę pozostałych, jakby kierował ich grą. Gdy wzięli już drinki, Roth poprowadził ich na bok i powiedział:

- Czy wiecie, że wszyscy tutaj mówią o ostatnich morderstwach? Dobrze zrobiliście przychodząc. I to oboje. Słyszałem, że należy pani do zespołu - zwrócił się do Clare.

- W pewnym sensie - potwierdziła.

- No cóż, to smutne, że Lumbrowski tak skończył. -Patrzył wprost na Dewitta. -
Miejmy nadzieję, że to koniec całej sprawy.

- Jeśli sugerujesz, że Lumbrowski ponosi odpowiedzialność za dwa pozostałe
zabójstwa...

- To ty dowiodłeś jego obecności na miejscach zbrodni, jeśli się nie mylę.

122

- Nawet jeśli...

- A teraz sam popełnia samobójstwo, i to w identyczny sposób. Powiedziałbym,
tutaj droga się kończy - Roth zwrócił się do Clare poufałym tonem. - I to
właśnie zamierzam ogłosić dziś wieczór. Nam wszystkim należy się jakaś dobra
nowina.

- Lumbrowski był zamieszany, to nie ulega wątpliwości, ale to nie powód, żeby
posuwać się za daleko - zaprotestował Dewitt.

- Tak daleko jak ty... Zgadza się, detektywie? - To przemawiał wielki Manny
Roth, symbol biznesu. Zaróżowiona Clare sączyła trzeciego drinka, jakby nie
słyszała ich rozmowy.

- Czy to ty się postarałeś, żeby Morn odsunął mnie od sprawy Lumbrowskiego?

- Ach, nie. Sam sobie na to zasłużyłeś. Zdaje się, że kilku detektywów z
Seaside musiało odciągać od ciebie Lumbrowskiego w miejscowej tawernie. Widziano
was, jak się kłóciliście. I myślisz, że powinieneś prowadzić to śledztwo? Po tej
waszej historii? Opinia publiczna by tego nie pochwaliła. W mojej orkiestrze,
detektywie, nie ma miejsca dla solistów. Gramy to samo, i gramy harmonijnie.
Pozwolę sobie całkiem jasno stwierdzić - rzekł, przysuwając się do Dewitta - że
porucznik Morn jest w pełni przekonany, iż Lumbrowski popełnił samobójstwo. A co
więcej, że jest związany z pozostałymi morderstwami. Badają pewne dowody - rzekł
do Clare - ale jak słyszałem, to czysta formalność.

- Tak więc, spodziewacie się - przerwał mu Dewitt - że odsunę się na bok i będę
się przyglądał, jak robicie z siebie kompletnych durniów? -Clare traciła go w
ramię. -Grasz fałszywie, Manny. Im dłużej to trwa, tym bardziej to widać.

- Wybacz pan, że zostawimy go na chwilę - powiedziała Clare. Dewitt odstawił
drinka, zaczekał, aż Clare zrobi to samo, po czym
objawszy ją w talii zaczął tańczyć, mimo że muzyka dochodziła tu ściszone z
odległego pomieszczenia gdzieś na górze.

- James - powiedziała błagalnie, gdy zauważyła, że wszyscy na nich patrzą.
Przyciągnął ją do siebie, przytulając policzek do jej policzka.

- Nie chcesz chyba, żebym uderzył honorowego gościa? Zachichotała mu do ucha.

- To obejmij mnie i tańcz.

Krażyli po sali, wymijając liczne grupki stojące im na drodze.

- Robimy z siebie przedstawienie - powiedziała.

- Tak. I co z tego? -Po chwili dodał: -Patrz! -Wykonał obrót tak, by mogła
obejrzeć się przez ramię. Dwie inne pary też tańczyły.

- Daliśmy początek - powiedział.

Objęła go mocniej, przyciskając się do niego całym ciałem. Wtuliła się w niego.
Gdy wykonywali kolejny obrót, jej noga wsunęła się między jego

123

nogi. Było to coś więcej niż tylko figura taneczna; Clare chciała mu coś
powiedzieć. Przemawiała do niego językiem, którym nie posługiwał się od tak
dawna, że nie wszystko zdołał sobie przetłumaczyć.

Na górze orkiestra przestała grać, ale oni nie zatrzymali się. Gdy zaczął się
następny kawałek, zmienili tylko rytm. To była bardzo wolna melodia,
podkreślająca charakterystyczną, płaczącą barwę saksofonu tenorowego. Głos
trąbki dobiegał na dół jak zawodzący, samotny, zdyszany szept. Jamesa urzekła
bliskość Clare. Wchłaniał słodkavo-kwaśny zapach jej skóry, czuł dotyk rąk,
miętkość jej ciała. Jej ciepły, wilgotny oddech łaskotał go po szyi. Całował na
oślep jej ucho, ona zaś skubała go w szyję.

- To się wymyka z rąk - powiedziała.

- Mmmm - odpowiedział, dalej skubiąc jej ucho.

Tańczyli wzdłuż stolików bankietowych, wzdłuż ogromnych okien wychodzących na
Pacyfik. Chmury rozplływały się. Wyglądały zza nich gwiazdy.

- Wreszcie pana znalazłam - powiedziała Priscilla Laughton, niegrzecznie
odtrącając Clare i stając na wprost Dewitta.

Była ubrana w jasnobrązową spódnicę z madrasową szarfą, włosy miała upięte do
góry, w uszach srebrne kolczyki z turkusami. Zwróciła się do Dewitta:

- Pogawędka służbowa, jak rozumiem?

Zawołała ostro do burmistrza, przekrzykując gwar i zwracając powszechną uwagę:
- Manny, bądź tak miły i przedstaw pannę O'Daly paru naszym gościom. Mam zamiar porwać pana Dewitta i zwalić go z nóg.

Clare zeszytniała. Dewitt poczuł, że Priscilla bierze go za rękę, a potem zdał sobie sprawę, że wlecze go za sobą, przedzierając się przez tłum gości. Dał się wprowadzić na górę, gdzie dosłownie zderzył się z jakąś kobietą odwróconą do niego tyłem. Osoba ta nosiła obcisłą suknię z niebieskiego weluru, odsłaniająca kawał pleców i kręgosłupa, wyciętą aż do szpary między pośladkami. Gdy kobieta obróciła się gniewnie, z drinkiem spływającym jej po ręce, Dewitt rozpoznał Lealę Mahoney. Priscilla Laughton przedstawiła jej Dewitta. Leala nastroszyła się i zirytowanym głosem odrzekła:

- Tak. Już się raz spotkaliśmy.

Pani mecenas włosy ułożyła w misterne francuskie sploty. Kwadratowe mamiona sukni były usztywnione, a welur z przodu wycięty był równie szokująco, jak z tyłu. Szeroki dekolt zwiężał się między piersiami do szerokości ostrza noża, a kończył tuż nad pępkiem. Wyglądała zachwycająco, nawet z wykrzywioną w złości twarzą. Dewitt wymamrotał przeproszenie, ona zaś gapiła się na niego z wyraźną wrogością. Pani Laughton wreszcie wpadła na szczęśliwy pomysł, żeby go odciągnąć.

124

- Jak widzę, należy do pana fanów - powiedziała, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość. - Co pan jej zrobił, żeby zasłużyć na takie traktowanie? - I dodała: - Różnie o niej mówią.

- Dlaczego tu jestem? - spytał Dewitt szorstko.

- Wyraziłam się nieściśle, kiedyśmy się ostatnio spotkali i chciałam to naprawić. Lepiej późno niż wcale - spróbowała zażartować.

- Nieściśle? - spytał.

- Zapytałam o pana Lumbrowskiego.

- Tak. Przypominam sobie.

- To nie chodziło o pracę dla przyjaciółki; on dzwonił do mnie. Reprezentował moje interesy, można to tak nazwać.

- Dlaczego?

- Nie chciałam, żeby pan myślał, że umyślnie ukryłam informację przed policją.

- Mogę udać, że pani wierzę, jeśli pani na tym zależy. Tylko że męczą mnie już gierki Jessiki Osbourne. Lumbrowski nie dzwoniłby do pani. Dzwoniłby do pani ciotki. Muszę pomówić z pani ciotką.

- Oczywiście. A moją informację proszę uznać za wprowadzenie, jeśli to pana nie urazi. Naświetlenie tła. To oszczędzi czas wam obojgu.

- Wynajęła go.

- Wysłuchiwała go, to wszystko.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdyby to było wszystko.

- W związku z jego śmiercią... Istnieje pewna obawa, że sprawa śmierci pana Lumbrowskiego może pośrednio dotyczyć także jej. Rozumie pan?

- Zaczynam.

- Rola Jessie w tym wszystkim była czysto doradcza, zapewniam pana.

Skontaktowała Lumbrowskiego ze mną. I to ja kierowałam współpracą z nim.

- Kierowała pani współpracą dla niej - poprawił. - Była pani łącznikiem między nimi.

Postanowiła jasno przedstawić sprawę.

- Moja rola była po prostu taka: kontaktowałam się z panem Lumbrowskim i dowiadywałam się, czy niema jakiejś informacji, która mogłaby nas zainteresować.

- Kiedy to było?

- W czwartek, tego popołudnia, kiedy zdarzyło się drugie morderstwo. Dawał wymijające odpowiedzi, zapewniam pana, a jednak przekonał mnie, że warto „wesprzeć jego wysiłki”, jak to określił. Nie było mowy o formalnym wynajęciu go. Miałam mu tylko zapewnić zwrot kosztów.

- Przekonał panią? W jaki sposób? Przedstawił jakiś dowód?

- Wzbudził moją ciekawość. Tego ranka, kiedy przeczytałam o jego śmierci, zdrętwiałam. Nasza znajomość trwała tylko kilka dni. Czy mój udział w tym był słuszny czy nie, nabrałam przekonania, że jest to

125

informacja, którą powinnam przekazać policji, jeśli macie prowadzić właściwie śledztwo. Czy złamałam prawo?

- Proszę posłuchać, pani Laughton, znów gra pani rolę łącznika. Bada pani grunt. Próbuje mnie pani wybadać, sprawdzić, co odpowiem, zorientować się, czy wezmę za dobrą monetę wersję pani ciotki.

- A weźmie pan? - spytał znajomy głos za jego plecami. Znał ten głos z telewizji. Dewitt nie spodziewał się, że Jessie Osbourne jest tak wysoka i tak elegancka. Miała twarz prezenterki telewizyjnej - pełnej entuzjazmu dziewczyny z naprzeciwka, zawsze gotowej stanąć przed kamerą, lecz nie umiała ukryć oznak starzenia się. Nosiła typową czarną suknię popołudniową, złoty naszyjnik z czarnymi szafirami i takie same kolczyki. Włosy miała rozjaśniane, fryzurę utrwaloną żelem. Miała charakterystyczne, duże usta. Miejscowi karykaturzyści przedstawiali ją jak kukłę na Święto Duchów - spiczasta broda, wielkie usta, ogromne, wystające zęby.

- Więc to pan James Dewitt -! powiedziała, witając go mocnym uściskiem dłoni.

- Zostawiam was samych - powiedziała Priscilla i szybko odeszła do gości.

- Poszukamy sobie spokojnego miejsca? - spytała Jessie, lecz było to raczej stwierdzenie.

- Nie wiedziałem, że takie miejsce istnieje - odrzekł Dewitt, przekrzykując hałas.

- Ja znam wszystkie sekrety - odpowiedziała, kiwając na niego palcem, aby szedł za nią.

„Nie wątpię” - pomyślał.

Poprowadziła go wzdłuż holu. Przeszli przez zagrodzone przed gośćmi przejście.

- Pokażę panu wszystkie tricky - powiedziała.

Weszli do sali bibliotecznej, wyłożonej boazerią z teaku. Stały tu dwa pokryte teakiem stoły z bocznymi mosiężnymi lampami o szmaragdowych abażurach. Trzy ściany były od góry do dołu zastawione książkami. Zaczwartą, przeszkloną, podobnie jak w pokoju bankietowym, rozciągał się bezkres oceanu. Na jednej ścianie beletrystyka, na drugiej katalogi, na trzeciej, największej - literatura faktu. Jessie przez chwilę przechadzała się, spoglądając na tytuły, jedyne światło w pokoju pochodziło od którejś z lamp stołowych. Teakowa drabinka zamontowana na systemie prowadnic ułatwiała dostęp do katalogów.

- Pana komisariat bardzo sprawnie zajął się tragedią mego syna. Chciałam panu osobiście podziękować.

Dewitt wiedział, co należy odpowiedzieć.

- To raczej moi zwierzchnicy zasłużyli na pani uznanie.

- O nie. To pan, detektywie. Widzi pan, mam swoich informatorów. Jakkolwiek dziwne może się to komuś wydawać, jako matka odczułam ulgę dowiadując się, że mój syn nie targnął się na swoje życie.

126

- Proszę pani...

- Jessie...

- Dlaczego więc tak starannie mnie pani unikała? Mogła pani pomóc w śledztwie. A pani... starała się je blokować. Chciałbym wiedzieć dlaczego. Jego uśmiech miał znaczyć: „mam dość tych pani sztuczek”. Studiowała tytuły przez dobrych parę sekund, głośno prztykając w grzbiety wy lakierowanym paznokciem.

- Widzi pan, ja mam swoich doradców. To natrętne małe ludziki, które całe godziny spędzają na kreowaniu i ochronie mojego wizerunku. To dość zabawne. Człowiek łatwo się do tego przyzwyczaja, a nawet po jakimś czasie nie może się bez nich obejść. Uczestniczę w tej grze od niepamiętnych lat, o czym z pewnością pan doskonale wie. Kiedy spadła na nas wiadomość o samobójstwie Johna, moi ludzie założyli mi knebel. To było okropne, biorąc pod uwagę okoliczności. Nalegali, żebym niesłychanie się pilnowała, jeśli idzie o moją rolę w tej sprawie. Ze względu na tegoroczne wybory i inne przyczyny. Proszę, żeby mi pan wybaczył sposób, w jaki się spotykamy, jeśli czuje się pan urażony. Trudno mi panować nad pewnymi sprawami.

„Wątpięwto” -pomyślał Dewitt. Zajął miejsce przyjednym ze stołów, w kręgu zielonego światła lampy. Chwilę później Jessie Osbourne usiadła obok. Ostre światło bezlitośnie odsłaniało braki jej urody.

- Co spodziewa się pani ode mnie uzyskać? - zapytał szorstko.

- Jest nas dwoje przy tym stole, detektywie. Nikt panu nie kazał tu przychodzić. Może to ja powinnam spytać, czego pan chce ode mnie, czy tylko czysta ciekawość pana tu przywiodła?

- Mnie? Ma pani rację, ciekawość. Chcę uczciwych odpowiedzi. Poza tym

chciałbym, by sięgnęła pani do kieszeni - własnej lub któregoś z pani gości... Potrzebuję 2800 dolarów, żeby zapłacić pewnemu informatorowi za parę szczegółów. To niezbędne dla ustalenia tożsamości zabójcy pani syna. Potrzebuję tych pieniędzy natychmiast. W Carmel nie mają forsy na podobne sprawy. I wątpię, czy by mi ją dali, gdyby nawet mieli.

- Dla pana Collette'a - powiedziała, zaskakując go.

- Nieźle, słowo daję! Widzi pani, jak mało tajemnic uchowa się u nas w policji? - spytał. - A czegoż to pani chce ode mnie?

- Pana pomocy - odpowiedziała. - Potrzebna mi pana pomoc, detektywie. Postaram się dać panu odpowiedzi, których pan oczekuje i zdobędę te 2800 dolarów!

- Widać bardzo pani potrzebuje pomocy...

- Zdecydowałam, z pewnych względów, zwrócić się wprost do pana. Moi doradcy nie wiedzą o tym spotkaniu. Gdyby wiedzieli, obdarliby mnie ze skóry. Oczywiście, tu i ówdzie wypytywałam o pana, dowiedziałam się, że jest pan człowiekiem słownym i godnym zaufania. Tak więc, zanim posuniemy się dalej, musi pan przyrzec, że wszystko, o czym będziemy

127

I

mówić, pozostanie poufne - nie trafi do protokołu - jeśli będzie to leżało w pana możliwościach.

Przez chwilę się zastanawiał. Z jej słów wynikało, że może się nie udać zachowanie poufności, co po prostu znaczyło, że pewne sprawy mogą wypłynąć w sądzie. Wypowiedział swoje wątpliwości na głos, chcąc, żeby ona także zdała sobie z tego sprawę.

- To prawda - powiedziała. - Nie oczekuję, że będzie pan kłamał w sądzie, pomyślałam tylko o tym, że będzie pan chronił to, co się da ochronić.

Dewitt przyjął jej warunki.

- Jeszcze jedno - jeśli się zorientuję, że coś pani przede mną ukrywa - ostrzegę - uznam umowę za zerwaną. Żądam prawdziwego materiału, a nie spreparowanych kopii.

- Rozumiem pana obiekcje.

- Doprawdy?

- Bierze mnie pan za gołosłownego polityka, który próbuje pana omamić.

- Tak, dobrze to pani odebrała.

- Lubię pana, detektywie - uśmiechnęła się nieśmiało. - Skoro jest pan tak podejrzliwy, niech pan pierwszy zadaje pytania. Może w ten sposób przełamiemy lody.

- Lumbrowski telefonował do pani, a nie do Priscilli - powiedział.

- Tak - kiwnęła głową.

- Ile razy?

- Pięć - zawahała się przez chwilę. - Trzy razy rozmawialiśmy.

- Zrobiła pani z Priscilli łączniczkę. To ona miała załatwić sprawę z Lumbrowskim.

- Tak - skinęła.

Chciał notować, lecz wiedział, że to by przeszkadzało w rozmowie. Starał się wszystko zapamiętać. Myśli tłoczyły się w jego głowie i przepychały jak taksówki w godzinach szczytu.

- Lumbrowski się na to zgodził, bo wcześniej zawarła z nim pani pewną umowę.

- Tak.

- Jaka to była umowa?

Zatopiała wzrok gdzieś za nim. Zapadła cisza, jak mu się zdawało, na kilka minut. W pewnej chwili oczy zaszyły jej łzami, lecz się opanowała. Patrząc na niego, zaczęła mówić:

- Jak wiele innych rzeczy, związanych z kondycją ludzką, detektywie - znów była na granicy łez - można to sprowadzić do spraw elementarnych. Ludzkie motywacje bardzo mało się różnią, jeśli odsłoni się istotę rzeczy. Prawda? Pan Lumbrowski podobnie, jak i ja, chciał zachować twarz. Mówiąc najprościej, chodziło nam o to samo i może to było przyczyną, że od razu mnie przekonał. Wspólny grunt. Ja go rozumiałam, detektywie.

128

Dewitt czekał, aż znów zacznie mówić.

- Detektyw Lumbrowski miał stanąć przed komisją za niecałe osiem tygodni. Od tej komisji zależała jego przyszłość, jej orzeczenie miało zadecydować o jego prawie do emerytury i świadczeń, miało być podsumowaniem wszystkich lat jego

publicznej służby. Wierzył, że z jego długoletnim doświadczeniem policyjnym będzie mógł się przyczynić do rozwiązania zagadki obu tych morderstw. Widzi pan, od razu mnie przekonał, że mój syn został zamordowany, że wbrew temu, co pisały gazety, a nawet twierdziła policja, to nie było samobójstwo. Jako matka, jako człowiek, nie chciałam wierzyć, że mój syn odebrał sobie życie. Tak więc ubiliśmy interes. Jeśli potrafiłby dowieść, że mój John został zamordowany, i ostatecznie przekonać o tym policję, wtedy ja mogłabym mu pomóc, dostarczając informacje o przebiegu oficjalnego śledztwa. A potem, po zakończeniu całej sprawy, świadczyłabym na jego korzyść na przesłuchaniu.

- Zapewniając mu przywrócenie do służby.

- Wierzył, że moje świadectwo może się do tego przyczynić.

- Powiedziała pani, że „od razu” panią przekonał o tym, że jej syn został zamordowany? Jak?

- Kazał mi przejrzeć raporty pierwszego funkcjonariusza, który odkrył zwłoki, a także i pana raporty, detektywie... z przeszukania sceny zbrodni. Powiedział mi, że przeoczono bardzo prostą rzecz.

- Słucham - rzekł Dewitt.

Prawdę mówiąc, denerwował się coraz bardziej. Więc było coś, co zauważył Lumbrowski, a on nie? Koszmarne myśli. Co to mogło być? Lumbrowski przewyższał go wieloletnim doświadczeniem i teraz Dewitt wzdrygał się na myśl, że jednak coś przeoczył.

- Rolka taśmy klejącej, detektywie. „Takie proste” - powiedział mi i tak było w istocie. Nigdzie, w żadnym policyjnym ani w żadnym kryminalistycznym raporcie nie było wzmianki o rolce taśmy. Po prostu, nie znaleziono żadnej rolki taśmy na miejscu zbrodni. W jaki więc sposób mój syn mógł zalepić okno?

Ich oczy spotkały się.

- Proste - powtórzyła.

Powoli skłaniał głowę w geście potwierdzenia. Poczul ogień na twarzy. Zajmował się skrupulatnie piaskiem na podszewkach i włóknami wykładziny z samochodu... Gdyby Osbourne przygotowywał samobójstwo, nie wyrzuciłby taśmy, której użył. Bo po co? Lumbrowski pokonał Dewitta w prostej dedukcji: John Osbourne musiał zostać zamordowany.

- Jak już mówiłam, to mnie przekonało, że pan Lumbrowski jest coś wart.

Zawarliśmy rodzaj przymierza pokrzywdzonych.

- Capp kopiował raporty dla pani, nie dla Lumbrowskiego - powiedział Dewitt zdumiony, myśląc głośno.

Jessie Osbourne wyprężyła się.

9 - Kluczowy dowód

129

- Obiecała pani mówić wszystko, co pani wie - przypomniał. - Capp dostarczał pani fotokopie dokumentów. Przekazywała je pani Lumbrowskiemu za pośrednictwem Priscilli, jako część pani udziału.

Potrząsnęła głową.

, . V

- To nie było tak. Zwróciłam się do Manny'ego. On mi to załatwiał. Nie potrafię powiedzieć, czy komendant Capp był w to zamieszany.

- Ile Lumbrowski dostał raportów?

- Najpierw tylko ten z przeszukania miejsca zbrodni i pana raport. W końcu dostał wszystko: protokoły koronera, raporty kryminalistyczne, raporty pierwszego funkcjonariusza, notatki. Wszystko.

- Coś pani pominęła. I jak przypuszczam - celowo.

- Chyba muszę panu zaufać.

Przez chwilę przyglądali się sobie badawczo.

- Lumbrowski odkrył sporą ilość kokainy w samochodzie syna - powiedziała.

Wybuchnęła płaczem. Przez kilka minut nie mogła się opanować.

- W gruncie rzeczy to był po prostu ordynarny szantaż. Lumbrowski miał zachować swoje odkrycie w tajemnicy, jeśli będę mu dostarczać zapiski policyjne i poprę go podczas przesłuchania komisji. Sądził też, że morderstwo miało związek z narkotykami i zamierzał pojsć tym tropem. Uważał, że skoro działa w pojedynkę, potrzebuje wszystkich danych, które mogą mieć związek z dochodzeniem.

.

-Badamy powiązania z handlem narkotykami- poinformował Dewitt.

- Wiedzieliście?

- Mieliśmy tylko pewne ogólne informacje. Jeden z informatorów twierdził, że dwadzieścia gramów kokainy przepadło gdzieś bez siadu. Moja pracownica to bada. Nie mam absolutnej pewności, ale ja nie wierzę w związek tych śmierci z narkotykami.

Skinęła głową i mówiła

dalej:

- Po drugim morderstwie - pana McDuffa - Priscilla opowiadała, że detektyw Lumbrowski popadł w rodzaj paranoi. - Dewitt mógł ścierpieć, że wszyscy dalej tytułowali Lumbrowskiego detektywem. - Stwierdziłam potem, że jego paranoja była usprawiedliwiona. Zarówno samochód Johna, jak i pana McDuffa zaparkowano obok wozu detektywa Lumbrowskiego, kiedy ten spacerował po plaży. Lumbrowski był głęboko przekonany, że ktoś próbuje go zrobić w te morderstwa.

W ten sposób wyjaśniało się odkrycie trójkąta oleju. Dewitt myślał na głos:

- Lumbrowski nie przybywał przed nami na miejsca zbrodni, to miejsca zbrodni przybywały do niego.

Przypomniał sobie rozmowę z doktorem Shilsteinem o traperach. Czyżby zabójca wabił Lumbrowskiego jak zwierzynę, ucząc na jego instynkt policjanta?

130

- Detektywa Lumbrowskiego wyraźnie gnębiła myśl, że mógłby być zamieszany w te zabójstwa^ _ ^ dolarów. Howard Lumbrowski nie jest zabójcą. Nasz informator może natomiast wiedzieć, gdzie szukać prawdziwego zabójcy.

- Sama panu wypiszę czek.

Dewitt pograżył się w rozmyślaniach, gdy tymczasem Jessie Osbourne wyszła z biblioteki i wkrótce wróciła z książeczką czekową. Biorąc się do wypisywania czeku, powiedziała:

- Lepiej niech go pan zrealizuje w gotówce i zaindosuje na odwrocie. Suma była równa miesięcznej pensji Dewitta.

Wręczyła mu czek i podniosła wzrok.

- Nadużyłam władzy, detektywie - powiedziała. - Pozwoliłam sobie na kierowanie się emocjami. Nie tylko jako matka, ale i jako polityk. Mieszałam się do śledztwa w sprawie zbrodni; utrudniałam działanie wymiaru sprawiedliwości; zdobywałam tajne informacje. I robiłam to głupio. Papiery przechodziły przez moje ręce... od Manny'ego do mnie, ode mnie do Priscilli, od niej do Lumbrowskiego. Nasze odciski palców są na wszystkich dokumentach. Nie zwracałam na to uwagi. Nie wiem gdzie detektyw Lumbrowski je trzymał, ale gdyby je znaleziono... co, od pana, ode mnie, od wszystkich, którzy pełnią funkcje publiczne, pobrano odciski palców do kartoteki Departamentu Sprawiedliwości. Jak długo potrwa, zanim odkryją mój udział w tej sprawie?

- Ach, to dlatego zostałam odsunięty od sprawy Lumbrowskiego.

Wzruszyła ramionami.

- Gdyby znaleziono te papiery, wszyscy mielibyśmy kłopoty. Mam dla pana propozycję: będę zabiegała, żeby włączono pana do śledztwa Lumbrowskiego. Poproszę tylko o pewne względy, jeśli dowody, o których mówiłam, zostaną ujawnione. - Zawahała się. - Wycofam się z obecnej kampanii, odejdę po cichu z urzędu publicznego, jeśli może pan oszczędzić mi upokorzenia... Nie jestem pozbawiona uczuć. Wolałabym pozostawić po sobie dobre wspomnienie, niż być usunięta w wyniku wrogiej kampanii wznieconej z powodu mojej głupoty. Co najważniejsze, chciałabym umknąć zarówno dla Priscilli, jak i dla siebie, postawienia w stan oskarżenia za mactwo w śledztwie. Nie życzyłabym sobie, żeby moi koledzy mnie

*73_11

- Nikt nie chce pani upadku. W każdym razie nie ja. Pani jest żyjącą legendą naszego stanu. Nie mam zamiaru przyczynić się do jej obalenia. To, co pani zrobiła... Cóż, po prostu sprawa wymknęła się pani z rąk, i tyle.

- Z pewnością tak.

t

- Lumbrowski zwykle tak postępował, że sprawy wymykały się z rąk. Niestety to była jedna z jego cech szczególnych.

- Więc zawarliśmy umowę? - Wyciągnęła do mego rękę.

-Debiutuję jako policjant. Obiecałem sobie na początku i unikać tego rodzaju historii, jeśli w ogóle się zdarzą. Potajemnych Wzajemnych przysług. Zdawałem sobie jednak sprawę, że bywają i wyjątkowe. - Panią mogę usprawiedliwić - ciągnął. - Ale nie kometa Cappa, nie Manny'ego Rotha. Ich motywów znacznie trudniej wzmocnić, co robią... nadużyli władzy, działali samo* Ręka rękę myje - to ich dewiza. Przesadą byłoby domagać się z ich z urzędów za skopiowanie kilku plików, i nie to miałem na myśli jednak Capp mógłby doczekać emerytury gdzie indziej, w innym kraju, a Manny'ego Rotha można by przekonać, żeby przestał kłócić między boiskiem golfowym a ratuszem. Przyzna pani, że zbyt wyjeżdża. Za mało zna nasze miasto. Nie rozumie jego spraw. Musi wreszcie mieć za burmistrza kogoś poważnego. Eastwood też dziel czas, ale obowiązki burmistrza traktował poważnie. Robił dobrze. Ale jeśli ktoś inny znajdzie te papiery, to wszystko to jest niepewne. To na koniec. - Jeśli nie, to może użyje pani swoich zdolności perswazyjnych czy inaczej, powinno pani zależeć, żeby dopuszczono mnie do rozmowy z Lumbrowskiego.

- Zobaczą, co będą mogła zrobić.

- Już nas tu nie ma - szepnął do ucha Clare, stając za jej plecami. Słuchała opalonego na brązowo mężczyzny trochę po sześćdziesiąt, który rozglądał się przed nią w stronę potencjalnych rynków dla biodegradowalnych tworzyw. Dewitt pociągnął ją za łokieć.

- Nie zostajemy na obiad? - spytała.

Dało się łatwo zauważyć, że piła trzeciego, czy czwartego dnia. Spróbował jej zabrać kieliszek, ale była szybsza, przechyliła go do dnem i wysączyła całą zawartość, zostawiając tylko lód.

- No - powiedziała i pocałowała go w usta. - Dokąd teraz? Kwadrans później zatrzymali się przy Ocean Avenue, wystawili w okno tabliczkę Clare z napisem: SŁUŻBOWA SPRAWA POLICYJNA się zabezpieczyć przed odholowaniem - i trzymając się za ręce, zeszli wodę. Było zimno, lecz Clare chyba tego nie czuła. Objęci w ścisłym uścisku ruszyli przed siebie brzegiem plaży. Odezwała się:

- Kiedy zostawiłeś mnie samą, Manny Roth starał się wydobyć z mnie najdrobniejsze dowody, jakie mieliśmy w sprawie Lumbrowskiego. I w końcu wypytywał mnie o jego mieszkanie. Tylko po to mnie zapytał Dewitt opowiedział jej szczegółowo o przebiegu spotkania w Osbourne.

- James, dlaczego dowody związane ze śmiercią Lumbrowskiego inne niż w poprzednich wypadkach? Jeśli to nie samobójstwo, z czym to się zgadza, to dlaczego są zmiany? - spytała Clare.

132

I jedno wytłumaczenie - rzucił Dewitt - ktoś zabił Lumbrowskiego, i podszedł się pod pierwszego zabójcę. Powiedzmy, że stał się natarczywy i groził, że wyjawia, od kogo dostał kopie. Jak Capp by na to zareagował? Wiemy, że spotkali się nie dwa razy: raz w komisariacie i raz u Cappa w domu. Nie Capp mógłby rozmyślnie zabić Lumbrowskiego. Jeśli jednak że kopie wędrowały od niego do Rotha, od Rotha do pani, a wreszcie do jego człowieka, Lumbrowskiego, to pewnie się mogli się pobić. Mógł się zdarzyć wypadek. W takim razie Capp do ukrycia, a jedyną osobą, która mogłaby związać go z tą osobą, przyciskając się mocniej do niego. To jesteśmy my - skorygował. - Zbagatelizowałem sprawę przy czym Capp mógłby słono zapłacić za skopiowanie plików, za usługi taksówkarza za moimi plecami.

Próbował się napić. Spytał Clare, czy nie chciałyby wrócić do samochodu, odmówiła.

Pomyślał, że może chce wytrzeźwieć. Była odprężona, moment, żeby skłonić ją do zwierzeń. A jak to było z tobą, Clare? - spytał. - Mnie? - zdziwiła się. Jak trafiłaś do kryminalistyki?

Przez taką jedną sprawę. Kiedy byłam w college'u. Nie była to pierwsza trafiająca na pierwsze strony gazet. Zamordowano moją koleżankę - I wntzija się takie rzeczy. Zaczęłam to badać. No i...?

i przysiadła kawałek, zanim zaczęła mówić.

< i z policji nie mieli punktu zaczepienia, nie wydawali się zresztą zbyt zainteresowani. Teraz inaczej bym na to patrzyła, ale wtedy... Poszłam na spacer z kolegami... to była alejka w parku. Na sąsiedniej alejce zauważyli buty. Drugie kroki, jakby ktoś biegł. Powiedziałam o tym koleżance. Skierował mnie na wydział kryminalistyki. Kiedyś nic wiedziałam, co to takiego kryminalistyka. Jedną rzecz pociągnęła Hobą kolejną... pewien profesor pomógł z

policjantami, którzy iiiiili z naszego laboratorium. Znalezione pewne dowody rzeczowe.

| ud na nowo się zainteresowali. Lekarz sądowy ustalił kolor włosów 11 y był rudy - i grupę krwi. Znalazłam odcisk jednego jego buta. i ud jeszcze raz przesłuchali chłopców, z którymi się widywała. Jeden i był rudy i nosił odpowiednio buty. Zbadali mu krew: idealna

| ifo'\ Przyznał się, kiedy przedstawili mu dowody. Wciągnęło mnie >Vicsz, nigdy o tym nie opowiadam -dodała. -Wszyscy trafiamy do mży z jakichś osobistych powodów, z pewnością nie dla zarobków, lv zaczyna się wyjaśniać powody, motywy..., to jakoś głupio brzmi, ilnm mnóstwo historii. W większości bardzo osobistych. I nie da się

| durnieć, jeśli samemu się nie przeżyło.

133

- Debiutuję jako policjant. Obiecałem sobie na początku kariery unikać tego rodzaju historii, jeśli w ogóle się zdarzą. Potajemnych umów. Wzajemnych przysług. Zdawałem sobie jednak sprawę, że bywają sytuacje wyjątkowe. -Paniąmogę usprawiedliwić -ciągnął. -Ale nie komendanta Cappa, nie Manny'ego Rotha. Ich motywy znacznie trudniej wybaczyć. Oni dobrze wiedzieli, co robią... nadużyli władzy, działali samowolnie. Ręka rękę myje - to ich dewiza. Przesada byłoby domagać się zwolnienia ich z urzędów za skopiowanie kilku plików, i nie to miałem na myśli. Może jednak Capp mógłby doczekać emerytury gdzie indziej, w innym komisariacie, a Manny'ego Rotha można by przekonać, żeby przestał kursować między boiskiem golfowym a ratuszem. Przyzna pani, że zbyt często wyjeżdża. Za mało zna nasze miasto. Nie rozumie jego spraw. Moglibyśmy wreszcie mieć za burmistrza kogoś poważnego. Eastwood też dzielił swój czas, ale obowiązki burmistrza traktował poważnie. Robił dobrą robotę. Ale jeśli ktoś inny znajdzie te papiery, to wszystko to jest niepewne -dodał na koniec. - Jeśli nie, to może użyje pani swoich zdolności perswazji. Tak czy inaczej, powinno pani zależeć, żeby dopuszczono mnie do sprawy Lumbrowskiego.

- Zobaczę, co będę mogła zrobić.

- Już nas tu nie ma - szepnął do ucha Clare, stając za jej plecami. Słuchała opalonego na brązowo mężczyzny trochę po sześćdziesiątce, który roztaczał przed nią wizję potencjalnych rynków dla biodegradowanych się tworzyw. Dewitt pociągnął ją za łokieć.

- Nie zostajemy na obiad? - spytała.

Dało się łatwo zauważyć, że piła trzeciego, czy czwartego drinka. Spróbował jej zabrać kieliszek, ale była szybsza, przechyliła go do góry dnem i wysaczyła całą zawartość, zostawiając tylko lód.

- No - powiedziała i pocałowała go w usta. - Dokąd teraz? Kwadrans później zatrzymali się przy Ocean Avenue, wystawili w oknie tabliczkę Clare z napisem: SŁUŻBOWA SPRAWA POLICYJNA - żeby się zabezpieczyć przed odholowaniem - i trzymając się za ręce, zeszli nad wodę. Było zimno, lecz Clare chyba tego nie czuła. Objęci w ciasnym uścisku ruszyli przed siebie brzegiem plaży. Odezwała się:

- Kiedy zostawiłeś mnie samą, Manny Roth starał się wydobyć ode mnie najdrobniejsze dowody, jakie mieliśmy w sprawie Lumbrowskiego. W kółko wypytywał mnie o jego mieszkanie. Tylko po to mnie zaprosili...

Dewitt opowiedział jej szczegółowo o przebiegu spotkania z Jessie Osbourne.

- James, dlaczego dowody związane ze śmiercią Lumbrowskiego są inne niż w poprzednich wypadkach? Jeśli to nie samobójstwo, z czym się zgadzam, to dlaczego są zmiany? - spytała Clare.

132

- Jest jedno wytłumaczenie - rzucił Dewitt - ktoś zabił Lumbrowskiego, by go uciszyć, i podszył się pod pierwszego zabójcę. Powiedzmy, że Lumbrowski stał się natarczywy i groził, że wyjawia, od kogo dostał kopie raportów. Jak Capp by na to zareagował? Wiemy, że spotkali się przynajmniej dwa razy: raz w komisariacie i raz u Cappa w domu. Nie wierzę, że Capp mógłby rozmyślnie zabić Lumbrowskiego. Jeśli jednak odkrył, że kopie wędrowały od niego do Rotha, od Rotha do pani Osbourne, a wreszcie do jego człowieka, Lumbrowskiego, to pewnie się wściekł. Mogli się pobić. Mógł się zdarzyć wypadek. W takim razie Capp miałby wiele do ukrycia, a jedyna osoba, która mogłaby związać go z tą sprawą...

- To ty - przerwała, przyciskając się mocniej do niego.

- To jesteśmy my - skorygował. - Zbagatelizowałem sprawę przy Jessie, ale Capp

mógłby słono zapłacić za skopiowanie plików, za usługi dla Manny'ego za moimi plecami.

Zaczął siąpić. Spytał Clare, czy nie chciałyby wrócić do samochodu, lecz ona odmówiła. Pomyślał, że może chce wytrzeźwieć. Była odprężona. Dobry moment, żeby skłonić ją do zwierzeń.

- A jak to było z tobą, Clare? - spytał.

- Ze mną? - zdziwiła się.

- Jak trafiłaś do kryminalistyki?

- Przez taką jedną sprawę. Kiedy byłam w college'u. Nie była to historia trafiająca na pierwsze strony gazet. Zamordowano moją koleżankę. Zdarzają się takie rzeczy. Zaczęłam to badać.

- No i...?

Przeszli kawałek, zanim zaczęła mówić.

- Ci z policji nie mieli punktu zaczepienia, nie wydawali się zresztą zbyt tym zainteresowani. Teraz inaczej bym na to patrzyła, ale wtedy... Poszłam na miejsce zbrodni... to była alejka w parku. Na sąsiedniej alejce zauważyłam ślady butów. Drugie kroki, jakby ktoś biegł. Powiedziałam o tym profesorowi kryminologii. Skierował mnie na wydział kryminalistyki. Nawet nie wiedziałam, co to takiego kryminalistyka. Jedna rzecz pociągnęła za sobą kolejną... pewien profesor pomówił z policjantami, którzy korzystali z naszego laboratorium. Znalaziono pewne dowody rzeczowe. Policjanci na nowo się zainteresowali. Lekarz sądowy ustalił kolor włosów mordercy - był rudy - i grupę krwi. Znalazłam odcisk jednego jego buta. Policjanci jeszcze raz przesłuchali chłopców, z którymi się widywałam. Jeden z nich był rudy i nosił odpowiednie buty. Zbadali mu krew:

idealna zgodność. Przyznał się, kiedy przedstawili mu dowody. Wciągnęło mnie to.

- Wiesz, nigdy o tym nie opowiadam - dodała. - Wszyscy trafiamy do tej branży z jakichś osobistych powodów, z pewnością nie dla zarobków, a kiedy zaczyna się wyjaśniać powody, motywy..., to jakoś głupio brzmi. Słyszałam mnóstwo historii. W większości bardzo osobistych. I nie da się ich zrozumieć, jeśli samemu się nie przeżyło.

133

- Kim ona była?

- Kto?

- Zamordowana dziewczyna... miałem na myśli, kim była dla ciebie? Przez dłuższą chwilę nie odpowiadała. Fale przecinały brzeg jak sztylety o srebrnych ostrzach wbijających się w ciszę. Dewitt położył rękę na jej ramieniu.

- Mieszkałyśmy w jednym pokoju - powiedziała. - Nazywała się Nancy Gail Adams. Rozgarniała piasek stopą.

- Pewnego wieczora wyszła napić się piwa. A następnego dnia była już tylko kolejną pozycją w statystyce policyjnej. Żyłam w zaczarowanym świecie, w którym nikogo nie gwałcono i nie dźgano nożem. To właśnie z nią zrobił. Nancy była dziewczyną jak wszystkie inne. Tego wieczora mogłabym być na jej miejscu. Przypadkiem nie chciało mi się nigdzie wychodzić.

Lunęło. Podtrzymując się jak para tancerzy na lodzie, wrócili do samochodu.

- Od biedy potrafię zrobić omlet - powiedział, zatrzymując jej saaba na swoim podjeździe.

- Jestem przemoknięta - odpowiedziała.

- Znajdą się jakieś rzeczy. Przebierzesz się.

Czekał, mając nadzieję, że Clare się jednak zgodzi, potem powiedział:

- No cóż, może innym razem.

- Jej rzeczy?

- Nie. Tamtych się pozbyłem. Mam jakieś swetry, no wiesz, coś takiego.

- Z czym będzie omlet? - spytała, otwierając drzwi po swojej stronie. Po drodze wyliczali składniki, które być może znajdą w domu.

- Nie obudzimy Emmy? - spytała, gdy podeszli do drzwi frontowych. Badała grunt. O to się martwi - pomyślał.

- Została na noc u przyjaciółki - wyjaśnił.

Zamykając drzwi frontowe, spojrział w głąb korytarza. Zobaczył swój otwarty pokój i stojące tam łóżko.

- Trzecia szuflada od góry. Koszule są w garderobie - powiedział. - Ja się zajmę kolacją.

Krzętał się po kuchni, przygotowując jajka. Próbował nasłuchiwać odgłosów dobiegających z sypialni. Ze zdenerwowania zaczął gwizdać. Ubijał jajka na żółta pianę, gdy usłyszał szum wody. Clare brała prysznic: bardzo rozsądnie, biorąc pod uwagę, jak byli zziębnięci. Gdy jednak zobaczył ją w wyobraźni, nie bardzo mógł się skoncentrować na kulina-riach. Dalej ubijając jajka, wypuścił z ręki brzeg miski, a dłonią, w której trzymał trzepaczkę, pchnął miskę razem z jajkami w poprzek blatu. Dał za nią nura, lecz bez powodzenia. Zakręciła się niczym latający talerz,

134

przeleciała w powietrzu i spadła pionowym ruchem na podłogę. Miska jakimś cudem ocalała, jej zawartość natomiast utworzyła na podłodze kałużę żółtej packi. Pospiesznie wziął się do sprzątania, uświadamiając sobie nagle, że nie ma więcej jajek. Stał w zamyśleniu, trzymając ścierkę nasiąkniętą jajeczną masą, gdy Clare ukazała się na progu - bosa, ubrana w jego frotowy szlafrok, który kiedyś uprał razem z džinsami, w wyniku czego szlafrok nabrał koloru nazwanego przez Emmy „kawalerskim błękitem”. Clare zaczesła do tyłu mokre włosy, jej twarz bez makijażu była naturalna i jeszcze bardziej pociągająca. Rozchylenie szlafroka sięgało jej piersi.

- Było cudownie - powiedziała. - Nie masz mi tego za złe? Musiałam się rozgrzać.

- Ależ nie.

Owinęła się szczelniej szlafrokiem.

- Nigdy nie było mi do twarzy w swetrach. Teraz twoja kolej -nakazała, szczypiąc palcami jego mokrą koszulę. - Zdejmij to. Ja sobie poradzę.

- Ja... Nie mamy już jajek.

- Idź - powiedziała. - Wymyślę coś.

Zobaczył starannie rozwieszzone na haczykach w łazience jej spodnie, bluzkę, stanik i majtki kołyszące się w strumieniu powietrza z wentylatora. Całe lustro było zaparowane poza wytartym owalem, w którym się przejrzała. W zębach grzebienia leżącego na półeczce tkwiło kilka jej długich włosów.

James zrzucił ubranie. Zostawił na podłodze bezładną stertę i puścił wodę, aż para wypełniła kabinę i skłębiła się wokół zimnych szklanych drzwi. Jego skrępowanie topniało pod wpływem gorącej wody.

Właśnie się mydlił, kiedy poprzez szum spływającej wody usłyszał radio wbudowane w zegar w łazience. Dźwięki muzyki klasycznej wypełniły małe pomieszczenie.

Oparł się plecami o zimną glazurę. Wiedział, że Clare przychodzi do niego. Automatyczne nocne oświetlenie w postaci mlecznej żarówki włączyło się, gdy zgasła światło w łazience. Otworzyła drzwi kabiny i James ujrzał jej nagą sylwetkę w poświacie przypominającej blask świecy.

Przychodziła do niego, jak powinna przychodzić kochanka, zmysłowa i troskliwa, z umyślną powolnością, która go podniecała. W ciemności nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy. Czy też się uśmiechała?

- Clare -powiedział, lecz ona uciszyła go, kładąc mu palec na wargach, i mocno się do niego przytuliła. Delikatnie przesunęła paznokciami wzdłuż jego pleców, po czym ścisnęła je mocniej i ukryła głowę na jego piersi.

Pieściła go delikatnie, on troskliwie próbował jej odpowiadać. Odkrywali się wzajemnie. Wokół nich unosiły się kłęby pary. Kostka mydła, którą upuścił, wyślizgiwała się spod jego stóp za każdym razem, gdy na nią nadepnał, i obijała się po podłodze kabiny jak krążek hokejowy.

135

Trwali przytuleni w potokach ciepłej wody. Clare uniosła ku niemu oczy. Jego wzrok przystosował się już do słabego światła i teraz czytał nieomylnie na jej twarzy wyraz pożądania, zachwytu, zaciekawienia. Wargi ich się spotkały - cudowne, upragnione uczucie.

Czuł, że kolana mu słabną. Jej dłonie przesunęły się po nim jak płochliwe skrzydła ptaka.

- Chcę ciebie, James - wyszeptała poprzez szum wody. -Wiem, że to strasznie szybko - dodała. - Ale zawsze wiem, czego chcę.

W tonie jej głosu, pełnym pożądania, było coś, co tak bardzo przypominało mu Julię, że to już nie Clare była z nim tutaj, ale jego zmarła żona. Osłupiały, Dewitt cofnął się.

- James? - spytała przerażona Clare; w jej głosie brzmiał lęk, że zostanie odepchnięta.

A on słyszał głos Julii. Osunął się wolno po ścianie, przysiadając w kucki na

podłodze. Pokonany.

- James? - spróbowała jeszcze raz. - Powiedz coś. Nie rób mi tego. Potrząsała głową. Nie chciał patrzeć jej w oczy.

Wyszła szybko z kabiny, potykając się, prawie przewracając. Słyszał, jak szamotała się z ubraniem, słyszał stuk spadającego wieszaka.

- Clare? - zawołał.

- Przestań, James. Nie chcę cię słuchać.

- Ja nie chciałem...

- Przestań! - Miała na sobie stanik i majtki. Szamotała się zabawnie, starając się włożyć spodnie. Stał za nią i otoczył ją ramionami. Puściła spodnie i szarpnęła go za rękę, by się uwolnić.

- Coś mnie napadło i tyle - powiedział.

- Poczuałam się niewiele warta. I tyle! - odpowiedziała. - Zapomnij o tym, co mówiłam - dodała.

- Proszę cię - powiedział.

Zmów zaczęła walczyć ze spodniami.

- Do licha z tym wszystkim! - krzyknęła, schylając się ze spodniami przewieszonymi przez ramię, by włożyć buty.

Plakała. Odepchnęła go i wybiegła z sypialni, ku drzwiom wejściowym, przy których zawahała się przez chwilę, nim zanurzyła się w ciemność ubrana w samą bieliznę.

Dewitt chwycił z łóżka szlafrok i popędził za nią, po drodze wpychając ręce w rękawy, wołając ją i powtarzając słowa przeprosin. Wybiegł przed dom, ułamek sekundy za późno, bo już zatrzasnęła za sobą drzwi wozu.

- Clare - błagał ją przez okno, gdy wreszcie uporał się z szlafrokiem. Sięgnęła do stacyjki; nagle uderzyła pięścią w kierownicę i oparła głowę na rękach, zalewając się łzami.

Dewitt obszedł wkoło samochodu i otworzył drzwi pasażera, których nie zamknęła.

136

- Zostawiłem tu klucze - powiedział. - Clare, to była Julia. Myślę, że to było moje ostateczne pożegnanie z Julią. Wiem to - tłumaczył. - Teraz ty jesteś dla mnie ważniejsza. Nie chcę tkwić w tej samej pułapce, z której Emmy nie może się wydobyć. Ja chcę, muszę się wydostać. Potrzebuję cię, Clare.

- James - powiedziała błagalnie, potrząsając głową.

- Proszę - zebrał.

Wyprostowała wywróconą nogawkę spodni i wciągała je na siebie, wyginając plecy i kręcąc na fotelu.

Dewitt wszedł do samochodu, wziął ją za ramiona i pocałował. Puściła spodnie i niepewnie przyciągnęła jego twarz ku sobie, odwzajemniając pieśczęotę. Między pocałunkami jedno drugiemu próbowało coś wyjaśnić, ale nie rozumieli swoich słów. Teraz więcej znaczyły dotknięcia. Wsunęła ręce pod jego szlafrok, a potem, równie szybko, otworzyła drzwi po swojej stronie, wzięła go za rękę i przyciągnęła ku sobie. Przytrzymał ją i objął ramionami. Śmiała się. Wciąż szamotała się z rozpiętymi spodniami, które utrudniały jej ruchy.

- Drzwi - powiedziała.

Dewitt puścił ją i zawrócił, żeby zatrzasnąć drzwi pasażera. Clare skakała do drzwi domu, podtrzymując spodnie, jak dziewczynka biorąca udział w wyścigu w workach. Wpadła do środka, śmiejąc się histerycznie. Pokuśtykała wzdłuż korytarza, oglądając się raz po raz przez ramię. Dewitt zdecydował się wystąpić w roli Frankenstein, goniąc ją w rozchełstany szlafroku. Słyszał, jak wilgotne spodnie plasnęły o podłogę, słyszał, jak wskoczyła do łóżka, wciąż zanosząc się nerwowym śmiechem, słyszał, jak się podciąga na poduszce i gdy doszedł wreszcie do sypialni, zastał ją czekającą - naga, zziębnięta, z rozpostartymi ramionami i oczami błyszczącymi z podniecenia. Przeczuwającą.

Zatrzasnął za sobą drzwi i zrzucił szlafrok. Gdy sięgał do wyłącznika, powiedziała stłumionym, zmysłowym głosem:

- Nie gaś światła, James. Proszę cię. Chcę widzieć twój uśmiech. Chcę sprawić, żebyś się uśmiechał.

7

Poniedziałek 1

Poniedziałkowy ranek obdarzył Dewitta głębokim przeświadczeniem, że znów żyje. Gdyby miał zwyczaj analizować własną psychikę, być może uznałby swą egzystencję w ciągu ostatnich pięciu

miesiący za spełnianie funkcji i powinności - ale nic więcej. Przed nim, jedna na drugiej, leżały trzy kartonowe teczki opatrzone nazwiskami ofiar mordercy. Nieżyjących ludzi. Dewitt jednak czuł, że jego miejsce nie jest wśród umarłych. Odurzony magiczną ociężałością, która przenikała całe jego ciało, czuł się zbuntowany, pewny siebie, skupiony. W ciągu jednej nocy - kilku zaledwie godzin - Clare sprawiła, że znów był doceniany. I znów kochany - choćby tylko przez jeden wieczór. I chociaż poczucie winy na chwilę przyćmiło jego świetny nastrój, zaraz je stłumił. Julia z pewnością pragnęłaby, żeby doznał miłości, żeby był szczęśliwy. Nie ma cudowniejszego uczucia. Zdumiewało go, że dwoje ludzi mogło połączyć się fizycznie tak idealnie. Nieokiełznana namiętność Clare, jej zdolność przedłużania doznań, doprowadzenia obojga umiejętnym masażem do szalonego, wybuchowego finału, sprawiły, że pograżył się w rozkoszy aż do bólu. Pierwszym nieuniknionym wydarzeniem dnia była telefoniczna rozmowa z Lealą Mahoney. Mówiła krótkimi zdaniami, wyraźnie dbała, by zachować czysto oficjalny charakter rozmowy.

- PeterTilly -powiedziała - chce wycofać wszelkie oskarżenia przeciw Marvinowi Woodowi, jeśli ten będzie kablował w śledztwie o kradzież. Zostajesz ty, Dewitt - podsumowała niegrzecznie. - Albo go oskarżysz, albo wypuścisz. Zaproponowałeś mojemu klientowi kontrakt. Wierzę, że

138

współpracował najlepiej jak potrafił. Czy twoja oferta pozostaje w mocy, czy sobie jeszcze zatańczymy?

Musiał ją pohamować. Odezwał się pewnym siebie tonem:

- Z mojej strony nie będzie żadnych oskarżeń, pani mecenas, ale może zapragnę z nim pomówić, i nie chciałbym wzywać w tym celu Gwardii Narodowej. Jasne?

- Obracasz się w dość szybkim towarzystwie, Dewitt. Od kiedy to detektyw z Carmel uzyskuje prywatne audiencje u Jessie Osbourne? -Wyczuł zazdrość w jej głosie. - A potem wymykasz się z bankietu. Pewnie musiałeś zdążyć do swoich prac laboratoryjnych, co Dewitt?

- Miło cię było wczoraj widzieć - powiedział, by złagodzić napięcie. -Świetnie wyglądałaś w tej sukni.

- Idź do wszystkich diabłów - mruknęła. Usłyszał buczenie sygnału.

- O, jesteś, Dewitt - W drzwiach stał komendant Capp, pochylając ramiona, jakby ściągał je w dół ciężar wystającego brzucha. -Pozwolisz? -wskazał głową krzesło stojące przed biurkiem Dewitta.

Dewitt skinął głową, próbując ukryć zaskoczenie faktem, że Capp wkroczył na jego terytorium! Czy powinien wstać? Uniósł się lekko z krzesła.

- Dostałem zawiadomienie - powiedział Capp i zamknął drzwi. Opadł na krzesło i zatopił w Dewitcie lodowate spojrzenie. Po chwili rozpoczął monolog:

- Więc próbujesz dać mi wycisk? Pozwolisz, chłopcze, że udzielę ci kilku życiowych rad. Nigdy nie wykładaj kart za wcześnie, trzymaj je zawsze zakryte i nigdy nie siadaj na wprost okna albo przed lustrem. Jak chcesz się podlizywać takiej politycznej bestii jak Jessie Osbourne, to lepiej byś się zastanowił, co u diabła robisz. Ona przeżuje cię i wypluje zanim zdążysz pomyśleć. - Uśmiechnął się z groteskową poufałością, która jeszcze wczoraj speszyła Dewitta. - Zaproszono cię z powrotem do sprawy Lumbrowskiego, poczynając od tej chwili. Nie wiem dokładnie, co o tym mówiono, ale takie posunięcia zwracają uwagę, robią ci wrogów. To co słyszałem: Morn podejrzliwie patrzy na twoje mieszanie się do tego wszystkiego z powodu twojej małej sprzeczki „Pod Podkową”. Ty masz motyw. Twoje stosunki z Browem nie były dla nikogo tajemnicą. Dlatego odsunięto cię od sprawy. A ty wkradasz się na nowo. Widzisz jak to wygląda? No to dobrze. Utrudniasz tylko pracę...

- Ja? Przecież to Morn mówił o samobójstwie Lumbrowskiego, bo niby zabił tamtych dwóch. Jaki miałbym mieć motyw? Występuję teraz jako obrońca Lumbrowskiego.

- Wszedłeś do pierwszej ligi, Dewitt, a ja nie jestem pewien, czy jesteś przygotowany. Zawodnicy, którzy przechodzą do pierwszej ligi

139

w pierwszym roku kariery albo zostają gwiazdami, albo znikają. Wtrącam się do tego - ciągnął - bo, jeśli ciebie przywrócono do tego śledztwa, to jest tak jakbym ja je objął... ponieważ ty podlegasz mnie- powiedział z naciskiem. - Pamiętaj, że twoje postępowanie rzutuje na nas wszystkich. Masz mi składać

raporty z każdego twojego kroku. Nawet nie próbuj schować na boku choćby jednego z tych twoich cholernych włókienek... A co do kopii raportów... myślisz, że ty sam nie jesteś podejrzany? Przemyśl to na nowo. Myślisz, że się martwię o te rzekome kopie, o których wciąż opowiadasz? Czy możesz je pokazać? - Czekał na odpowiedź. - No więc?

- Nie.

- Nie, nie możesz. Czy możesz chociaż z całą pewnością stwierdzić, że takie kopie istnieją?

- Nie.

- Ach, nie możesz? - zaśmiał się szyderczo i zaczął mówić kpiącym tonem: - W takim razie, posłuchaj, Królu Dowodów: dopóki nie możesz ich pokazać, dopóty one nie istnieją. Mam rację? Do licha, pewnie że mam. Więc jeśli sobie wyobrażasz, że nie śpię po nocach z powodu twoich zasranych kopii, to mylisz się głęboko. Dewitt poczuł uderzenie krwi do głowy, twarz paliła go z gniewu. Wynioskował ze słów Cappa, iż ten znalazł papiery Lumbrowskiego i je zniszczył. Zaniepokoił się o zaginioną kokainę.

- Myślę, że byłoby lepiej, żebyś stąd wyszedł, komendancie. Zaczyna mi tu śmierdzieć. Zapominasz o myciu zębów, czy puściłeś cichacza?

Capp zrobił się czerwony jak burak.

- Widzisz, Dewitt, człowiek powinien sobie starannie wybierać przeciwników. A ty źle wybrałeś.

- Może mógłbyś mi odpowiedzieć na jedno pytanie, komendancie - powiedział Dewitt, wstając i podchodząc do drzwi. - O czym dokładnie mówiliście z Lumbrowskim, kiedy przyjechał do ciebie do domu w sobotę rano? Capp wstał. Sądząc z wyrazu jego twarzy, to pytanie kompletnie go zaskoczyło.

- Co takiego?

- Tak, komendancie, o czym? Co takiego omawialiście?

Capp podszedł do drzwi, otworzył je, i odwrócił się w stronę Dewitta.

- Brow miał rację: jesteś głupim palantem, defektywie. Nie wiesz, kiedy się wycofać.

Dewitt znalazł się tak blisko niego, że poczuł oddech grubasa.

- Nigdy się nie wycofuję - powiedział łagodnie.

- Zobaczmy - mruknął Karl Capp, unikając wzroku rozmówcy. Dewitt wrócił za biurko. Nie wiedział co myśleć. W jakim stopniu Capp był zamieszany w to wszystko? Co ten człowiek zamierzał teraz zrobić, jeśli w ogóle coś zamierzał? Wyciągnął czek Jessie Osbourne z portfela,

140

przekazał go Ginny i polecił jej sprawdzić, jak go zamienić na gotówkę i załatwić kupno osobistego centrum rozrywkowego dla Collette'a.

- W jakim my świecie żyjemy, Ginny! Skazany morderca dorabia się takiego telewizora, jakiego ty czy ja nie będziemy na oczy oglądać.

- Może pracujemy w niewłaściwej branży? - zamyśliła się Ginny.

- Cześć, Emmy - powiedział Billy Ta-

lbot, wychodząc zza drzwi klasy. Przestraszył ją. Miał na sobie marynarkę z indyjskiej bawełny i białą koszulkę.

- Billy - powiedziała, rumieniąc się. - Przykro mi z powodu mojego ojca...

- Nie ma sprawy. Możesz mnie to zostawić - powiedział, przesuwając ręką po jej pośladkach.

Wywinęła mu się, choć dotknięcie nie sprawiło jej przykrości. Uśmiechnął się poufale, jakby znał jej myśli.

- Nie wydaje mi się - powiedziała.

- Słyszałem o twoim psie - rzekł. - Było mi naprawdę przykro - dodał dziwnym tonem.

- Mam lekcję - spróbowała się uwolnić.

- Nieprawda - powiedział, znów kładąc rękę na jej pośladku.

Tym razem nie wrywała się, ponieważ Liza Smart i Gennine Falk właśnie się do nich zbliżały i Emmy pomyślała, że jeśli zobaczą ją i Billy'ego razem, to może dopuszczają ją do paru spraw. Billy ścisnął ją, gdy dwie dziewczyny ich mijaly, i Emmy poczuła gorąco od piersi w górę. Ciekawa była, czy on zauważył rumieniec u nasady szyi. Zaczęła się bawić górnym guzikiem, zasłaniając się ręką.

- Będiesz dziś w pasażu? - spytał.

- Będę w Akwarium, to poniedziałek. Mój tata pracuje w Akwarium.

- Nie wybierzesz się do pasażu?

- Nie, Billy. Nie mogę.

- A gdybym cię tak zabrał z Akwarium? Przejechałabyś się ze mną? - Znów ją ścisnęła. - Mała przejażdżka?
Odsunęła się. Czy Billy był taki zły, jak twierdził jej ojciec, czy też ojciec po prostu był nadopiekuńczy? W szkole nikt nie uważał, że Billy jest zły - to pewne.

- Zobacz cię - powiedziała.

- Nie, nie zobaczy - zaprzeczył Talbot. - Spotkamy się o ósmej trzydzieści przed wejściem. Przejedziemy się do pasażu.

- Nie zgadzam się, Billy. To nie jest najlepszy pomysł.

141

- To świetny pomysł. Ósma trzydzieści, pamiętaj, Emmy. Nie zrób mi zawodu. Dołączył do grupy kolegów i zniknął w tłumie.

Emmy zbliżyła się do szyby w drzwiach klasy i przejrzała się w niej jak w okopconym szkieleku. Jej szyja i dekolt były purpurowe.

Nelson wszedł do pokoju Dewitta bez pukania. Wymachiwał kartką wyrwaną z notatnika.

- Ta robota daje dużo więcej zadowolenia niż kierowanie ruchem - powiedział.

- Co tam masz, Brutusie? - spytał Dewitt.

Przez wisko pasowało do barczystego, ciemnego mężczyzny. Dewitt nagle zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie znał Nelsona, podobnie jak nie znał innych mundurowych policjantów. Zawodowo, tak. Wiedział, że Nelson był najbystrzejszy w zespole. Co jednak robi po pracy - kim jest naprawdę? - to wszystko pozostawało tajemnicą.

- Ten pleksiglas - oznajmił Nelson z dumą. - Właśnie dostałem odpowiedź od szefa centrum sprzedaży. Miał listę wszystkich punktów detalicznych, które sprzedają pleksiglas. Ten, który nas interesuje, jest gorszego gatunku, tańszy, i ma go niewiele sklepów. To jest dla nas korzystne, bo ten drugi gatunek, bardziej przemysłowy, jest powszechnie używany przez rzemieślników wyrabiających obudowy kampingowe do samochodów i do pewnych instalacji zabezpieczających mieszkania. Więc sprzedają to, gdzie tylko można. No i w końcu, sierżancie, mam trzy sklepy na przestrzeni dwustu kilometrów, które handlują tym, co znaleźliśmy za paznokciami McDuffa.

- W Seaside?

- Jeden sklep.

- Pojedź tam. Sprawdź, czy dałoby się jakoś ustalić, ile pleksiglasu sprzedali w ciągu ostatniego pół roku. Tego konkretnie gatunku. Dowiedz się wszystkiego. Kto kupuje ten gorszy pleksiglas i do czego jest używany. Zbierz informacje, Brutusie. Wszystkie. Nawet jak coś wyda ci się nieistotne, zapisz to.

- Dziś rano miałem prowadzić patrol - zaprotestował Nelson. Dewitt dopiero teraz zwrócił uwagę na jego mundur.

- Nie szkodzi, powiem, żeby cię zwolnili. Jeśli będzie ci dalej tak dobrze szło, to niedługo będziesz musiał włożyć mundur w naftalinę. Słyszysz?

- Tak jest.

142

Gdy Nelson wyszedł, Dewitt przypomniał sobie swoją generalną zasadę. Jeśli zbierze się wystarczająco dużo dowodów rzeczowych, to one same opowiedzą całą historię. Dochodzenie utknęło na nie wyjaśnionej sprawie następstwa zdarzeń. Ujmując rzecz w konwencji powieści sensacyjnej lub filmu, nie można było ustalić tożsamości zabójcy, dopóki nie rozumiało się, w jaki sposób mordował. Dewittowi wciąż brakowało sensownego wytłumaczenia, jak to możliwe, że ofiary bez najmniejszego oporu dawały się zagazowywać. Detektyw zabrał do pokoju śniadaniowego teczkę wypchaną zdjęciami wykonanymi na miejscach zbrodni i w laboratorium, po czym na dużym stole rozłożył starannie wszystkie fotografie, jedna za drugą: Osbourne leżący na chodniku, tak jak go zostawił Anderson; trójkąt oleju silnikowego; maszynopis notatek z przesłuchania pani Laughton; zdjęcia końców taśmy; rzeczy Osbourne'a i jego otwarta walizka ze starannie poskładanym ubraniem; furgonetka McDuffa; wyrwana dziura w desce rozdzielczej; ślad roweru i powiększenie łuski zdrapanej farby; włókienka bawełniane znalezione na ciałach obu ofiar; maszynopis wywiadu z panią McDuff; tył furgonetki McDuffa zapchany rupieciami; rzeczy McDuffa i jego otwarta walizka ze starannie poskładanym ubraniem... Dewitt zamyślił się, wciąż wpatrując się w ostatnie zdjęcie. Sięgnął z powrotem do górnego rzędu i z grupy fotografii związanych z Osbourne'em wyciągnął podobne zdjęcie jego walizki, a następnie

umieścił obydwu obok siebie. Potem sięgnął po maszynopis zeznań pani McDuff. Tak wygląda praca w policji: papiery i zdjęcia, zdjęcia i znowu papiery. Przewracał kartki, szukając czegoś. „McDuff-bałaganiarz, ale wie, gdzie co trzyma”. Pod spodem: „Rachunki w walizce?”. To już sprawdził. Żadnych rachunków nie było, co oznaczało, że zabójca je zabrał. A z tego wynikało, że rachunki z jakiegoś powodu stanowiły dla niego zagrożenie. Tym razem jednak Dewittowi nie chodziło o rachunki. Zainteresowało go zdjęcie walizki.

- Co tu widzisz? - zapytał.

- Walizkę - odpowiedziała Clare, siedząca na wprost niego przy stoliku wyłożonym różowym linoleum.

Kawiarnia na peryferiach Salinas miała w oknie neon głoszący: POTRAWY CHIŃSKIE. Zajęli stolik w kącie pod ścianą. Przednia część sali restauracyjnej mieściła prawdziwą pijalnię wód. Obrotowe stołki i trofea kręglowe urozmaicały wystrój lokalu. Najpierw podano paszteciki jajeczne - tłuste, lecz smaczne rurki nadziewane fasolką szparagową i chińską kiełbasą. Dewitt pobrudził sobie spodnie kąpiącym sosem i próbując zetrzeć plamę, tylko ją rozmazał. Wyglądał,

143

jakby posiusiał się w spodnie. Wyciągnął na wierzch koszulę, żeby trochę zakryć plamę.

- Opisz mi osobę, która pakowała tę walizkę - powiedział.

- Porządna i systematyczna, lubi mieć starannie poukładane rzeczy.

- To walizka McDuffa. Według jego żony, był strasznym bałaganiarzem.

- To ktoś spakował to za niego.

- Tak właśnie myślałem.

- Zdawało mi się, że spotkaliśmy się po to, żeby omówić to, co ja znalazłam.

Ugryzł tłusty pasztecik, nie odpowiadając.

- Nie ma rachunków - przypomniał.

- Urządzasz mi quiz!

- Tak. Chcę wiedzieć, czy oboje dojdziemy do tego samego.

- Wybaczam ci. Jedź dalej.

- Włókienka bawełniane z tym samym wybielaczem, lecz na dwu różnych ciałach.

Clare podsumowała:

- Ktoś inny pakował mu rzeczy. Ukradł rachunki. Włókienka bawełniane z tym samym wybielaczem wskazują na to samo miejsce.

- Weź pod uwagę Marvinina Wooda i to, że McDuff zgłosiłby kradzież odtwarzacza.

- Włókienka znajdowały się na ich skórze. To znaczy, że obaj byli nadzy i zetknęli się z tym samym materiałem...

- Walizka... - przypomniał. - Tu zbrodniarz się potknął. Nie powinien był pakować walizki McDuffa tak porządnie.

- Motel - powiedziała. - Zaskakuje swoje ofiary w motelu. To zgadza się z tym, co mówił Wood.

- To musiało tak być - zgodził się. - Tak samo to sobie wyobraziłem. A jeśli on naśladuje dokładnie metodę Collette'a, na co najwyraźniej wygląda, to dusi ofiary do utraty przytomności, wywozi je z motelu, a potem inscenizuje samobójstwa. Takie same włókienka bawełniane na skórze...

- Pochodzą z ręczników lub bielizny pościelowej - zakończyła. - James, to jest właśnie to. To niesamowite!

- Został jeden mały problem: w tym rejonie jest więcej moteli niż domów stale zamieszkałych. To nas wstrzymało za pierwszym razem. Musimy zawęzić obszar poszukiwań.

- Z tego wynika, że śmierć Lumbrowskiego była albo samobójstwem, albo ktoś inny podszył się pod pierwszego zbrodniarza. Dwie pierwsze ofiary miały powód, żeby się zatrzymać w motelu. Ale Lumbrowski? Jeszcze nie skończyliśmy z dowodami w jego sprawie, ale z pewnością nie mamy śladu roweru, no i oczywiście nie ma bagażu.

144

Czyżby ten pijus upatrzył sobie jakiś bar przy motelu? To zupełnie nieprawdopodobne.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Sądzę, że to mogłoby mieć sens - powiedział. - Na początku pomyślałem to samo.

- A teraz? - spytała.

- Przy nim też był ślad roweru, Clare - przypomniał Dewitt. - Deszcz mi go zniszczył, więc ta informacja jest bezużyteczna, jeśli idzie o jej wartość dowodową dla sądu, ale ja ten ślad widziałem. Oczywiście ktoś inny mógł użyć

roweru, żeby zachować podobieństwo, albo mógł się tam znaleźć jakiś inny rower, zupełnie przypadkowo. Nie wierzę jednak w zbiegi okoliczności. Jeśli to morderstwo upozorował ktoś inny, to zrobił to cholernie dobrze. I musiał mieć dostęp do poufnych informacji. W końcu nie tak wielu z nas wie o rowerze. Istnieje możliwość - jeśli ufać Shilsteinowi - że pierwsze dwa zabójstwa były tylko przynętą. Właściwym celem miał być Lumbrowski. I jeszcze to, co powiedziała Jessie - że to nie Lumbrowski szukał miejsc zbrodni, ale że miejsca zbrodni szukały Lumbrowskiego...

- Przynęta? - powtórzyła Clare zaintrygowana.

- Tak, Osbourne i McDuff byli przynętą. Wybrał ich przypadkowo z tego samego motelu. Rozmieszczenie włókienek to potwierdza. Obaj mężczyźni znajdowali się w pozycji leżącej. Myślę, że ten facet zaskakuje swoje ofiary we śnie - tak jak Collette. Może Lumbrowskiego też zaatakował we śnie.

Clare uśmiechała się, słuchając jego wywodów.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Tak sobie - powiedziała, wpatrując się w niego. - Poza tym, jeszcze mnie nie spytałeś, dlaczego ja chciałam się z tobą spotkać.

- A dlaczego szanowna pani chciała się ze mną spotkać?

- Już myślałam, że nigdy nie zadasz mi tego pytania. Otworzyła aktówkę i wręczyła mu jakieś papiery. Dewitt wziął od niej zadrukowane kartki, mówiąc:

- Żeby nie potrzeby rządu, mielibyśmy znacznie więcej lasów. Zaczął czytać: Ciężar ciała podejrzanego = 77-82 kg; wzrost (przy przeciętnej budowie) = 170-178 cm; rower = rower górski marki Hillclimber firmy Schwinn.

- Odprysk farby - przerwała mu Clare. - U Schwinna zestawili to z materiałem porównawczym, tak jak obiecali. Przefaksowali wyniki dziś rano. Rower, który był w bagażniku McDuffa, to metalizowany czarny Hillclimber Schwinna. Jeśli opony były napompowane zgodnie z zaleceniami producenta, to użytkownik waży dokładnie osiemdziesiąt i pół kilograma. Wiemy to z pomiaru nacisku na podłoże na podstawie fotografii odciśniętego śladu. Według tabeli, przeciętny mężczyzna o tej wadze ma wzrostu 178-180 centymetrów. Więc jeśli on jest przeciętnej budowy, to możemy przyjąć te dane. A jeśli każesz mi zeznawać w roli

10 - Kluczowy dowód

145

biegłego, detektywie, to oświadczam: podejrzanym jest przeciętnej budowy, ponieważ używany przez niego model roweru jest średniej wielkości.

~ W takim razie sprawdzę sklepy sprzedające rowery hillclimber, i raporty o kradzieżach. Może to zawęzi obszar. Nelson wytropił jedyny sklep w Seaside, który sprzedaje ten rodzaj pleksiglasu. To też może pomóc w wytyczeniu obszaru poszukiwań.

Spróbowała pieczonego ryżu.

- Robisz postępy, James. Generalnie rzecz biorąc - masz rysopis, obszar, nawet przebieg zbrodni.

- Generał Dewitt melduje się na rozkaz - powiedział. Zasalutowała mu żartobliwie. W tej chwili pager na przegubie Jamesa zaczął wydawać przykry, pulsujący dźwięk.

- W samą porę.

Przeprosił ją i poszedł zadzwonić do komisariatu. Po chwili wrócił. Położył na stoliku piętnaście dolarów.

- Dokąd teraz? - spytała.

- Zdaje się, że Collettowi spodobał się telewizor. Chce mówić. Mam szczęście.

Spędzę urocze popołudnie jadąc do Atascadero i z powrotem. Czy byłabyś tak uprzejma i zadzwoniła do Zorra do szpitala. Powiedz mu, że się spóźnię na sekcję Lumbrowskiego i żeby zaczął beze mnie.

- Nigdy mi nie uwierzy - odpowiedziała.

- Możeinie - przyznał Dewitt. -Ale spróbuj. Jeśli ci zaproponuje, żebyś mnie zastąpiła...

- Nawet o tym nie myśl!

- Dobrze.

Wychudły i śmiertelnie blade Collette

nerwowo przemierzał „kort tenisowy” zamaszystym, zdecydowanym krokiem, niby jakaś wojskowa figura w jednym z jego popołudniowych programów. Obejrzał się przez ramię na detektywa Jamesa Dewitta, pozbawionego paska i sznurowadeł, wyglądającego na równie zdenerwowanego jak on sam.

- Ja się wywiązałem z mojej części kontraktu - powiedział głośno Dewitt. Za głośno, biorąc pod uwagę rozmiary pokoju. Collette pokiwał głową potakująco.
- Sprawdziłem u Shilsteina. Nie dostajesz przepustek, nie wypuszczają cię stąd. Skoro tak, to w jaki sposób mogłeś poznać nazwisko tego, którego szukam?

146

- Tak. To prawda. Siedzę tutaj zamknięty w izolatce wyłożonej materacami. W końcu, to rodzaj więzienia. Ale kto mówił, że podam ci nazwisko?
- Ja bym ci radził podać, jeśli nie chcesz, żeby odebrano ci twój sprzęt.
- Jeszcze go nie dostarczono. Shilstein mówił, że go dostanę, jeśli będę współpracował, a ja ufam doktorowi Shilsteinowi, że dotrzyma słowa. Zatrzymał się nagle i popatrzył z pogardą na Dewitta, po czym znów podjął swój niecierpliwy marsz.
- Ludzie tacy jak ty nie mają pojęcia o tutejszej egzystencji. Absolutnie żadnego pojęcia. Jeśli nie trafi mi się okazja, żeby uciec, spędzę tu resztę moich dni. Rozumiesz? Resztę moich dni. A to -urwał, robiąc przesadnie dramatyczną pauzę - znaczy tyle samo, co wieczność. Jeśli myślisz, że zaryzykuję utratę tego sprzętu, to jesteś głupcem. Nigdy ci nie obiecywałem nazwiska, obiecywałem ci informację.
- Byle wartościową - zastrzegł Dewitt.
- To prawda, że jestem zamknięty. Dają mi tu czasopisma z powy-dłubywanymi zszywkami. Czytają całą moją pocztę. Nie wolno mi się samemu golić. Robi to za mnie od czasu do czasu pewien człowiek, który jest ślepy na jedno oko i lekko utyka. Mój sprzęt zainstalują w innym pomieszczeniu i udostępnią przez zdalne sterowanie... wiedziałeś o tym? Nie pozwól mi dotknąć żadnych obwodów elektrycznych... przypuszczam, że na wypadek, gdybym postanowił ze sobą skończyć. Paradoksalne, że tak się upierają, żebym żył? Po tym wszystkim, co zrobiłem! I zrobię to znowu, jeśli tylko się stąd wydostanę. Chętnie. Z rozkoszą. - Znów spojrzął na Dewitta. - Wiedz, że to prawda, James. Czy mogę tak się do ciebie zwracać? Wiedz, że to prawda. Dewitt doceniał znaczenie nawiązania więzi, mimo to jednak ciarki przeszły mu po plecach. Collette postanowił zachowywać się z wyzywająco arogancją, którą demonstrował, przybierając sztywną postawę i układny, opanowany ton głosu. Miał nareszcie pojętne i chętne audytorium i najwyraźniej zamierzał ubawić się za wszystkie czasy.

- Uważam cię za eksperta, Collette - powiedział Dewitt z rezerwą.
- To prawda, jestem tu stale zamknięty. Czyżbyś jednak nie wiedział, że siedziałem również gdzie indziej? Ach, nie? Czytam z twojej twarzy, że naprawdę nie wiedziałeś. Nie musisz grzebać w dokumentach, choć gdzieś musieli to zapisać. Ja ci mówię szczerą prawdę, James. Wiedz, że to prawda. Shilstein nie mówił ci o mojej przeprowadzce? Dziwne. Kiedyś kilku moich kolegów zdobyło zapałki... bardzo niebezpieczna rzecz w rękach szaleńców, James. O mało nas wszystkich nie upiekli. I wtedy nasz humanitarny zarząd postanowił w przypływie natchnienia zainstalować nam na koszt podatników system wykrywania dymu. Wiedz, że to prawda. Przy instalowaniu dekoderów wykryli azbest. Musieli nas gdzieś przenieść. Całe nasze skrzydło. Przewieźli nas do Więzienia Stanowego w Vacaville - do tamtejszego szpitala psychiatrycznego. Jak mało

147

precyzyjnie posługują się ludzie terminem „szpital”. Wiedz, że to prawda. Czy tutaj się kogoś leczy? Nie twoja sprawa, wiem. Nie twoja sprawa. Jego marsz stał się bardziej szalony i nagle Dewitt przypomniał sobie Manny'ego Rotha w gabinecie Hindemana. Tak niewiele dzieliło od siebie tych dwóch - pomyślał. Kawałek siatki i ustawa psychiatryczna... To, że on sam i Collette należeli do jednego gatunku, było czymś, czego nie mógł zaakceptować. Nie chciał mieć absolutnie żadnego związku z Harveyem Collettem. Collette mówił dalej, tym samym poufałym, beznamiętnym tonem:
- To się zdarzyło w czasie mojego krótkiego, lecz miłego pobytu w Vacaville, gdzie spotkałem osobnika, o którego chodzi. Ale, ale, detektywie... czy wiesz, jak cudowna, jak kusząca, jak drażniąca zmysły była ta długa jazda autobusem? Zapach upranych pól? Ludzie krzątający się przy codziennych czynnościach? Kobiety w samochodach, które nas mijały? Ich podwinięte spódnice, ich drugie, eleganckie palce, pstrykające niecierpliwie w kierownicę? - Zatrzymał się, przyknął oczy i odchylił głowę, zatopiony we wspomnieniach. - W telewizji nie

ma zapachów - nie czuje się powietrza. To... to zbrodnia. Wiedz, że to prawda. - Znów zaczął chodzić. - Osobnik, o którym zaraz powiem... Dewitt próbował opanować drżenie rąk. Pełen autobus takich jak ten... Tak niewiele ich oddzielało: trochę szkła i stali i kilka praw.

- Tutaj rzadko używa się nazwisk. Wiedziałeś o tym? Intelktualne rozmowy nie zdarzają się za często, a poza tym... poziom leczenia... -Znów spojrzął w twarz Dewitta. - Czy wiedziałeś, że Shilstein odstawił mi leki przed widzeniem z tobą? Założę się, że ci o tym nie powiedział? Nie może sobie pozwolić, żeby wszyscy pacjenci zachowywali się jak tumany... ktoś by się mógł domyślić, co się tu dzieje. Tylko spróbuj się oprzeć -strażnicy przytrzymają cię, rozbiorą i przytkną do jaj pałkę elektryczną. Złożysz na nich doniesienie, to następnym razem będzie jeszcze gorzej. Żyjemy sobie w naszym motelu jak zgrana rodzinka... Dewitt pochylił się do przodu, wyciągając notes

- Gdzie?

- W motelu. Tak nazywamy to miejsce... my pensjonariusze. Motel Kuracyjny... jeśli jesteś ciekaw pełnej nazwy. Pokoje są tanie, widoki ograniczone. Dewitt odłożył notes.

- Ciekawi cię to, James?

- Opowiedz mi o Vacaville. O tamtym.

- Jak już wyjaśniłem, nie posługujemy się nazwiskami. Mogę ci jednak wszystko o nim powiedzieć. Graliśmy w szachy. Czy mówiłem ci, James, że jestem niepokonany w szachach? Od trzech lat nikt mnie nie pokonał. Wiedz, że to prawda. On też przegrywał. Ja wygrywałem. Zawsze jednak dawałem mu szansę, żeby podsycić jego zainteresowanie. Taki jestem dobry, James. Potrafię sterować, gra. Może nie? - dorzucił z perwersyjnym uśmiechem.

148

Dewitt zaczął przecierać okulary. Widząc to, Collette skomentował:

- Ja jestem krótkowidzem. Wiedziałeś o tym? A oni nie pozwalają mi nosić okularów. Ani nawet plastikowych soczewek. I mówi się, że mamy jakieś prawa. Na pewno nie tu. Wiedz, że to prawda. Tutaj wszystko jest lewe - zachichotał.

-Pomówmy o krótkowidzach -powiedział ubawiony.

- Mówmy o nim - uciał Dewitt, zakładając z powrotem okulary.

- Mieliśmy wspólne zainteresowania. Zaczął od zwabienia pary hałaśliwych psów sąsiadów. Oblepił im pyski taśmą, wsadził im łby w foliowe torby i przyglądał się, jak latały koło domu, póki nie wykorkowały. On sam czuł się tak samo stłamszony -dusił się. Znam to uczucie. Żyję z tym uczuciem, James. Wiedz, że to prawda. Ulice są stłamszone; całe miasta; my wszyscy. Tak, mieliśmy wspólne zainteresowania. Eskalacja, James. Historia świata to totalna eskalacja. Frustracja. Przywódcy, robotnicy, w kółko to samo. Niezadowolenie pociąga za sobą eskalację. Zdaje mi się, że pochodził z Sacramento, choć nie jestem pewien. Gdzie by to nie było, znajdziesz informację o zaginięciu skautki. Od niej zaczął. Zapukała do jego drzwi. Sprzedawała ciasteczka. I to był jej ostatni przystanek. Potem były inne. Kobieta prowadząca jakiś sondaż, czy może ankieterka przeprowadzająca spis ludności. Chyba tak, prawdziwa ironia losu... spis... Rozumiesz? Zanim zdażyła go spisać, on spisał ją - jedna osoba mniej w populacji. Skorygował spis. Następna kobieta sprzedawała perfumy, tak mi chyba powiedział.

Jeśli czegoś możesz się tu nauczyć, to tego, że prawo jest powolne. Wiedz, że to prawda. Wiesz, na czym go capnęli? Nie chodziło o skautkę. Ani o żadną z tamtych kobiet. Zawsze dbał o to, żeby wywozić ciała późno w nocy i możliwie daleko. Oddalał zbrodnie od siebie, rozumiesz? -Collette zachichotał. - Nie przyłapali go nawet na podpaleniu. Nakryli za to jego siostrzeńca. No więc, wyobraź sobie, to na czym go złapali, to były zwierzęta. Przygotowując podpalenie, spalił własny dom. Strażacy natrafili na szkielety... zwierząt! Było tam ponad tuzin psów; zdaje się, że taką liczbę mi podał. Wszystkie, w różnym stadium rozkładu, z mordami okręconymi taśmą. Skierowano go do szpitala w Vacaville na badania. Na dziewięćdziesiąt dni, bo nic mu nie mogli udowodnić. Nic oprócz tych zwierząt. I, jak już mówiłem, właśnie tam się spotkaliśmy. Wymieniliśmy doświadczenia. Zamilkł i stanął na wprost Dewitta - wąła sylwetka między dwiema siatkami.

- To jedyny człowiek, któremu zdradziłem swoje sposoby. Był na tyle uprzejmy, że zdradził mi swoje. Nie wiem, jak się nazywa, lecz to jest z pewnością ten facet, którego szukasz. Poświęcam go z żalem. Ale kieruje mną instynkt samozachowawczy, James. Przeżyje najszybszy. Chwytaj każdą sposobność, jakby to była twoja ostatnia. Wiedz, że to prawda.

- Opisz go.

149

- Gniewne oczy. Pamiętam jego oczy. Powiedziałbym, że przystojny. Duży. Ma w sobie indiańską krew, Apaczy, czy Czarnych Stóp. Nie dużo, tle daje się to zauważyć po jego kościach policzkowych. Chełpi się tym.

- Gdybym ci pokazał fotografie, czy rozpoznałbyś jego twarz?

- Czyżby Shilstein ci nie mówił, że jestem geniuszem? Wiedz, że to jawda. Mam fotograficzną pamięć. To, o co prosisz, to dziecinna zabawa. Oczywiście, trzeba ustalić warunki. Chciałbym najpierw mieć zainstalowały sprzęt. Chciałbym zobaczyć umowę ze sklepem na wypożyczanie kaset.

- Nie mamy czasu na takie rzeczy.

- Stoisz po złej stronie siatki, James. Piłka jest na korcie. Po mojej stronie ma się mnóstwo czasu. Nic oprócz czasu. Nie mogę marnować moich atutów. Ciesz się, że nie żądam przeniesienia. Nie jestem pazerny, James. Mam proste potrzeby. Zupełnie elementarne... Kilka rozmów telefonicznych. To jest coś, co mógłbyś mi załatwić. Porozmawiamy jeszcze. Wiesz, gdzie mnie szukać. Strażnik! - krzyknął.

- Podaj jego nazwisko, Collette. Wiem, że je znasz. Musiałeś się jakoś do niego zwracać.

Uśmiechnął się szeroko. Z lewej strony nie miał kilku zębów.

- Nazwałem go Traper John. On do mnie mówił Sokole Oko. Bo z nas dwóch to ja byłem bardziej pomyłony. No i dlatego, że on był kiedyś żonaty. Widzisz, w przedstawieniu Traper John jest żonaty, a Sokole Oko nie.

Wstając, Dewitt sprostował:

- To się nie zgadza. Uważasz się za geniusza? Nie mogę ci przyznać racji.

Pomieszały ci się postaci z dwóch różnych przedstawień.

Collette spieszył się, nawet wystraszył, zdając sobie sprawę z pomyłki.

- Wiedz, że to prawda - dodał Dewitt, kuląc palce, żeby rozsznurowane buty nie spadły mu z nóg przy którymś kroku.

Dewitt zadzwonił do Cappa z gabinetu

Shilsteina. Opowiedział mu o spotkaniu z Collettem i zaproponował, żeby z uwagi na rosnący materiał dowodowy, odkryty przez Clare O'Daly, zorganizowano grupę operacyjną złożoną z funkcjonariuszy biura prokuratora okręgowego i biura szeryfa hrabstwa Monterey, z którymi to urzędami konsultowano się w czasie tego krótkiego śledztwa. Zadaniem funkcjonariuszy byłoby pokazywanie pracownikom moteli fotografii Osbourne'a i McDuffa w celu ustalenia, gdzie każdy z nich zatrzymał się ostatniej nocy przed śmiercią. Zasięg poszukiwań w tym turystycznym regionie był ogromny; Dewitt był jednak przekonany, że natychmiast należy rozpocząć akcję.

150

Doktor Bradford Shilstein, przejęty tym, że znów czynnie uczestniczy w śledztwie, użył swych wpływów u władz w Vacaville, żeby uzyskać dla siebie i Dewitta kopie papierów wszystkich pacjentów zwolnionych w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Poczyniono starania, żeby miejscowy punkt sprzedaży urządzeń elektronicznych jak najszybciej zajął się zainstalowaniem sprzętu dla Collette'a. Wyjeżdżając z Atascadero, Dewitt czuł się jak dyrygent: mógł podnieść pałeczkę, lecz jakoś wykonania zależała od muzyków.

- Czy wierzysz w Boga? - spytał doktor Ricardo Emmanuel. - Albo może ujmę to inaczej. - Zamilkł na chwilę. - Czy wierzysz w Pismo?

- Opowiadam się za piątym przykazaniem - odrzekł Dewitt. Pomieszczenie na tyłach Domu Pogrzebowego Maretea cuchnęło kwasem.

Zorro ścisnął w drugich palcach papieros bez filtra marki Sherman. Rozkoszował się aromatem szarego dymu, zaciągał się głęboko i wypuszczał go nosem. Pokój był wyjątkowo zimny. Zakrwawione rękawice lateksowe walały się między odpadkami. Ciało Lumbrowskiego, przykryte prześcieradłem, spoczywało na stole sekcyjnym.

- Pamiętasz historię o Jonaszu i wielorybie?

- Tak.

- Czy jesteś czcicielem najwyższej ironii? - Wymowa doktora nie ułatwiała zrozumienia jego zagadkowych słów.

Dewitt zajął miejsce na sąsiednim stołku. Patrzył na Zorra odgrywającego rolę z jakiegoś dramatu, na jego dymiący papieros, ciemne, błyszczące oczy i teatralne brwi. Wykrztuś wreszcie, o co chodzi - chciał powiedzieć. Czekał.

- Nasz wzdęty przyjaciel, tutaj oto leżący przed nami, był twoim złym duchem,

chyba nie zaprzeczysz?

- Nie najlepiej się dogadywaliśmy.

Słowa Dewitta wywołały kokieteryjny uśmiech doktora.

- Doprawdy, łagodnie powiedziane. Przecież ten alkoholik z wątroba wieloryba był twoim największym wrogiem. I kto by przypuszczał, że Howard Lumbrowski w swej ostatniej godzinie odda przysługę Jamesowi Dewittowi.

Dewitt poprawił się na niewygodnym stołku. Zorro nie pozwalał się ponaglać, podobnie jak nie dało się ponaglać nikogo z tej branży. Każdy działał według swojego scenariusza, Zorro zaś zdawał się rozkoszować urokiem chwili.

Podsunał Dewittowi zlewkę wypełnioną przezroczyстым płynem o zapachu alkoholu.

- Masz przed sobą symbol przymierza - powiedział, wymachując beztrzęsoko papierosem.

Dewitt czekał, kiedy nastąpi wybuch.

- Oto gałązka oliwna. Pożegnamy dar pojednania od Howarda Lumbrowskiego dla Jamesa Dewitta. Gdyby wyryto tu twoje imię, sens tego przesłania nie mógłby być jaśniejszy.

Dewitt przysunął do siebie naczynie. Na dnie zlewki leżał klucz.

- Jonasz - powtórzył za doktorem.

- Tak, detektywie - oświadczył z dumą Zorro.

- Miał to w brzuchu?

- Brawo.

- Połknął klucz?

- Tuż przed śmiercią - odpowiedział doktor. - Nie mam cienia wątpliwości, że jest to ostatnia rzecz, którą Howard Lumbrowski połknął. Prawdopodobnie to była po prostu ostatnia rzecz, którą w ogóle zrobił.

Dewitt podniósł zlewkę i uważniej przyjrzał się kluczowi. W metalu wyciśnięty był numer 12. Typowa, seryjna produkcja. Klucz z motelu.

- Trzeba będzie ciężkiej pracy dobrego detektywa, żeby trafić do drzwi, które ten klucz otwiera; za nimi jednak z pewnością znajduje się wyjaśnienie zagadki zamordowania Lumbrowskiego. W końcu człowiek musi być absolutnie zdeterminowany, żeby połknąć klucz. Nie jest to taki łatwy kasek. Nasz detektyw - zawahał się i rzucił Dewittowi tryumfujące spojrzenie - obdarował nas po śmierci kluczowym dowodem.

- To typowy klucz, jakich używają w motelach - powiedział Dewitt.

- Chyba tak - zgodził się doktor. - Przyjrzałeś się twarzy? - Tak.

- A rękami? Dewitt kiwnął głową.

- Stoczył walkę?

- Jeśli tak, to jego przeciwnikiem był mur. Znalazłem odpryski wbite w główki kości palcowych.

- A skąd te czerwone plamy? - spytał Dewitt. - Te ślady na szyi?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Zorro. - Jakiś rodzaj otarcia naskórka. Nie spotkałem się nigdy z czymś takim.

- Chciał rozwalić pięściami ścianę?

- To ty jesteś detektywem.

- Mogę ten klucz zatrzymać?

- Aby zachować ciągłość zabezpieczenia dowodów, powinienem go przekazać do laboratorium. Z pewnością nie zachowały się odciski palców, ze względu na soki żołądkowe, ale mnie obowiązują przepisy.

Dewitt spojrział na zegarek.

152

- Za dziesięć piąta. Może bym ci to podrzucił do laboratorium?

- Nie będzie już zamknięte?

- Nie, jeśli zaraz zadzwonię.

8

Clare wpuściła Dewitta tylnym wejściem, dwuskrzydłową bramą pełniącą rolę wyjścia bezpieczeństwa. Kiedykolwiek by się weszło do pokoju przeznaczonego na dowody, zawsze leżały tam setki woreczków z badanymi substancjami i mnóstwo wszelkiego rodzaju broni, co mogłoby być cenną zdobyczą dla ewentualnego włamywacza. Dewitt dostarczył pudło z próbkami i szalkami Petriego zawierającymi mikroślady zebrane przy sekcji Lumbrowskiego. W pojemniku z lodem przywiózł próbki tkanek. Clare wyjaśniła, że jej koleżanka wyskoczyła po jakieś szybkie danie i zaraz wróci. Wieczorem zbadają przywiezione dowody. Obiecała też przygotować mu na rano kopię klucza.

Zrelacjonował Clare przebieg widzenia z Collettem. Pochyliła się ku niemu i nie czekając, aż skończy mówić, przerwała mu dhigjm, zmysłowym pocałunkiem.

- Jak szybkie jest to szybkie danie? - spytał.

- Miała kupić pizzę. Powinno to potrwać przynajmniej dwadzieścia minut.

Rozpinając mu koszulę, spytała:

- Pokazywałam ci ostatnio nasz magazyn? Koniecznie trzeba usunąć stamtąd te wszystkie rupiecie.

Naśladował jej ruchy, jakby był lustrzanym odbiciem. Rozpinał jej bluzkę, jeden guzik za drugim.

- Cudownie pachniesz - powiedziała, wtulając twarz w zgięcie jego szyi.

- Czy tam wciąż jeszcze leżą koce? - spytał.

- Zgadnij - odrzekła, biorąc go za rękę.

Wrócili do laboratorium dobrą chwilę przed przybyciem koleżanki z pizzą. Clare wręczyła mu kartkę papieru.

- Dzisiejszy główny sukces - wyjaśniła. - Ustaliliśmy, kto jest producentem wybielacza wykrytego na bawełnianych włóknach.

Dewitt czytał kartkę. Ta kobieta ma zwyczaj zachowywania tego, co najlepsze na sam koniec - pomyślał. Wybielacz do celów przemysłowych produkowano w Pacific Rim Chemical Corporation. Wymieniono też trzy zakłady pralnicze pomiędzy San Jose i Salinas będące klientami Pacific Rim. Dwa ostatnie na liście Brighton Laundry i Cleaning Service, znajdowały się w Seaside.

153

- Montujemy grupę operacyjną. Byliśmy nastawieni na chodzenie od drzwi do drzwi po wszystkich motelach, klubach wypoczynkowych i tym podobnych, żeby pokazywać fotografie Osbourne'a i McDuffa. Te dane bardzo przyspieszą pracę. Zaczniemy od klientów pralni Brighton. Gdyby mogli dać nam listę moteli...

- Pozwolisz mi przez chwilę grać rolę achocatus diabow.

- Strzelaj.

- Dlaczego upierać się przy motelach? Dopiero co powiedziałaś, że to może być klub wypoczynkowy, salon masażu, burdel... każde miejsce, gdzie ci mężczyźni mogli położyć się na prześcieradle lub ręczniku. Co z tego, że Wood ukradł stereo, kiedy McDuff był w motelu? McDuff mógł stamtąd wyjść...

Dewitt potrząsał głową.

- Miejsce, gdzie to stereo zostało skradzione, było ostatnim miejscem pobytu McDuffa za życia - wyjaśnił. - Powiedziałyby o kradzieży żonie - a jak nas zapewniała, zgłosiłby się też do nas, gdyby kradzież zdarzyła się przed ich rozmową, jedenastego wieczorem. Nazajutrz, dwunastego, kiedy go znaleźliśmy, stereo już nie było w ciężarówce. A więc, musiało być skradzione tamtego wieczora. Gdyby McDuff wrócił do tej ciężarówki żywy, powiedzmy wychodząc z restauracji lub klubu, postarałby się o raport policyjny dla firmy ubezpieczeniowej - Dewitt uniósł palec. - Przepraszam, mógł wrócić do ciężarówki żywy, ale w takim razie nigdy z niej już nie wyszedł. Złożmy to z zeznaniem Wooda, że ostatnio obrobił parking przy motelu...

- A możemy mu wierzyć?

- Dopóki nie miałem tego klucza, nie byłem pewien. Teraz jestem przekonany, że trzeba zacząć od moteli. Jeśli ten klucz będzie pasował do jakichkolwiek drzwi, to już będziemy mieli domniemanie winy... i nakaz rewizji.

- Zabójca wyszukuje sobie ofiary w pewnym motelu, urządza zasadzkę w ich pojazdach i chowa się w samochodzie, czekając? - zastanawiała się Clare

- Collette zabijał swe ofiary, kiedy spały. Ten facet naśladował go we wszystkich innych szczegółach. Dlaczego nie miałyby naśladować i tego?

- W pokoju?

- Możliwe. Muszę mieć ten klucz. Muszę znaleźć ten pokój. Wydaje mi się, że Lumbrowski był torturowany, że ktoś go pobił. Zostawił nam ten klucz, by nas doprowadził do miejsca zbrodni. Jest to najlepszy dowód materialny, jaki mamy. Liczymy też, że Collette poda nazwisko. Myślę, że to zrobi. Dysponujemy zestawem dowodów, który opowie historię zdarzeń. Muszę zadzwonić do Akwarium. Postaram się tu zostać i wam pomóc.

- Nie dzwoń - przerwała. - Jesteś w tej sprawie detektywem, nie ekspertem kryminalistycznym, i zawsze twierdziłeś, że Akwarium jest jedynym miejscem, gdzie możesz się odprężyć. Potrzebujesz tego, James.

Jedź tam. Może później zatrzymam się przed twoim domem z jakąś dobrą nowiną.

- Nawet bez dobrej nowiny - powiedział.

- Zobaczymy. Nie chcę cię zamęczać.

- Wolalbym, żebyś chciała - powiedział, biorąc ją za rękę.

Emmy i Briar przyszły do Akwarium

prosto z treningu Tae Kwon Do. Dewitt zdał sobie sprawę, że przepadła noc z Clare. Briar powiedziała bez ogródek:

- Ojciec spędza tę noc z Toną i wyobraża sobie, że ja o tym nie wiem. Emmy wydawała się zdenerwowana. Dewitt spytał ją, co się stało, ale wymigała się ogólnikowym stwierdzeniem:

- Nic takiego. Nie ma problemu. Zachowywała się jednak podejrzanie.

Dziewczynki były wykapanie i przebrane po treningu, włosy miały jeszcze wilgotne, buzie zarumienione.

- Mam się z kimś policzyć? - podchwytliwie spytał Dewitt. Emmy szybko zmieniła temat.

- Takiego tłumu jeszcze tu nie widziałam.

- Autokary się pospóźniały - wyjaśnił Dewitt. - Już tak będzie aż do zamknięcia.

- No to powodzenia - powiedziała Emmy, a Briar roześmiała się. - Rozejrzymy się trochę, dobrze?

- Świetnie - zgodził się Dewitt. Briar zaczerwieniła się.

- O co chodzi? - spytał.

Wzruszyła ramionami i zerknęła na Emmy.

Dewitt powiedział im o parze dopiero co urodzonych orek.

- Może byście je obejrzały - poradził.

- Ma się rozumieć - powiedziała Emmy, biorąc Briar za ramię i ciągnąc ją za sobą.

- Emmy? - zawołał za nią ojciec.

Dziewczynki wmieszały się w gęsty tłum emerytów i turystów obwieszonych sprzętem fotograficznym.

Na Dewitta posypał się grad pytań. W niektóre wieczory czuł się jak żywy magnetofon, wygłaszając zapamiętane informacje z całym entuzjazmem operatora biura numerów. Uświadomił sobie, że recytuje opis procedury karmienia i wyjaśnia jak automat, dlaczego okna zbiornika mają grubość 18 cm. Powoli wciągało go na nowo to zajęcie. Odkąd sprzedał własną kolekcję blisko dwustu rzadkich gatunków, ryby w tym zbiorniku stały się jego hobby.

154

155

Cynthia Chatterman, niezmordowana członkini zarządu, tanecznym krokiem zbliżała się do Dewitta. Przystanąła za nim i powiedziała:

- Telefon do pana. Przełączyłam rozmowę do administracji. Dewitt pośpiesznie wyszedł przez drzwi z napisem: WSTĘP TYLKO

DLA PERSONELU i skierował się do administracji. Gdyby to była sprawa służbowa, odezwałby się jego pager.

- Dewitt przy aparacie - odezwał się, wciskając jedyny oświetlony guzik. - Tu Dewitt - powtórzył. - Halo?

Nikt nie odpowiedział. Usłyszał irytujący warkot wentylatora, spojrzał na sufit, i wtedy zdał sobie sprawę, że słyszy ten dźwięk w słuchawce. Jakiś głupi dowcip? Jeszcze parę dni wcześniej nie miałyby wątpliwości, ale teraz, po zamordowaniu Rusty'ego, poczuł zagrożenie. Ruszył szybko z powrotem, po drodze zaczynając biec. Może to po to, by go odciągnąć od Emmy?

Poszedł na skróty: wyszedł przed budynek, okrążył jego skrzydło i wrócił do środka wejściem dla personelu.

Słuchawka trzeciego z automatów telefonicznych wisiała zdjęta z haka na samym sznurze. Dewitt spojrzał na pobliski pomost widokowy przy zbiorniku orek i od razu dostrzegł Emmy i Briar w tłumie turystów.

Uspokoił się. Wciąż jednak nie podobał mu się tajemniczy telefon. Postanowił porozmawiać z dziewczynkami i poprosić je, żeby aż do zamknięcia trzymały się blisko niego, przy Lesie Morszczynowym.

Kiedy idąc na pomost, spojrzał jeszcze raz w górę, zwrócił uwagę na mężczyznę stojącego w tłumie widzów. Gdy Emmy i Briar przesuwały się z miejsca na miejsce, on ruszał za nimi.

Dewitt powoli przeszedł do przodu, chcąc mieć lepsze pole obserwacji. Nie biegnij - powtarzał w myślach. Nie zwracaj na siebie uwagi. Mijając basen z wielorybami, na krótko stracił z oczu zatłoczony balkon. Stapał ostrożnie, klucząc wśród gromady siwowłosych staruszków, kręcąc się i wskazując im drogę od jednego stanowiska do następnego.

Nie ryzykował straty czasu, by wezwać ochronę. Zerwał się do biegu, okrążył cementową kolumnę i zaczął przepychać się w górę schodów. Wokół małych orek był tłum - zwiedzający roili się przy ogromnych szybach zbiornika, blokowali schody, tłoczyli się niebezpiecznie na balkonie. Dewitt torował sobie drogę w tym ścisku, pomagając sobie wysuniętym barkiem, posuwając się w górę schodów w rozpaczliwie wolnym tempie. Gdy wreszcie dotarł do górnego pomostu, był on tak zapchany, że nic nie można było dostrzec. Za dużo głów, twarzy, aparatów, kłębiących się obrazów: migające, ostre, oślepiające błyski fleszów, odbijające się iskierkami w grubym szkłe, zalewające hordę zwiedzających zimnym biało-niebieskim światłem. Wszędzie obce twarze - zaciekawione, zachwycone, uśmiechnięte, twarze dzieci, twarze starców.

Rozpychając się łokciami, Dewitt znalazł wreszcie dogodny punkt obserwacyjny. Odwrócił się i rozejrzał wokół. Spojrzenia zwiedzających

156

omijały go, jakby był przezroczysty. Ogarnęło go dziwne uczucie, że jest niewidzialny.

Przepadło... Ani Emmy, ani Briar, ani tajemniczego mężczyzny.

W przypływie rozpacz Dewitt rzucił się w prawo, torując sobie drogę do następnych schodów. Pognał na dół. Parę kroków przed sobą zobaczył tamtego człowieka. Szedł za dziewczynkami.

Skąd tam się wzięło tylu ludzi? Dewitt był tak przyzwyczajony do swojego stanowiska obserwacyjnego przy Leslie Morszczynowym, że nie zdawał sobie dotąd sprawy z rozmiarów tłumu. A to, że większość dzisiejszych gości stanowili ludzie w podeszłym wieku, słabi i powolni, jeszcze pogarszało sprawę.

Gdy okrążył róg małego amfiteatru i znalazł się na wprost schodów prowadzących na wyższy poziom, poczuł ukłucie bólu w piersi. Na pochyłości schodów wypatrzył tył głowy córki, obok niej zaś nieodłączną Briar. Pięć lub sześć kroków za nimi - cień obcego. Dewitt w ostatniej chwili opanował się, żeby nie krzyknąć - Emmy z pewnością zatrzymałaby się, a tamten zbliżyłby się do niej jeszcze bardziej. Mężczyzna nagle się odwrócił i spojrzał przez ramię, prosto w oczy Dewitta. Szok, a nawet przestrasz odbił się na jego twarzy. Ogarnięty paniką rzucił się do ucieczki.

Dewitt przysunął się do poręczy, odepchnął się od niej i rzucił się w górę schodów, prawą ręką sięgając do wytłaczanej kabury trzydziestkiósemki. Tylko raz w życiu strzelał do człowieka. Do Stevena Millera. Nie wiedział, czy będzie zdolny to powtórzyć. Udało mu się troszkę zbliżyć. Mężczyzna zawrócił na schody i zniknął za rogiem. Jakiś starszy człowiek pośliznął się i upadł przed nosem Dewitta. Ludzie spiętrzyli się jak kamienie domina, tworząc splecione kłębowisko i wzywając pomocy, w miarę jak padali następni.

Dewitt przesadził dzielącą schody barierę i ruszył pod prąd, torując sobie drogę w strumieniu schodzących gości. Gdy wspiął się na górę, stanął wobec ławicy zwiedzających, nieprzeniknionej ściany ubrań i twarzy. Na lewo miał drugą kondygnację pomostu obserwacyjnego przy Leslie Morszczynowym, ekspozycję sardeli, Galerię Morszczynową, Laboratorium Morszczynowe, a za sobą w kierunku środka budynku, makietę pływów i prześwit z widokiem na dolne foyer.

Ani śladu dziewczynek. Jego też nie widać. W tej chwili zobaczył Billy'ego Talbota wchodzącego schodami na trzecią kondygnację.

Talbot? Teraz nie ma czasu zajmować się Talbotem, choć to wyjaśniało rumieniec Briar. Umówili się tu na randkę.

Dewitt przebiegł drugą kondygnację. Po kilku minutach, okrążył róg i ruszył na schody prowadzące na trzecią kondygnację. Z prawej miał taras, z lewej - krawędź dachu. Znalazł się twarzą w twarz z córką, Briar, Talbotem i chłopcem, którego pamiętał z przyjęcia. Wszyscy się śmiali.

- Tato, co się stało? - spytała Emmy, widząc jego purpurową twarz i nieprzytomne spojrzenie.

157

Podszedł do Talbota i schwycił go za koszulę.

- Czy ten telefon to twoja sprawka? Talbot potrząsnął głową.

Dewitt szarpnął go mocniej. Wyglądało jakby dostał szału.

- To ważne! Czy to ty?

- Yhm.

- Tato! - jęknęła Emmy.

- Nie chciałem, żeby pan mnie zobaczył - tłumaczył Talbot ochryplym głosem. -

Żeby się dostać na górę, musiałbym przejść koło pana. Wielkie rzeczy!
Dewitt puścił Talbota i kazał mu się wynosić. Chłopak zbiegł po schodach, skacząc po trzy stopnie naraz i zniknął im z oczu.

- Tato!

Dewitt wygłosił przemowę o uczciwości, oszustwie i typach w rodzaju Billy'ego Talbota. Briar płakała. Znowu. Wyładował złość i poczuł się lepiej. Oznajmił, że natychmiast jada do domu i że nie chce słyszeć ani słowa więcej.

Po drodze nie myślał o Emmy ani o Talbocie, ani o zgorzonym spojrzeniu, którym pożegnała go Cynthia Chatterman. Myślał o twarzy dostrzeżonej w tłumie i o tym, co to oznaczało, jeśli była to twarz tego, kogo się spodziewał.

10

Twarz Trapera Johna przez chwilę

znalazła się w świetle, choć osłaniał się instynktownie. Wolał kryć się w cieniu; wtedy czuł się bezpieczny. Jego połyskujące w mroku oczy, brązowe jak wilgotna ziemia, miały dziki wyraz przypominający wzrok zwierzęcia uwięzionego w klatce. On dobrze znał się na klatkach. Nigdy już nie da się w żadnej zamknąć. U nasady nosa od dwudziestu lat, od czasów szkoły średniej, nosił pamiątkę po walce na pięści; grube, czarne włosy zaczesywał na bok. Miał kwadratowy rys brody i wystające kości policzkowe - i dumny był z tych dziesięciu procent krwi Czerokozów płynących w jego żyłach. Każdy, kto by na niego spojrzał, uznałby go za dość przystojnego, choć tej nocy wyglądał groźnie. Jak kot przemijający chyłkiem tuż przy ziemi, gotował się do skoku na upatrzoną zdobycz. Ta dzisiejsza pociągała go nieodparcie.

Cierpienie powracało falami; sądził, że taki ból musi czuć chory na raka, ból ściskający serce, rozdzierający wewnętrznosci - dojmujący, przejmujący żal. Po pięciu miesiącach wciąż taki sam. Naturalne wydało mu się, że paroksyzm bólu dopadł go właśnie teraz, gdy wchodził tylnym wejściem od strony kuchennego podjazdu do Szpitala Miejskiego. W Akwarium poniósł porażkę. Tu jednak musi się udać.

158

Obserwował Dewitta przychodzącego tutaj, wiedział, że należy skrócić w lewo w korytarz dla obsługi, wiedział, że o tej porze nocy jedynym zagrożeniem były kamery kontrolne. Dlatego od razu zgasił światło w korytarzu. Jeśli nawet ktoś śledził obraz z tych kamer - co wydawało się nieprawdopodobne - zobaczyłby na ekranie tylko ciemny cień, o ile w ogóle coś by się dało zauważyć. Ile trzeba czasu na wyciągnięcie kilku wtyczek? Zdaży wejść i wyjść, zanim ktokolwiek spostrzeże, że coś się stało.

Znów poczuł przeszywający ból. Boże, jak bardzo brakowało mu jego chłopca. Uczepił się swej żałoby, jak pijaczyna butelki. Zapładniała jego wyobraźnię, przyspieszała rytm serca, popędzała jak uderzenie pejcza.

To, że plany mogły się tak parszywie pokrzyżować, doprowadzało go do furii. Improvizując teraz, aby naprawić co się dało, zaczynał gonić w piętkę. Spał najwyżej pięć godzin w ciągu czterech dni. Nie było to dla niego nowością - bezsenność uznawał za normalny element swego trybu życia. Problem polegał tylko na tym, jak przy takim zmęczeniu zachować jasność myśli. Kiedy układał swój plan, wszystko wydawało się całkiem proste. Póki nie wtracił się Lumbrowski ze swoją arogancją. I Dewitt ze swoim dochodzeniem.

Dotarł do wejścia do holu i przyjrzał się przez szparę kamery obracającej się z lewa na prawo. W dyżurce samotna pielęgniarka z pochyloną głową wypełniała formularze. Kiedy kamera przesunęła się na prawą stronę, odwracając od niego swoje jedyne oko, Traper John zdecydowanym krokiem ruszył do pokoju 114. W szumie monitorów i respiratora słyszał własny oddech. Takie chwile go podniecały. Bezbronność Anny nie budziła w nim wyrzutów sumienia. Każdy ma to, na co zasłużył. W tym przypadku nie chodziło mu o Annę, lecz o jej ojca.

Przeszedł od razu na drugą stronę ogromnego łóżka, przyklęknął na jedno kolano i zaczął szperać za maszyną pokrytą niebieską emalią. Wyjął z kieszeni spinacz biurowy, a potem wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Usłyszał sygnał ostrzegawczy, nie cofnął jednak palców. Rozpiął rozgięty spinacz między bolcami wtyczki i wepchnął ją do kontaktu. Białobłękitny błysk strzelił ze ściany i wszystkie urządzenia w pokoju zamarły. Wyrwał znów wtyczkę, wydlubali schował do kieszeni resztki zwęglonego spinacza, i spojrzał na dziewczynkę.

Miał ochotę zostać i popatrzeć. To nie różniło się tak bardzo od innych razów. Właściwie w ogóle się nie różniło. Jednakże nie mógł przewidzieć, w jaki sposób, i czy w ogóle, rejestrowano w szpitalu krótkie śpięcia. Gdyby się nie powiodło,

jeszcze tu wróci.

Przeszedł przez hol, poczekał, aż kamera się odwróci i już miał otworzyć drzwi do tylnego korytarza, gdy usłyszał przed sobą głosy. Obejrzał się przez ramię na upartą kamerę obracającą się właśnie w jego stronę.

„Idźcie sobie!” rozkazywał w myśli ludziom w korytarzu po drugiej stronie drzwi. Jeszcze raz spojrzął przerażony w kamerę, tym razem prosto

159

Podszedł do Talbota i schwycił go za koszulę.

- Czy ten telefon to twoja sprawka? Talbot potrząsnął głową.

Dewitt szarpnął go mocniej. Wyglądało jakby dostał szału.

- To ważne! Czy to ty?

- Yhm.

- Tato! -jęknęła Emmy.

- Nie chciałem, żeby pan mnie zobaczył - tłumaczył Talbot ochrypłym głosem. - Żeby się dostać na górę, musiałbym przejść koło pana. Wielkie rzeczy!

Dewitt puścił Talbota i kazał mu się wynosić. Chłopak zbiegł po schodach, skacząc po trzy stopnie naraz i zniknął im z oczu.

- Tato!

Dewitt wygłosił przemowę o uczciwości, oszustwie i typach w rodzaju Billy'ego Talbota. Briar płakała. Znowu. Wyładował złość i poczuł się lepiej. Oznajmił, że natychmiast jada do domu i że nie chce słyszeć ani słowa więcej.

Po drodze nie myślał o Emmy ani o Talbocie, ani o zgorzszonym spojrzeniu, którym pożegnała go Cyntbia Chatterman. Myślał o twarzy dostrzeżonej w tłumie i o tym, co to oznaczało, jeśli była to twarz tego, kogo się spodziewał.

10

Twarz Tropera Johna przez chwilę

znalazła się w świetle, choć osłaniał się instynktownie. Wolał kryć się w cieniu; wtedy czuł się bezpieczny. Jego połyskujące w mroku oczy, brązowe jak wilgotna ziemia, miały dziki wyraz przypominający wzrok zwierzęcia uwięzionego w klatce. On dobrze znał się na klatkach. Nigdy już nie da się w żadnej zamknąć. U nasady nosa od dwudziestu lat, od czasów szkoły średniej, nosił pamiątkę po walce na pięści; grube, czarne włosy zaczesywał na bok. Miał kwadratowy zarys brody i wystające kości policzkowe - i dumny był z tych dziesięciu procent krwi Czerokezów płynących w jego żyłach. Każdy, kto by na niego spojrział, uznałby go za dość przystojnego, choć tej nocy wyglądał groźnie. Jak kot przemykający chyłkiem tuż przy ziemi, gotował się do skoku na upatrzoną zdobycz. Ta dzisiejsza pociągała go nieodparcie.

Cierpienie powracało falami; sądził, że taki ból musi czuć chory na raka, ból ściskający serce, rozdzierający wnętrze - dojmujący, przejmujący żal. Po pięciu miesiącach wciąż taki sam. Naturalne wydało mu się, że paroksyzm bólu dopadł go właśnie teraz, gdy wchodził tylnym wejściem od strony kuchennego podjazdu do Szpitala Miejskiego. W Akwarium poniósł porażkę. Tu jednak musi się udać.

158

Obserwował Dewitta przychodzącego tutaj, wiedział, że należy skrócić w lewo w korytarz dla obsługi, wiedział, że o tej porze nocy jedynym zagrożeniem były kamery kontrolne. Dlatego od razu zgasił światło w korytarzu. Jeśli nawet ktoś śledził obraz z tych kamer - co wydawało się nieprawdopodobne - zobaczyłby na ekranie tylko ciemny cień, o ile w ogóle coś by się dało zauważyć. Ile trzeba czasu na wyciągnięcie kilku wtyczek? Zdaży wejść i wyjść, zanim ktokolwiek spostrzeże, że coś się stało.

Znów poczuł przeszywający ból. Boże, jak bardzo brakowało mu jego chłopca. Uczepił się swej żałoby, jak pijaczyna butelki. Zapładniała jego wyobraźnię, przyspieszała rytm serca, popędzała jak uderzenie pejcza.

To, że plany mogły się tak parszywie pokrzyżować, doprowadzało go do furii. Improvizując teraz, aby naprawić co się dało, zaczynał gonić w piętkę. Spał najwyżej pięć godzin w ciągu czterech dni. Nie było to dla niego nowością - bezsenność uznawał za normalny element swego trybu życia. Problem polegał tylko na tym, jak przy takim zmęczeniu zachować jasność myśli. Kiedy układał swój plan, wszystko wydawało się całkiem proste. Póki nie wtrącił się Lumbrowski ze swoją arogancją. I Dewitt ze swoim dochodzeniem.

Dotarł do wejścia do holu i przyjrzał się przez szparę kamerze obracającej się z lewa na prawo. W dyżurce samotna pielęgniarka z pochyloną głową wypełniała formularze. Kiedy kamera przesunęła się na prawą stronę, odwracając od niego swoje jedyne oko, Traper John zdecydowanym krokiem ruszył do pokoju 114. W szumie monitorów i respiratora słyszał własny oddech. Takie chwile go podniecały. Bezbronność Anny nie budziła w nim wyrzutów sumienia. Każdy ma to, na co zasłużył. W tym przypadku nie chodziło mu o Annę, lecz o jej ojca. Przeszedł od razu na drugą stronę ogromnego łóżka, przyklęknął na jedno kolano i zaczął szperać za maszyną pokrytą niebieską emalią. Wyjął z kieszeni spinacz biurowy, a potem wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Usłyszał sygnał ostrzegawczy, nie cofnął jednak palców. Rozpiął rozgięty spinacz między bolcami wtyczki i wepchnął ją do kontaktu. Biało-błękitny błysk strzelił ze ściany i wszystkie urządzenia w pokoju zamarły. Wyrwał znów wtyczkę, wydlubał i schował do kieszeni resztki zwęglonego spinacza, i spojrzał na dziewczynkę. Miał ochotę zostać i popatrzeć. To nie różniło się tak bardzo od innych razów. Właściwie w ogóle się nie różniło. Jednakże nie mógł przewidzieć, w jaki sposób, i czy w ogóle, rejestrowano w szpitalu krótkie spięcia. Gdyby się nie powiodło, jeszcze tu wróci.

Przeszedł przez hol, poczekał, aż kamera się odwróci i już miał otworzyć drzwi do tylnego korytarza, gdy usłyszał przed sobą głosy. Obejrzał się przez ramię na upartą kamerę obracającą się właśnie w jego stronę.

„Idźcie sobie!” rozkazywał w myśli ludziom w korytarzu po drugiej stronie drzwi. Jeszcze raz spojrzał przerażony w kamerę, tym razem prosto

159

w jej obiektyw. Głosy oddaliły się i ucichły. Uchylił drzwi i wyjrzał przez szparę. Wolna droga.

Włączył światło i pospiesznie wydostał się z korytarza na wolność.

A temu łepiek urwała. I poleciała.

11

... nagły wypadek: Dewitt wciąż słyszał

te słowa, gdy jechał na złamanie karku krętą szosą 68. Podrzucił Emmy i Briar do Clare. Po przygodzie w Akwarium, wolał nie kusić losu.

Korytarz szpitalny jakby się nagle wydłużył. Minał zakręt i znalazł się w drugim korytarzu prowadzącym do pokoju córki. Duży zegar ścienny wskazywał godzinę 2:20. Kilka pielęgniarek zgromadziło się pod drzwiami Anny. Dewitt zatrzymał się. Nie mógł zrobić następnego kroku. Poczul ukłucie w sercu. Jedna z pielęgniarek zaczęła głośno płakać na jego widok. Z wysiłkiem ruszył naprzód, lecz odległość do pokoju nie chciała się zmniejszyć.

Gdy wszedł do Anny, najpierw uderzyła go cisza. Absolutny spokój. Żadnego popiskiwanego czy bzyczenia. Obrotowe łóżko było puste, prześcieradła pościągane. Potem ją zobaczył - wszystko co można było dostrzec: kosmyk jasnych włosów wystający spod sztywnego, białego prześcieradła.

Podszedł do noszy, ściągnął prześcieradło, pochylił się i przycisnął policzek do jej policzka. Wiedział, co znaczy ta temperatura: jego córka nie żyła. Łzy. Ujął jej kruchą główkę swą dużą, mocną dłonią i powtarzał cicho jej imię, z szaloną nadzieją, że jakimś cudem przywróci ją do życia.

- Anno - załkał.

- Przykro mi, James - odezwał się stojący za nim doktor Jerry Rosenberg. Dewitt poczuł łagodny dotyk jego ręki na ramieniu.

- Niezwykły zbieg okoliczności. Albo może, James, może to zrządzenie losu.

Nadszedł kres dla twojej córki.

Dewitt obrócił się, gniewnie spoglądając zaczerwienionymi oczami.

- Szansa takiego zdarzenia... - ciągnął doktor.

- Szansa? - spytał Dewitt przez łyż.

- Zaniku zasilania. Czegoś w tym rodzaju - mówił doktor, nie zdejmując ręki z ramienia Dewitta. - Nie mamy żadnego systemu ostrzegawczego przed takimi samoistnymi zakłóceniami.

- Zaniku zasilania? - spytał Dewitt, odsuwając Rosenberga i wziął się do oglądania otoczenia łóżka.

Jego oczy - oczyszczone przez eksperta sądowego - wędrowały po drutach, przyciskach, niebieskich emaliowanych statywach na czarnych gumowych kółkach. Na białej podłodze dojrzał niewielką ilość brudu wyglądającego na zaschnięte błoto. Przyjrzał się śladom. Padało, kiedy wracali z Akwarium.

Odsunął zawadzający monitor. Przy podstawie aparatu znalazł jeszcze więcej błota. Pokoje szpitalne z całą pewnością były utrzymywane w czystości. Skąd więc brud? Wyłączył sznur z gniazdka. Stopione grudki metalu przyspawały się do bolców wtyczki.

- To nie zrządzenie losu, doktorze - powiedział - lecz robota zwykłego śmiertelnika. Ktoś odwiedził Annę.

Dewitt wpatrywał się w podłogę. Jeszcze trochę błota przy drzwiach. Dwie smugj z błota na korytarzu prowadzące do drzwi, którymi Dewitt często wślizgiwał się tutaj wieczorami. Gdy doszedł do wyjścia, obejrzał się w kierunku pokoju Anny. Wtedy właśnie ze zdumieniem zauważył kamerę bezpieczeństwa. Nigdy nie pomyślał, żeby spojrzeć w górę, nigdy nie myślał, że jego niedozwolone wizyty były rejestrowane.

Rosenberg stał w holu, przyglądając się Dewittowi.

- Od jak dawna to jest zainstalowane? - spytał Dewitt, wskazując kamerę.

- Teraz mija rok. Z kawałkiem - odpowiedział doktor.

- I to działa?

- Oczywiście.

- Cały czas?

- Tak.

- Ktoś obserwuje zapis?

- Nie, rejestruje się go na taśmie. Dla agencji ubezpieczeniowych.

- Muszę obejrzeć te taśmy - zażądał Dewitt. - Zaraz.

- Zawołamy Hanka - powiedział doktor.

Hank Johnson, dyrektor szpitalnej służby bezpieczeństwa, ubrał się pośpiesznie. Czarnoskóry mężczyzna, znany ze swego białego kapelusza kowbojskiego, nie zdążył nawet zapiąć koszuli - uniformu służbowego.

W windzie wiozącej ich na dół Johnson tłumaczył:

- Kamery są zainstalowane na wszystkich korytarzach. Żądało tego towarzystwo ubezpieczeniowe, po tym jak jeden oszust zaskarżył nas, utrzymując, że się pośliznął na wilgotnej podłodze, co było oczywistą nieprawdą. Naciągnął nas na kupę forsy. Teraz chronimy się za pomocą kamer. Nie obserwujemy zapisów. Kamery działają na okrągło przez 24 godziny na dobę. Jeśli ktoś nam coś zarzuci, odtwarzamy taśmę i sprawdzamy.

Pokój na parterze był mały i panowało w nim straszliwe gorąco.

- Mamy zainstalowanych piętnaście odtwarzaczy - wyjaśnił Johnson. Wskazał na rząd monitorów.

- Korytarze i klatki schodowe są najważniejsze dla towarzystwa ubezpieczeniowego, więc przeznaczono na nie dwanaście urządzeń.

Johnson spędził kilka minut przy aparaturze, podczas gdy Dewitt przeglądał taśmę. Numerki licznika godzin migały w tempie szybkiego

11 - Kluczowy dowód

161

przewijania w górnym rogu ekranu. Pielęgniarki poruszały się sztywno i przesadnie szybko jak postacie z niemego filmu.

Siódma: minuty w dolnym prawym rogu przesuwają się szybko. Ze względu na obrót kamery, w równych odstępach czasu drzwi pokoju Anny przestają być widoczne.

Spojrzenie w prawo, spojrzenie w lewo... spojrzenie w prawo, spojrzenie w lewo... jak na meczu tenisowym. Ósma: koniec odwiedzin, parada emocji objawiających się w pożegnalnych gestach i uściskach. Szpital bywa miejscem bezbrzeżnej wdzięczności i bezbrzeżnej rozpaczki.

Dziewiąta: pielęgniarki na wieczornym obchodzie kontrolujapacjentów. Dziesiąta, jedenasta, północ, pierwsza. Ruch w korytarzu stopniowo zamiera.

- Czekaj! - powiedział nagle Dewitt. - Cofnij to!

Johnson pomanipulował przy urządzeniu. Ten sam przedział czasowy powtórzył się z normalną prędkością.

- Jeszcze raz - zażądał Dewitt.

Potem poprosił o ten sam fragment jeszcze raz, teraz w zwolnionym tempie.

Johnson zauważył także, co przyciągnęło uwagę Dewitta.

- Drzwi holu - powiedział. - Zamykają się.

Kiedy kamera obróciła się, żeby objąć drzwi pokoju Anny, duże drzwi zatrzęsły się.

- O cholera - powiedział szef ochrony - jest już w pokoju.

Dewitt czuł, że łzy napływają mu do oczu i nie może przełknąć śliny. Po drugiej

stronie tych drzwi był zabójca jego córki. Dwa cykle później, gdy oko kamery prześlizgiwało się po holu, drzwi pokoju Anny uchyliły się. W ciemności nie dało się rozpoznać twarzy.

- Czekaj na kamerę - powiedział Dewitt.

- Sprawdź, czy hol jest czysty - zgodził się Johnson.

Kamera obróciła się znów i wracając, uchwyciła stojącego tyłem mężczyznę.

- Nie ruszaj się - zauważył Johnson. - Pewnie ktoś jest w holu.

- No odwróć się! - zażądał Dewitt, przysuwając twarz do ekranu. - Spójrz mi w oczy, ty draniu!

Mężczyzna nagle go posłuchał. Odsłonił zamazaną twarz, oglądając się w panice przez ramię.

- Zamroź ten kadr - rozkazał Dewitt.

Chociaż Johnson kilka razy próbował uchwycić pojedynczy kadr, który dawał obserwowany przez nich obraz na ekranie, rysy twarzy rozmywały się za każdym razem.

- Taśma była zapisywana zbyt wiele razy. Traci czytelność - wyjaśnił szef ochrony.

Po kilku jeszcze próbach Dewitt wziął taśmę od Johnsona.

- W porządku - powiedział głuchym, otępiiałym głosem. - Wiem, jak on wygląda. Spotkaliśmy się już wczoraj wieczorem.

8

Wtorek

- Myślałam, że jesteśmy partnerami - broniła się Emmy. Siedziała obok ojca na przednim siedzeniu zephyra.

Bładoróżowa poświata poranka odbijała się w dachach samochodów sunących nieprzerwanie autostradą jeden za drugim. Wiadomość o siostrze Emmy przyjęła spokojnie. Nawet za spokojnie. Dewitt martwił się o nią - nie powinna tłumić emocji.

- Przestań, Em. To postanowione - powiedział.

- Przecież potrzebujemy się nawzajem, tato. Jak partnerzy?

- Też wolałbym tego uniknąć, Em, ale...

- Nie cierpię takiej postawy, wiesz? Jeśli wolałbyś tego uniknąć, to dlaczego to robisz?

- Nie mamy o czym dyskutować.

- Ależ tato, mówimy o moim życiu, a ty twierdzisz, że nie ma o czym dyskutować.

Nie dajesz mi żadnych szans! Dobrze, wsadzisz mnie w samolot do babci, i myślisz, że długo tam zostanę? Chcesz spędzić przyszły tydzień wyobrażając sobie, jak wracam autostopem do Carmel? Jak uciekinierka?

- Em...

- Nie porzucaj się swego partnera. Pracujemy razem.

Dewitt wyjrzał przez boczne okno na samochody jadące na południe drugą stroną przedzielonej barierą autostrady, na setki podobnych do siebie, nic nie wyrażających twarzy mijających go w lśniących pojazdach.

- Wolałbym wiedzieć, że jesteś bezpieczna, niż się zamartwiać. Daj mi trochę czasu, Em. Ściągnę cię z powrotem, jak tylko będę mógł.

163

- Potrzebujesz mnie - nie przestawała nalegać.

- To prawda, bardzo cię potrzebuję.

- Jesteśmy partnerami - próbowała niepewnie.

- Jesteśmy.

Trudno mu było znaleźć argumenty, które by ją przekonały. Mógł to załatwić inaczej: przerzucać ją nieustannie z domu do Clarence'a i do innych rodziców, tak żeby stale ktoś miał na nią oko, jednak znacznie prostsze dla wszystkich wydawało się wysłać ją na krótko z domu.

Trwali w ponurym milczeniu. Nagle Emmy zaskoczyła go pytaniem:

- Jak ty to robisz, tato?

- Co?

- Zachowujesz się, jakby ona nigdy nie istniała. Nigdy o niej nie mówisz. Nie rozumiem, jak ty tak możesz. Mnie jej tak bardzo brakuje.

- To naturalne, Em. Mnie też jej brakuje. Ale musimy żyć dalej.

- O tym właśnie mówię. Tobie to przychodzi dużo łatwiej.

- Czyżby? Jesteś tego pewna?

. - Co chcesz powiedzieć? - przyjrzała mu się uważnie.

- Widzisz, Em, czasem udajemy przed ludźmi. Czasem także przed sobą, żeby nie

postradać zmysłów.

Pomyślał, że jeszcze nigdy tak nie rozmawiali. Czy aż tak bardzo powinien się przed nią odsłaniać?

- Ty udajesz?

- Czasami.

- Ale dlaczego?

- Dlatego, Em, że jest we mnie dwóch ludzi. Moje jedno ja chce umrzeć każdego dnia, kiedy otwieram rano oczy i uświadamiam sobie, że twoja matka nie żyje. Ale to drugie każe mi usiąść na łóżku i przetrzeć oczy.

- Udawać?

- Czasami tak. Zwłaszcza na początku tak było. Tak długo powtarzałem tę rolę, aż wreszcie się jej nauczyłem. Ty przecież liczyłaś na mnie, Em. Gdyby nie to, może nigdy bym się nie pozbierał. Dzięki tobie nie popadłem w szaleństwo. Twoja ufność we mnie kazała mi być takim, jakim mnie potrzebowałaś.

- Dlaczego nigdy mi tego nie mówiłaś?

- Nigdy nie pytałaś - odrzekł.

Zamyśliła się. Dewitt włączył radio i znalazł stację puszczającą stary rock. Doobie Brothers. To już starocie? - pomyślał.

- Ja też powinnam grać? - spytała.

- Nikt tego od ciebie nie żąda. Opowiadam ci tylko, jak było ze mną.

- Powinnam się zachowywać, jakby wszystko było w porządku, tak?

- Przede mną nie musisz grać. Kocham cię taką, jaka jesteś. Wiem, co czujesz.

Martwię się o ciebie. Wiesz zresztą o tym. Opowiadam ci po prostu, jak było ze mną. Zdawało mi się, że gram w jakimś filmie i muszę

164

zapamiętać rolę. A potem obudziłem się pewnego dnia i choć nie czułem się wspaniale, to jednak znośniej. Dawało się jakoś żyć.

- Kocham cię, tato.

- Ja ciebie też.

Spróbował w tej chwili szczerości skłonić ją do podjęcia trudnej decyzji.

- Chciałbym, żebyś sobie coś przemyślała w czasie tego wyjazdu. Żebyś tylko pomyślała o tym, nic więcej.

- O popiołach mamy - odgadła Emmy.

Wyciągnął rękę i ich palce splotły się z sobą. Błysnęła mu myśl, że trzyma dłoń młodej kobiety, nie dziewczynki. Puścił dłoń córki dopiero po godzinie jazdy, gdy na parkingu dworca lotniczego sięgał do automatu po bilet. Patrząc na swą spoconą rękę, pomyślał jak dziecko: nie będę jej mył przez tydzień.

Po sprawdzeniu biletu Emmy rozplakała się.

- Jesteśmy partnerami - powiedział Dewitt ze ściśniętym gardłem, obejmując ją ramieniem.

Zatrzymali się przed kontrolą bezpieczeństwa. Dewitt miał przy sobie broń. Gdyby chciał towarzyszyć córce, nie obeszloby się bez uciążliwych korowodów. Gdy tak stał, wyczerpany do ostatnich granic, zmordowany prowadzonym śledztwem, z żalobą w sercu po Annie i troską o Emmy, rewolwer u boku wydał mu się przyczyną i symbolem wszelkiego zła, wszystkich nieszczęść, które na niego spadły. Emmy przeszła przez kontrolę, obejrzała się i z trudem powstrzymując łzy, pomachała mu ręką.

Dewitt patrzył za nią, aż zniknęła mu z oczu. Potem zamknął się w kabinie toalety, siadł w ubraniu na sedesie i rozplakał się, ukrywając twarz w dłoniach.

Po południu Dewitt zajął się organizacją grupy operacyjnej złożonej z trzech detektywów z biura szeryfa hrabstwa Monterey i z dwóch funkcjonariuszy z biura prokuratora okręgowego; sam objął funkcję dowódcy tego oddziału. Różne wydziały wymiaru sprawiedliwości zawsze ze sobą rywalizowały. Panował w nich swoisty szowinizm grupowy; ludzie, którzy wcześniej pracowali razem przez całe lata, nagle stawali się rywalami pełnymi uprzedzeń, a czasem zawiści. Kiedy jednak wszczynano śledztwo w sprawie zabójstwa, natychmiast budził się duch koleżeństwa: my przeciwko niemu.

Teraz Dewitt miał całą piątkę przed sobą, zgromadzoną wokół jednego z dużych stołów w pokoju śniadaniowym. Wszyscy byli ubrani w sportowe płaszcze, koszule i krawaty. Dwaj detektywi z biura prokuratora okręgo-

165

wego byli najmłodsi. Tylko jeden z piątki nosił zarost i palił. Dewitt wskazał im fotokopię planu Seaside.

- Dwie litery R na planie to jedyne dwa sklepy z częściami rowerowymi, które

prowadzą serwis rowerów górskich. Jeden je również sprzedaje, co nas mniej obchodzi, gdyż przyjmujemy, że rower, którego ten facet używa do ucieczki, jest kradziony. Litera M to jedyny magazyn narzędzi i materiałów, który sprzedaje znaleziony przy zwłokach gatunek pleksi-glasu. Każdy z nas ma inną listę klientów zakładów pralniczych Brighton oraz moteli, i wszyscy mamy po jednej kopii klucza znalezionego w brzuchu Lumbrowskiego. Zdaję sobie sprawę, że magazyn narzędzi i sklepy rowerowe nie mają większego znaczenia. Stanowią po prostu jakiś punkt wyjścia i tylko do tego są nam potrzebne. Miejsca wypisane na mojej liście znajdują się wewnątrz trójkąta wyznaczonego właśnie przez te sklepy i magazyn. Każdy bada swój sektor, zaczynając od środka.

Zaczynamy od wypróbowania klucza. Nie wolno rozmawiać z obsługą, ani zapowiadać swego przyścia. Jeśli klucz pasuje, zachodzi domniemanie winy i mamy wtedy prawo zabezpieczyć teren do czasu uzyskania nakazu przeszukania i przeprowadzenia rewizji. Nie wolno wchodzić do tamtego pokoju.

Nazywamy podejrzanego Traperem Johnem. Tak należy meldować przez radio, jeśli ktoś się na niego natknie. Zdjęcie, które wam dałem, jest fotokopia zestawionego przeze mnie portretu pamięciowego. To niekoniecznie musi być Traper John, jednak każda osoba o podobnym wyglądzie powinna być zatrzymana i przesłuchana.

Szacujemy, że ten człowiek waży od 75 do 80 kg i ma trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Może on, lecz nie musi, mieć rudego psa - mieszańca collie i owczarka. Trapera Johna uznajemy za niebezpiecznego przestępcę i chociaż eksperci uważają za nieprawdopodobne, żeby miał przy sobie broń konwencjonalną, powinniście go traktować tak, jakby ją miał. Jedno, co na pewno o nim wiemy, to to, że jest niesłychanie przebiegły. Jest bardzo prawdopodobne, że zwabił w pułpkę co najmniej dwie ze swoich ofiar, a może i wszystkie trzy. Nie wiemy jeszcze dokładnie, czym jest ta pułпка i jak mu się to udało. Tak więc, miejcie oczy otwarte. Są jakieś pytania?

Odprawa trwała jeszcze dwadzieścia minut i skończyła się wkrótce po tym, jak czerwone, zimowe słońce zanurzyło się w oceanie. Kiedyś Dewitt wyobrażał sobie, że gdy słońce wpadnie do wody, uniosą się znad niej kłęby pary.

Clarence zatrzymał Dewitta właśnie, gdy ten wychodził.

- Wiem o Annie - odezwał się, potrzęsając głową. Dewitt położył rękę na jego ramieniu.

- Jeśli chcesz nam w czymś pomóc - powiedział - to naciskaj Shi-lsteina w Atascadero. Chcemy, żeby Collette przeglądał te fotografie, aż coś znajdzie. Nelson ma moje notatki. On też przegląda te same pliki i szuka pasującego opisu. Mógłbyś jeszcze sprawdzić, dlaczego

166

Ramirez nie oddał nam tamtej rolki papierowej taśmy znalezionej w mustangu Lumbrowskiego. Miał przepuścić odcisk przez SKAD dla Ricka Morna.

Dewitt słyszał napięcie we własnym głosie. Nigdy nie miał zwyczaju mówić szybko, a teraz wygłosił to wszystko w piorunującym tempie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Hindeman.

- Nie - odpowiedział.

Uśmiechnął się sztucznie, po czym ruszył pędem przez korytarz.

Dewitt wiedział, że jeśli FBI wytyczyło pewien obszar poszukiwań - zwykle wyznaczony przez lokalizację zwłok - najlepiej było zaczynać od środka i posuwać się ku brzegom w jakimś logicznym porządku. W ich przypadku, punkty do zbadania były określone na podstawie listy klientów jedynej miejscowej pralni, która używała wybielacza znalezionego na paru strzępkach bawełny. Nie był to w żadnym razie niezbity dowód, ale nie mieli innego. Dewitt podzielił swoje terytorium o powierzchni trzech kilometrów kwadratowych na cztery oddzielne sektory. Miał do sprawdzenia sześć moteli, salon masażu i cztery restauracje.

Pięć dwa motele na liście okazały się niewypałami: Jeden, Star-Lite, miał tylko dziesięć pokoi; w drugim, o nazwie Best-Vu, klucz nie pasował do żadnego z pokoi. Trzeci motel, w pobliżu którego zaparkował Dewitt, natychmiast go zainteresował, ponieważ nie dość, że budynek pasował do upodobań Johna Osbourne'a, podanych przez Priscillę Laughton, to jeszcze na podwórzu znalazł psie odchody.

Dewitt nastawił kanał radiowy, zarezerwowany dla ich grupy operacyjnej. Każdy z pięciu funkcjonariuszy komunikował się z Ginny, meldując swoją lokalizację, przyjazd i powrót do samochodu. Ginny, wspólnie z komendantem Karlem Cappem, odwzorowywała na planie przebieg akcji, zaznaczając ruchy wywiadowców; kolorowe pinezki wskazywały kolejne fazy ich działań. Dewitt wiedział, że gdy tylko

zgłosił swoje przybycie do Just Rest' Inn, w tym miejscu na planie pojawiła się żółta pinezka. Kiedy zgłosi powrót do samochodu, pinezka zostanie zamieniona na zieloną.

Przeszedł przez brudny parking, czując nocny chłód, i pomyślał, że mogło to być miejsce, w którym Marvin Wood ukradł samochodowe stereo - miejsce ciemne, odludne, złowróżbne. Mógł sobie wyobrazić zabójcę, czającego się w pobliskim pustym kanale myjni samochodowej, sączącego tanie wino i czekającego na kolejną ofiarę, być może teraz kierującego wzrok właśnie na niego. Czuł, jak na samą myśl o tym sztywnieją mu mięśnie na karku. Ciemność zwykle tak na niego działała: James Dewitt, w przeciwieństwie do wielu, nie lubił ciemności. Wolał otwarte przestrzenie i tonące w słonecznym blasku urwiste brzegi Point Lobos. Ciemność pobudzała jego wyobraźnię. Teraz też wyobrażał sobie tego mężczyznę - wyczekującego, skradającego się, zabijającego i wynoszącego ciało z jednego z pokoi. Może dlatego zdrząła mu ręka, gdy

167

wyciągał klucz z kieszeni, wsuwał go do zamka w drzwiach pokoju nr 12 i stwierdzał, że klucz daje się nie tylko włożyć, ale i obrócić.

Zastukał. Cisza.

Dewitt znał reguły: teraz powinien wrócić do samochodu i wezwać oddział policji, załatwić nakaz rewizji i skłonić sędziego, by go podpisał. A jednak nie był zdolny zawrócić spod tych drzwi. Tutaj, w tym pokoju mogło tkwić rozwiązanie zagadki morderstw, która nurtowała go i dręczyła już od tyłu dni. Rozum nakazywał mu się cofnąć i działać według przepisów. Lecz jakaś potężniejsza siła pchała go naprzód. Wyciągnął broń, odbezpieczył i wszedł do środka.

Delikatnie pchnął drzwi, postąpił krok naprzód i zamknął drzwi za sobą. Owal światła z paluszkowej latarki przesunął się po ścianach ciasnego pomieszczenia, nad małym łóżkiem. Pokoik był maleńki, jego ściany z pustaków pomalowano farbą nieokreślonej barwy. Pusto. Dewitt schował broń do kabury i wciągnął na ręce chirurgiczne rękawice, żeby nie zostawić własnych odcisków. Postanowił nie zapalać światła, by nie zdradzić swojej obecności. Podszedł do jedynej w tym pomieszczeniu okna, małego poziomego otworu umieszczonego na wysokości ramion. Miał zamiar zasunąć krótkie zasłony, gdy światła przejeżdżającego pojazdu przesunęły się po powierzchni okna, oświetlając cztery długie, żółtawe rysy, oczywiste ślady po zadrapaniu. Wtedy dopiero zwrócił uwagę, że okno było umocowane na stałe i zrobione nie ze szkła, lecz z pleksiglasu - syntetycznej żywicy, tej samej substancji, którą znaleziono pod paznokciami Malcolma McDuffa. Nagle zrozumiał: zbrodni dokonywano właśnie tutaj. Wytropiona ofiara była zagazowywana w pokoju motelowym! W tym pokoju - komorze śmierci. Maleńkie pomieszczenie w bardzo krótkim czasie można było wypełnić gazem i spowodować szybkie uduszenie się jego lokatora. Ofiary były gazowane we śnie. McDuff prawdopodobnie się obudził przed śmiercią i drapał rozpaczliwie szybę. Zabójca ubierał ofiary, pakował ich bagaże i wywoził ciała. Prawdziwy Traper John. Dewitt oglądał uważnie pomieszczenie - otwór wentylacyjny nad łóżkiem, samo posłanie. Tak mogło być - powtarzał sobie, wchodząc do malutkiej łazienki i wodząc po ścianach latarką. Nie ma okna. Jeszcze jedna kratka wentylacyjna. Niestety nie zauważył wszystkiego - instalacji wijącej się wokół drzwi pokoju, złożonej z jednej pary drutów od dzwonka i prowadzącej do małego przełącznika magnetycznego nad górnym zawiasem. Ta instalacja powiedziałałaby mu znacznie więcej, niż dowody, których szukał.

Ten, który nazwał siebie Traperem Johnem, wylegiwał się przed telewizorem. Oglądał powtórzenie MASH-a - swój ulubiony, program i zaśmiewał się wraz z telewizyjną widownią. Błysk krótkiego spięcia wciąż trwał w jego wyobraźni, jakby - wzmocniony rezonans - nie wygasł po wczorajszym szpitalnym wypadku. Mimo potknięć, mimo modyfikacji

168

i

planów, do końca brakowało już tylko jednego zabójstwa. Z satysfakcją popijał piwo. Pogłaskał psa, który położył mu głowę na udzie. Życie nie było takie złe. Gdy zabrzmiał brzęczyk, oznajmiający wejście Dewitta do pokoju numer 12, Traper John zerwał się zaalarmowany. Brzęczyk miał informować o ruchach potencjalnej ofiary; mężczyzna nastawił go tylko dlatego, że nie mógł znaleźć klucza, który dał Lumbrowskiemu. Choć był pewien, że Lumbrowski, którego starannie obszukał po

śmierci, nie miał klucza przy sobie, wolał się zabezpieczyć. Zerwał się z łóżka stojącego w pokoiku na tyłach recepcji, sięgnął do wnęki na ubrania i przestawił umocowany tam przełącznik. Przewody biegły w osłaniającej tulei wzdłuż motelu: urządzenie za cztery dolary z firmy Radio Shack, które, gdy je ustawiono tak, jak zrobił to John, zatrzaśniało elektroniczny „zamek bezpieczeństwa”, czyniąc tym samym wewnętrzną klamkę zupełnie bezużyteczną. Ofiara była w pułapce. Pałkę elektryczną ukrywał w rękawie marynarki wiszącej we wnęcie. Sprowadził tę broń z firmy oferującej sprzedaż wysyłkową. Zamówienie znalazł na okładce pisma „Uzbrojeni i Niebezpieczni”, jedyne, jakie prenumerował. Dał za tę broń sto sześćdziesiąt pięć dolców. Bez podatku, bo przesyłka przyszła z Teksasu. Sprawiało mu przyjemność używanie tego samego narzędzia tortur, którym dręczyli go strażnicy; doceniał jego skuteczność – poznał ją na własnej skórze. Gdy regulował prąd na maksimum, pałka pozbawiała ofiarę przytomności na co najmniej piętnaście minut – to wystarczało, by spaliny zrobiły swoje. To wszystko składało się na precyzyjny, ekonomiczny system dla oszczędnego zabójcy. Mężczyzna wziął do ręki pałkę i pospiesznie wyszedł tylnymi drzwiami. Uwagę Dewitta przyciągnęła nagła zmiana oświetlenia. Dziwne, że niczego nie usłyszał – pewnie przez to pulsowanie krwi w skroniach. Coś czaiło się za jego plecami! Okręcił się szybko, czując nagły przypływ adrenaliny. Wyciągnął ręce przed siebie. Błysk światła przemknął po zarośniętej twarzy. Mężczyzna zamierzał się na niego. Dewitt osłonił się przed uderzeniem i odepchnął ramię napastnika. Ten zaatakował. Dewitt obawiał się noża, lecz odpierając cios wyczuł coś w rodzaju podłużnej latarki. Następny cios trafił go w rękę. Nagły szok sparaliżował go. Upadł na podłogę. Porażenie prądem! Mięśnie przestały go słuchać, bezwładne, pozbawione czucia. To koniec. Jeszcze jedno uderzenie. Mgła przesłoniła mu umysł, czuł, że traci przytomność. Ostatnią rzeczą, którą zauważył, były buty mężczyzny wycofującego się pospiesznie.

Gdy się ocknął, miał w gardle gorzki smak, któremu nie towarzyszył żaden konkretny zapach. Spaliny. Jego prawa dłoń i ramię były zdrętwiałe od porażenia prądem. Łupanie w głowie, gdzieś nad oczami, zaćmiewało

169

wzrok. Roztarł prawą dłoń. Była gorąca. Pewnie lateksowa rękawica zredukowała moc prądu. Wiedział jedno: zabójca porażał ofiary pałką elektryczną – co przeoczył Emmanuel – a potem czekał na mordercze działanie spalin. Komora śmierci.

Dewitt sięgnął instynktownie po broń. Zniknęła. Kieszenie spodni też miał opróżnione. Traper nie przeszukał jednak kieszeni sportowego płaszcza. Pozostało w nich trochę narzędzi i latarka.

Gdy Dewitt spróbował się poruszyć, ból głowy przesunął się wyżej. Zatrucie tlenkiem węgla. Znał objawy: zaraz poczuje senność, ręce i nogi staną się ciężkie; serce i płuca spragnione tlenu, zaczną pracować szybciej, co z kolei przyspieszy uduszenie się. Dowlókl się do drzwi, przyklęknął na jedno kolano, niczym żeglarz witający nie widzianą od miesięcy ziemię. Ogarnął go rodzaj pijackiej euforii, prawie snu na jawie. Czuł zmęczenie – ciało domagało się snu. Łóżko pociągało go nieodparcie. Wiedział, że asfiksja, podobnie jak tonięcie, wywołuje euforię – radosny pęd ku śmierci, i kiedy znów się potknął, pojął, że jeśli zaraz nie ucieknie, jeśli nie znajdzie powietrza, zaraz tu umrze. Podeszedł do drzwi – zamknięte. Okno z pleksiglasu nie otwierało się i nie dawało się rozbić. Jeden za drugim kawałki układanki trafiały na swoje miejsca – tylko że rozwiązanie zamknęło go w pułapce: nie było stąd wyjścia. Czy McDuff czuł taką właśnie panikę?

Próbował ssać powietrze z wąskiej szpary pod drzwiami, lecz okazała się szczelnie zalepiona, i poczuł, że wdycha tylko spaliny wypełniające pokój. Płuca miał ściśnięte. Kiedy ostatnio się prześwietlał?

Myśleć! Skąd wziąć powietrze, jeśli drzwi zamknięto z zewnątrz, a okna nie da się wybić?

Wrócił do małej łazienki, do której sączyły się spaliny przez kratkę wentylacyjną. Stał nad umywalką, puścił wodę i spryskał twarz zimną wodą. Szkoda, że nie jest rybą, mógłby wyssać tlen wprost z wody. I wtedy doznał olśnienia.

Rzucił się na kolana. Chwycił w dłonie rurę odpływową. Uwiesił się na niej, szarpał, lecz ani drgnęła. Dostatecznie się na tym znał, żeby wiedzieć, że zadaniem syfonu nie jest zatrzymanie upuszczonych kolczyków, lecz powstrzymanie

za pomocą wodnej blokady potwornego smrodu z kanałów. Wywietrzniki na powierzchni wentylowały rurę kanalizacyjną po to, by nie dopuścić do efektu próżniowego i pozwolić spłynąć brudnej wodzie. Po drugiej stronie syfonu było powietrze.

Efektom jego ponadludzkiego wysiłku było tylko to, że bardziej się męczył, ból głowy narastał, płuca na próżno szukały powietrza, serce waliło młotem. Oparł się o sedes i wsparł nogami w rurę. Drgnęła. Kopnął znowu. I jeszcze raz. Błękitna galareta powaliła go jak pięść zdeterminowanego boksera. Rura zgięła się ku dołowi. Kręcił nią i szarpał, póki całkiem nie wyrwał syfonu. Dewitt objął wargami otwór w rurze i wykonał głęboki wdech. Powietrze było wstrętne i cuchnące, ale dla jego płuc nie

170

było nic cudowniejszego. Organizm wchłonał upragniony strumień tlenu i Dewitt poczuł się pewniej.

Problem przeniósł się jednak z płuc do żołądka. Dewitt odwrócił się i zwymiotował. Potem znów przytknął wargi do rury i pił bezcenny tlen, nie zrażając się stęchlizną kanału. Żołądek znów zaprotestował, lecz Dewitt wracał ustami do rury jak palacz opium do swej fajki.

Gdy wróciła mu jasność umysłu, pomyślał o ucieczce. Zabójca wśliznął się bezszelestnie. Niemożliwe, żeby otworzył drzwi wejściowe; Dewitt musiałby to usłyszeć. Musiało być jeszcze inne wejście do pokoju, ukryta droga służąca do dyskretnego usuwania ciał.

Kłapa pod dywanem. James nasycił się niby-powietrzem z rury, wchłonał na zapas porcję tlenu i zajął się sprawdzaniem rogów dywanu, próbując je oderwać od podłogi. Przymocowane na stałe! Wrócił do rury po następną porcję i znów wszedł do pokoju, ciągnąc za rogi dywanu. Nic.

Jeśli to nie kłapa, zostawała tylko ruchoma ściana. Kursował regularnie do rury i z powrotem, zasilając płuca, a potem badając systematycznie ściany.

Zauważył, że tylna ściana wnęki miała dwie dziwne szpary w boazerii. Boazeria powinna być przybita, zaszpachlowana i pomalowana. Wsunął rękę w szparę i poczuł wilgoć. To było wyjście. Popchnął deskę, lecz ta nie poruszyła się. Przesuwając latarkę pod półką, znalazł zasuwę. Dała się przesunąć w lewo. Dewitt pchnął płytę boazerii - przed nim otworzyło się ukryte przejście do ciemnej szopy. Pochylił się i wszedł do środka. Smakowanie świeżego powietrza było cudowne, jak nurkowanie w basenie w gorące, letnie popołudnie. Czuł, jak organizm oczyszcza się z trucizny.

Dewitt obrócił się i popchnął deskę z powrotem, a potem zapalił światło. Szopa była zavalona potłuczonymi lampami, starymi telewizorami, szybami okiennymi i meblami. W kącie, osłonięty dwoma materacami, stał czarny rower górski Schwinna wyposażony w mały silnik, jak te używane w motorowerach. Gumowy wał, przyczepiony do zamontowanego w silniku tłumika, biegł dalej przez jakiś zaimprovizowany filtr, i zniknął w ścianie nad deską boazerii, niewątpliwie prosto w przewodzie wentylacyjnym pokoju numer 12.

Motorek przyczepiony do roweru sprawiał, że długa i miejscami trudna jazda z Carmel do Seaside stawała się dziecinnie łatwa. Konstrukcja ramy i zawieszenie pojazdu pozwalały zabójcy poruszać się niepostrzeżenie bezdrożami i bocznymi drogami. Tak więc Dewitt natrafił na kryminalis-tyczną złotą żyłę. Większość, jeśli nie wszystkie dowody potrzebne do skazania zabójcy znajdowały się w tym pomieszczeniu.

Pozbawiony swojej trzydziestkiósemki. Dewitt był kompletnie bezbronny. Przeszedł obok roweru i powoli uchylił drzwi szopy, wypatrując, co dzieje się na zewnątrz. Przy budynku zobaczył małą psią budę. Pies mógł zaszczekać i wydać uciekiniera. Pojedyncze oświetlone okno znajdowało się trzy pokoje dalej.

171

Narastała w nim frustracja: nie mógł się pogodzić z myślą zostawienia tych wszystkich dowodów, nawet na kilka minut. Gdyby mężczyzna wykrył jego ucieczkę... W tej chwili jednak nie było innego wyjścia. Przylepiony do ściany okrążył róg budynku. Nieobecność zabójcy zaskoczyła go. Nie zauważył wcześniej, że jego zephyr zniknął. Należało zapewne do rutyny usunięcia wozu ofiary, podczas gdy ona sama była uśmiercana w pokoju numer 12.

Teraz trzeba było dotrzeć do telefonu i wezwać pomoc. Kryjąc się w cieniu, pobiegł ku myjni samochodowej.

Nie było automatu.

Blok dalej dostrzegł telefon, lecz jakiś bałwan wyrwał z niego słuchawkę. Po drugiej stronie był bar - w barze przecież musi być telefon.

Odebrała Ginny.

- „Just Rest' Inn” - Dewitt wysapał nazwę hotelu, czując na sobie wzrok właściciela baru. - To on! Potrzebuję pomocy!

W tej chwili przez brudne okno Dewitt ujrzał pierwszy z serii jaskrawych, żółtych błysków wydostający się z pokoju numer 12. Kawałki dachu strzelały w niebo, ogień łapczywie lizał ciemność i szybko przesunął się wzdłuż dachu, obejmując kolejne pokoje. Dewitt rzucił słuchawkę i wybiegł przed bar. Motel stał w ogniu.

Skoczył w kierunku ognia. Z daleka dobiegał dźwięk syren policyjnego radiowozu. Nagle Dewitt zatrzymał się, osłupiały na widok tego, co zobaczył. Mężczyzna, ten sam człowiek, który był w Akwarium, prawdopodobnie ten sam, który zabił Annę i dopiero co usiłował zabić jego, stał na wprost motelu po drugiej stronie ulicy z psem na smyczy.

Dewitt nie mógł usłyszeć jego głosu, ale widział, że woła coś do patrolowego z Seaside. Chwilę później, obrócił się i wskazał na Dewitta w sposób nie budzący wątpliwości co do jego intencji.

Oskarżał go.

9

Środa

Peter Tilly, detektyw z Seaside - typ supermana o idealnej sylwetce i urodzie mistrza surfingu - wkroczył do pokoju swojego kapitana, gdzie czekali Hindeman z Dewittem.

- Mówiłem z McNearym - oznajmił im Tilly - specjalistą od podpałek ze straży pożarnej. Jego zdaniem nie ma cienia wątpliwości, że to podpalenie.

- Doskonale - rzekł Dewitt.

Tilly jakoś dziwnie na niego spojrział.

- Mówi, że tylne skrzydło motelu jest stopione na żużel. Że ekipa Marneya z Salinas niczego tam nie znajdzie prócz popiołów.

Było wpół do trzeciej nad ranem. Dewitt ani się spostrzegł, jak minęło kilka ostatnich godzin, zdawało mu się, że wszystko trwało zaledwie parę minut.

- Doszedł nam jeszcze jeden ciekawy wątek - dodał Tilly, znów spoglądając na Dewitta, i przysunął się z krzesłem bliżej swoich rozmówców.

- Chcemy przesłuchać tego człowieka - przerwał mu Hindeman.

- Tłumaczę wam właśnie, że jest z tym pewien problem. Jak już wyjaśniałem obecnemu tu Dewittowi, tamten utrzymuje, że to Dewitt wdarł się do motelu, rozlał jakieś świństwo i spalił budynek.

- Widać, że gość ma szybki refleks - rzekł Dewitt. - Trzeba mu to przyznać.

- To nie takie proste, Dewitt - powiedział Tilly z pewnością siebie w głosie. - Mówiłeś, że on zabrał twojego zephyra, że wozu nie było w miejscu, w którym go zaparkowałeś, czy tak?

173

- No i co?

- Nasi chłopcy znaleźli wóz za kręgielnią.

- Mojego zephyra?

- To jeszcze nie wszystko. Kluczyki leżały nad schowkiem. Na tylnym siedzeniu ktoś zostawił kawałek lontu i trzy dwudziestolitrowe kanistry. Puste - dodał z naciskiem. - Potrafisz to wyjaśnić?

Dewitt gapił się przed siebie bezradnie. Zdawało mu się, że Hindeman przewierca go wzrokiem.

- Ten człowiek mówił - ciągnął Tilly - że nie zamierza uciekać przed policją, bo nie zrobił nic złego...

- Nie zatrzymaliście go? - spytał Hindeman.

- A pod jakim zarzutem mieliśmy go zatrzymać?

- Choćby usiłowania zabójstwa - wtrącił się Dewitt.

- Na jakiej podstawie?

- Tamten klucz pasował do drzwi pokoju. Facet sam przyznał, że prowadzi ten motel. Ma psa, który odpowiada opisowi. On sam pasuje do rysopisu, który dostaliśmy od Clare. To jest ten sam człowiek, którego widziałem w Akwarium. Czego nam więcej potrzeba? Jego oświadczenia?

- Czegoś, co by było dowodem dla sądu - powiedział obojętnie Tilly.

- Ależ to bzdury! - krzyknął Dewitt.

- Spokojnie, James - skarcił go Hindeman. - Kto go przesłuchuje? -zwrócił się

do Tilly'ego.

- Morn i ja. Zrozumcie, my też chcemy go mieć, ale on sobie wszystko świetnie wykalkulował. Zapewnia, że obecny tu Dewitt wynajął od niego pokój w sobotę wieczór i spotkał się z wysokim, potężnym mężczyzną, który przyjechał mustangiem. Zapamiętał samochód. Coś wam to przypomina?
- Próbuje się zabezpieczyć - powiedział Dewitt. - Wie, że go mamy.
- Postarał się, żeby wszystko, co mówi, trafiło do protokołu. W takim stanie rzeczy on jest świadkiem, Dewitt, a nie podejrzanym. Więc, jeśli widziałeś jego twarz w tym motelu...
- Już ci mówiłem, że było ciemno.
- Rozumiesz mój problem? - spytał Tilly Hindemana. - Nie mamy punktu zaczepienia.
- Nie podoba mi się to ani trochę - powiedział Dewitt w przestrzeń.
- Zatrzymaj go, Tilly - powiedział Hindeman.
- Na podstawie?
- Podejrzenia o podpalenie. Usiłowania zabójstwa. Powinno się udać potrzymać go kilka dni.
- Czy aby na pewno?
- Z całą pewnością. Odczytajcie mu Mirandę, zdejmijcie odciski palców i przekażcie je do Ramirez. Chcę się dowiedzieć, kim naprawdę jest ten człowiek.
- Mówi, że nazywa się Quill, Michael Quill. Sprawdziłem w kartotekach - powiedział Tilly. - Wcześniej nie notowany.

174

- O to mi właśnie chodzi - powiedział Hindeman.
- Zapakujcie jego rzeczy - wtrącił Dewitt - w oddzielne torby. Dajcie mu kombinezon. Traktujcie jego ubranie, jak osoby podejrzanego o morderstwo. Zabezpieczcie i przekażcie do laboratorium. I pobierzcie próbkę sierści od jego psa...
- Psa? - spytał Tilly, wzrokiem szukając wsparcia u Hindemana. Jego spojrzenie zdawało się mówić: ten facet zwariował. Dewitt potakiwał z wściekłością, nie panując już nad sobą.
- Powiedzieć ci kawał? - spytał. - Ten drań powiesił mojego psa, a teraz powiesi go jego własny pies.

Rano o dziewiątej, po dwóch godzinach snu i trzech filiżankach kawy, Dewitt siedział za biurkiem w komisariacie. Jedno co czuł, to gwałtowną tęsknotę za Emmy. Ostatni tydzień jego życia wydawał się długi jak miesiąc; Clare zdawała mu się marzeniem sennym. W wyobraźni wciąż widział mężczyznę, który mówił, że nazywa się Quill, stojącego nieruchomo w świetle pożaru z psem na smyczy u boku. Oskarżenie przeciw Quillowi sformułowano wcześniej po południu, w nadziei, że laboratorium zdąży przygotować dowody świadczące o jego związku z morderstwami. Ten rano Dewitt przesiedział jak na szpilkach. Zdawało mu się, że wszyscy oprócz niego mają coś ważnego do roboty. Usiłował napisać raport o zdarzeniach w motelu - pracował właśnie nad trzecią wersją, bo dwie poprzednie wydawały się czystą fantazją: czy ktokolwiek uwierzy, że uratowała mu życie rura kanalizacyjna? Policjanci z grupy operacyjnej pracowali w terenie. Nelson nadal rył w plikach z Vacaville.

Dewitt obawiał się, że Quill może im się wymknąć, gdyż system prawny faworyzował oskarżonego. Tylko on sam był przekonany, że ten człowiek jest uwikłany w zbrodnię. Inni bynajmniej nie byli tego tacy pewni. Wiedział, że wielu było takich Quillów, którzy pewnego dnia wyszli z aresztu śledczego oczyszczeni z zarzutów - i słuch o nich zaginął. Doprawdy, przygnębiające. Praca nad raportem posuwała się coraz wolniej.

O 10:20 zadzwonił Shilstein ze szpitala dla umysłowo chorych w Atas-cadero.

- Detektywie, według Colletta człowiek, którego pan szuka, nazywa się Michael Quinn, a nie Quill. W Vacaville opiekował się nim doktor Harold Christiansen. Przeprowadziłem z Christiansenem krótką rozmowę... oświecającą, powiedziałbym. Wierzę, że go namówiłem, żeby podzielił się z panem tym, co wie. On praktykuje w mieście. Na pana miejscu ruszyłbym tyłek i po prostu wybrał się do niego.

175

Doktor podał numer telefonu Christiansena i zakończył rozmowę stwierdzeniem:

- Ten system wideo Collette'a to prawdziwe чудо.

Dewitt zamówił błyskawiczną rozmowę z Ramirezem z Departamentu Sprawiedliwości w Sacramento, a ten, choć początkowo niechętny, zmiękł, kiedy Dewitt powiedział mu z jakim konkretnym wzorcem ma zestawić odciski rzekomego Quilla. Bezpośrednie

porównanie mógł teraz wykonać człowiek i oszczędzić pracy przeciążonemu komputerowi. Ramirez obiecał przekazać wiadomość, jeśli nie zostanie Dewitta osobiście.

W południe Dewitt wsiadł do lokalnego samolotu z Monterey do San Francisco.

- A zatem mam przed sobą osławionego detektywa Dewitta - powiedział siedzący za biurkiem doktor Harold Christiansen.

Przez znajdujące się przed nim okno Dewitt widział ocalały fragment mostu nad cieśniną Golden Gate i kilka pustych parceli w miejscach, gdzie dawniej stały domy zniszczone przez październikowe trzęsienie ziemi. Christiansen był dużym mężczyzną z przyszyżoną, szpakowatą bródką. Popatrzył na Dewitta przenikliwie i mocno uściśnął mu rękę. Ubrany był niedbale w typową konfekcję warta pewnie w sumie z tysiąc dolarów.

- Dziwnym trafem równie dobrze ja mogłem się zwrócić do pana. Wiem o panu już od dość dawna.

Wskazał Dewittowi krzesło.

- Od Quinna? - spytał detektyw.

Christiansen skinął głową, uprzejmy uśmiech powitalny ustąpił miejsca wyrazowi skupienia.

- Zobowiązałem się wobec władz stanowych zajmować bezpłatnie co ciekawszymi przypadkami. To pozwala mi utrzymywać sporą praktykę prywatną, a równocześnie robię coś dla społecznego dobra. - Uśmiechnął się serdecznie.

- Quinn został zatrzymany. Podejrzewamy, że jest poszukiwanym przez nas mordercą pozorującym samobójstwa. Jeśli może pan udzielić nam jakichś istotnych informacji...

- Nie odmówię. Z drugiej jednak strony obowiązuje mnie tajemnica zawodowa... Poufność służy dobremu celowi. Ma chronić pacjenta, kiedy ten potrzebuje ochrony. W tym przypadku jednak społeczeństwo być może bardziej potrzebuje ochrony niż mój pacjent. Jeśli jednak Quinn nie jest zdolny by funkcjonować w społeczeństwie, to nadal potrzebuje leczenia. Tak to wygląda. - Wahał się przez chwilę. - Wiem więcej o tej sprawie, niż

176

pan sądzi - powiedział z przekonaniem. - Proszę mi powiedzieć, co pan wie.

Dewitt zdał doktorowi szczegółową relację, włącznie z uzyskanym od Collette'a obrazowym opisem przeszłości szachowego partnera.

- Wie pan, że to się zgadza? Quinn jest podejrzany o pół tuzina zabójstw i gwałtów. Przypadki osób zaginionych. A skazany był tylko za zabicie kilku psów i kotów... Jest przebiegły - powiedział doktor, unosząc palec. - Z pozoru można by sądzić, że wiódł całkiem normalne życie, aż do czasu, gdy opuściła go konkubina, zabierając ze sobą ich syna. Daleko mu jednak było do normalności. Ojciec Quinna, rybak z New Bedford w stanie Massachusetts, był nałogowym alkoholikiem, regularnie bił żonę na oczach syna. Quinn uciekł z domu, mając czternaście lat. Bez przeszkód przeleciał całe Stany i dotarł nad Zatokę. W latach sześćdziesiątych brał udział w radykalnych ruchach młodzieżowych. Próbował narkotyków. Wyrzucono go ze stanowego college'u, gdzie nieźle sobie radził na kierunku hotelarskim. Przez parę lat wykonywał różne dorywcze prace. Brał udział w pijatykach. Potem przyszło na świat dziecko. To była dla niego wielka chwila. Poczucie spełnienia. A potem ona go opuściła i zabrała chłopca. Niektórzy ludzie stają się porywczy, mściwi, nawet agresywni, po takim doświadczeniu. Quinn zamknął się w sobie, tygodniami nie wychodził z ciemnego pokoju, żyjąc mieszanką narkotyków i alkoholu. W tym czasie dużo eksperymentował z halucynogenami. - Doktor przewrócił stronę. - Miał zaburzone poczucie własnej wartości. Jego przestępcza działalność zaczęła się jakieś pół roku po odejściu rodziny. Proszę pamiętać, że to co mówię, to tylko wrywkowe informacje opowiedane przez niego w trzeciej osobie, zresztą to popularna wśród psychopatów metoda unikania bezpośredniego zaangażowania, ale daje się dobrze dopasować do rejestru osób zaginionych w tym okresie.

Jak pan wspomniał, Quinn z pewnością zalicza się do traperów. Nieźle znam tę teorię i zgadzam się z nią w pełni, choć wielu psychiatrów odnosi się do niej sceptycznie. Czy Michael Quinn jest niezdolny do przelewu krwi? Nie liczylibym na to. On jest zdolny do wszystkiego. - Podniósł wzrok na Dewitta. - Widzi pan, dokonujemy klasyfikacji psychopatów, gdyż dzięki temu uzyskujemy lepszą możliwość obserwacji i diagnostyki. Quinn, będąc osobnikiem zorganizowanym, lecz nieprzystosowanym społecznie, zawsze starannie planował zabójstwa. Wywoził ciała z miejsca zbrodni. Z tego co czytałem, takie zachowanie pasuje do mordercy,

którego pan szuka. We wszystkich przypadkach samochody ofiar znikają. W pana przypadkach też tak było, o ile wiem.

Muszę się przed panem usprawiedliwić, dlaczego do tej pory milczałem. Śledziłem przebieg dochodzenia w gazetach przez cały ten tydzień. Kiedy przeczytałem o detektywie Lumbrowskim, stanąłem wobec bardzo trudnej

12 - Kluczowy dowód

177

decyzji... proszę mnie zrozumieć. Wydawało mi się nieetyczne zgłosić się samemu z informacją o Quinnie, która mogła nie mieć żadnego związku ze sprawą i naprowadzić „wygłodzone” organy śledcze na trop człowieka niewinnego... To tylko moje osobiste podejrzenia, a ja nie jestem detektywem. Kiedy jednak doktor Sbilstein zwrócił się do mnie w pana sprawie, zobaczyłem wszystko w zupełnie innym świetle. To pan do mnie przychodzi, prawda? Nie... poznaję z pana twarzy, że nie widzi pan w tym wiele sensu. - Wzruszył ramionami. -Może powinienem zadzwonić anonimowo, dać jakoś panu znać, sam nie wiem. Myślałem o tym. To są demony, z którymi muszę żyć, i często staję z nimi twarzą w twarz. Mogę być tylko wdzięczny, że dotarł pan do mnie tak szybko.

- Muszę wyjaśnić jedno, doktorze. Czy pana zdaniem, Quinn jest zdolny do popełnienia tych ostatnich morderstw udających samobójstwa?

- Jest zdolny do popełnienia morderstwa, to pewne, choć nigdy nie był skazany za morderstwo, nigdy się otwarcie do żadnego nie przyznał i nigdy nie znaleziono ciała.

- Czy mógłby pan to potwierdzić oficjalnym zeznaniem, gdyby zaszła taka konieczność?

Christiansen rozmyślał przez dłuższą chwilę, uporczywie patrząc De-wittowi w oczy.

- Zeznając jako świadek, musiałbym zachować wyjątkową ostrożność. Z pewnością jednak zgłosiłbym się, gdyby mnie wezwano. Wiem, co pana niepokoi. I domyślam się dlaczego. - Odchrząknął. -Jeśli chodzi o kopiowanie metod kogoś innego - w tym przypadku Collette'a - to w wypadku człowieka tak inteligentnego jak Quinn nie widzę żadnej trudności. Traperzy, z którymi się zetknęliśmy, nie rezygnują. Musi pan pamiętać - oni mają do dyspozycji zarówno sidła, jak doły; zarówno truciznę, jak sieć...

Przez chwilę Dewitt miał wrażenie, że Christiansen znajduje upodobanie w opisie metod zabójcy, jak człowiek, który snuje przerażające opowieści przy obozowym ognisku i obserwuje, czy udało mu się wywołać u słuchaczy dreszcz emocji.

- Traper jest nadzwyczaj cierpliwym łowcą. W Afryce są plemiona, które tygodniami mogą kopać jeden dół na tyle głęboki, by uwięzić kota -dół o tak stromych ścianach, żeby kot nie mógł wyskoczyć.

- Nie rezygnują? - spytał Dewitt. - Z czego nie rezygnują? Chce pan powiedzieć, że te zabójstwa mają jakiś cel?

- Tak. - Christiansen znów spojrział Dewittowi w oczy. - Jestem przekonany, że Quinn posłużył się metodami Collette'a dla osiągnięcia swojego konkretnego celu. Quinn nie może się wyzwolić od drzemiących w nim demonów. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że umyślowo chorzy o skłonnościach przestępczych w większości albo w ogóle nie dbają o konsekwencje swoich

178

zbrodni, albo są absolutnie pewni własnego sprytu, którym, jak wierzą, przewyższają ludzi próbujących ich schwytać. Oczywiście mam na myśli świadomość sprawców. Jeśli chodzi o podświadomość, tutaj niczego nie możemy uogólniać.

Często słyszymy, że pacjent rozumiał zbrodniczość swego czynu, ale był niezdolny do kierowania własnym postępowaniem. Nic takiego nie zachodzi u Michaela Quinna - on bardzo dobrze zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

Dewitt zastanawiał się, nie przerywając ciężkiego milczenia. Czy rzeczywiście od kilku strzępków wykładziny poprzez stosy dowodów i zeznań dotarł do ustalenia tożsamości zabójcy? Poczul przypływ dumy przyprowadzający o zawrót głowy. Uczucie triumfu było o wiele potężniejsze niż to, którego doświadczał będąc ekspertem sądowym. Stwierdził, że praca detektywa wciąga go jak narkotyk. To było jak podniesienie batuty i podanie pierwszego taktu orkiestrze.

- On zabił moją córkę - odezwał się wreszcie Dewitt. Christiansen odrzekł prawie niedosłyszalnym szeptem:

- Bardzo mi przykro. Jego nienawiść sięga bardzo głęboko. Mogę podzielić się z panem moją teorią, lecz muszę ostrzec, że to tylko hipoteza. W gruncie rzeczy coś więcej niż hipoteza. Może pan to nazwać ekstrapolacją profesjonalisty.

Proszę nie oczekiwać, że publicznie przyznam się do tego poglądu.

- Zgoda.

Odcchrząknął, skubnął brodę i zaczął mówić.

- Po pierwsze, muszę panu przedstawić kilka faktów, o których oczywiście nic pan nie wie, a które są podstawą mojej ekstrapolacji. Żona Michaela, Patty, odchodząc zabrała ze sobą dziecko, o czym już zresztą mówiłem. Ona również swoje najważniejsze, miała słabo rozwinięte poczucie macierzyńskiej odpowiedzialności za los dziecka. Nie chcąc pozostawić syna z ojcem, oddała dziecko siostrze. Jak na ironię, jej siostra była w jeszcze gorszej kondycji psychicznej, niż ona sama. Powiedziałbym, że dzieciak wpadł z deszczu pod rynnę. Owa siostra wykorzystywała go seksualnie, znęcała się nad chłopcem fizycznie i moralnie. Gdy miał niewiele ponad dziesięć lat, sprzedawała jego usługi homoseksualistom, zarabiając w ten sposób na narkotyki. Minęło ponad dziesięć lat, zanim Quinn w końcu wytropił miejsce pobytu syna. Jego mentalność trapera wstrzymywała go przed bezpośrednią konfrontacją. Obserwował chłopca i odkrył, jak się sprawy przedstawiają. Ogarnięty wściekłością i przytłoczony ciężarem winy, że wcześniej nie przyszedł dziecku na ratunek, postanowił ukarać jego opiekunkę. Pewnego wieczoru wywabił chłopca z mieszkania pod pozorem, że wygrał bilet wolnego wstępu dla dwóch osób do miejscowego teatru. W wieczór przedstawienia, upewniwszy się, że szwagierka śpi głęboko, sama w pustym mieszkaniu, Quinn podpalił

179

budynek, wskutek czego zginęła w pożarze. W realizacji swego planu Quinn napotkał dwie przeszkody - ciągnął doktor - w osobach Howarda Lumbrowskiego i Jamesa Dewitta. Jego syn został aresztowany za podpalenie i zabójstwo swej „matki”. Nie nosił bowiem własnego nazwiska, lecz jej. Nazywał się Steven Miller.

Dewitt nie poruszył się. Nie odezwał się słowem.

- Kiedy trafił do mnie jako pacjent, mówię o Quinnie, był w stanie depresji i zdradzał skłonności samobójcze. Było to tuż po śmierci jego syna. W końcu, to on był podpalaczem i mordercą, a nie syn. Przeświadczenie o winie okazało się dla niego zbyt wielkim ciężarem. Stracił jedyną osobę, która była mu droga, i był za to odpowiedzialny. W czasie pobytu w zakładzie psychiatrycznym trzykrotnie próbował się zabić. I nagle, pewnego dnia, jego obsesja samobójcza ustąpiła. Teraz wiem, że zbiegło się to w czasie z przewiezieniem do nas Harveya Collette'a. Wówczas jednak nie miałem o tym pojęcia. Jako specjalista obserwowałem tylko uderzającą zmianę w psychice mojego pacjenta. Znowu nabrał ochoty do życia. Przestał myśleć o samobójstwie. Pozwoliłem sobie uwierzyć, że udało mi się mu pomóc. Uwierzyłem, że to moja kuracja wyciągnęła go z depresji. Ale jest też inna możliwość. Dla psychiatry nigdy nie jest za późno na naukę. Przypuśćmy, że Michaela Quinna ożywiła tylko jedna myśl: chciał pomścić śmierć syna. Powiedzmy, że tą myślą natchnął go Harvey Collette. Pragnienie zemsty stanowi potężną motywację, z pewnością wystarczającą, żeby spowodować w człowieku nagłą zmianę psychiczną i odwrócić jego myśli od planów samobójczych. Quinn myślał o dwóch osobach: o Howar-dzie Lumbrowskim, bo to on aresztował Stevena, i o panu, bo pan go zabił. W gruncie rzeczy, zwrócił się przeciwko trzem ludziom, ponieważ nie mam wątpliwości, że sobie też nie wybaczył. Nadal jest typem samobójczym. Jego marzenia o zemście mogły najwyżej spowodować odwleczenie ostatecznej decyzji we własnej sprawie.

- Pan twierdzi, że zabił dwóch pierwszych, Osbourne'a i McDuffa bez żadnego powodu?

- Bez powodu? To panu się tak wydaje. Michael Quinn jest złożoną indywidualnością, zdolną do snucia wyrafinowanych planów. Premedytacja leży u podłoża wszystkich jego czynów: traper musi być przygotowany na każdą ewentualność, również na to, że schwyta nie tę zwierzynę, której się spodziewał. Kto wie, co się złapie? Prawda? Nigdy nie wiadomo, co zamierza Michael Quinn. Jeśli mam słusność, to przy życiu trzyma go tylko myśl o zemście: nie można jednak przewidzieć, jakie podejmie kroki. W każdej chwili może zmienić taktykę, a nawet zmienić osobowość. Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli mam rację, to pan, detektywie, jest następny na jego liście. I ostatni. A im bardziej Quinn zbliża się do finału, tym większe podejmie ryzyko. Proszę pamiętać, że wszystko, co mówię, to tylko spekulacje. Można by to określić jako zgadywanie oparte na naukowych podstawach.

Dewitt nic nie powiedział. Siedział nieruchomo. Strach wzbierał w nim, jak rzeka zagrodzona tamą. Wreszcie uklonił się, wstał, podał doktorowi rękę i wyszedł bez słowa z gabinetu.

Dewitt znajdował się na pokładzie samolotu dokładnie w tym samym czasie, gdy Michael Quinn został oskarżony o zamordowanie Lumbrowskiego. Wyniki badań laboratoryjnych Clare O'Daly, podczas których porównano próbkę psiej sierści pobraną od psa Quinna z sierścią znaną we wszystkich trzech miejscach zbrodni, zostały natychmiast przekazane z biurka Carla Cappa na biurko prokuratora okręgowego Billa Saffeletiego. Ten zaś, powołując się na orzeczenie z laboratorium oraz dowód w postaci klucza od pokoju, uległ naciskowi opinii publicznej i sformułował akt oskarżenia. Zgodnie z prawem stanowym, wstępne przesłuchanie świadków w sprawie Quinna powinno się odbyć w ciągu czternastu dni od jego zatrzymania. Chociaż istniały rozliczne sposoby obejścia tego rodzaju przepisów, Saffeleti wolał z nich nie korzystać. Chciał jak najszybciej doprowadzić do rozprawy: skorzystać z obowiązujących terminów, żeby postawić Quinna przed sądem właśnie teraz, gdy sprawa była jeszcze świeża. Potem można będzie miesiącami przygotowywać mocniejsze dowody. Za swój najistotniejszy atut prokurator uważał klucz od pokoju numer 12. Po cóż Lumbrowski miałby go połykać? Było oczywiste, że w swoim testamencie chciał wskazać miejsce zbrodni. Dowody śladowe w pierwszych dwóch morderstwach były pożytecznymi wskazówkami, lecz miały charakter poszlakowy i Saffeleti był zdania, że nie warto występować na ich podstawie z więcej niż jednym oskarżeniem. Jeśli wygrają sprawę Lumbrowskiego, wróć po więcej, jak dziecko po dodatkę urodzinowego tortu. Dewitt oddawał się pijaństwu od szóstej do jedenastej wieczorem, kiedy to obaj z Clarence'em byli zmuszeni zgodzić się na odwiezienie do doliny przez Clare O'Daly, która wprawdzie przyłączyła się do nich na krótko, lecz prawie nie piła, czując się nieswojo w towarzystwie dwóch pijanych mężczyzn. Odstawiła Dewitta do domu, pomogła mu wejść i położyć się, lecz odrzuciła zaproszenie. Pograżył się w głębokim śnie kilka minut po tym, jak ułożyła go w jego własnym łóżku. Ona zaś bezpiecznie wróciła do siebie.

10

Przygotowanie

W czwartek, dziewiętnastego stycznia,

Dewitt obudził się o dziewiątej i po chwili znów zasnął. Do południa zdażył wziąć prysznic i wypić dwie kawy. Resztę popołudnia i wieczór spędził samotnie, wypełniając formularze, których jakoś nie chciało ubywać. Koniecznie należało coś zrobić z tą biurokracją. Może komputery byłyby jakimś rozwiązaniem, lub nowe przepisy, lub zasobniejsze kieszenie - zmiany w tym systemie były w każdym razie konieczne. Policjantów było zdecydowanie za mało, żeby jedną trzecią ich czasu mogło zajmować wypełnianie papierków w trzech identycznych egzemplarzach.

Wieczorem zadzwonił zastępca prokuratora okręgowego Saffeletiego z wiadomością, że wstępne przesłuchanie w sprawie Quinna wyznaczono na czwartek dwudziestego szóstego. O siódmej Dewitt zadzwonił do swej matki w Shawnee Mission, Kansas. Kazał Emmy wracać do domu. Następnego dnia po południu przywiózł córkę z lotniska i od tegowieczoru telefon zaczął urywać się jak przed tygodniem. Życie wróciło do normy. Dewitt poczuł się znacznie lepiej.

Kilka następnych dni spędził na kursowaniu między komisariatem, laboratorium w Salinas i gmachem sądu hrabstwa Monterey, gdyż gorliwy prokurator okręgowy wciąż ich przepytывał - jego i Clare, jakby byh' uczniami przygotowującymi się do matury. Saffeleti wyraźnie nie był zadowolony z natury dowodów i braku doświadczenia dwojga głównych świadków oskarżenia. W miarę zbliżania się krytycznego czwartku Dewitt coraz wyraźniej wyczuwał, że Saffeleti wcale nie jest pewny wygrania sprawy, i jeszcze raz miał okazję się przekonać, jak różny jest stosunek do

182

dowodów kryminalistycznych specjalistów i laików. Paradoksalne, że bardziej ufali specjalistycznym dowodom naiwni sędziowie przysięgli niż doświadczony sędzia-profesjonalista. Przesłuchanie wstępne miało się odbywać przed sędzią, którym był Alberto Danieli, znany z przestrzegania procedury i trzymania w cudglach sali rozpraw.

W niedzielę wieczorem prokurator okręgowy poprosił Dewitta, żeby spotkali się na rogu ulicy w Monterey, w jakimś zupełnie bezsensownym miejscu. Wilgotne powietrze pachniało przyjemnie solą, dzień był chłodny. Saffeleti od razu

zaintrygował go swym zachowaniem: zastukał do okna zephyra, potrząsnął kędzierzawą głową i wyrzucił z siebie propozycję:

- Chodź się przejść.
- O co ci chodzi? - spytał Dewitt, gdy w milczeniu szli wzdłuż domów.
- Chciałem, żeby to nie wypadło oficjalnie. Kapujesz? Jeśli o mnie chodzi, gdyby ktoś mnie kiedyś spytał o nasze spotkanie - choć mam nadzieję, że tak się nie stanie - to spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy. Kapujesz? - spytał retorycznie.

- Ale po co ta cała historia płaszczka i szpady?

- Zrozumiałeś?

Nie chciało się wierzyć, że Saffeleti pełnił ważną funkcją publiczną. Wyglądał raczej na bohatera popularnego serialu telewizyjnego.

- Zrozumiałem.

- Chcę się dowiedzieć, co się tu u licha wyrabia.

- To znaczy?

- To ja ciebie pytam.

- Mów po ludzku, Bili.

- Nie zaczynaj ze mną, James. Nie jestem w odpowiednim nastroju.

- Jeśli jesteśmy przy nastrojach, to ja też ci coś powiem. Za każdym razem, kiedy przynoszę twoim ludziom jakiś dowód, każą go godzinami opisywać, jakby miał z tego powstać tom jakiegoś cholernego reportażu. Przydałoby się, Bili, żeby twoi ludzie nauczyli się czytać raporty kryminali-styczne. To się przydaje w śledztwach policyjnych, możesz mi wierzyć.

- Niektórzy moi ludzie są nowi.

- Mów, o co chodzi.

- Chcę wiedzieć, co się tu wyrabia - powtórzył Saffeleti nieco cieplejszym tonem.

- A co niby ma się wyrabiać?

- Przy tym rodzaju pracy, z jakim obaj mamy do czynienia, każdy z nas ma jakieś osobiste nastawienie do sprawy. Czasem opierasz się na tym, co jakaś osoba ci powie wprost, czasem na tym, czego ci nie powie, czasem na tym, że twój przeciwnik nie reaguje tak, jak twoim zdaniem powinien. Nie chcę powiedzieć, że kieruję się przeczuciami... to nie tak. Jak chcesz, możesz to nazwać szóstym zmysłem. I ja go mam, James. Dlatego pięć razy częściej wygrywam sprawy, niż przegrywam. Pewnie, że w jakiejś

183

mierze polega to na wyborze tych właściwych, ale czym się u Echa kieruję? Mój szósty zmysł mi mówi, które są do wygrania.

Skręcili w boczną ulicę. Saffeleti wskazywał kierunek, lecz z jego wahania na skrzyżowaniach Dewitt wnioskował, że chodzą bez celu. Prokurator okręgowy chciał zyskać na czasie.

- Poproszono cię, żebyś opisywał dokładnie swoje raporty kryminali-styczne, bo chciałem zobaczyć to wszystko czarno na białym... żeby moi ludzie zobaczyli to czarno na białym. Te przekłete przesłuchania wstępne są ciężkie w takich przypadkach jak ten: jest bardzo mało czasu, żeby się dobrze przygotować, a jeśli spieszymy sprawę, będziemy musieli na nowo wnosić oskarżenie lub całkiem zrezygnować. A to znaczy, że każdy powinien wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Sędziowie widzieli w swojej praktyce setki raportów kryminalistycznych. Tylko że to wcale nie znaczy, że rozumieją je lepiej ode mnie i moich pracowników. Dobrze by było, gdybyśmy przygotowali zestawienie, wyjaśniające te raporty, wiążące dowody w łańcuszek, pokazujące sądowi, jakim sposobem, u diabła, doszedłeś od zwłok na parkingu i kilku włókien wykładziny do pokoju numer 12 w tamtym motelu.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu, czekając na zmianę światła. Gdy znaleźli się po drugiej stronie, Saffeleti wrócił do swego tematu.

- Najbardziej mnie martwi, że najwidoczniej straciliśmy wszelkie szansę na związanie Quinna z Millerem. Wyjaśnienia Christiansena sąd uzna za pogłoskę. Jeśli nawet istnieje akt urodzenia, moi ludzie nie mogą go znaleźć. Stawiam dziesięć do jednego, że ta kobieta urodziła dziecko we własnym domu. Nie zapominaj, że to były lata sześćdziesiąte. Ludzie byli niezbyt skorzy do dopełniania takich formalności, jak sporządzenie aktu urodzenia. Do diabła, Quinn nawet nie składał wówczas zeznań podatkowych. Nie możemy wykazać, że miał wtedy dwie osoby na utrzymaniu. Spróbujemy wykorzystać świadectwo Christiansena - przynajmniej zasiejemy wątpliwość w umyśle Danielego, ale jego obowiązkiem

jest zaprotestować przeciw takim dowodom. Ciągłe jeszcze jest szansa wytropienia tej żony Quinna lub innych świadków, ale jeszcze nie na rozprawę wstępną. Dopiero na proces.

- Tylko że do procesu nie dojdzie, jeśli nie wygramy na rozprawie wstępnej - powiedział Dewitt i ugryzł się w język. Oczywiście prokurator okręgowy wiedział o tym doskonale.

Saffeleti nie odzywał się przez chwilę. Gdy wreszcie przemówił, zdawało się, że usiłuje pohamować gniew.

- Tak więc za niecały tydzień czeka nas przesłuchanie wstępne.

- No tak - potwierdził Dewitt, żeby przerwać niezręczną ciszę.

- A tu nagle pewna ptaszyna wyćwierkała mi nad uchem coś takiego, że się poczułem, jakby mnie żelazem przypiekli.

- Cóż to za ptaszyna?

- Taka jedna Srocзка-Skoczka. Czy to ważne?

184

- Ważne.

- Nie, Dewitt. Ważne jest to, co moja ptaszyna wyśpiewała. Otóż usłyszałem, że obrona zamówiła badanie typu DNA tych próbek psiej sierści. Co gorsza, usłyszałem, że komputery Ramireza doczepiły nazwisko do rolki taśmy z samochodu Lumbrowskiego i że wobec tego powołano specjalny sąd przysięgłych. To oznacza traktowanie sprawy jako poufnej, i bardzo jestem ciekaw, dlaczego.

- Nie widzę powodu, żeby się martwić testem DNA. Przypomnij sobie, że oboje z Clare to właśnie proponowaliśmy. No, ale miałeś rację - testy są kosztowne, a psia sierść jeszcze nigdy nie służyła za dowód w sądzie. Jak im się poszczęści, zrobią za nas robotę i znajdą coś, czego wcale nie mieli zamiaru szukać. Jakim jednak cudem było ich na to stać, a nas nie?

- Nie mam pojęcia.

- Komu zlecieli testy?

- Laboratorium Harta.

- Ach, więc to tak - rzekł Dewitt. - Hart wie co robi. Przypuśćmy, że przy najbliższej reformie systemu prawnego uchwalimy założenie bazy DNA wszystkich przestępców, jakiegoś odpowiednika naszej bazy dak-tyloskopijnej. Wyobrażasz sobie, ile byłby wart taki kontrakt? Oznaczenie typu DNA u wszystkich skazanych w Kalifornii? Jezu! Hart mógł zadeklarować, że to badanie sierści zrobi im za darmo. Ta sprawa jest bardzo głośna. A on doskonale wie, ile jest warta reklama. Jeśli laboratoria Harta wyrobiją sobie markę w badaniach kodu genetycznego, będą się mogły ubiegać o udział w takim kontrakcie. Jedno jest pewne, doktor Frederick Hart dobrze wie, gdzie leżą pieniądze.

- Nie podoba mi się niezależne badanie wszystkich naszych dowodów. Czy nasi ludzie nie są dostatecznie kompetentni?

- Nie rozumiem cię, Bili. Dlaczego tak się przejmujesz? Czy nie mówiłeś o Sibelu, że to idealny obrońca dla nas na rozprawę wstępną. Przypuszczałeś, że nie będzie w zasadzie występował przeciwko nam na wstępnym przesłuchaniu i skoncentruje się na samym procesie... Zresztą niewielu chyba adwokatów walczy na przesłuchaniu wstępnym, zwłaszcza jeśli przeciwnikiem jest sam prokurator okręgowy?

- O Sibelu? Na jakim ty świecie żyjesz? Sibel ma złamaną szczękę. Wczoraj po południu dostał w szczękę piłką tenisową... ma chodzić z zadrutowaną gębą przez sześć tygodni i wysysać obiad przez słomkę. To nie Sibela mamy za przeciwnika, tylko tę Mahoney. A ona już da nam do wiatu na przesłuchaniu. Zwali nas z nóg i nawet nie zauważymy. Trzeba przyznać, że ta puszczalska jest piekielnie dobrym obrońcą. Ostatnio poczyna sobie z nami, jak chce. Nie podoba mi się, Dewitt, że będę miał z nią do czynienia. Pobiła obu moich asystentów w sprawach, które wydawały się bezproblemowe. Z Sibelem to byłoby zupełnie co innego; że też musiał grać akurat w tym tygodniu!

- Jest gorzej niż przypuszczasz - powiedział Dewitt.

185

- Jak to?

- Ostatnimi czasy nie jesteśmy z Lealą Mahoney w najlepszych stosunkach.

- To znaczy?

- Zaczęła mnie podrywać w czasie przesłuchania Wooda, a ja spasowa-łem. Jeszcze gorzej. Nagadałem jej, co myślę o jej gierkach. Ja tu próbuję wydusić coś z Wooda, a ta mi zaczyna odsłaniać swoje wdzięki. Nie byłem w odpowiednim nastroju.

- Coraz lepiej! - warknął Saffeleti.
- A o co chodzi z tym sądem przysięgłych? Chcesz, żebym spytał Ramireza? Przyjaźnimy się.
- No dobrze, James. Należy ci się to ode mnie. Wprawdzie to tylko pogłoska, ale zdaje się dość wiarygodna. - Zawahał się. - Gdzie usłyszałem, że niecałe dwie godziny temu wydano nakaz przeszukania twojego mieszkania.
- Mojego mieszkania? Z czyjego polecenia?
- Biura prokuratora generalnego, z tego co słyszałem.
- I ten sąd przysięgłych...
- To plotki, James. Tyle różnych plotek krąży po mieście.
- Biuro prokuratora generalnego wydaje nakaz przeszukania mojego domu, a ty to nazywasz plotką? O co im, do diabła, chodzi?
- To wszystko plotki, nic więcej. Nic dziwnego, że przy okazji takiej sprawy jak ta miasto huczy od plotek.
- Nie, ludzie by tego nie wymyślili. Biuro prokuratora generalnego musi mieć cholernie dobre uzasadnienie, żeby uzyskać nakaz przeszukania. Dobrze o tym wiesz.
- Przypuszczam, że twoje stosunki z Lumbrowskim wzbudziły pewne wątpliwości. Zażądali wszczęcia śledztwa. Wątpię, żeby mieli coś przeciwko tobie. Przed wyborami takie rozgrywki są na porządku dziennym. Dewitt chciał powiedzieć Saffeletiemu o incydencie z Lumbrowskim na przednim siedzeniu mustanga, ale zawahał się. Obawiał się, że prokurator wpadnie w panikę i wycofa oskarżenie. Nikt ich przecież nie widział. Gdyby o tym wspomniał, niepotrzebnie tylko wszystko by skomplikował. Dewitt rozmyślnie pominął w raporcie całą awanturę. Teraz mogą go spytać, dlaczego. Miał odpowiedź - nie komplikować sprawy. Wiedział, że manipuluje prawem wtaki sam sposób, w jaki robili to ludzie tacy jak Lumbrowski. Naginanie okoliczności - tak to należało zakwalifikować. Wdał się w konszachy z Jessie Osbourne, ukrył informację, która uznał za nieistotną... Ogarnął go wstyd. Czyżby był drugim Lumbrowskim, tyle że w ubraniu khaki i w muszce? Kusiło go, żeby skłamać. Usłyszał własny głos, jakby przysłuchiwał się sobie z boku:
- Kiedy Lumbrowski doprowadził wóz do porządku, straciłem materiał dowodowy, świadczący, że moja obecność tam była uzasadniona. Zaczynało to wyglądać, jakbym śledził Lumbrowskiego z pobudek osobistych.

186

- O czym ty mówisz? - Saffeleti przystanął zdumiony.
- O wieczorze w barze „Pod Podkową” - odrzekł Dewitt.
- Już o tym mówiliśmy. Pokłóciliście się, i co z tego?
- Pokłóciliśmy się w barze. A przed barem się pobiliśmy. Lumbrowski mnie przyłapał, jak przeszukiwałem jego wóz, i dał mi wycisk.
- Chryste miłosierny! I ty w ogóle nie wspomniałeś o tym w raporcie?
- Musiałbym oskarżyć go o zamach na funkcjonariusza. Nie chciałem wtedy tego robić. Chciałem uniknąć dodatkowych komplikacji. Saffeleti poszukał wzrokiem oczu Dewitta. Zacisnął mocniej plisowany krawat, który wiatr wyrywał mu spod ubrania. Skinął głową. Dewitt poczuł ulgę. Saffeleti mu wierzył. Był oczywiście zirytowany, ale najwidoczniej zrozumiał.
- To mać sprawę - podjął Saffeleti.
- Pewnie wykryli jakieś ślady w samochodzie - zawahał się Dewitt. - Szukają czegoś więcej u mnie w domu. - Zdawało mu się, że słyszy myśli Saffeletiego; wciąż patrzyli sobie w oczy.
- Aha. Posłużą się Hartem, który jest ich biegłym, żeby cię zagał. Ale to autor podręczników. Dam sobie z nim radę. Możesz mi wierzyć, albo nie, James, ale to nawet nieźle się składa: zaczynam się orientować, jaka będzie linia obrony. Co mogą mieć przeciwko tobie?
- Najwyżej jakiś śladowy odcisk palca. Nic godnego uwagi. Byłem w wozie tylko przez kilka sekund.
- Nie będzie już więcej niespodzianek? - spytał Saffeleti.
- Słowo daję, Bili, nie spodziewam się niczego więcej.
- Dam sobie radę - zapewnił go prokurator. - Nie jest z nami tak źle.
- Cokolwiek powiesz, może być...
- Ubierz się przyzwoicie, James, żebyś jakoś wyglądał w sądzie. Nie sprawiaj wrażenia etatowego profesora. - Saffeleti poklepał Dewitta po ramieniu, odwrócił się i odszedł.

Po powrocie do domu Dewitt zastał przyczepiony do drzwi frontowych nakaz przeszukania, które przeprowadziło biuro szeryfa hrabstwa Monterey na zlecenie biura prokuratora generalnego. Dewitt uczył, że padł ofiarą gwałtu, że został zdradzony przez swoich. Nachmurzył się. Czy nie będzie już więcej niespodzianek! Czego, u diabła, chcieli go pozbawić? Posady? Czy może reputacji? Zabrał Emmy na hamburgera, lecz rozmowa jakoś im się nie kleiła i całą drogę do domu przebyli w milczeniu.

Nie próbował liczyć baranów ani też gwiazd. Prawie całą noc przeleżał złany zimnym potem, rzucony na pastwę szalejącej wyobraźni.

11

Przesłuchanie wstępne

Gdy Dewitt wchodził do sali sądu

hrabstwa Monterey w Salinas w czwartek, 26 stycznia rano, Leala Mahoney stała przy stole obrony i czytała jakiś dokument, który wyjęła z teczki z aktami.

Zielonooka, długonoga pani mecenas sprawiała wrażenie osoby uczonej i wysoce kompetentnej - ubrana w dopasowany, szary kostium, elegancką lnianą bluzkę, śnieżnobiałe pończochy obciskające zgrabne, mocne łydki, do tego czarne, błyszczące włoskie pantofelki. Żółty ołówek wetknięty za prawe ucho stanowił miły akcent w stylu guwernantki. Paznokcie miała pomalowane na jaskrawoczerwony kolor, tak samo jak wyraźnie wilgotne usta. Krótko mówiąc - postrach sędziów.

Dewitt podszedł do dwu stołów, żeby zostawić dla Saffeletiego plik formularzy, które zdążył wypełnić w ostatniej chwili.

- Witam pana, panie Dewitt.

- Witam panią, pani Mahoney.

- Czy nakaz przeszukania został panu doręczony zgodnie z procedurą? Przyjrzał jej się uważniej - w jej głosie brzmiała pogarda.

- Tak. To pani sprawka? - nie mógł się powstrzymać od pytania.

- To się wkrótce okaże, Dewitt. - Wzruszyła ramionami. - Zdawało mi się, że słynie pan z cierpliwości.

Odszedł od stołu prokuratora i zajął miejsce na galerii w ławach przypominających kościelne stalle. Nelson pojawił się kilka minut później, tuż za nim Clare, doktor Frederick Hart i liczni reporterzy.

Capp, Manin Wood, Peter Tilly, doktor Harold Christiansen, Hector Ramirez i na samym końcu kilku mundurowych.

Sala wyglądała jak fotografia reklamująca wykładziny ścienne i wyciszające płytki sufitowe. Dywan miał nieokreślony brązowoszary odcień, po dwie flagi tkwiły sztywno po obu stronach podium dla sędziego. Na frontowej ścianie widniała pieczęć stanowa Kalifornii. Obok ławy świadków rozpięto na sztalugach wielki arkusz czystego papieru.

Wprowadzono Quinna, ubranego w pomarańczowy kombinezon, który to ubiór władze zafundowały wszystkim więźniom. Usadowiono oskarżonego obok Leali Mahoney po jej lewej ręce.

- Proszę wstać, Sąd idzie! - zawołał woźny głębokim basem.

Sędzia Alberto Danieli był mężczyzną trochę po czterdziestce, o ciemnych włosach lekko przyprószonej siwizną, wydatnym rzymskim nosie i wychudłych policzkach.

Nawet w draperiach obszernej, czarnej togi wyglądał niepozornie.

Saffeleti za to przedstawiał się imponująco w ciemnym garniturze w drobne prążki i koszuli z kołnierzykiem spiętym szpilką. Do tego miał patriotyczny czerwono-biało-granatowy krawat. Słysząc było jednostajny szum sufitowych wentylatorów.

Dewitt zapatrzył się na otwór wentylacyjny, wyobrażając sobie Quinna

uśmiercającego swe ofiary. Nerwowo zacisnął pięści.

Clare ubrała się w klasyczny, granatowy kostium, ciemne pończochy i lakierki na wysokich obcasach. Nosiła przesadnie duże okulary w ciemnej oprawce. Można było ją wziąć za prokuratora. Miała ze sobą ciężką teczkę, która spoczywała na podłodze u jej stóp. W lewej ręce miętoszyła małą chusteczkę. Żadnej biżuterii, z wyjątkiem małych, złotych guziczków w uszach.

Głosem o metalicznym brzmieniu, który w ciszy sali sądowej wydawał się podniesiony, Danieli oznajmił:

- Przedmiotem posiedzenia Sądu jest przesłuchanie wstępne w sprawie 13.9.17., zatytułowanej: Stan Kalifornia przeciw Michaelowi Quinnowi. Czy tak brzmi pana nazwisko?

- Tak, proszę Wysokiego Sądu.

- Czy obrona ma coś do powiedzenia?

- Obrona jest gotowa, Wysoki Sądzie - powiedziała Leala Mahoney.
- Czy obrona życzy sobie dopełnienia formalności odczytania aktu oskarżenia, czy też zgadza się z tego zrezygnować?
- Zgadza się zrezygnować. Życzyłabym sobie jednak, żeby usunięto świadków z sali rozpraw.
- Sąd się przychyła.
- Wysoki Sądzie - odezwał się Saffeleti - oskarżenie powołuje Jamesa Dewitta do pomocy jako oficera śledczego.
- Dobrze - zgodził się Danieli. - Detektywie Dewitt, proszę zająć miejsce przy stole obok pana Saffeletiego. Pozostali świadkowie, będą musieli opuścić salę sądu. Będą wzywani do składania zeznań. Dziękuję.

188

189

Nastąpiło spore zamieszanie, gdy w ciągu kilku następnych minut protokolant odczytywał nazwiska i świadkowie, nie wyłączając Clare, opuszczali salę. Gdy wreszcie można było przystąpić do przesłuchania wstępnego, na galerii znajdowała się tylko grupka ciekawskich, kilku reporterów i dwóch rysowników.

- Oskarżenie może wezwać swego pierwszego świadka.
- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Gdyby urzędnik oznakował przedtem kilka eksponatów, sądzę, że oszczędziłoby to nam trochę czasu. Zajęło to kilka minut.

- Oskarżenie wzywa na świadka detektywa sierżanta Jamesa Dewitta. Wezwany wstał, obciągnął koszulę i poprawił krawat.

Po zaprzysiężeniu Dewitt zajął miejsce na ławie świadków, dobrze mu znane z czasów pracy w laboratorium. Saffeleti zbliżył się do niego. Rozpoczęło się przesłuchanie pierwszego świadka oskarżenia.

PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OSKARŻENIA JAMESA DEWITTA PRZEZ PROKURATORA, SAFFELETIEGO:

Saffeleti: Proszę podać swoje nazwisko do protokołu.

Dewitt: James Dewitt.

P.: Jakie jest pana zajęcie?

Ś.: Pracuję jako oficer śledczy w komisariacie policji Carmel.

P.: Jakie są pana obowiązki jako oficera śledczego?

Ś.: Prowadzę śledztwa we wszystkich sprawach poważniejszych niż naruszenie zasad ruchu drogowego, zdarzających się w miejscowości Car-mel-by-the-Sea.

P.: Wszystkich przestępstw?

Ś.: Jestem jedynym detektywem w Carmel.

P.: Od ilu lat pracuje pan w wymiarze sprawiedliwości?

Ś.: Około piętnastu.

P.: Jako detektyw?

Ś.: Nie. Wiele lat temu, dość krótko, byłem patrolowym, potem ekspertem kryminalistycznym, a później dyrektorem Laboratorium Kryminalis-tycznego Departamentu Sprawiedliwości w Salinas.

P.: Detektywie Dewitt, czy przeszedł pan jakieś specjalistyczne przeszkolenie w zakresie prawa karnego i kryminalistyki?

Ś.: Tak, przeszedłem.

P.: Czy zechciałby pan opisać Sądowi, jaką odbył pan praktykę, jakie przeszedł szkolenie?

S.: Uczęszczałem do Państwowej Akademii FBI w Quantico w stanie Virginia. Uczęszczałem również na seminaria szkoleniowe prowadzone przez Departament Sprawiedliwości stanu Kalifornia.

P.: Ile trwał ten kurs FBI, na który pan uczęszczał?

190

Ś.: Jeden kwartał... to znaczy jeden semestr college'u. Otrzymałem też dyplom ze specjalności kryminalistyka.

P.: Jakie przedmioty wchodziły w zakres tego kursu FBI?

Ś.: Wszystkie przedmioty związane ze zbieraniem dowodów i ich analizowaniem: od chromatografii do biochemii.

P.: Detektywie Dewitt, chciałbym, żeby wrócił pan pamięcią do dziesiątego stycznia tego roku, do godziny szóstej z minutami rano. Czy był pan na służbie?

Ś.: Tak. Otrzymałem wezwanie na miejsce przestępstwa. Znalaziono zwłoki.

P.: Czy wezwanie dotyczyło zabójstwa?

Ś.: Nie. Wówczas uważano, że to samobójstwo.

Saffeleti wypytał Dewitta o zbieranie dowodów z obu miejsc przestępstwa, w

przypadku Osbourne'a i McDuffa. Detektyw szczegółowo wyjaśnił, jak brak piasku na podeszwach butów Osbourne'a dał początek śledztwu, które w końcu doprowadziło ich do przyczepy Marana Wooda.

P.: Czy był to nakaz przeszukania za dnia czy w nocy?

Ś.: To był nakaz przeszukania za dnia.

P.: Kto asystował przy przeszukaniu?

Ś.: Główną osobą asystującą był detektyw Peter Tilly z komisariatu policji w Seaside.

P.: Na czym polegały pana zadania podczas tego przeszukania?

S.: Moim głównym zadaniem było doręczenie nakazu przeszukania, nadzorowanie samej procedury i zabezpieczenie dowodów... Potem ocena przydatności materiału dowodowego, zbadanie go, zabezpieczenie i sporządzenie dokumentacji.

P.: Co zostało przeszukane?

Ś.: Miejsce stałego zamieszkania Marvinina Wooda.

P.: Czy odkryliście bądź też zlokalizowali jakieś przedmioty, stanowiące -przypuszczalnie lub na pewno - mienie skradzione?

Ś.: Tak. Stereo samochodowe odpowiadające opisowi sprzętu ukradzonego z ciężarówki McDuffa.

P.: Gdzie się znajdowało?

Ś.: W tekturowym pudle stojącym przy grzejniku do wody. Było tam więcej urządzeń, prawdopodobnie skradzionych.

P.: Czy następnie przesłuchał pan podejrzanego Wooda?

Ś.: Tak.

P.: A czy Wood scharakteryzował miejsce, z którego mógł ukraść ten magnetofon?

Ś.: Tak.

P.: I jakie to było miejsce?

191

I

Ś.: Wyjaśnił, że ukradł magnetofon z pojazdu parkującego przed jakimś motelem. Saffeleti zadawał kolejne pytania - dotyczyły następujących po sobie etapów śledztwa: wykrycie sklepu sprzedającego pleksiglas, identyfikacja roweru, który zostawiał ślady na miejscach zbrodni, dotarcie do Harveya Collette'a, zabójstwo Howarda Lumbrowskiego.

P.: Czy w raporcie lekarza sądowego wspomina się o jakimś niezwykłym dowodzie?

S.: Tak.

P.: O jaki dowód chodzi?

Ś.: Klucz. Klucz od pokoju motelowego.

P.: Czy ten klucz wskazywał jakąś konkretną lokalizację?

Ś.: Nie, nie sam klucz. Dowody śladowe w zestawieniu z oświadczeniem Wooda pozwoliły nam określić ogólnie obszar poszukiwań. Zorganizowano grupę operacyjną i wszczęto poszukiwania. Podczas tych poszukiwań odkryto, że klucz otwiera pokój numer 12 w motelu Just Rest' Inn.

P.: A czy zarządca tego motelu jest dziś obecny na sali sądowej?

Ś.: Tak. To oskarżony, Michael Quinn.

P.: Czy pana zdaniem Howard Lumbrowski znał procedurę śledztwa w sprawie zabójstwa?

Ś.: Tak.

P.: Wiedział, że będzie wykonana sekcja jego zwłok?

Ś.: Z całą pewnością.

Mahoney: Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To są bezpodstawne spekulacje. Teatralny nonsens! Domagam się, żeby pytanie oskarżyciela wykreślono z protokołu.

Sąd: Sąd podtrzymuje sprzeciw.

Mahoney: Wysoki Sądzie, obrona utrzymuje, że przedstawienie tego klucza w charakterze dowodu rzeczowego jest niedopuszczalne, gdyż został wyniesiony bez ważnego nakazu.

Saffeleti: Wyniesiony?

Mahoney: Jeśli chodzi o ten klucz, to jeszcze nie dowiedzieliśmy się o jego istnieniu od lekarza sądowego. A poza tym, czy da się dowieść, gdzie, w jaki sposób, czy też od kogo otrzymał go Lumbrowski? Może dostarczono mu go pocztą. Może znalazł go na ulicy. Zabójca mógł zmusić swą ofiarę przed śmiercią do połknięcia klucza. Pochodzenie tego klucza to czysta spekulacja.

Sąd: Sąd podtrzymuje sprzeciw.

Sędzia Daniela opierając się na łokciach, wychylił się do przodu

1 zwrócił się do Saffeletiego.

Sąd: Sąd dołoży starań, by zachować obiektywizm w sprawie przedstawionego dowodu. Oczywiście dopuszcza się dalsze zeznania w tej kwestii. Lecz jeśli chodzi o wartość dowodową klucza... wstrzymamy się z decyzją do czasu wysłuchania wszystkich świadków. Przecież taki właśnie jest cel tego przesłuchania. Proszę kontynuować, panie Saffeleti.

Saffeleti: Wysoki Sądzie, czy możemy podejść?

Danieli kiwnął głową i wyłączył mikrofon. Oskarżyciel i adwokatka zbliżyli się do sędziego. Ze swojego miejsca na ławie świadków Dewitt wyraźnie ich słyszał, choć - był tego pewien - inne osoby na sali nie dosłyszały ani jednego słowa. Saffeleti odezwał się ściszym głosem:

- Wysoki Sądzie - proszę mi wybaczyć grę słów, ale ten dowód to klucz do naszej sprawy. Przedstawiłem tu sądowi wszystkie nici wiążące nas z motelem, lecz tylko ten klucz wskazuje na związek motelu i dokonywanych zabójstw. Sprzeciw musi być oddalony.

- Panie Saffeleti - Danieli mówił poważnie z nutką nagany w głosie - w tym sądzie nie będziemy uznawać dowodów poszlakowych. Dobrze pan zna moje zwyczaje. Wybielacz na włóknach, sierść psa? I co jeszcze? Jeśli pan chce, żebym przekazał podejrzanego sądowi przysięgłych - powiedział, patrząc na Quinna - to proszę mi przedstawić niezbity dowód. Pani Mahoney jest zbyt łagodna. I ona, tak samo jak ja, czeka, aż wreszcie przedstawi pan sądowi dowód koronny, wiążący jej klienta z tą zbrodnią. -Leala Mahoney milczała. -Wcale nie twierdzę, że Dewitt źle zrobił swoją robotę, lecz pan dobrze by na tym wyszedł, gdyby miał mi coś więcej do zaprezentowania - oświadczył Danieli, marszcząc brwi. - Przesłuchanie wstępne służy obronie praw podejrzanego. Proszę mieć to na uwadze, panie prokuratorze. Saffeleti i Mahoney wrócili na miejsca.

- Nie mam więcej pytań. Bardzo dziękuję.

- Pani Mahoney, proszę zaczynać.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Podeszła powoli do Dewitta, przyciągając uwagę obecnych swym bezwstydnie pięknym ciałem.

PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OSKARŻENIA JAMESA DEWITTA PRZEZ ADWOKATA, LEALĘ MAHONEY:

Mahoney: Detektywie Dewitt, zechce pan powiedzieć Sądowi, jak długo jest pan detektywem? Dewitt: Dwa miesiące. A.: Dokładnie dwa miesiące.

192

13 - Kluczowy dowód

193

Ś.: Tak.

A.: W sprawie ilu zabójstw prowadził pan śledztwo?

Ś.: Trzech, wliczając sprawę Lumbrowskiego.

A.: Ile skazań?

Ś.: Żadnego, ale...

A.: Proszę precyzyjnie odpowiadać na pytania. Tak więc całe swoje doświadczenie detektywa w sprawach najcięższych przestępstw zdobył pan w zeszłym tygodniu.

Ś.: W ciągu dwóch ubiegłych tygodni. Jednak, jako ekspert sądowy, badałem dziesiątki zabójstw.

Sąd: Świadek jest proszony, żeby odpowiadał dokładnie na pytania.

A.: Mam przed sobą pana oświadczenie o posiadanych kwalifikacjach. Wydaje mi się - tak to odczytuję - że jest pan raczej ekspertem kryminalistycznym niż detektywem. Mówiąc wprost, panie Dewitt, powinien pan przekonać Wysoki Sąd, że ma pan dostateczne kompetencje, by prowadzić tak poważne śledztwo. Ja na przykład, nie jestem o tym przekonana. Czy pana doświadczenie było kiedykolwiek kwestionowane przez pana zwierzchników?

Ś.: Było dyskutowane.

A.: Czy spotkał się pan z pełnym poparciem w swoim komisariacie?

Ś.: Nie. Nie od razu.

A.: Czy to prawda, że był pan uwikłany w konflikt osobisty z Howardem Lumbrowskim na tle sprawy, która ostatecznie zakończyła się tragiczną śmiercią pana żony i ciężkimi obrażeniami u pana córki?

Ś.: To był konflikt służbowy. Nie osobisty.

A.: Pan znał Howarda Lumbrowskiego, prawda? Znał pan tego człowieka osobiście?

Ś.: Był policjantem zatrudnionym w komisariacie Seaside, kiedy pełniłem funkcję dyrektora Laboratorium Kryminalistycznego w Salinas. To oczywiste, że go znałem.

A.: Współpracował pan z nim, prawda? Jako ekspert sądowy - chciałam powiedzieć.

Ś.: Właśnie to powiedziałem.

A.: Współpracował pan z nim w sprawie Stevena Millera, prawda?

Ś.: O tym też mówiłem. Powtarzam: tak.

A.: Przegrał pan tę sprawę?

Ś.: Ja nie byłem w tej sprawie oskarżycielem. Byłem tylko biegłym świadkiem, podobnie jak teraz.

A.: Oskarżyciel przegrał sprawę. Ściślej mówiąc, przegrał ją prokurator Saffeleti, czy tak?

Ś.: Nie. Zwrócono mu sprawę i zamierzał wystąpić z ponownym oskarżeniem w późniejszym terminie. Pani, jako adwokat, z pewnością rozumie, że zwrócenie sprawy prokuratorowi nie oznacza przegrania.

A.: Na jakiej podstawie zwrócono mu sprawę?

194

- Sprzeciw! - krzyknął Saffeleti, zrywając się na równe nogi, kompletnie wyprowadzony z równowagi. - Jaki to może mieć związek...

- Oddalam sprzeciw - powiedział natychmiast sędzia, wzniesioną ręką powstrzymując Saffeletiego. - Chcę się przekonać, panie Saffeleti, do czego zmierza obrona. A pani radziłbym, żeby to zmierzało do jakiegoś celu - zwrócił się do adwokatki.

- Braku dostatecznych dowodów - odpowiedział Dewitt niechętnie.

A.: Dowodów, które pan zebrał? Ś.: Niektórych. Tak. A.: Część zebrał pan Lumbrowski? Ś.: Tak.

A.: I w konsekwencji to pana aresztowała policja - powiedziała, przeglądając papiery. - Czy mógłby pan powiedzieć sądowi pod jakim zarzutem? Saffeleti poderwał się błyskawicznie.

- Sprzeciw! To jest nieuzasadnione podważenie wiarygodności świadka, Wysoki Sądzie.

Leala Mahoney podeszła do swego stołu, sięgnęła po niebieską książkę w kartonowej okładce, otworzyła ją szybkim ruchem i głośno przeczytała:

- „W celu zakwestionowania wiarygodności świadka dopuszcza się przeprowadzenie dowodu opartego na jego własnych zeznaniach lub zapisie w środkach publicznego przekazu, że świadek był skazany za przestępstwo, ale tylko w przypadku gdy, po pierwsze, przestępstwo podlegało karze śmierci...”

- Czy przestępstwo, o które pana oskarżono, podlegało karze śmierci, detektywie Dewitt?

- Byłem oskarżony. Nie byłem skazany za żadne przestępstwo. A pani wiedziała o tym. Wnioskuje stąd...

- Sprzeciw! To jest gra obliczona na efekt, Wysoki Sądzie. Bezpodstawne podważenie wiarygodności! - poderwał się Saffeleti.

Sąd: Przyjmuję sprzeciw. Pani Mahoney, nie pozwolę na nieuzasadnione aluzje. Wykreślam ostatni fragment przesłuchania.

Mahoney: Wysoki Sądzie, ja tylko usiłuję wskazać na ciężar uprzedzeń, gdyż jestem to winna mojemu klientowi. Jeśli Wysoki Sąd chciałby otrzymać dowód, to chcemy wykazać, że pan Dewitt nie miał dla denata szacunku, nie lubił go i winił go o sprowokowanie zamordowania swojej żony. Obrona zamierza ujawnić, że pan Dewitt nie tylko nie ma doświadczenia, lecz jest zbyt zaangażowany emocjonalnie w tę sprawę, by zachować właściwy dystans, i że, w gruncie rzeczy, pozostają bez odpowiedzi pytania w kwestii roli pana Dewitta w zamordowaniu detektywa Lumbrowskiego.

195

Na sali zawrzało. Danieli wezwał do zachowania spokoju. Mahoney patrzyła Dewittowi w oczy. Przeszukanie... Do czego ona, u licha, zmierza? Teraz przechadzała się po sali sądowej, przyciągając uwagę wszystkich obecnych.

- Czy kiedykolwiek groził pan Lumbrowskiemu użyciem siły? Przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą.

- Pani Mahoney, to mi zaczyna wyglądać na teatr - wtracił się Danieli. - Zechce pani przestrzec procedury. Zakładam, że zaznajomiła się pani z procedurą obowiązującą na moich rozprawach. Zarządzam pięć minut przerwy. Świadek pozostanie na miejscu. Pani Mahoney, panie Saffeleti, proszę ze mną.

Saffeleti ruszył za Lealą Mahoney. Przed nimi szedł Danieli. Był niskiego wzrostu. Weszli do pokoju sędziowskiego. Danieli poprosił ich gestem, by usiedli. Sam przysiadł na skraju swego orzechowego biurka; jego spływająca do ziemi toga wyglądała jak suknia.

- Pani Mahoney, do czego, u diabła, pani zmierza?
- Wysoki Sądzie, zapewniam, że mam określony cel. W obecności prokuratora nie mogę powiedzieć więcej.
- Pani sugeruje, że Dewitt mógł działać z pobudek przestępczych. Czy taka jest pani intencja? - Czekaj. - Proszę obronę o odpowiedź.
- Tak jest istotnie, Wysoki Sądzie. Omijała wzrokiem Saffeletiego.
- Brednie - syknął Danieli. - Obrona powinna mnie uprzedzić o takiej linii postępowania. Przypominam, że to nie jest proces, a tylko przesłuchanie dowodowe.
- Prokurator nie przedstawił żadnych dowodów - odpowiedziała, patrząc w przestrzeń nad głową Saffeletiego. - Faktyczne dowody prowadzą w zupełnie innym kierunku. Nie zamierzam narażać mojego klienta na poniżającą udrękę związaną z procesem poszlakowym. Dzisiejsze przesłuchanie, Wysoki Sądzie, ma rozstrzygnąć, czy zachodzi domniemanie winy. Czy przedstawione dowody pozwalają na domniemanie winy mojego klienta? Utrzymuję, że nie.
- Wysoki Sądzie - odparł Saffeleti - orzeczenie, czy dowody są poszlakowe, czy nie, jest właśnie zadaniem Wysokiego Sądu. Nie jest rzeczą pani Mahoney rozstrzygać w tej sprawie.
- Doskonale sobie z tego zdaję sprawę, Bili. O cholera, chciałem powiedzieć - pani Mahoney i panie Saffeleti. Zdaję sobie sprawę, że na to przesłuchanie przyszło więcej dziennikarzy niż zwykle. A także zdaję sobie sprawę, że obecny rok jest rokiem wyborów. Lecz na wypadek, gdybyście nie zdawali sobie z tego sprawy, przypominam wam, że moja rozprawa to nie wiec wyborczy. - Spojrzał na Lealę Mahoney. - Załatwianie drobnych porachunków na boku nie pomoże pani klientowi. Jeśli obstatek pani przy swojej linii obrony, radzę się dobrze pilnować. Zastanowić się, do czego to

196

zmierza. Słyszałem, że jest pani osobą błyskotliwą, pani Mahoney. Pani i ja nie mieliśmy dotąd przyjemności spotkać się na sali rozpraw. Może inni sędziowie cenią pani cyrkowe sztuczki, ale nie ja. Całą tę bufonadę proszę sobie zachować na inne rozprawy. A ciebie, Bili, poproszę - dodał - żebyś nam oszczędził tych wszystkich dyrdymałek. Straciłeś godzinę na babraniu się w kupie dowodów poszlakowych. Nie marnuj więcej czasu sądowi. Trzymaj się istotnych dowodów, żebyśmy się wreszcie uporali z tym wszystkim. Nie będę ciągnął tego przesłuchania przez dwa dni. Albo przekazujemy oskarżonego sądowi przysięgłych, albo nie. Nie będzie tu żadnej próby generalnej. Skończyłem.

Dewitt czuł na sobie spojrzenia gapiów. Zapowiedziane pięć minut przeciągnęło się do siedmiu. Gdy sędzia, prokurator i obrońca wrócili na salę rozpraw, Leala miała na szyi buraczkowe plamy, a Saffeleti rzucił Dewittowi gniewne spojrzenie. - Detektywie Dewitt, przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą...

Szum w uszach wywołany gwałtownym przyspieszeniem pulsu zagłuszył głos zadający mu pytanie. Jak mógł jej dotąd nie zauważyć? Siedziała prawie na końcu sali, uśmiechając się do niego. Pomachała mu ręką. Musiała tutaj wejść w czasie krótkiej przerwy. Gdyby się w porę spostrzegł, próbowałby ją powstrzymać, ale teraz mógł tylko patrzeć na Emmy, odświętnie ubraną, umalowaną, promienną i zachwycającą. Córka przyszła go wesprzeć. Jeszcze raz mu pomachała. I wtedy, kątem oka, dostrzegł jakiś ruch. Gwałtownie odwrócił głowę, gdyż zrozumiał, że to Quinn przesunął się, żeby mieć Emmy w polu widzenia. Zapatrzył się na dziewczynę, a potem przeniósł na Dewitta rozbawione spojrzenie swych płonących oczu, leciutko się uśmiechnął i skinął mu głową.

PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OSKARŻENIA JAMESA DEWITTA PRZEZ ADWOKATA, LEALĘ MAHONEY (ciąg dalszy):

Mahoney: Słucham, panie Dewitt?

Dewitt: Proszę powtórzyć pytanie.

A.: Pytałam, czy kiedykolwiek groził pan panu Lumbrowskiemu użyciem siły?

Ś.: Niewykluczone, że groziłem.

A.: Niewykluczone?

Ś.: Groziłem.

A.: Wróćmy zatem do okoliczności zabójstwa Lumbrowskiego, jeśli mogę o to prosić. Przed chwilą słyszeliśmy pana zeznanie o podobieństwach między ostatnią zbrodnią i dwiema poprzednimi, które były przedmiotem prowadzonych przez pana dochodzeń. Czy tak było?

Ś.: To prawda. Zbrodnia dokonana na Lumbrowskim pod pewnymi względami bardzo przypominała poprzednie.

A.: Według pana? -wybitnego specjalisty na polu kryminalistyki, eksperta sądowego, który nieoczekiwanie stał się detektywem?

Ś.: Moim zdaniem.

A.: Zechce mi pan to dokładniej wyjaśnić? Ja, w przeciwieństwie do pana, nie jestem ekspertem. Na ciele Lumbrowskiego odkryto ślady walki, czy tak?

Ś.: Tak.

A.: I na ciałach dwóch poprzednich ofiar również odkryto ślady przemocy?

Ś.: Nie.

A.: W takim razie nie widzę tu podobieństwa.

Ś.: Nie, ale...

Pogroziła mu palcem jak dziecku.

- Tylko tak lub nie - przypomniała mentorskim tonem.

A.: A jak to było z bagażem? Oświadczył pan wcześniej, że przy pierwszych dwóch ofiarach znaleziono bagaż w ich samochodach. Czy był jakiś bagaż w mustangu Howarda Lumbrowskiego?

Ś.: Nie.

A.: Ach, nie? Więc tu też nie znajdziemy podobieństwa.

Ś.: Nie.

A.: To niezbyt duże podobieństwo. Wspomniał pan o śladach opon rowerowych. Czy zarejestrowano ślady opon rowerowych we wszystkich trzech przypadkach, detektywie?

Ś.: Nie. Ale pogoda była wtedy...

Mahoney: Wysoki Sądzie?

Sędzia Daniela upomniał Dewitta, żeby ograniczał się do odpowiedzi tak lub nie.

A.: Czy pana zdaniem, jako eksperta - proszę odpowiedzieć po prostu tak lub nie - materiał dowodowy, jakim dysponuje oskarżenie w tej sprawie, można nazwać wystarczającą liczbą niezbitych dowodów?

Ś.: Nie wiem co pani rozumie przez „wystarczającą liczbę”.

A.: Których dowodów jest więcej - bezpośrednich czy pośrednich?

Ś.: Ekspert kryminalistyczny, jak również detektyw inaczej niż Wysoki Sąd definiuje dowód pośredni.

A.: Proszę się posłużyć definicją Sądu. Jesteśmy w sądzie.

Ś.: Mamy więcej dowodów pośrednich. Ale tak się dzieje i w innych sprawach.

A.: Czy badał pan scenę zbrodni w przypadku zabójstwa Lumbrowskiego?

Ś.: Obejrzałem to miejsce, choć to nie ja prowadziłem wówczas śledztwo.

A.: Obejrzał pan? Czy zachował pan należyte środki ostrożności, czy też - skoro było to śledztwo kogoś innego - działał pan niezgodnie z procedurą?

198

Ś.: Nie. Zachowywałem wszelkie środki ostrożności. Nosilem gumowe rękawice i starałem się nie dotykać ofiary ani pojazdu. Spędziłem w samochodzie najwyżej kilka minut.

Skinęła głową ze złośliwym uśmiechem. Dewitt nagle zdał sobie sprawę, że wykorzystując jego ambicję zawodową zastawiono na niego pułapkę. Gdyby okazał większą przytomność umysłu, mógłby udziałem w badaniu miejsca zbrodni wytłumaczyć swoje ślady w samochodzie Lumbrowskiego. Miał pokusę, żeby zmienić zeznanie, lecz uświadomił sobie, że to by go jeszcze bardziej pograżyło.

Przyglądając się chytrym uśmieszkom Leali Mahoney, zastanawiał się, jaki to typ człowieka znajduje satysfakcję w zarabianiu na życie wyprowadzaniem ludzi w pole.

A.: Prowadząc to śledztwo współpracował pan z panią O'Daly z laboratorium w Salinas, czy tak?

Ś.: Pani O'Daly była ekspertem kryminalistycznym przydzielonym do tej sprawy.

A.: A przy ilu zabójstwach pracowała, zanim Osbourne'owi przydarzył się ten fatalny wypadek?

Ś.: Przy żadnym.

A.: Panie Dewitt, czy zna pan z osobistego doświadczenia albo przynajmniej ze słyszenia śledztwo w sprawie zabójstwa, w którym ekspert kryminalistyczny nie miał przedtem do czynienia z zabójstwami, a detektyw nie ma żadnej praktyki jako oficer śledczy?

Ś.: Nie.

A.: Trochę głośniej, proszę. Tutaj do mikrofonu.

Ś.: Nie znam.

A.: Oto nasi biegli świadkowie, Wysoki Sądzie! Ludzie, do których z całym

zaufaniem zwracamy się o opinię. Czy na tego rodzaju opinii mamy polegać w tej sprawie, Wysoki Sądzie? Czy warto marnować stanowe pieniądze i nasz czas, żeby stawiać przed sądem pana Quinna? Czyż jedynym celem tego wstępnego przesłuchania nie jest ustalenie, czy narażać pana Quinna na upokorzenia i koszty procesu, czy nie, czy angażować w to stanowe pieniądze i czas wymiaru sprawiedliwości? I by podjąć taką decyzję, mamy się oprzeć na opinii niedoświadczonych funkcjonariuszy śledczych, z których jeden, obecny tu pan Dewitt, przyznał, że żywił osobistą urazę do ofiary?

Sąd: Bardzo pani dziękuję za wyjaśnienie celu tej rozprawy. Nie byłem pewien, po co tu jesteście, ale teraz, dzięki pani, już wiem. Czy możemy kontynuować przesłuchanie?

Mahoney: Nie mam więcej pytań.

199

Saffeleti szybko uwiął się z opisem kariery zawodowej doktora Emmanuela. Leala Mahoney w zasadzie nie kwestionowała kompetencji świadka, chociaż postarała się, żeby w protokole odnotowano jej zaniepokojenie brakiem doświadczenia doktora jako lekarza sądowego. Następnie prokurator wezwał na ławę świadków Clare O'Daly, która przez dwadzieścia minut omawiała dowody popierające oskarżenie - potok jej słów zapisywały włączone magnetofony i pracowite palce stenografa. Fotografie, psia sierść, pleksyglasy, odciski palców, ślad opony rowerowej, odprysk farby... Dewitt słuchał w roztargnieniu; słowa Clare przywoływały kolejne obrazy, w jego umyśle odżywały wydarzenia minionych tygodni.

Leala Mahoney zdjęła żakiet, piersi falowały jej pod bluzką, gdy zaaferowana przemierzała salę, aby wziąć kolejnego świadka w krzyżowy ogień pytań.

PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OSKARŻENIA PANI O'DALY PRZEZ ADWOKATA, LEALĘ MAHONEY:

Mahoney: Pani O'Daly, jak długo pani pracuje w Laboratorium Krymina-listycznym w Salinas?

O'Daly: Trochę ponad rok.

A.: Trochę ponad? Czy tak mówicie w laboratorium? Spodziewałam się po pani bardziej precyzyjnego określenia.

Ś.: Mówiąc dokładnie, trzynaście miesięcy i dwa tygodnie.

A.: Ile razy uczestniczyła pani w śledztwach dotyczących zabójstw jako ekspert kryminalistyczny? Proszę o dokładną informację.

Ś.: Trzy.

A.: Nie dosłyszałam.

Ś.: Trzy!

A.: Tylko trzy? Te ostatnie trzy razy?

Ś.: Trzy razy jako ekspert. Dziesiątki razy jako laborantka. Zdaje mi się, że kilkadziesiąt razy.

A.: Zdaje się pani? To kolejny precyzyjny termin? Pozwoli pani zadać sobie pytanie, czy w ostatniej sprawie często się pani coś zdawało!

Ś.: Nie.

A.: Jeśli dobrze pamiętam, to właśnie pani prowadziła prawie wszystkie badania kryminalistyczne w terenie i większość prac laboratoryjnych?

S.: Tak.

A.: To mnóstwo pracy.

Ś.: Po to mnie wykształcono. I za to mi płacą.

A.: Tak jak w przypadku pana Dewitta, również oświadczenie o pani kwalifikacjach przedłożono Sądowi. To długa lista, lecz większość pani umiejętności dotyczy, jak rozumiem, analiz chemicznych badanych substancji. Zapewne zgodzi się pani ze mną?

200

Ś.: Tak, takie badania przeprowadza się najczęściej w laboratorium.

A.: Bardzo małe doświadczenie z krwią, włóknami i włosami. Czy w ogóle zdarzyło się pani zbierać dowody w sprawie zabójstwa wcześniej, przed wypadkiem Osbourne'a?

JŚ.: Nie.

A.: A przeprowadzać badania laboratoryjne?

Ś.: Parę razy.

A.: I jest pani świadkiem oskarżenia pełniącym rolę biegłego w tej sprawie?

Ś.: Detektyw Dewitt przez cały czas nadzorował moją pracę. A on przepracował w terenie tysiące godzin.

A.: Ale jako ekspert kryminalistyczny, nie jako detektyw. Prawda? Nie, sądząc z tego dokumentu, nie ma pani odpowiedniego przygotowania, kompetencji jakich ten

Sąd oczekuje od biegłych.

Sąd: Panie Saffeleti, ma pan prawo głosu.

Saffeleti: Wysoki Sądzie, jestem pewien, że ten Sąd wielokrotnie, podczas wstępnych przesłuchań świadków, akceptował świadectwo eksperta wspomagającego oskarżenie. Najczęściej wystarczało przedstawienie raportu eksperta. Czyżby pani Mahoney sama chciała przeprowadzić analizę krwi? Z całą stanowczością opowiadałbym się jednak za ekspertyzą pani O'Daly. Jej raporty zostały dołączone do akt jako materiał dowodowy. Czy pani Mahoney ma konkretne zarzuty wobec jakichś faktów wymienionych w tych raportach? Czy też próbuje tylko podważyć wiarygodność świadka?

Sąd: Sąd zamierza przyjąć i zaakceptować dokumenty przedstawione przez oskarżenie. Może to rozwieje pani wątpliwości i pozwoli kontynuować przesłuchanie.

A.: To pani stwierdziła związek dowodowy pomiędzy kawałkami taśmy, którymi zalepiono okno w samochodach dwóch pierwszych ofiar... tak nam tu zeznał pan Dewitt...

Ś.: Detektyw Dewitt. Tak, to ja.

A.: Z pewnością omawiała pani z panem Dewittem, tak zwane behawioralne konsekwencje specyficznego wzorca zachowania, inaczej mówiąc - sposób w jaki domniemany zabójca, czy też sam denat użył tej taśmy.

Ś.: Tak, to prawda.

A.: A więc pan Dewitt wiedział, w jaki sposób uszczelniono okno taśmą, czy tak?

S.: Detektyw Dewitt to wiedział.

A.: Chciałabym zapytać panią - przypominam, że zeznaje pani pod przysięgą - o następującą rzecz: gdybym wręczyła pani teraz rolkę taśmy i wskazała okno samochodu, to czy mogłaby pani, czy też nie, przylepić tę taśmę w taki sam sposób, w jaki przylepiono ją na oknie samochodu Howarda Lumbrowskiego?

Ś.: Mogłabym.

201

A.: Tak więc możemy przyjąć, że ktoś kto wiedział o sposobie, w jaki posługiwano się taśmą, mógłby nalepić ją identycznie w jakimkolwiek innym miejscu, na przykład w samochodzie Lumbrowskiego.

Ś.: Tak.

A.: Dziękuję pani.

Leala Mahoney stanęła na wprost ławy sędziego.

A.: Pana Dewitta odsunięto od sprawy Lumbrowskiego.

Ś.: Tak.

A.: Czy wspominał pani, jaki był tego powód?

Ś.: Tak.

A.: I jaki to był powód?

Ś.: Jego zwierzchnik obawiał się, że udział detektywa Dewitta w tym śledztwie może być źle odebrany: A.: Źle odebrany? Dlaczego? S.: Musiałaby pani spytać o to jego zwierzchnika. A.: Detektyw Dewitt nie wymienił nazwiska Howarda Lumbrowskiego? Ś.: Wymienił.

A.: Jaki to wszystko miało związek z Howardem Lumbrowskim? Ś.: Wydaje się, że zgłaszano pewne zastrzeżenia z tego powodu, że detektyw Dewitt i pan Lumbrowski popadli w konflikt podczas procesu syna oskarżonego. Mahoney: Wysoki Sądzie, proszę o wykreślenie tej odpowiedzi. Tego

rodzaju związek między panem Quinnem a Stevenem Millerem nie został jak dotychczas udowodniony. Sąd: Czy mam rozumieć, że istnieje pokrewieństwo między panem Quin-

nem a Stevenem Millerem?

Saffeleti klepnął Dewitta w kolano i szepnął:
- Mahoney sama się tym razem wkopała. Powinna unikać tego tematu jak ognia. O'Daly wygrała główny los.

- Przecież nie możemy dowieść tego pokrewieństwa. Przynajmniej nie teraz - przypomniał Dewitt.

- Jeśli dobrze znam Danielego, nie będziemy musieli.

- Nie udowodniono takiego związku - odpowiedziała Leala Mahoney. - Ta wzmianka jest bez znaczenia, Wysoki Sądzie.

- Bez znaczenia? Panie Quinn, czy jest pan... czy był pan spokrewniony ze Stevenem Millerem?

- Niech pan nie odpowiada! - zwróciła się Leala Mahoney do swego klienta. -

Wysoki Sądzie, mój klient nie został zaprzysiężony.

202

Sąd: Zadałem oskarżonemu pytanie. Ustalenie motywu zbrodni jest centralną sprawą w orzeczeniu domniemania winy. Proszę o odpowiedź.

Leala Mahoney pochyliła się ku Quinnowi. Naradzali się chwilę.

Quinn: Pragnę powołać się na moje prawa wynikające z Piątej Poprawki, Wysoki Sądzie. Sąd: Nie ma takiej potrzeby. Nie zeznaje pan pod przysięgą. To tylko

zwykłe, dość proste pytanie. Oczekiwałem na nie prostej odpowiedzi.

Zamiast pana odpowiedzi mamy oświadczenie pani O'Daly. Nie zostanie wykreślone z protokołu. Proszę kontynuować. Mahoney: Pani O'Daly, brała pani udział w przedwyborczym przyjęciu

w rezydencji pani Laughton w Pebble Beach, tak czy nie? O'Daly: Wie pani, że tak. Przedstawiono nas sobie na tym przyjęciu. A.: Proszę odpowiadać ściśle na pytania. Jeśli będę chciała szerszego

omówienia z pani strony, to o nie poproszę. Brała pani udział w przyjęciu? Ś.: Tak. A.: Czy później dowiedziała się pani o prywatnym spotkaniu pana Dewitta

z osobą znaną ze sceny politycznej? Ś.: Tak.

A.: Z kim więc spotkał się pan Dewitt tamtego wieczora? S.: Z Jessie Osbourne, matką pierwszej ofiary. A.: Czy pan Dewitt przypuszczał, że w następstwie tego spotkania, może

być przywrócony do śledztwa w sprawie Lumbrowskiego? Ś.: Tak. Sądził, że jest taka szansa. A.: I tak się stało? Ś.: Tak. A.: Dziękuję pani. Czy to prawda, że dowody przedstawione na tej sali

stanowią tylko drobną część materiału dowodowego zebranego na

miejscu zbrodni Lumbrowskiego? S.: Tak, to prawda.

A.: Czy potrafi pani wyjaśnić Sądowi, dlaczego nie przedstawiono wszystkich?

Ś.: Mam powiedzieć, czy potrafię, czy też postaram się wyjaśnić? A.: Czy

zechciałaby pani to wyjaśnić? Ś.: Nie potrafię. To nie moja specjalność.

Przypuszczam jednak, że

zaprezentowanie wszystkich znalezionych dowodów zajęłoby wiele dni,

a nawet tygodni. A wyjaśnienie ich znaczenia laikowi, takiemu jak

pani, mogłoby potrwać jeszcze dłużej.

Wśród publiczności rozległy się chichoty. Danieli próbował ukryć uśmiech.

203

A.: Według pani opinii - fachowca-laboranta - pozostałe dowody nie są istotne dla tej sprawy. Czy to miała pani na myśli?

Ś.: Powtarzam: to nie ja jestem prokuratorem w tej sprawie. Ustalanie, czy dowody są istotne, nie jest moją specjalnością. Moim zadaniem jest zbieranie, nie ocenianie.

A.: Ale to pani przedstawia dowody prokuraturze.

Ś.: To prawda.

A.: A więc, czy przedstawiła pani prokuratorowi wszystkie dostępne dowody?

Ś.: Na to się nie da odpowiedzieć wprost - tak lub nie. Ekspert kryminalistyczny sortuje dowody i przedstawia tylko te, które uważa za istotne dla sprawy. To właśnie zrobiłam.

A.: Zna pani rolę psiej sierści w tej sprawie?

Ś.: Znam.

A.: Na ile specyficzna jest psia sierść... chodzi mi o jej cechy indywidualne?

Ś.: Istnieje bogaty zestaw cech charakterystycznych, które pozwalają sklasyfikować włosy zwierzęce według gatunków, a często i według ras.

A.: Ale nie konkretnych zwierząt.

Ś.: Występowanie pewnej kombinacji cech charakterystycznych znacznie zwiększa szansę zidentyfikowania określonego zwierzęcia. Analogią może być tu mustang Lumbrowskiego. Spotyka się na drogach jakąś liczbę niebiesko-białych mustangów; trochę mniej niebiesko-białych mustangów typu kabriolet; znacznie mniej produkowanych w danym roku. A ile znajdziemy niebiesko-białych, kabrioletów z jednego konkretnego roku z naklejoną na lewym zderzaku nalepką treści: „Nigdy nie hamuję”? Widzi pani? Im więcej cech, tym większe zindywidualizowanie obiektu.

A.: I odkryła pani jakiś zderzak z nalepką na badanej sierści?

Saffeleti: Wysoki Sądzie...

A.: Wycofuję pytanie. Czy może pani powiedzieć Sądowi, skąd wzięła pani sierść

zwierzęcą dla porównania z sierścią znaną na miejscach zbrodni?

Ś.: Ja jej nie wzięłam. Została mi dostarczona.

A.: Skąd pochodziła?

Ś.: O ile dobrze wiem, była pobrana w komisariacie policji Seaside, kiedy aresztowano Quinna. Przekazano ją nam razem z jego ubraniem.

A.: W jaki sposób była pobrana?

Ś.: Sądzą, że obcięto ją psu.

A.: Sądzi pani?

Ś.: Wiem, że ją obcięto.

A.: Wysoki Sądzie, obrona zapytuje, na jakiej podstawie prawnej pobrano tę sierść. Czy wydano nakaz orzekający, że wolno traktować psa oskarżonego jako materiał dowodowy? Czy oskarżenie może przedstawić taki

204

nakaz? Przypominam Wysokiemu Sądowi sprawę Wainwrighta. Sąd Najwyższy unieważnił wówczas wydany przez niższą instancję wyrok skazujący podejrzanego o rzekomy przemyt kamieni szlachetnych, ponieważ owe kamienie były jakoby wprowadzone do przewodu pokarmowego pewnej klaczy czystej krwi i celnicy dopuścili się przebadania konia bez nakazu sądowego. Czy w tym przypadku był wydany nakaz?

Sąd: Co pan na to, panie Saffeleti?

Saffeleti: Nie mi nie wiadomo o takim nakazie, Wysoki Sądzie, lecz zapewniam, że oskarżony miał ze sobą zwierzę w chwili aresztowania. Będę musiał zbadać akta sprawy Wainwrighta pod kątem analogii.

Sąd: Ja również. Dopuszczalność tego dowodu będzie rozpatrzona później.

Mahoney: Wysoki Sądzie, obrona zastrzega sobie prawo wezwania świadka ponownie.

Sąd: Świadek może odejść.

Świadkowie Saffeletiego byli przesłuchiwanymi aż do przerwy na lunch. Tymczasem kiełkujące uczucie rozpaczki pograżało Dewitta w stanie łagodnej depresji. Leala Mahoney inteligentnie wybrała strategię obrony, koncentrując się na niedoświadczeniu biegłych świadków oskarżenia i zastrzeżeniach proceduralnych związanych z samymi dowodami.

Po lunchu, w czasie którego stoczył desperacką batalię ze swą nastoletnią córką, promieniejącą energią i optymizmem, Dewitt wezwał taksówkę i odesłał Emmy do szkoły. Został Saffeletiego w jego orzechowym gabinecie, studiującego z nadąsaną miną akta sprawy Wainwrighta.

Prokurator uniósł wzrok znad opasłego tomu.

- Znasz te historyjki o Mahoney poczynającej sobie jak kotka w marcu? Zaczynam w nie wątpić. Mam dziwne wrażenie, że są wymysłem rozwścieczonych ofiar jej zwycięstw sądowych. Zresztą, wszystko jedno. Ta bestia, James, jest kuta na cztery nogi. Wygrzebała jakimś cudem tę zapomnianą sprawę...

- Nie zostawiła na nas z Clare suchej nitki!

- A z Emmanuela zrobiła niedoświadczonego młokosa. Psia sierść, James. Ta przeklęta sprawa zawisała na paru psich włosach... i kluczu w brzuchu Lumbrowskiego. Chryste miłosierny, musiałem mieć zaćmienie umysłu!

- Gdybyśmy mogli dowieść pokrewieństwa Quinna z Millerem, wtedy mielibyśmy motyw: zabija kilka osób po to, by właściwa ofiara zginęła w tłumie.

- Dlaczego najpierw zasadził się na Lumbrowskiego? - spytał Saffeleti. - Myślałeś o tym?

- Pewnie, że tak.

- No i?

205

- Stopień winy. Tak mi się wydaje. Lumbrowski był obecny przy tamtym zajściu w sądzie: odegrał w nim pewną rolę. Ale w końcu to ja zastrzeliłem chłopaka. Wiemy, że Quinn bardzo starannie planuje. Może wymyślił sobie taką kolejność. Zachował mnie na koniec, na swój wielki finał. - Dewitt zamilkł na chwilę. -1 co teraz?

- Teraz mam zamiar odpłacić jej pięknym za nadobne. Jesteś moim oficjalnym asystentem, James. Jeśli masz jakiś światły pomysł, zdradź mi go teraz. Trzeba pamiętać o jednej rzeczy... Danieli nie chce być sędzią, który pozwoli się temu facetowi wyśliznąć. Wyczułeś to? Bo ja tak. To dobry znak. Stara się być bezstronnym, ale tak naprawdę jest po naszej stronie. I jeszcze coś. Ta Mahoney wygrywa sprawę na prawo i lewo. Danieliemu nieźle się dała we znaki. On jest Włochem. I ja jestem Włochem. Wierz mi, to ma znaczenie. - Zerknął na swego roleksa. -Chodźmy.

Leala Mahoney doceniała znaczenie wiarygodnych świadków. Pierwszym świadkiem obrony okazała się pani psychiatra - subtelna ma-trona dobrze po pięćdziesiątce, mówiąca z dystygowanym brytyjskim akcentem i nosząca kwiat w klapie żakietu. Istna panna Marple. Szczegółowo i profesjonalnie zanalizowała osobowość Quinna. Można było pomyśleć, że opisuje Bambiego. Saffeleti dał się zapędzić w kozi róg, i w końcu, jak aktor, który zapomniał roli, urwał w pół zdania i usiadł pokonany.

- Obrona wzywa na świadka doktora Fredericka Harta, Wysoki Sądzie - wypowiadając konwencjonalną formułę, Leala Mahoney spojrzała na Dewitta i uśmiechnęła się zarozumiale.

Występujący w roli biegłego świadka doktor Frederick Hart miał przedwcześnie posiwiałe skronie, mocno zarysowaną szczękę, przejrzyście błękitne oczy i białe zęby. Nosił tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach. Po zaprzysiężeniu, zajął miejsce na ławie świadków i włożył okulary do czytania w szylkretowej oprawce. Leala Mahoney poświęciła pięć minut na odczytanie jego dossier. Nikt z obecnych nie mógł już wątpić, że ta chodząca legenda jest twórcą kryminalistyki. Hart napisał dwa aktualnie używane podręczniki, był narratorem w licznych policyjnych filmach szkoleniowych - stąd Dewitt pamiętał jego głos -pracował dla laboratorium kryminalistycznego FBI w Quantico i dla laboratorium Departamentu Sprawiedliwości w Chicago. Wykładał na uniwersytecie stanowym w Los Angeles. Był dyrektorem prywatnego laboratorium kryminalistycznego, skromnie nazwanego jego imieniem, które pod jego kierownictwem przebadano dowody w siedmiu tysiącach różnych spraw.

- Myślisz, że ściągnęła go tylko po to, żeby uwiarygodnić swoje wywody? - zastanawiał się Dewitt.

206

PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OBRONY DOKTORA HARTA PRZEZ ADWOKATA, LEALĘ MAHONEY:

Mahoney: Panie doktorze, słyszeliśmy tu dzisiaj zeznania dotyczące dowodów rzeczowych znalezionych na miejscu zbrodni będącej przedmiotem niniejszej rozprawy. Czy pan również miał możliwość zbadania tych dowodów?

Doktor Hart: Tak.

A.: W jakim celu?

Ś.: Zaangażowała mnie obrona, abym ponownie zbadał i ocenił wszystkie dowody wchodzące w zakres tego śledztwa.

A.: Dowody zebrane przez policję?

A.: Dowody zebrane zarówno przez policję jak i przez pracowników naszego laboratorium.

A.: Czy to powszechna praktyka?

Ś.: Dość powszechna. Tym sposobem upewniamy się, że niczego nie przeoczono, niczego nie pominięto. Chcieliśmy powtórnie sprawdzić dowody śladowe. Ich badanie to bardzo specjalistyczna dziedzina.

A.: Czy zechciałby pan w takim razie, w języku zrozumiałym dla laika, wyjaśnić Sądowi odkryte fakty?

Zwracając się do zgromadzonych na sali Hart przybrał nagle ton telewizyjnego kaznodziei.

S.: W każdej sprawie sądowej mamy do czynienia z mnóstwem dowodów i zadaniem laboratorium kryminalistycznego oraz prokuratora jest rozstrzygnięcie, które dowody są cenne, a które nie. Kierując się tą zasadą, odniosłem jednak wrażenie pewnej niespójności w dowodach przedstawionych przez stronę oskarżającą.

A.: Na przykład?

Ś.: Po pierwsze, włókna roślinne, zwłaszcza bawełniane, występują w takiej obfitości na każdym miejscu zbrodni, że zwykle rezygnuje się z ich badania.

A.: Powiedział pan „zwykle”. Czy mógłby pan sformułować to bardziej precyzyjnie?

Ś.: W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach wszystkich przypadków. No, a psia sierść? Zapomnijmy na razie o psie pana Quinna. Czy Wysoki Sąd wie o tym, że nie wszystkie psie włosy znalezione na ubraniu pana Lumbrowskiego pasują do jednego wzorca?

Leala Mahoney pokazała kopie dokumentów Saffeletiemu, po czym wręczyła je Hartowi z prośbą, by omówił ich treść, co też doktor skwapliwie uczynił.

| |m

Ś.: To są wykresy DNA określające typy genetyczne - tak zwane wzorce DNA -można by je nazwać odciskami DNA - pozwalające porównać psie włosy znalezione w miejscu zamordowania Lumbrowskiego. Najwyraźniej nie pasują one do siebie. Włosy

pochodzą od różnych psów.

Dewitt pochylił się ku Saffeletiemu i powiedział szeptem:

- Masz punkt zaczepienia. Przeprowadzili testy, co znaczy - o ile mieliśmy rację - że niektóre włosy musiały pasować do psa Quinna. To jest świadectwo przez pominięcie. On nam odsłania tylko te karty, które chce żebyśmy widzieli.

Prokurator okręgowy skinął potakująco. W notatniku wypisał grubymi literami: „PEŁNE UJAWNIE NIE TESTÓW”.

Leala Mahoney wyciągnęła jeszcze jeden wykres DNA i umieściła go na sztalugach obok poprzedniego - równe kolumny - jedna obok drugiej, zawierające małe, czarne czworokąty ułożone w łańcuch, każdy czworokąt wyobrażający pojedynczy gen.

A.: A ten wykres?

S.: O właśnie. Widzi pani, tutaj wzorce się zgadzają.

A.: A czy mógłby pan powiedzieć Sądowi, co znaczy ten drugi wykres? Przedstawia psi włos, jak rozumiem?

Ś.: Tak, oczywiście, to jest psi włos. Tylko że ten psi włos został pobrany w czasie zarządzanego przez biuro szeryfa przeszukania domu detektywa Jamesa Dewitta.

Na sali zawrzało. Dewitt wychylił się naprzód ze swego miejsca. Paru reporterów zerwało się do drzwi.

A.: Twierdzi pan, że psie włosy znalezione na ciele denata pochodzą od psa detektywa Dewitta?

Ś.: Tak twierdzą.

A.: A zatem jeśli na podstawie psiej sierści mamy wytoczyć proces i orzekać o winie, to czy mamy powody sądzić, że detektyw Dewitt jest winien zbrodni, o którą oskarżono mojego klienta.

Saffeleti: Sprzeciw!

Mahoney: Cofam swoje przypuszczenie. Czy pana pracownicy odkryli inne dowody, o których nie wspomniano w raportach przedstawionych przez oskarżenie, a które pan uważa za istotne dla tej sprawy?

Doktor Hart: Tak. Odkryli ślady stocznej walki. Raport lekarza sądowego potwierdza kontuzję czaszki Lumbrowskiego. Śladowe ilości włosów i krwi na przednim siedzeniu mustanga nasuwają przypuszczenie, że głowa Lumbrowskiego mogła uderzyć o ramę podtrzymującą składany dach. Co więcej, znaleźliśmy krew osoby trzeciej na przedniej krawędzi fotela kierowcy.

208

A.: Osoby trzeciej?

Ś.: Ta próbka krwi miała grupę niezgodną z grupą krwi oskarżonego; także ofiary. Napisałem o tym w raporcie.

A.: Jaka to była grupa?

Ś.: A+.

A.: Jaka grupę miał Lumbrowski?

Ś.: 0+.

A.: A pan Quinn?

Ś.: AB-.

A.: Czy wie pan, jaki dokument w tej chwili panu wręczyłam?

Ś.: Wygląda na fotokopię ankiety personalnej osoby ubiegającej się o pracę w komisariacie policji Carmel.

A.: A czyje nazwisko widnieje u góry tego dokumentu?

Ś.: Jamesa Dewitta.

A.: A jaką tam podano grupę krwi?

Ś.: A + .

A.: Dziękuję panu.

Na sali rozległ się szmer rozmów. Dwóch reporterów wstało i wyszło w pośpiechu.

Leala Mahoney wymachiwała trzymaną kartką, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć.

Położyła kopie przed Saffeletim i sędzią.

- Bezpodstawne podważenie wiarygodności, Wysoki Sądzie! - krzyknął Saffeleti.

- Podważenie wiarygodności, Wysoki Sądzie? - spytała adwokatka z niewinnym wyrazem twarzy. - Usiłuję tylko jasno przedstawić szczegóły całej sprawy. Według oskarżenia, daleko odbiegają od jasności, i co więcej, stały się obiektem manipulacji. Myślę, że to oczywiste. Zamierzam tu dowieść, że manipulowano faktami, a także z jakiego powodu miało to miejsce.

- Wysoki Sądzie! - wrzasnął Saffeleti, podrywając się z krzesła. - Protestuję przeciw umieszczeniu w protokole ostatniej wypowiedzi pani Mahoney. To obrońca manipuluje Wysokim Sędziem. Domagam się wykreślenia jej oświadczenia.

- Odrzucam sprzeciw - rzekł Danieli. - Oświadczenie pozostanie.
- Nie mam więcej pytań - powiedziała Leala Mahoney. Hart spojrział na nią z wyrzutem.

- Coś się szykuje - szepnął Saffeleti, nachylając się do Dewitta.
PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OBRONY DOKTORA HARTA PRZEZ PROKURATORA, SAFFELETIEGO:
Saffeleti: Doktorze Hart, oświadczył pan dzisiaj, tutaj, na tej sali, że posługując się wzorcami DNA stwierdził pan, iż włosy zwierzęce -psie
14 - Kluczowy dowód

209

włosy - znalezione na ubraniu pana Lumbrowskiego nie pochodziły od tego samego psa co włosy znalezione w miejscach zbrodni w przypadkach Osbourne'a i McDuffa, czy mam rację?

Doktor Hart: Tak.

P.: N i e k t ó r e włosy zwierzęce znalezione na panu Lumbrowskim, czy wszystkie?

Ś.: Niektóre.

P.: Czy pan wie, czy też nie, że w laboratorium w Salinas znaleziono na panu Lumbrowskim włosy zwierzęce, które według ich testów, zgadzały się z włosami znalezionymi w dwóch innych miejscach przestępstwa?

Ś.: Wiem.

P.: Czy pan sam, doktorze, lub pańscy pracownicy, odkryliście, że włosy zwierzęce pobrane od psa oskarżonego faktycznie zgadzały się z włosami pochodzącymi z miejsc zbrodni?

Ś.: Tak.

P.: A jednak zdecydował się pan nie przeprowadzać testów genetycznych tych włosów. Czy to prawda, czy nie?

&.-. Prawda.

P.: Rozumiem. Przeprowadzał więc pan selekcję dowodów, które poddawano testom.

Ś.: Tak.

P.: A przecież nie tak dawno temu krytykował pan laboratorium w Salinas za selektywne traktowanie dowodów. Co więc teraz skłoniło pana do takiej praktyki, doktorze Hart?

Ś.: Poszedłem za radą obrony.

P.: Za radą obrony? To znaczy za radą pani Mahoney, czy tak?

Ś.: Tak.

P.: A więc to była decyzja pani Mahoney? Czy to pani Mahoney kieruje pana laboratorium, czy pan, doktorze?

Ś.: Ja kieruję. Ale...

P.: Proszę precyzyjnie odpowiadać na pytania. Jeśli zechcę, by pan skomentował odpowiedź, to wyraźnie o to poproszę. Czy wyniki testów wskazujących na obecność psa pana Quinna w miejscach przestępstw dostarczono do sądu?

S.: Nie.

Mahoney: Wysoki Sądzie, żadne takie dowody nie były dopuszczone ani nawet przedstawione, a zatępienie zeznanie o ich istnieniu należy uznać za pogłoskę. Domagam się, aby pytanie pana Saffeletiego i odpowiedź świadka zostały skreślone.

Sąd: Sąd się przychyła.

Saffeleti: Wysoki Sądzie, pani O'Daly przedstawiła odpowiednie dowody. Wyniki doktora Harta powinny znaleźć się w sądzie. Tymczasem ich nie ma!

210

Sąd: Stosujemy regułę najlepszego dowodu. Podtrzymuję sprzeciw obrony. Saffeleti popatrzył wrogo na Lealę Mahoney.

Saffeleti: Czy w przypadkach Osbourne'a i McDuffa w miejscach zbrodni, znaleziono psie włosy lub też inne dowody, wskazujące na udział detektywa Dewitta w zabójstwach?

Mahoney: Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To nieistotne. To przesłuchanie nie dotyczy bezpośrednio zbrodni, o których mówi prokurator, a detektyw Dewitt nie występuje tu jako oskarżony.

Saffeleti: Wysoki Sądzie, miło mi było to słyszeć.

Sąd: Oddalam sprzeciw. Ciekaw jestem odpowiedzi. Słuchamy świadka.

Doktor Hart: Nie.

Saffeleti: Skoro już ustaliliśmy, że pan Lumbrowski i detektyw Dewitt pracowali razem nad tą samą sprawą przez przeszło miesiąc, czy nie sądzi pan, że te psie włosy, jak pan utrzymuje psa detektywa Dewitta, znajdowały się tam od miesięcy?

Ś.: To jest możliwe.

P.: Czy zgodziłby się pan z określeniem całkiem możliwe? Pana zdaniem jako eksperta?

Ś.: Całkiem możliwe.

P.: Doktorze Hart, powiedział pan wcześniej, że w każdym śledztwie trafia do laboratorium wiele dowodów w postaci włókien, które odrzuca się jako nieistotne. Czy pan to potwierdza?

Ś.: W przybliżeniu to właśnie powiedziałem.

P.: Wnioskuje z tego, że występowanie pewnych włókien roślinnych jest dość powszechne na każdej scenie zbrodni. Gdyby jednak miał pan stwierdzić ogólną prawidłowość, to kto najczęściej zostawia takie ślady? Odwołuję się teraz, doktorze, do napisanego przez pana podręcznika.

Saffeleti podszedł do stołu prokuratora, wziął stamtąd książkę i pomachał nią w powietrzu.

Ś.: Oficer śledczy.

P.: Ach, prowadzący śledztwo. No to zobaczymy, kto w naszym przypadku był pierwszym oficerem śledczym? Ś.: Detektyw James Dewitt.

P.: Dziękuję panu, doktorze. Nie mam więcej pytań. Mahoney: Wysoki Sądzie. Sąd: Proszę bardzo, pani Mahoney.

211

POWTÓRNE PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OBRONY DOKTORA HARTA PRZEZ ADWOKATA, LEALĘ MAHONEY:

Mahoney: Czy zechciałby pan opisać sądowi te dowody?

Doktor Hart: Są to trzy woreczki do przechowywania dowodów, z których dwa oznakowano jako pochodzące ze sceny zbrodni Lumbrowskiego, jeden natomiast jako pochodzący z przeszukania domu detektywa Dewitta.

Saffeleti: Sprzeciw! Domniemane przeszukanie domu detektywa Dewitta nie ma związku z tą sprawą, Wysoki Sądzie. A to, że taki dowód mógł trafić na tę salę rozpraw...

Mahoney: Ten dowód ma bezpośredni związek ze sprawą. Przeszukanie zarządziło biuro prokuratora generalnego w konsekwencji odkrycia pewnych dowodów w miejscu zbrodni Lumbrowskiego.

Sąd: Oddalam sprzeciw. Proszę, niech pani kontynuuje. Na własne ryzyko. Jeśli się okaże, że pani wywód jest nieuzasadnionym podważeniem wiarygodności, to nie tylko niniejsze zeznanie zostanie wykreślone z protokołu, lecz zostanie zakwestionowana pani opinia jako uczciwej i kompetentnej reprezentantki oskarżonego.

Mahoney: Przyjmuję to do wiadomości, Wysoki Sądzie. A więc, co się znajduje w każdym z tych trzech woreczków, doktorze Hart?

Ś.: W tych z dowodami pobranymi z miejsca zbrodni Lumbrowskiego -rolka taśmy papierowej i kawałek gumowego węża. W tym z domu Dewitta - jeden kawałek węża.

A.: Na podstawie oglądu wzrokowego, czy dostrzega pan - jako ekspert sądowy - jakieś podobieństwo między tymi dwoma kawałkami węża?

Ś.: Sądząc z koloru, średnicy i odbarwień widocznych na obu kawałkach, wydaje się, że są to dwa kawałki tego samego węża.

Saffeleti: Sprzeciw. To spekulacja, Wysoki Sądzie. Czy wykonano odpowiednie testy?

Sąd: Wykonano testy, doktorze Hart?

Doktor Hart: Nie w moim laboratorium. Nie, Wysoki Sądzie.

Mahoney: Wysoki Sądzie, jako biegły świadek, doktor Hart może z pewnością przedstawić sądowi swoją opinię. To wszystko, o co go prosiłam. Powiedział tylko, że te kawałki wyglądają, jakby pochodziły z tego samego węża. Nic ponadto.

Sąd: Obalam sprzeciw.

Mahoney: Obrona chciałaby wysłuchać Hectora Ramireza.

PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OBRONY HECTORA RAMIREZA PRZEZ ADWOKATA, LEALĘ MAHONEY:

Mahoney: Pana kompetencje zostały przedstawione wcześniej przez oskarżenie, pominiemy więc teraz ich omawianie.

212

Ramirez: Nie mam nic przeciwko temu.

A.: Czy poznaje pan tę rolkę taśmy papierowej?

Ś.: Tak.

A.: Czy poddawał ją pan specjalistycznym badaniom? Jeśli tak, to w jakim celu?

Ś.: Badałem ją. Detektyw Rick Morn z komisariatu Seaside zwrócił się do naszego

laboratorium daktyloskopijnego z prośbą o ustalenie tożsamości osoby, której pojedynczy odcisk kciuka we wnętrzu bobińcy wykryto w laboratorium w Salinas.

A.: A czy pańskie laboratorium ustaliło rzeczoną tożsamość?

Ś.: Tak.

A.: W jaki sposób?

Ś.: Posłużyliśmy się SKAD-em - naszym skomputeryzowanym systemem przeszukiwania, który koduje cyfrowo charakterystyki odcisku palca, łuki i pętlice i porównuje te charakterystyki z odciskami zapisanymi w bazie danych.

A.: A co zawiera baza danych?

Ś.: Aktualnie baza danych SKAD zawiera zapisy odcisków palców wszystkich skazanych za przestępstwa w stanie Kalifornia w ciągu ostatnich piętnastu lat, a także wszystkich pracowników służb publicznych, lekarzy, pielęgniarek, pracowników ośrodków dziennej opieki, laborantów, sędziów, osób wybranych na wysokie funkcje publiczne... trudno wszystkich wyliczyć. To bardzo szczegółowa baza danych.

A.: A więc odciski policjanta musiałyby się tam znaleźć?

Ś.: Z całą pewnością.

A.: Panie Ramirez, czy mógłby pan zdradzić sądowi tożsamość osobnika, którego odcisk kciuka znaleziono na rolce taśmy papierowej użytej do uszczelnienia samochodu Lumbrowskiego?

Ś.: To ja chciałbym panią zapytać, jakim sposobem uzyskała pani tę rolkę taśmy. Ten dowód był...

A.: Proszę odpowiadać na pytania.

Dewitt zajął Saffeletiemu przez ramię, wyjął mu pióro z ręki i napisał dużymi literami: ZABEZPIECZENIE DOWODÓW. COŚ TU NIE GRA!

Ś.: Odcisk należy do detektywa Jamesa Dewitta. - Co? - warknął Dewitt. - Co to znaczy, Sam?

A.: Wysoki Sądzie, słyszeliśmy zeznanie detektywa Dewitta. Utrzymywał on, że nie dotykał absolutnie żadnego dowodu w środku mustanga Lumbrowskiego, a nawet jeśli czegoś dotknął, nosił wówczas gumowe rękawice. Czy protokolant ma sądowi odczytać to zeznanie?

213

Sąd: Panie Saffeleti?

Saffeleti: Przypominamy sobie to zeznanie, mamy jednak zastrzeżenia co do taktyki pani Mahoney. To robi wrażenie ataku, a nie obrony. Czy oskarżonym w tym procesie jest detektyw Dewitt, czy Michael Quinn?

Mahoney: Jak stwierdzono wcześniej, Wysoki Sądzie, obrona zamierza wykazać celowe pominięcie dowodów i manipulowanie nimi przez świadków oskarżenia. Kawałek gumowego węża znaleziony w szopie detektywa Dewitta pasuje do węża z samochodu Lumbrowskiego. Odcisk palca pana Dewitta jest jedynym odciskiem na rolce taśmy papierowej. Pan Dewitt i pan Lumbrowski, jak przyznał sam James Dewitt, byli zantagonizowani. Dowody przedstawiają jedną i tylko jedną historię? Jakaż więc jest ta historia? Nie mam więcej pytań.

Sąd: Czy ma pan jakieś pytania do tego świadka, panie Saffeleti?

Saffeleti: Mam, Wysoki Sądzie.

PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OBRONY HECTORA RAMIREZA PRZEZ PROKURATORA, SAFFELETIEGO:

Saffeleti: Czy zetknął się pan podczas swojej pracy jako detektyw, i później, jako dyrektor laboratorium daktyloskopijnego Departamentu Sprawiedliwości, z przypadkiem, gdy oficer śledczy zostawił swe odciski palców na miejscu przestępstwa?

Ramirez: Tak. To się zdarza nagminnie.

P.: Nawet wtedy, gdy odpowiedzialny za to oficer zarzeka się, że zachował wszelkie środki ostrożności?

Ś.: Bardzo łatwo jest zostawić przypadkiem odcisk palca. Prawie nie da się tego uniknąć. Zdziwi się pan, jak mało scen zbrodni pozostaje nienaruszonych.

P.: Proszę mi opowiedzieć o tej rolce taśmy. Czy była badana w pana laboratorium?

Ś-: Tak. Prawdę mówiąc, ostatnie co o niej wiem, to to, że przesłaliśmy ją do biura prokuratora generalnego. Nie słyszałem o tym, że przekazali ją pani Mahoney.

P.: Ale dopiero co zdziwił się pan, gdy zobaczył pan wymieniony dowód tutaj w sądzie. Dlaczego?

Ś.: Zwróciliśmy dowód do biura prokuratora generalnego wczoraj po południu. By zachować ciągłość zabezpieczenia dowodów, pani Mahoney, przedstawiając ten dowód

po raz pierwszy, powinna była -zgodnie z przyjętą procedurą - okazać
zapieczętowany pojemnik, w którym był przesłany.
P.: Czy mógłby pan wyjaśnić, na czym polega ciągłość zabezpieczenia dowodów?
214

I

Ś.: Przestrzegamy ścisłych reguł dotyczących sposobu przekazywania dowodów.
Chodzi o to, by zagwarantować pewność, że nie zostały podrobione. Na tym to
polega.

Mahoney: Wysoki Sądzie, ja nie przedstawiam dowodu, tylko zwyczajnie proszę o
opinię, czy też o zreferowanie wykonanych usług.

Saffeleti: Moim zdaniem, Wysoki Sądzie, jeśli dowód nie został dopuszczony, to
zeznanie świadka ma charakter pogłoski. A jeśli zerwana została ciągłość
zabezpieczenia dowodów, to taki dowód traci wiarygodność.

Sąd: Pani Mahoney, czy może pani wykazać, że zachowano ciągłość zabezpieczenia
dowodów?

Mahoney: Mogę, Wysoki Sądzie.

Sąd: Teraz, zaraz? Proszę mi to zademonstrować.

Mahoney: Zapieczętowany i oznakowany pojemnik znajduje się w moim biurze...

Sąd: Więc nie może go pani okazać?

Saffeleti: Zgłaszam sprzeciw! Jeśli tak się sprawy mają, Wysoki Sądzie, to
utrzymuję, że to jest pogłoska.

Mahoney: Jeśli Sąd wyrazi życzenie...

Sąd: Sąd już wyraził życzenie. Wszystkie zeznania świadków Harta i Rami-reza
dotyczące tej rolki taśmy i kawałków gumowego węża zostaną wykreślone.

Saffeleti: Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Mahoney: Sprzeciw!

Sąd: Pani zechce usiąść. Oddalam sprzeciw.

Saffeleti: Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Sąd: Coś jeszcze, pani Mahoney?

Mahoney: Obrona zakończy na tym przesłuchanie świadków.

Saffeleti: Wysoki Sądzie, w związku z ostatnio przedstawionymi dowodami,
oskarżenie proponuje ponowne przesłuchanie pani Clare O'Daly.

PONOWNE PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OSKARŻENIA CLARE O'DALY PRZEZ PROKURATORA,
SAFFELETIEGO:

Saffeleti: Pani O'Daly, proszę nam powiedzieć, kto badał scenę zbrodni
Lumbrowskiego?

O'Daly: Detektyw Dewitt i detektyw Mora kierowali zebraniem części materiału
dowodowego. Resztą zajmowałam się osobiście. Za większość analiz odpowiada
laboratorium w Salinas.

P.: Tak więc detektyw Dewitt nie zajmował się sam tymi dowodami?

Ś.: W żadnym wypadku.

P.: Czy pani zdaniem detektyw Dewitt przestrzegał ogólnie przyjętej procedury?

Ś.: Zdecydowanie tak. Jest znany ze ścisłego przestrzegania procedury.

215

P.: Czy według pani opinii, detektyw Dewitt usiłował kiedykolwiek utrudnić pani,
albo komuś z pracowników laboratorium w Salinas, prace związane z tym śledztwem,
lub próbował zataić dowody?

Ś.: Nie. To absurd. Cały czas trzymał się standardowej procedury.

P.: A czy zdawała sobie pani sprawę z różnicy w psiej sierści, i z obecności
włókien wełnianych?

Ś.: Tak.

P.: Czy poinformowała pani prokuraturę?

Ś.: Tak.

P.: Co odpowiedział prokurator?

S.: Nie okazał pan zainteresowania.

Na sali rozległy się śmiechy.

O'Daly: Mieliśmy aż za dużo dowodów poszlakowych w tej sprawie.

Saffeleti: Jak pani myślała, skąd się tam wzięła sierść innego psa?

O'Daly: Oczywiście związałam to z detektywem Dewittem. Miał psa, z którym się
nie rozstawał.

P.: I to pani nie zaalarmowało?

Ś.: Zaalarmowało?

P.: Czy nie pomyślała pani, że detektyw Dewitt mógł być jakoś w to zamieszany.
Jak sugerowała pani mecenas.

Mahoney: Ja niczego nie sugerowałam, Wysoki Sądzie. Po prostu zakwestionowałam pewne dowody.

Saffeleti: Miło mi to słyszeć. Spodziewam się oczywiście, że to oświadczenie trafi do protokołu.

P.: Pani O'Daly, gdzie jest obecnie pies detektywa Dewitta?

Ś.: Ten pies nie żyje. Znalaziono go powieszono w szopie ogrodowej detektywa Dewitta.

P.: Czy według pani opinii, jako eksperta, było możliwe, żeby ktoś -powiedzmy pan Quinn - zabrał kawałek węża ogrodniczego i trochę taśmy papierowej...

Mahoney: Sprzeciw!

P.: ... z tamtej szopy i posłużył się nimi przy morderstwie Howarda Lumbrowskiego?

Mahoney: Wysoki Sądzie, stanowczo protestuję!

P.: Czy to nie tłumaczyłoby w gruncie rzeczy, dlaczego pan Quinn nie uciekł sprzed płonącego motelu? Twierdzą, że wiedział, czyje odciski palców znajdzie policja - na wężu albo na taśmie.

Mahoney: Pytanie jest naprowadzające i...

Saffeleti: Wycofuję pytanie, Wysoki Sądzie.

Saffeleti zaczął chodzić po sali. Zatrzymał się przed Quinnem i przyglądał mu się w zamyśleniu. Potrząsnął głową.

216

P.: Pani O'Daly, czy obecność włosów drugiego psa pani nie zaalarmowała? Obrócił się ku niej.

Ś.: Nie, to oczywiste, że funkcjonariusze policji zostawiają swoje ślady na miejscu zdarzenia. Nawet ktoś z takim doświadczeniem, jak detektyw Dewitt. Prawie nie da się tego uniknąć. W gruncie rzeczy, jest to tak powszechne zjawisko, że policjanci biorący udział w śledztwach są specjalnie szkoleni, by wiedzieli jak zmniejszyć ryzyko. Przyznaję, że kiedy pierwszy raz odkryłam nowy rodzaj włókien, byłam zaintrygowana. Kiedy jednak później ustaliłam, że pochodziły od detektywa... no cóż, takie rzeczy ciągle się zdarzają.

P.: Jeszcze jedno pytanie. Czy pani i detektyw Dewitt zwracaliście się do mnie o posłużenie się wzorcami DNA na tej rozprawie?

Ś.: Tak. Proponowałam panu, żeby zamówić takie testy w jakimś laboratorium, lecz pan storpedował nasz pomysł.

Śmiech wśród publiczności.

P.: Naprawdę?

Ś.: Powiedział pan, że ustalenie typu genetycznego zwierzęcia nigdy jeszcze nie służyło jako dowód w sądzie. Wątpił pan, czy Sąd zaakceptuje taki dowód i wyrażał pan zastrzeżenia z powodu znacznych kosztów takich badań.

P.: Dziękuję pani. Nie mam więcej pytań.

- Wysoki Sądzie - warknęła Leala Mahoney. - Czy mogłabym zająć jeszcze minutkę? Mam jeszcze parę pytań.

Nie czekała na zgodę Sądu. Pogrzebała w teczce i szybko zaczęła kartkować jakiś dokument. Coś znalazła. Wyprostowała się, przybierając postawę osoby pewnej siebie. Podeszła do Clare siedzącej na ławie dla świadków.

Ta pewność siebie zaniepokoiła Dewitta.

PRZESŁUCHANIE ŚWIADKA OSKARŻENIA CLARE O'DALY PRZEZ ADWOKATA, LEALĘ MAHONEY:

Mahoney: Czy poznaje pani te fotografie? O'Daly: Tak. To fotografie sceny

zbrodni Lumbrowskiego. A.: Czy mogłaby pani odczytać Sądowi, co jest napisane na odwrocie pierwszej z tych fotografii?

217

Ś.: Jest tu numer sprawy, Z i czwórka, Z - od słowa zabójstwo, jak się domyślam; data i podpis: Scena zbrodni - Lumbrowski.

A.: Czy wszystkie zdjęcia są oznakowane w podobny sposób?

Ś.: Tak.

A.: Niech nam pani powie, czy włosy i włókna dłużej będą się trzymały na wełnianym płaszczu sportowym czy na płaszczu od deszczu?

Ś.: Na płaszczu sportowym.

A.: Nie na śliskim płaszczu nieprzemakalnym?

Ś.: Jest mało prawdopodobne, żeby na gładkiej impregnowanej powierzchni płaszcza od deszczu utrzymały się włosy i włókna... wskutek elektryczności statycznej mogą się przyczepić tylko pojedyncze sztuki.

A.: A czy może pani powiedzieć Sądowi co przedstawiają te oto fotografie?

Ś.: Zdaje się, że to detektyw Dewitt.

A.: Zdaje się?

Ś.: To jest detektyw Dewitt.

A.: A czy detektyw Dewitt jest ubrany w płaszcz sportowy? Taki, do którego łatwo przyczepiają się włosy i włókna?

Ś.: Trudno mi to stwierdzić.

A.: Dlaczego?

S.: Bo nosi płaszcz nieprzemakalny.

A.: Dziękuję pani.

Znów rozległ się szmer na sali. Danieli wezwał do zachowania spokoju.

A.: Mam do pani ostatnie pytanie. Obiecałam Sądowi, że przedstawię motywację. Czy zdarzyło się pani kiedykolwiek w czasie ostatniego miesiąca znaleźć w sytuacji intymnej z detektywem Dewittem? Używając określenia sytuacja intymna mam na myśli: być w objęciach, czy może...

Ś.: Wiem, co pani ma na myśli. Odmawiam odpowiedzi. To sprawa osobista.

Clare poszukała oczyma Jamesa; jej twarz zdradzała niepokój i gniew. Leala Mahoney majestatycznym krokiem zajęła pozycję przed stołem obrony.

- Wysoki Sądzie, pozwalam sobie stwierdzić, że współpraca tego świadka z detektywem Dewittem przy zbieraniu i analizowaniu dowodów w sprawie zabójstwa Howarda Lumbrowskiego, biorąc pod uwagę równoczesny związek intymny łączący świadka z prowadzącym śledztwo detektywem, podważa wiarygodność śledztwa. Mógł być przyczyną tendencyjności w traktowaniu dowodów i sformułowaniu aktu oskarżenia przeciw mojemu klientowi.

- To nieprawda! - zaprotestowała Clare. Leala Mahoney powiedziała stanowczo:
218

- Powołując się na wspomnianą tendencyjność, domagam się natych- • miastowego oczyszczenia mego klienta ze stawianych mu zarzutów w konsekwencji jego natychmiastowego zwolnienia.

- Sprzeciw! - zagrmiał Saffeleti, zrywając się na nogi. - Wysoki Sądzie, to nie jest nic innego, jak tylko pospolita scena zazdrości. Domagam się, żeby Sąd zadał takie samo pytanie mecenas Mahoney. Czy jej atak na detektywa Dewitta ma czysto profesjonalne podłoże, czy też doszło między nimi ostatnio do konfliktu na tle osobistym? Myślę tu

o zajściu w sobotę czternastego stycznia przed południem, w komisariacie Seaside.

- Co takiego? - wykrztusiła Leala Mahoney.

- Spokój, spokój! - krzyczał Danieli, szukając młotka. - Gdzie do diabła jest młotek? - ryknął do woźnego, który zwrócił się do protokolanta sądowego.

- Pani Mahoney zalecała się do detektywa Dewitta, Wysoki Sądzie -ciągnął Saffeleti, przekrzykując zgiełk. - Mamy tu dyskutować o uprzedzeniach? Niczyje prywatne życie nie powinno być przedmiotem przesłuchania. To co powiedziałem jest pogłoską i powinna być wykreślona z protokołu.

- Ty śmierdzący draniu! - krzyknęła Leala Mahoney, uginając łokcie i zaciskając pięści.

Danieli znalazł młotek i omal nie złamał trzonka waląc w pulpit.

- Cisza! - krzyknął. - Nie pozwalam, żeby obrzucano się wyzwiskami na mojej rozprawie! Gardzę panią!

- Ty draniu! - powtórzyła Mahoney, lecz nie pod adresem Saffeletie-go; patrzyła prosto w rozbawione, śmiejące się oczy Jamesa Dewitta.

• • •

Danieli odzyskał wreszcie panowanie nad salą rozpraw, po czym na dziesięć minut pograżył się w czytaniu notatek. Wreszcie podniósł głowę, zdjął okulary i wyrecytował informacje do protokołu.

- Ta sala rozpraw zamieniła się dziś w cyrk -powiedział -czego żałuję i co uważam za niewybaczalne. Bez wątpienia wszystkie uczestniczące strony, włączając mnie samego, nie wywiązały się ze swoich zadań. Obrona wytoczyła ciężkie zarzuty pod adresem detektywa Dewitta, a potem, miała pani, pani Mahoney, czelność twierdzić, że nie próbuje go pani uwikłać w zbrodnię. Mówiąc szczerze - zwrócił się do obrony - to był jeden z najbardziej oburzających popisów teatralnych, jakie zdarzyło mi się widzieć przez wszystkie lata mojej pracy. Uważam pani podejście za podstępne, nieetyczne i nieuczciwe względem detektywa Dewitta. To niedopuszczalne zachowanie na mojej sali rozpraw. - Co zaś się tyczy rozpatrywanej sprawy - akt oskarżenia oparto na słabych podstawach, w większości na dowodach poszlakowych i pogłoskach. - Byłoby jednak

219

czynem nieodpowiedzialnym zwolnienie oskarżonego, ze względu na ciężar zarzucanych mu zbrodni oraz ze względu na wartość dowodową znacznej części zgromadzonego materiału. Sąd uważa dowody za niewystarczające dla poparcia oskarżenia o morderstwo pierwszego stopnia. Zeznania detektywa Dewitta, pani O'Daly i innych osób nie wykazują - zdaniem Sądu - na tyle wyraźne prawdopodobieństwa winy, aby uznać oskarżenie za prawdziwe. - Jednakże - zwrócił się do oskarżonego - zarządzę, na uprzednie żądanie prokuratora okręgowego, aby pozostał pan pod nadzorem w więzieniu hrabstwa przez czas trwania postępowania w sprawie o podpalenie, aż do czasu wstępnego przesłuchania świadków.

Eksponaty sąd zatrzyma jako dokumentację sprawy.

Oskarżony zostanie odesłany pod nadzór biura szeryfa hrabstwa Monterey.

Utrzymuje się wysokość kaucji jeden milion dolarów.

Sąd zakończył rozprawę.

Dewitt popatrzył na Saffeletiego z niedowierzaniem.

- Przegraliśmy? Saffeleti pakował teczkę.

- Planowałeś przegrać? To dlatego na wszelki wypadek miałeś to oskarżenie o podpalenie?

- Zabezpieczyłem się. W tym interesie, James, trzeba myśleć perspektywicznie.

Nie chcieliśmy przecież, żeby sąd puścił wolno tego typu.

- On jest mordercą, Bili.

- Nie jest, póki mu tego nie udowodnimy - przypomniał Saffeleti. - Plotki, które mnie doszły, były najwyraźniej prawdą. Będziesz przesłuchiwany przez sąd przysięgłych. Jak myślisz, jak się czuje Danieli wiedząc o tym? Złożę skargę jutro rano. Zażądamy wydania nam wyników Harta i zamówimy sami testy DNA.

Dostaniemy go, James. To tylko sprawa kilku formalności. Ty to wiesz, ja to wiem, i Mahoney to wie. Spójrz na nią. Czy wygląda na obraz zwycięstwa i tryumfu? Powinna była negocjować ze mną linię obrony. Teraz nie ustąpię jej ani na cal... już na to za późno. Próbując wygrać wszystko, po prostu znokautowała swojego klienta.

- Czy możemy go przytrzymać za to podpalenie? - spytał Dewitt. Saffeleti wzruszył ramionami.

- Zobaczymy - powiedział. - Ze względu na ciebie modłę się, żeby to się udało.

12

Traper John

Gdy przez okna zaczynało się sączyć

łagodne, rozproszone światło poranka, James Dewitt zapadł wreszcie w sen. Nie kładł się przez całą noc. Pił. Pił z gniewu, z samotności, przytłoczony ciężarem fałszywego oskarżenia. To, że system prawny mógł być tak nadużywany i naginany do politycznych interesów, uważał za najcięższą zbrodnię. Frustracja nie opuszczała go ani na chwilę, gdy systematycznie opróżniał pół butelki szkockiej. Choć pogrążał się w głębinach snu, a w głowie miał już tylko szum i zamęt, prawdziwy ból tkwił w jego sercu - ból zdeptanej dumy. Nigdy przedtem nie doznał na sali rozpraw takiego upokorzenia. W porównaniu z nim bladło nawet krzywoprzysięstwo Lumbrowskiego podczas procesu Millera. To, że zakwestionowano jego fachowe umiejętności, że w gruncie rzeczy zarzucono mu brak kompetencji, było dla Dewitta poniżeniem, jakiego nie mógł ścierpieć. Kipiał gniewem. Teraz jasno pojmował, dlaczego Quinn wskazywał właśnie na niego tego wieczoru, gdy spłonął motel. Quinn od dawno zaplanował to wszystko - zamordowanie Rusty'ego było konieczne. Musiał uciszyć psa, gdy usiłował dobrać się do szopy w poszukiwaniu obciążających dowodów. Dewitt, a także cały system, który reprezentował, nic nie znaczył - był jedną wielką manipulacją. Dewitt czuł się wykorzystany, zbrukany - jak prostytutka ściskająca w ręku pierwszą zapłatę. A jednak, w tym stanie pijackiego upojenia, w jego duszy kiełkowało uczucie, że położenie, w jakim się znalazł, nie jest ostateczną klęską - zepchnięto go na krawędź przepaści i właśnie beznadziejność sytuacji mobilizowała go i popychała do działania. Będzie mówił z Quinem - jako

221

oficer śledczy ma do tego prawo; może go przesłuchiwać, ile razy zechce.

Doprowadzi go do potknięcia - znajdzie rysę w tej jego gładkiej powłoce i wbije w nią ostrze. Musi go pokonać. Nigdy nie czuł się bardziej stanowczy, bardziej zdeterminowany.

Piątek spędził z Emmy poza domem. Pojechali na Point Lobos. Tego wieczoru wiatr wiejący nad wybrzeżem niósł w sobie zapowiedź nadchodzącej wiosny. Dewitt nie kontaktował się z prawnikami z wyjątkiem Biłla Saffeletiego, z którym rozmawiał

kilka razy; nie chciał przeżywać na nowo dziesiątki razy fatalnego przesłuchania wstępnego; wyłączył się na długie dwa dni, które poświęcił córce i odzyskaniu równowagi. To ostatnie nie przychodziło mu łatwo. Tkwił w stanie wewnętrznego rozdarcia - z jednej strony wciągała go rozgrywka z Quinnem i rzucone przez niego wyzwanie budziło determinację, z drugiej - chciał uciec od wszystkiego jak najdalej. Namówił Emmy, żeby zgodziła się wyłączyć telefony na te dwa dni. Nie chciał, by nagabywali go reporterzy, redaktorzy programów telewizyjnych i zwykli gapie. W poniedziałek zmieniono mu numer telefonu na zastrzeżony; Emmy mogła znów włączyć wtyczkę, lecz nowy numer znało tylko grono jej najbliższych przyjaciół i personel komisariatu. Nie można powiedzieć, żeby życie całkiem wróciło do normy - Dewitt wątpił, czy wróci kiedykolwiek - lecz stało się znośne, co należało przyjąć z wdzięcznością jak nieoczekiwany dar losu.

W poniedziałek wieczorem odwiedziła ich Clare, przyniosła kolację na zimno dla całej trójki. Jedli przy podręcznym stoliku w salonie, oglądając film w telewizji, z którego Emmy nie zrezygnowałyby za żadne skarby. Nie wspomnieli ani słowem o przesłuchaniu. Pod koniec filmu Dewitt przyłapał się na tym, że zamiast oglądać telewizję, wpatruje się gdzieś w przestrzeń między nimi dwiema i rozmyśla, czy taki układ dałby się utrzymać na stałe. Clare, żadna zresztą kobieta taka jak ona, nie zgodziłaby się na zajęcie miejsca Julii, ale czy umiałyby znaleźć sobie własne miejsce? Czy Emmy byłaby w stanie się dostosować? A on sam?

Gdy wieczorem odprowadzał Clare do samochodu, czuł jak oczy Emmy wwiercają się w niego zza uchylonej zasłony. Clare też musi to czuć - pomyślał - bo nie przysunęła się, żeby go pocałować czy objąć. Popatrzyła tylko na niego z ufnością i cytując znaną piosenkę, powiedziała:

- Don't worry. Be happy. - I dodała: - Często problemy same się rozwiązują.

Lecz tym, co zbliżyło ich tego wieczora, nie były jej słowa ani uśmiech, którym starała się go pocieszyć, lecz coś nieokreślonego w jej oczach: wyraz zatroskania, wsparcia i bezinteresowności. Dostał od niej to, czego brakowało w jego życiu przez ostatnie pół roku.

James Dewitt był zakochany.

222

We wtorek, trzydziestego pierwszego stycznia, Dewitt udał się do więzienia hrabstwa, gdzie czekał na niego Bili Saffeleci.

- Jesteś tego pewien? - spytał Dewitt.

Stali przed pokojem przesłuchań C w komendzie głównej policji Monterey, w biurze szeryfa hrabstwa Monterey, obaj ze skrzyżowanymi ramionami. Dewitt w niebieskiej muszce i ze zgnębionym wyrazem twarzy.

- Bardzo ci jestem wdzięczny, Bili - dodał.

- Wcale się nie dziwię. Tylko wciąż nie rozumiem, co spodziewasz się przez to uzyskać?

- Christiansen sądzi, że Quinn otworzy się, jeśli się go skłoni do mówienia.

- Nie liczyłbym na to. Chyba nie chcesz z niego wydobyć czegoś w rodzaju przyznania się? To utopia, James.

- Nie. Na to nie liczę.

- Czyżby? Zdawało mi się, że o to ci chodzi.

- On wrobił mnie w zamordowanie Lumbrowskiego, Bili, muszę coś zrobić.

- Rozumiem.

- Na miłość boską! Przecież moją sprawę bada sąd przysięgłych.

- To też rozumiem. Chcę cię po prostu ostrzec, żebyś się za wiele nie spodziewał.

- Ten facet zabił mojego psa, ukradł rzeczy z mojej szopy i posłużył się nimi, żeby rzucić na mnie podejrzenie. A potem zabił moją córkę. Po kawałku rozrywa moje życie na strzępy. Rzecz jasna od początku tak to sobie zaplanował. Czy zaplanował coś jeszcze? Coś takiego, o czym dotąd nie wiemy? Chyba przyznasz mi rację. To ważna informacja dla dalszego śledztwa - dla mnie - nawet dla moich zeznań przed ławą przysięgłych.

- Zgoda. Ale on niczego nie wyzna. Nawet o tym nie myśl. Od razu możesz to sobie odpuścić.

- Wciąż nie mamy odpowiedzi na niektóre pytania. Na zbyt wiele pytań. Tacy faceci jak Quinn bywają skłonni do zwierzeń, jeśli uda się ich skłonić do mówienia w trzeciej osobie, jakby opowiadali cudzą historię. Tak było z Tedem Bunnym - dodał Dewitt. - Ile swobody da mi Mahoney? Nie mogę sobie wyobrazić, żeby pozwoliła mi pisać choć słówko.

- Mahoney martwi się teraz o własny tyłek - odpowiedział Saffeleti.
- Narozrabiała jak pijany zajac, zabierając te dowody sądowi przysięgłych. Prokurator generalny wściekł się na nią. Mimo wszystko będzie zmuszona bronić Quinna jeszcze raz i doskonale o tym wie. Nie licz na to, że pozwoli swojemu klientowi wpakować się dobrowolnie do pudła.
- Chciałbym uzyskać widzenie z nim w cztery oczy.
- Nic z tego. Możesz sobie rozmawiać z Quinnem, ile razy zechcesz, ale zawsze w towarzystwie Mahoney. Uganiała się za jakąś prawdziwie spektakularną sprawą, a teraz jak ją dostała, pewnie gorzko tego żałuje.

223

oficer śledczy ma do tego prawo; może go przesłuchiwać, ile razy zechce. Doprowadzi go do potknięcia - znajdzie ryse w tej jego gładkiej powłoce i wbije w nią ostrze. Musi go pokonać. Nigdy nie czuł się bardziej stanowczy, bardziej zdeterminowany.

Piątek spędził z Emmy poza domem. Pojechali na Point Lobos. Tego wieczoru wiatr wiejący nad wybrzeżem niósł w sobie zapowiedź nadchodzącej wiosny. Dewitt nie kontaktował się z prawnikami z wyjątkiem Billa Saffeletiego, z którym rozmawiał kilka razy; nie chciał przeżywać na nowo dziesiątki razy fatalnego przesłuchania Wstępnego; wyłączył się na długie dwa dni, które poświęcił córce i odzyskaniu równowagi. To ostatnie nie przychodziło mu łatwo. Tkwił w stanie wewnętrznego rozdarcia -z jednej strony wciągała go rozgrywka z Quinnem i rzucone przez niego wyzwanie budziło determinację, z drugiej -chciał uciec od wszystkiego jak najdalej. Namówił Emmy, żeby zgodziła się wyłączyć telefonów na te dwa dni. Nie chciał, by nagabywali go reporterzy, redaktorzy programów telewizyjnych i zwykli gapie. W poniedziałek zmieniono mu numer telefonu na zastrzeżony; Emmy mogła znów włączyć wtyczkę, lecz nowy numer znało tylko grono jej najbliższych przyjaciół i personel komisariatu. Nie można powiedzieć, żeby życie całkiem wróciło do normy - Dewitt wątpił, czy wróci kiedykolwiek - lecz stało się znośne, co należało przyjąć z wdzięcznością jak nieoczekiwany dar losu.

W poniedziałek wieczorem odwiedziła ich Clare, przyniosła kolację na zimno dla całej trójki. Jedli przy podręcznym stoliku w salonie, oglądając film w telewizji, z którego Emmy nie zrezygnowałyby za żadne skarby. Nie wspomnieli ani słowem o przesłuchaniu. Pod koniec filmu Dewitt przyłapał się na tym, że zamiast oglądać telewizję, wpatruje się gdzieś w przestrzeń między nimi dwiema i rozmyśla, czy taki układ dałby się utrzymać na stałe. Clare, żadna zresztą kobieta taka jak ona, nie zgodziłaby się na zajęcie miejsca Julii, ale czy umiałyby znaleźć sobie własne miejsce? Czy Emmy byłyby w stanie się dostosować? A on sam?

Gdy wieczorem odprowadzał Clare do samochodu, czuł jak oczy Emmy wwiercają się w niego zza uchylonej zasłony. Clare też musi to czuć - pomyślał - bo nie przysunęła się, żeby go pocałować czy objąć. Popatrzyła tylko na niego z ufnością i cytując znaną piosenkę, powiedziała:

- Dorit worry. Be happy. - I dodała: - Często problemy same się rozwiązują.

Lecz tym, co zbliżyło ich tego wieczora, nie były jej słowa ani uśmiech, którym starała się go pocieszyć, lecz coś nieokreślonego w jej oczach: wyraz zatroskania, wsparcia i bezinteresowności. Dostał od niej to, czego brakowało w jego życiu przez ostatnie pół roku.

James Dewitt był zakochany.

222

We wtorek, trzydziestego pierwszego stycznia, Dewitt udał się do więzienia hrabstwa, gdzie czekał na niego Bili Saffeleti.

- Jesteś tego pewien? - spytał Dewitt.

Stali przed pokojem przesłuchań C w komendzie głównej policji Monterey, w biurze szeryfa hrabstwa Monterey, obaj ze skrzyżowanymi ramionami. Dewitt w niebieskiej muszce i ze zgnębionym wyrazem twarzy.

- Bardzo ci jestem wdzięczny, Bili - dodał.

- Wcale się nie dziwię. Tylko wciąż nie rozumiem, co spodziewasz się przez to uzyskać?

- Christiansen sądzi, że Quinn otworzy się, jeśli się go skłoni do mówienia.

- Nie liczylibym na to. Chyba nie chcesz z niego wydobyć czegoś w rodzaju przyznania się? To utopia, James.

- Nie. Na to nie liczę.

- Czyżby? Zdawało mi się, że o to ci chodzi.

- On zrobił mnie w zamordowanie Lumbrowskiego, Bili, muszę coś zrobić.
- Rozumiem.
- Na miłość boską! Przecież moją sprawę bada sąd przysięgłych.
- To też rozumiem. Chcę cię po prostu ostrzec, żebyś się za wiele nie spodziewał.
- Ten facet zabił mojego psa, ukradł rzeczy z mojej szopy i posłużył się nimi, żeby rzucić na mnie podejrzenie. A potem zabił moją córkę. Po kawałku rozrywa moje życie na strzępy. Rzecz jasna od początku tak to sobie zaplanował. Czy zaplanował coś jeszcze? Coś takiego, o czym dotąd nie wiemy? Chyba przyznasz mi rację. To ważna informacja dla dalszego śledztwa - dla mnie - nawet dla moich zeznań przed ławą przysięgłych.
- Zgoda. Ale on niczego nie wyzna. Nawet o tym nie myśl. Od razu możesz to sobie odpuścić.
- Wciąż nie mamy odpowiedzi na niektóre pytania. Na zbyt wiele pytań. Tacy faceci jak Quinn bywają skłonni do zwierzeń, jeśli uda się ich skłonić do mówienia w trzeciej osobie, jakby opowiadali cudzą historię. Tak było z Tedem Bunnym - dodał Dewitt. - Ile swobody da mi Mahoney? Nie mogę sobie wyobrazić, żeby pozwoliła mi pisać choć słówko.
- Mahoney martwi się teraz o własny tyłek - odpowiedział Saffeleti.
- Narozrabiała jak pijany zając, zabierając te dowody sądowi przysięgłych. Prokurator generalny wściekł się na nią. Mimo wszystko będzie zmuszona bronić Quinna jeszcze raz i doskonale o tym wie. Nie licz na to, że pozwoli swojemu klientowi wpakować się dobrowolnie do pudła.
- Chciałbym uzyskać widzenie z nim w cztery oczy.
- Nic z tego. Możesz sobie rozmawiać z Quinnem, ile razy zechcesz, ale zawsze w towarzystwie Mahoney. Uganiała się za jakąś prawdziwie spektakularną sprawą, a teraz jak ją dostała, pewnie gorzko tego żałuje.

223

Ma do wyboru albo przegrać, albo grubo przegrać. Jej ostatnie zwycięstwo nie przyniosło jej popularności; Danieli o to zadbał. Ona jest bardzo dobra, James. Tylko że wybrała nie tę walkę.

Weszli do czystego, widnego pokoju przesłuchań. Dewitt poczuł się zbity z tropu, gdy zobaczył Quinna. Nawet w pomarańczowym kombinezonie i kajdankach wywierał dobre wrażenie. Masowi mordercy powinni wyglądać i zachowywać się jak Harvey Collette. Zaś Quinn prezentował się jak dobrze wychowany absolwent college'u. Leala Mahoney bez makijażu odsłoniła swoją prawdziwą twarz - brzydkiej i przemęczonej kobiety w średnim wieku. Rzuciła Dewittowi złośliwe spojrzenie i nagle zaczesła włosy palcami gestem zdradzającym niepokój, zupełnie do niej niepodobnym. Dewitt wyczuwał w niej z trudem tłumioną żywiołową potrzebę ruchu - jak u dziecka, któremu kazano siedzieć w kącie i być cicho.

- Witam panią - powiedział. Skłoniła się.
- Nie mam panu nic do powiedzenia - oświadczył Quinn detektywowi, nim ten zdążył usiąść. Saffeleti zajął krzesło obok Dewitta. Nie zwracając uwagi na Lealę Mahoney całą uwagę skupił na człowieku w pomarańczowym kombinezonie.
- Ależ masz - wtrącił się Saffeleti.
- Nie - rzucił Quinn.
- Wytłumaczyła mu to pani? - spytał Saffeleti Lealę Mahoney. Zadając pytanie, nie spuszczał oka z podejrzanego.
- Tak. Mój klient nie jest zainteresowany negocjacjami na temat uniknięcia wyroku śmierci...
- To on jest zabójcą -powiedział Quinn, wlepiając wzrok w Dewitta i wyciągając ku niemu szyję.

Dewitt spojrzał zdumiony na Saffeletiego. Nikt go nie uprzedził, że proponowano oskarżonemu odstąpienie od żądania wyroku śmierci. Prawnicy prowadzili grę, której Dewitt nigdy nie rozumiał i nie umiał zaakceptować. W tym szczególnym momencie nie miał czasu na spieranie się z Saffeletim.

- Zabójcą? - spytał Quinna. - A kogo to zabiłem?
- Zabiłeś chłopca.
- Tak - Dewitt cofnął się gwałtownie. - Chłopca, który zabił moją żonę. Na moich oczach. I na oczach jednej z moich córek.
- Na moich oczach, chciałeś powiedzieć. Widzisz, Dewitt, akurat wtedy mnie przymknęli - jeszcze jeden błąd - i mogłem się tylko przyglądać, kiedy puszczała to w telewizji. W kolorze. Pokazywali w zwolnionym tempie. Przez kilka dni. Wiesz, jak to wyglądało? Przyparliście go do muru. Jak się spodziewałeś, co niby

miał zrobić?

Dewitt krzyknął, lecz zaraz się opanował. Szaleństwem było spierać się z szaleńcem. Trzeba ubić interes.

224

- A co byś powiedział o tym facecie od samobójstw? Co o nim myślisz?
- Już ci mówiłem: nie mam nic do powiedzenia.
- Dlaczego ten człowiek zabił dwóch ludzi przed Lumbrowskim? Dlaczego nie zabił po prostu Lumbrowskiego? On jest całkiem meglupi, ten zabójca, nie sądzisz?

Quinn milczał, przewiercając Dewitta wzrokiem.

- Zapłacisz za to, Dewitt - odezwał się. - Wcześniej czy później, ale zapłacisz. Wiesz, dlaczego chciałem tego spotkania?

- Nie. Dlaczego? Właśnie zaczęliśmy o tym mówić.

- Bo chciałem cię zobaczyć. Proste, prawda?

- Czy tamtemu chodziło o wypróbowanie pułapki? - spytał detektyw. Christiansen poinformował Dewitta podczas rozmowy telefonicznej, że

z przeszłości Quinna wynikałoby, iż zawsze starannie sprawdza on swoje pułapki, zanim rozpocznie polowanie. Wysunął przypuszczenie, że zarówno Osbourne jak i McDuff posłużyli za króliki doświadczalne przed zwabieniem do klatki Lumbrowskiego. Generalna próba.

- A może to zrobił, bo potrzebował przynęty?

- Nie słuchasz mnie. Tacy jak ty nigdy nie słuchają.

- Jacy?

- Ignoranci. Załatwiający własne sprawy pod płaszczykiem służby publicznej. Zabawne, nie? Mówisz, że jestem zabójcą. A nie masz przeciw mnie dowodów. A o tobie każdy wie, że jesteś zabójcą i chodzisz sobie wolno. Ja jestem niewinny i mam na rękach kajdanki. Czy to w porządku, Dewitt? Jak to może tak być? Zabiłeś mojego chłopca; dopiero co sam to przyznałeś.

- Panie Quinn! Błagam, niech pan... - przerwała Leala Mahoney.

- Spokój - uciał Quinn. - Wiem, co robię.

- Nie wydaje mi się - zaprotestowała.

Quinn spojrzeniem przygwoździł ją do krzesła. Cofnęła się, spoglądając na Dewitta z przerażeniem, jakby nie wierzyła własnym uszom.

- Proszę bardzo - powiedziała.

- Dlaczego ktoś taki jak on robiłby sobie dodatkowy kłopot z Osbour-ne'em i McDuffem? - spytał Dewitt.

- Kłopot? To żaden kłopot - odrzekł Quinn, lekko się uśmiechając. - Ty po prostu nie doceniasz pewnych rzeczy, które my z Sokolim Okiem bardzo sobie cenimy.

Wierz mi, to nie kłopot. Są ludzie, którym to sprawia ogromne zadowolenie.

- Chcesz powiedzieć, że takiemu facetowi jak Sokole Oko sprawia to przyjemność?

- Wielką przyjemność. Tak. To żaden kłopot.

- A czy miałby jakiś pożytek z Osbourne'a i McDuffa?

- Powiedzmy na przykład, że Sokole Oko chciał, żeby ten pierwszy raz wyglądał na samobójstwo. Powiedzmy, że chciał też wykorzystać później tego pierwszego, żeby zwabić Lumbrowskiego na spotkanie. Chyba przyznasz, że to pożyteczne.

15 - Kluczowy dowód

225

- Więc tak to sobie ułożył... mógł sobie tak to ułożyć.

- Tracisz z oczu obraz całości, Dewitt.

- Motywacja - powiedział Saffeleti.

Quinn próbował unieść rękę, lecz kajdanki stawiały opór. Twarz poczerwieniała mu od gniewu.

- Właśnie - powiedział. - Cała rzecz w tym, że tylko jednego z was chciał zabić, a drugi miał pozostać przy życiu. Każdy plan jest wytyczony przez czynniki ograniczające... Tak samo jest i tutaj. - Śmierć jest najłatwiejszym wyjściem - ciągnął, patrząc teraz na Saffeletiego. - Ja zaznałem cierpienia. Cierpienie jest dużo większą karą niż jakakolwiek śmierć. Śmierć przynosi uspokojenie. On nie miał zamiaru darować Dewittowi uspokojenia, sam nie miał także zamiaru żyć dalej, kiedy już wypełni zadanie. On zna także ciemność pustki, niezgłębioną przepaść osamotnienia, jaką jest ojciec bez dziecka. To nieustający, bezlitosny chłód, lodowate, kłujące zimno. Trzeba tego doświadczyć, żeby w pełni zrozumieć. On znalazł ciepło i ukojenie w idei zsyłania sprawiedliwości. Lecz kiedy czyn będzie spełniony, on już nie będzie miał powodu, by żyć dalej, i też poszuka wiecznego pokoju.

- Sprawiedliwość nie jest czymś, co się zsyła - wtrącił Saffeleti. - To absurd.

Dewitt zmarszył brwi. Pierwszy raz Quinn się odprężył, zaczął mówić, a uwaga Saffeletiego wyraźnie go rozkojarzyła.

- Tak więc Osbourne miał udawać samobójcę? - spytał.

- Kłopot z tobą, Dewitt, polega na tym, że masz zwyczaj wtykać nos tam, gdzie nie powinienes. Czy miałeś jakieś dowody przeciw Stevenowi? Absurd! Steven był niewinny, a jednak wy z Lumbrowskim mieliście dowody. No, powiedz, czy to nie absurd? A potem ten pierwszy... powiedziałeś, że to było zabójstwo. Ta osoba, o której tu mówimy, słyszała cię w telewizji. To nie o to chodzi, że ta osoba nie była zabezpieczona na taką ewentualność, bo oczywiście była; ale wszystko byłoby o tyle łatwiejsze, o tyle prostsze...

- Myślę, Michael, że to wystarczy - przerwała Leala Mahoney.

- Przerwała nam pani - powiedział Dewitt ze złością.

- Już dosyć powiedziałem - odrzekł Quinn, wymieniając spojrzenia z adwokatką.

- Aż za dużo - zgodziła się Leala Mahoney.

- Chciałbym po prostu, żebyś zrozumiał, Dewitt, że to się nie skończy, dopóki się wszystko nie spełni. Działają tu siły, których jeszcze nie zacząłeś pojmować.

Quinn patrzył gdzieś w przestrzeń, jakby Dewitta tam w ogóle nie było.

- Czy czytałeś kiedyś poemat Johna Drydena „Absalom i Achitofel” -Zaczął recytować:

„Jakże się mylą, słabość w mojej łaskawości widząc! Strzeżcie się furii, z męża cierpliwego szydząc.

226

Prawa żądają, niech zatem Prawo twarz swoją odsłoni”.

- Chcesz prawa? To ja będę twoim sędzią. A moje prawa nie pochodzą z książek. Moje prawa są prawami natury. To są rzeczy, które przerastają nas wszystkich. A on... jest człowiekiem cierpliwym. Bardzo cierpliwym. Lecz strzeż się furii. Jest nadzwyczaj spokojny. I potrafi się dostosować. Bardzo szybko. Dobry plan to taki, który da się wykonać. To jedyne prawo, którym się kieruje. Strzeż się furii, Dewitt. Jeszcze na sobie nie doświadczyłeś takiej furii, takiej determinacji. Ciemność cię dosięgnie. Ciemność zabierze ci wszystko. Ciemność jest torturą nie do zniesienia. I tobie jest przeznaczona. Nie będziesz spał; nie będziesz jadł. Wydrze ci wszystko. Wyssie ci z duszy wszelki sens. Zabierze ci absolutnie wszystko.

Po dziesięciu minutach nakłaniania Quinna do dalszych wyznań, Saffeleti i Dewitt zrezygnowali z próżnych wysiłków i opuścili pokój przesłuchań. Dewitt trzymał w ręku kasetę z nagraniem.

- Wciąż mu się zdaje, że Mahoney go z tego wyciągnie -powiedział. -Myśli, że jeszcze ma szansę mnie dostać. Ale chyba nie ma racji?

- Za podpalenie należy mu się co najmniej kilka lat. Naczelnik straży ogniowej mówi, że to pewne. Reszta zależy od tego, jak nam pójdzie na następnej rozprawie. Ja wierzę w powodzenie. Co do twojego przesłuchania... może lepiej zaczekać, aż będzie po wszystkim, żeby atmosfera się oczyściła. Powinniśmy na razie spokojnie poczekać.

- On na pewno nie pomoże mi się oczyścić. To jego robota. Chce, żebym był uwikłany w tę zbrodnię.

- Pomóc nie pomoże, ale przynajmniej dowiedzieliśmy się, co knuje -Saffeleti wyciągnął rękę. - Pozbieramy wszystko do kupy, wniesiemy ponownie oskarżenie i pošlemy go na szubienicę. Michael Quinn wyobraża sobie, że poznał, czym jest ciemność, ale jeszcze musi się dużo nauczyć.

- Może i tak - odrzekł Dewitt.

On sam wyniósł z tego widzenia zupełnie inne odczucie, niemal przyprawiające go o mdłości. Pamiętał dziwny błysk w oku Quinna. Złowrogi, przerażający błysk. W środku nocy obudził się nagle i leżał wpatrzony w ciemność. Nie mógł zasnąć. Quinn zastanawiał się, czy Dewitt zrozumiał jego przesłanie. Był dumny ze swojej inteligencji. Tak, to „wyznanie” było ukoronowaniem całego jego dzieła. I zapowiedzią tego, co nastąpi. Podjął decyzję, kiedy się rozejrzał tu i ówdzie i zorientował, że na noc zostaje tylko dwu strażników. Człowiek powinien dziękować swej szczęśliwej gwiazdzie, że społeczeństwo jest takie oszczędne; ludzie woleli

227

łożyć na sprawną wywózkę śmieci niż na trzech strażników po całych nocach wysiadujących beczynnie w więzieniu hrabstwa.

Odtąd był już tylko Traperem Johnem.

Traper John ściągnął jedyne prześcieradło okrywające twarde materac i zaczął

zębami rozrywać brzeg tkaniny, a potem starannie drzeć ją na długie pasy. Za czwartym razem ułamał sobie przedni ząb i dosłownie w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie krzyknąć z bólu. Teraz, gdy oddychał, przez zaciśnięte zęby wydobywał się gwizd. Przy pracy gwizdź jak kos. Przypomniał mu się film Disneya, który oglądali razem ze Stevenem, gdy chłopiec był mały.

Po pół godzinie, gdy już podarł całe prześcieradło na ośmiocentymetrowe pasy, zaczął je związywać końcami, żeby uzyskać kilka dłuższych sznurów. Od rozmowy z Dewittem mijał tydzień i trzy dni: akurat tyle czasu, ile trzeba, żeby lęk przycichł. Przez ten czas był wzorowym więźniem i strażnicy czuli się przy nim swobodnie. Najważniejsza rzecz jeśli chodzi

o pułapki, to staranne przygotowanie. Można złapać co się chce, jeśli tylko założy się właściwą przynętę.

Władze hrabstwa popełniały błąd, kierując do służby w więzieniach niedoświadczonych rekrutów. Blondynek, który pełnił służbę dziś wieczór, nadawał się idealnie. To jeszcze jeden powód, żeby to zrobić właśnie dziś.

Quinn domyślał się, że było koło szóstej. Warty zmieniały się jak w zegarku - następny ich błąd: rutyna, więc punkt dla niego - wszystko można przewidzieć.

Blondynek zacznie obchód za następne pół godziny

I przyjdzie wtedy zabrać pustą tacę po kolacji. Wszystko się doskonale układa. Quinn zsunął z siebie pomarańczowy kombinezon i zawiązał wokół uda pętlę z jednego pasa tkaniny. Drugą pętlę wokół drugiego uda. Motał wokół siebie uprząż łącznie trzecim pasem, który poprowadził między pośladkami w górę wzdłuż grzbietu, a potem przerzucił pod pachą. Włożył kombinezon i zapiął się starannie. Wykonanie pętli na szyję było najłatwiejsze: w życiu zrobił ich mnóstwo. Okręcił stryczek wokół szyi i splótł go z liną uprzęży. Iluzja leży u podstaw każdej pułapki. Należało jeszcze wspiąć się na piętrowe łóżko i umocować następną linkę wokół porcelanowej oprawki lampy wiszącej po środku sufitu. Zawiązał wokół oprawki łatwo rozwiązujący się węzeł. Na próbę zawisnął na niej całym swym ciężarem i stwierdził, że wytrzymała. Doskonale. Wydał policzki i zaczął przec, jakby chciał oddać stolec, dzięki czemu twarz nabiegła mu krwią. Wytrzymał tak przez kilka minut i kiedy usłyszał jak blondynek otwiera kraty na końcu korytarza, był pewien, że twarz ma już całkiem purpurową. Wychylił się jeszcze bardziej z łóżka i przeniósł cały ciężar ciała na plecionkę z prześcieradła. Uczuł, że pętle zaciskają mu się na udach, tamując krążenie, lecz dobrze utrzymują ciężar. Stryczek miał idealnie dobraną długość: był na tyle ciasny, żeby lekko ucisnąć szyję. Twarz poczerwieniała jeszcze bardziej.

Przechylił głowę na bok i, dla dokończenia

228

dzieła, nie zamykając oczu, wysunął język spomiędzy warg. Otwarte oczy -co za efekt! - były bardzo dobrym pomysłem, bo mógł śledzić przebieg wypadków.

Chłopak zbliżył się do celi, zajrzał, i gdy go zobaczył, od razu sięgnął po klucz. Co za cudowny brak doświadczenia! Potem zawołał:

- Harry!

Pewna komplikacja, lecz Traper John poradzi sobie i tak. Strażnik wpadł do środka, drzwi celi zostawiając szeroko otwarte. Podeszedł prosto do ciała.

- Rany boskie! - wyszeptał na widok więźnia.

Traper John z całej siły kopnął go w krocze. Chłopak zachłysnął się i padł ze zbielełą twarzą, niezdolny nawet by wydać jęk. Traper podciągnął się na jednej ręce, zwolnił węzeł wokół lampy i padając na podłogę celi jeszcze raz kopnął strażnika, tym razem w twarz, kolanem zaś zgniótł mu żebra i mostek. Chwytał chłopaka za włosy i rąbnął z całej siły jego głową o podłogę, po czym wsunął ciało pod łóżko. Nie zapomniał zabrać kluczy. Jedyne, w której wykazali się tu rozsądkiem, to ta, że nie dawali strażnikom broni.

Element zaskoczenia był najsilniejszym atutem Trapera. Wyczekał, aż usłyszy kroki nadbiegającego Harry'ego i wypadł na korytarz wprost na niego. Harry zaskoczony zatrzymał się nagle. Traper John poczuł się strzelcem na boisku i kopnął tamtego w jaja, jakby to była piłka futbolowa. Harry upadł. Jemu też Traper zmiażdżył klatkę piersiową.

Przystosowanie gwarantuje przeżycie.

Głowa strażnika Harry'ego z trzaskiem uderzyła o podłogę. John zawlókł drugie ciało do celi. Mundur Harry'ego świetnie na niego pasował, co było pomyslnym zbiegiem okoliczności. Teraz tylko znaleźć tego bubka Billy'ego Talbota i odegrać ostatni akt. Tak jak zapowiedział.

Czas zacząć przedstawienie!

Ci w więzieniu okazali się mądrzejsi, niż myślał. Nie udało mu się znaleźć innej broni niż karabiny; liczył na jakiś pistolet, który mu pomoże w ucieczce - choć tak naprawdę nie zamierzał go używać. Z podniecenia serce waliło mu młotem. Nareszcie odpłaci Dewittowi. Teraz nic go nie zatrzyma. Miał mało czasu i ograniczony wybór. Gdyby to pozwoliło zakończyć przedstawienie, strzeliłby Emmy Dewitt prosto w głowę, mimo że źle znosił widok krwi. Teraz jego reakcja już się nie liczyła - to miał być naprawdę ostatni akt. Na pewno nie będzie już więcej więziennych cel: całkiem mu obrzydły. A ucieczka? Ukrywanie się? Też nie wchodzi w grę. Wiedział, jak nadzieja zemsty trzymała go przy życiu przez kilka ostatnich miesięcy, jak czerpał z niej siły. Nie zamierzał ofiarować Dewittowi takiego luksusu. Niech pograży się w ciemnościach na resztę swoich dni. Niech cierpi, jak tylko cierpieć może ojciec po stracie dziecka. Nawet w mundurze, nie będzie się przecież afiszował z karabinem w ręku. Nie, już lepiej improwizować. Jeszcze ten jeden raz. Tego wieczora

229

przypada jeden z dyżurów Dewitta w Akwarium, ojciec i córka będą w tym samym miejscu o tym samym czasie. Przyjdzie tłum widzów. Prawdziwe przedstawienie. Można się spodziewać prawie takiej samej widowni, jak wówczas, gdy Dewitt zabił Stevena. Quinn wyczuwał w tym coś wzniosłego, jakby sama opatrzność kierowała dziełem zemsty. Musiał teraz znaleźć sposób zapanowania nad sytuacją: to on powinien być górą już na wstępie.

Osią całego planu był Billy Talbot. Ten z pewnością wiedział, gdzie szukać Emmy Dewitt; w razie potrzeby można też było się nim posłużyć, żeby ją zwabić. Dobra przynęta. Wieczory w Akwarium młodzież spędzała przesiadując na galerii trzeciej kondygnacji. Dziewczęta paliły papierosy, Talbot zaś trawkę.

Na tyłach więzienia czekał na Quinna wóz policyjny. Władze jak widać zatroszczyły się o jego wygodę. Przez jakiś czas mógł używać samochodu z włączonym radiem, byle nie za długo - bo, a nuż, zaczną go szukać. Tylko dwa komplety kluczyków do sprawdzenia. Drugi dał się wsunąć do stacyjki. Quinn zapalił silnik i odjechał. Talbot rozwiązywał mu również problem środka transportu. Miał nie rzucającego się w oczy czerwonego forda, jakich tysiące jeździ po ulicach. Łatwe zadanie - łatwe rozwiązanie.

Dewitt cieszył się, że znów pracuje

w Akwarium i że życie płynie normalnie. Z entuzjazmem i werwą odpowiadał na pytania turystów, upiększał opowiadanie jak nigdy dotąd, żonglował swą wiedzą o Lesie Morszczynowym i jego mieszkańcach. Żółw Wosk przepłynął tuż przed szybą, manewrując swoją wielką skorupą, by wyminąć lśniący wir Króla Łososia.

Zignorował rekina, a przez cały czas poruszał szczęką, jakby mówił. Dewitt przycisnął twarz do grubego szkła i otworzył usta w odpowiedzi. Nie okazując zainteresowania człowiekowi, żółw ruszył dalej swoją drogą, by ukryć się w spiętrzonych morszczynowych zaroślach.

Dewitt nie myślał o czekającym go przesłuchaniu, nie martwił się nawałem pracy, z którym musi się uporać. Prawdę mówiąc, pod wpływem nalegań Emmy, dziś wieczorem nie zabrał ze sobą pagera, podobnie jak w ciągu kilku ostatnich wieczorów, kiedy wychodził z domu. Nie miał ochoty, żeby ciągnano go do jakichś mało ważnych dochodzeń, jak to się często zdarzało o różnych porach dnia i nocy. Jeśli wyniósł jakieś doświadczenie zawodowe ze sprawy Quinna - już nie nazywał jej sprawą pozorowanych samobójstw - to odkrycie nieistotności znacznej części

230

swojej pracy w komisariacie. Po trzech morderstwach skradziony portfel czy rower zdawały się sprawami banalnymi. Będzie musiał przezwyciężyć tę obojętność, żeby znów zacząć pracować. Nie wierzył już w niepodważalność systemu prawnego. Doświadczył na własnej skórze jego zawodności. Jeśli ma pozostać detektywem, musi przełamać takie nastawienie.

Przez dziesięć minut nikt nie zadawał mu pytań. Mało ludzi dziś wieczór.

Spojrzał na zegarek: Emmy i Briar właśnie kończyły trening Tae Kwon Do. Powinny być tu lada chwila. Gdy nareszcie przyjdą, życie znów nabierze barw.

Quinn zostawił radiowóz zaparkowany wśród setek innych samochodów w pasażu i skierował się do Centrum Muzycznego, mając świadomość, że dobrze wygląda w mundurze Har-ry'ego. Ludzie spoglądali na niego z szacunkiem. Nic dziwnego, że mundurowi policjanci zachowują się tak butnie: to szybko uderza do głowy.

Założył ciemne, lustrzane okulary Harry'ego i nie zdejmował czapki. Jego zdjęcia były przecież przez kilka dni na pierwszych stronach gazet. Najnowsze wiadomości mają jednak tę zaletę, że szybko się starzeją. Miejsce wczorajszego mordercy

zajmuje dzisiejsza katastrofa samolotu. Mundur też ma ogromną zaletę - mundurowy policjant jest ostatnim podejrzanym.

Obierając sobie Emmy Dewitt za główny cel, śledził ją i wiedział o niej wszystko, co było mu potrzebne. Jediną osobą mającą na nią wpływ - oprócz ojca - był Billy Talbot. Talbot stanowił idealną przynętę. On był w stanie wywabić Emmy z Akwarium.

Zdolność przewidywania jest bezcenną umiejętnością. Tak jak oczekiwał, Talbot i jego kumple tłoczyli się wokół długonogiej, młodej osóбки, starając się oszołomić ją gruntowną znajomością nagrań hard-rockowych. Z tego, co Quinn zdołał ustalić w ciągu ostatnich kilku miesięcy, ktoś z bandy Talbota pracował tu przez większość wieczorów. Quinn nie miał absolutnej pewności, lecz podejrzewał, że gdy tylko prowadzący sklep gdzieś się oddalił, sprzedawano tutaj zupełnie co innego niż nagrania rockowe. Dlatego lokal był tak licznie uczęszczany i ciągle ktoś się tu kręcił.

- William Talbot?

Gdy Talbot zobaczył mundur, nagły skurcz wykrzywił mu twarz, jakby go ktoś spoliczkował.

- Biuro szeryfa hrabstwa Monterey.

- Widzę.

- Chcielibyśmy z panem zamienić kilka słów na zewnątrz. Zechce mi pan towarzyszyć.

231

- O co chodzi?

- Ma pan czerwonego forda escorta, czy tak?

- Tak.

- To sprawa policyjna. Nie upoważniono mnie do jej omawiania.

- Nie upoważniono pana - powtórzył Talbot, przedrzeźniając go. -Może by pan ja jednak omówił?

- Można to załatwić w różny sposób, chłopcze. Zależy, czy chcesz, żebyśmy cię wystroili w parę bransoletek, czy wolisz tego uniknąć. Wybieraj.

- Chwileczkę. O co się mnie oskarża?

- Nikt cię nie oskarża, William. Powiedziałem ci, że na razie chcemy tylko z tobą zamienić parę słów na temat użytkowania twojego pojazdu. Nie chcesz chyba stracić prawa jazdy, co, William? Utrudniasz nam postępowanie, a mnie się to nie podoba. Myślisz, że jestem opiekunką do dzieci?

Jeden z koleżków zachęcił Talbota, żeby poszedł.

- No to chodźmy - powiedział ten do Quinna. Kiedy już byli na zewnątrz, Quinn rzekł:

- Proszę mnie zaprowadzić do pojazdu.

- Po co?

- Williamie, jeśli jesteś przyzwoitym obywatelem i nie naruszyłeś obowiązujących w tym mieście i stanie przepisów kodeksu drogowego, to nie masz się czego obawiać.

- To ma coś wspólnego z ubezpieczeniem czy czymś takim? Mój ojciec odnowił polisę, może nie?

Quinn nie odpowiedział. Gdyby się odezwał, nie udałooby mu się stłumić uśmiechu. Haczyk, wędka i spławik. Przynęta musi być prawdopodobna: trzeba tylko trzymać się konsekwentnie raz przyjętej roli. Quinn czuł się wspaniale.

Przemierzyli parking i podeszli do escorta Talbota.

- No i o co chodzi?

- Otwórz go, proszę.

Gdy Talbot manipulował kluczem w zamku, Quinn szybko rozejrzał się po otoczeniu. Czysto. Drzwi wozu otworzyły się.

Quinn chwycił Talbota za włosy i pociągnął w dół, aż głowa znalazła się na poziomie ramy drzwi i uderzyła o nią. Czoło Talbota przecięła prosta, poprzeczna linia. Quinn przydusił otumanionego, prawie nieprzytomnego chłopaka i wrzucił go do środka na przednie siedzenie, a potem przepchnął na drugą stronę i sam wsiadł do wozu. Chwycił Talbota za tchawicę i ścisnął. Niewiele brakowało, żeby zadusił chłopaka. Nie miał jednak takiego zamiaru. Przynajmniej jeszcze nie.

- Pojedziemy sobie na spacer. Mamy ochotę współpracować? Potakujące kiwnięcie.

- Żadnych awantur?

232

Miłe, stanowcze potrząśnięcie głową.

- Okay - powiedział, odczepiając kajdanki od pasa Harry'ego - na podłogę, ręce na siedzenie.
Puścił gardło Talbota, który, jak posłuszne dziecko, wcisnął się w ciasną przestrzeń przed swym siedzeniem.
Nagle Talbot wychylił się do przodu, sięgając ręką za siedzenie. Quinn zareagował instynktownie, czując, że dzieje się coś niedobrego. Kopnął w kierunku chłopaka. Rewolwer wyciągnięty spod siedzenia mierzył mu między oczy. Stopa Quinna dosięgnęła magazynka i obróciła broń tak szybko, że Talbot strzelił sobie w pierś. Jego ciało zadrgało gwałtownie, po czym zeszywniało. Smród ekskrementów wypełnił wóz. Krew! Quinn siedział przykuty do miejsca tym widokiem. Czuł mdłości. Paciorki krwi skapywały sznureczkiem z małego palca Talbota. Kapanie trwało koło minuty, a potem ustało. Umarli nie krwawią.
W końcu Quinn oderwał oczy od zwłok. Śmierć nie była dla niego nowością. Wciąż jeszcze trzymał stopę wbity w ciało. Zapalił światła i włączył wsteczny bieg, a potem pochylił się, by zabrać rewolwer.
Mała wygrana, mała przegrana. Dostosować się. Zachować zimną krew. Ten głupi dzieciak wykitował i spieprzył mu wszystkie plany. Ale za to Quinn miał teraz pistolet. Może to zrządzenie losu. Emmy może dotrzeć do Akwarium w każdej chwili. Może Talbot w gruncie rzeczy nie był mu do niczego potrzebny. Ma przecież rewolwer.
Być może sam sobie poradzi.
W chwili, gdy Quinn zatrzymywał forda escorta na obszernym parkingu w pobliżu Akwarium Zatoki Monterey, pager Dewitta dzwonił na komodzie. W pustym mieszkaniu nikt nie słyszał żałosnych elektronicznych pisków.
Ostry głos Cynthii Chatterman dobiegający z dołu sprawił, że Dewitt aż podskoczył.

- Telefon do ciebie, James. Ten człowiek mówi, że to nagła sprawa. Przełączyłam do...

- Powiedz mu, Cynthio, że już idę. I nigdzie nie przełączaj. Zaraz odbiorę w Informacji.

- Mówi, że to coś nagłego.

- Założyłbym się, że to powie.

- James?

- Nic się nie stało, Cynthio. Nie denerwuj się - powiedział, podchodząc długimi, szybkimi krokami.

233

Tracił ją lekko wskazując w stronę Informacji i prawie biegiem skierował się do rzędu automatów telefonicznych przy wejściu dla personelu, sądząc, że lada chwila natknie się na Billy'ego Talbota. Gdy dotarł do telefonów, wszystkie miały słuchawki odwieszane, z wyjątkiem jednego, z którego rozmawiał otyły mężczyzna w krzykliwej koszuli w hawajski deseń i spodenkach do joggingu. Cholera, znów dał się wyprowadzić w pole; to na pewno Talbot, tylko że dzwonił z innego telefonu - ze sklepu z upominkami albo może z jakiegoś automatu na zewnątrz.

Dewitt doskonale wiedział, że nikt nie czeka na tę rozmowę. Gdy chciał minąć Cynthię, ta zawołała:

- James, on jest strasznie zdenerwowany. Mówi, że to z biura szeryfa. Zapewnia, że to nagły wypadek.

Zatrzymał się na wzmiankę o biurze szeryfa. Nagły wypadek... Gdy ostatni raz słyszał te słowa, chodziło o Annę. Emmy i Briar przyjechały kilka minut temu. Były gdzieś na górnych kondygnacjach. To nie mogło mieć nic wspólnego z Emmy. A w takim razie...

Powoli ruszył do kabiny Informacji. Poczł ogarniające go znużenie i niechętnie spojrzął na słuchawkę - zwiastuna złych wieści. Przejął ją od Cynthii i przycisnął do ucha.

- Tu Dewitt - powiedział.

Ochrypli głos po tamtej stronie przedstawił się jako pełniący dyżur sierżant Hack.

- Mamy problem, Dewitt. Quinn uciekł. Zabił dwóch strażników, ukradł jeden z radiowozów. Wydaliśmy na niego nakaz. Jest poszukiwany. Ale mój porucznik kazał cię znaleźć i zawiadomić. Kiedy nie odpowiedziałeś na komunikat pagera, jeden z twoich ludzi pomyślał, że możesz być w Akwarium.

- Uciekł? - spytał Dewitt nieprzytomnie. Nastrój Akwarium, oazy spokoju, odrealniał słowa sierżanta. - Zaraz tam idę.

Rzucił słuchawkę, przeskoczył ladę i popędził na schody, mając w umyśle i wyobraźni tylko jeden obraz - niewinną twarz córki. Gnał po schodach na trzecią kondygnację i na chwilę poczuł ulgę, dostrzegając przed sobą plecy policjanta też wchodzącego na górę. Uczucie to zgasło natychmiast, stłumione przez zawodową nieufność wobec zbiegów okoliczności. Głos zamarł mu w krtani, gdy tamten człowiek, słysząc za sobą kroki, obejrzał się przez ramię. Dewitt znalazł się twarz w twarz z Michaeliem Quinmem trzymającym w ręku rewolwer. Policyjną wersję 38. Dewitt sięgnął po swoją broń ukrytą pod płaszczem.

Gdy Dewitt wspiał się na trzecią kondygnację, Quinn przytrzymał już Emmy za szyję, wymachując bezładnie rewolwerem.

- Że też musisz zawsze spieprzyć cały mój plan! Co w tobie takiego siedzi, Dewitt?

Quinn kiwnął ręką w stronę koleżanek Emmy, nakazując im, by się cofnęły.

234

I

Dewitt zobaczył Julię tak samo trzymaną przez Stevena Millera - syna tego człowieka - stojącą niecałe trzy metry przed nim; czuł ciepło trzymanego w ręku rewolweru Lumbrowskiego, chropowatość i chłód spustu. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Julia wtedy się zawahała. Ale nie Emmy. Ćwiczyła ten ruch setki razy i wykonała go błyskawicznie i precyzyjnie, jakby zdawała sprawdzian przed instruktorem. Zamachnęła się nogą do przodu i do tyłu, trafiając dokładnie w kolano Quinna, jednocześnie jej prawy łokieć trafił go w żebra, a lewa ręka odepchnęła na bok rewolwer. Schyliła się i zwinięta w kłębek rzuciła się na podłogę.

W tej chwili Dewitt nacisnął spust. Quinn pod wpływem ciosu zdażył jednak osunąć się na kolana i kula chybiła. Rzucił się do ucieczki wyjściem przeciwpożarowym po swojej prawej ręce. Odezwał się sygnał alarmowy przy drzwiach. Dewitt wyjrzał i zobaczył Quinna biegnącego między otwartymi od góry wielkimi zbiornikami akwaryjnymi.

Dewitt osłonił córkę własnym ciałem, przekonany, że zaraz poczuje grad kul siekających go po plecach.

- Załatwiłam go! - oświadczyła Emmy z niespotykanym u niej entuzjazmem.

Postawił ją na nogi, trzymając twarz tuż przy jej twarzy.

- Nic ci nie jest? Skinęła głową.

- Biegnij do ochrony. Przyjdę tam po ciebie. - Klepnął ją w pupę. - Świetnie się spisałaś.

Zbiegała szybko po schodach.

- Zadzwoń do Monterey - zawołał jeszcze. Emmy, córka policjanta, potwierdziła machnięciem ręki.

Alarm przy drzwiach wciąż buczał. Dewitt wybiegł na dach. Miał przed sobą otwartą płaszczyznę zbiornika Lasu Morszczynowego i po drugiej stronie płaskiego dachu ogromny zawór, powodujący falowanie wody.

Miał zaledwie sekundy opóźnienia w stosunku do umundurowanego Quinna, który sprawdzał wszystkie napotkane drzwi, szukając drogi ucieczki. Nie wiedział jednak, że na poddaszu mieściły się tylko pokoje badaczy i laboratoria, a drzwi do nich zawsze były zamknięte. Zanim się zauważyli, Quinn wyczerpał wszystkie możliwości. W popłochu schował rewolwer i wskoczył na gładką, szarą dachówkę pokrywającą budynek, mokrą od nieustającej mżawki. Pośliznął się, odzyskał równowagę i zaczął się wspinać na szczyt dachu. Krawędzie potężnej budowli zachodziły na siebie. Quinn okrakiem stanął na szczycie i zaczął biec.

Dewitt gramolił się za nim na górę, broń schował do kabury. Ślizgał się na mokrej powierzchni, utracił równowagę i osunął w dół. Zdołał zahamować i w pośpiechu zaczął wdrapywać się z powrotem. Quinn skupił uwagę na własnych stopach, jak nastolatek na pierwszej zabawie tanecznej.

235

Pochyłość dachu po jego lewej stronie opadała do pomieszczeń badawczych trzeciej kondygnacji, na prawo była pusta przestrzeń. Pośliznięcie w tę stronę groziło upadkiem na beton z wysokości trzynastu metrów.

Dewitt okazał się szybki, zwinny i obdarzony poczuciem równowagi. Zręcznymi krokami pokonywał dystans dzielący go od uciekającego Quinna, który nieustannie oglądał się za siebie.

Quinn skręcił gwałtownie w lewo i na ugiętych kolanach zaczął celowo się zsuwać, jak ktoś ślizgający się po lodzie, po śliskiej dachówce, wykonując koci skok na

sąsiedni dach, a następnie znów rozpoczął wspinaczkę na szczyt. Dewitt podążył w ślad za nim, kuląc się, by skoczyć na sąsiedni dach. W połowie wspinaczki na drugie skrzydło budynku, udało mu się sięgnąć do kostki Quinna i uderzeniem od dołu wprawić go w obrót, podczas którego obaj stracili równowagę i zaczęli się zsuwać po pochyłości, macając wokół w poszukiwaniu oparcia. Quinn przytrzymał się obudowy wentylatora, Dewitt zaś chwycił jego lewą stopę. Quinn kopnął Dewitta prawym butem między oczy, tłukąc mu okulary i przecinając szkłem skórę pod okiem. Dewitt puścił się i zjechał w dół, zatrzymując się dopiero, gdy wpadł butami do rynny, która wygięła się i zaczęła odrywać od brzegu dachu, kiedy detektyw oparł się na niej całym ciężarem. Przycisnął policzek do zimnej dachówki i rozpostarł ramiona, by obniżyć swój środek ciężkości i rozłożyć możliwie równomiernie obciążenie. Quinn pozbierał się i ruszył pod górę. Kolejnymi chwytami rąk Dewitt podciągnął się na dach i dosięgnął obudowy wentylatora. Quinn tanecznym krokiem posuwał się wzdłuż szczytu, już pewniej trzymając się na nogach. Dewitt też dotarł do szczytu, zmusił się, żeby wstać, i szybko ruszył w pościg. Podniósł wzrok akurat wtedy, gdy Quinn wykonywał efektowny skok na poddasze drugiej kondygnacji skrzydła wychodzącego na ocean, mając balkon trzeciej kondygnacji po swojej prawej stronie. Gdy lądował, stracił równowagę i upadł ciężko na twarz, a potem potoczył się w dół pochyłości. W ostatniej chwili zaczęli palcami o rynnę. Spadł na balkon.

Dewitt rozpędzał się z każdym krokiem. Zauważył, że widniejąca przed nim luka zbliża się i chyba rozszerza. Lukę stanowiło przejście TYLKO DLA PERSONELU z balkonu trzeciej kondygnacji na tyły pomieszczeń badawczych. Dewitt przeskoczył ją i runął na łupkową dachówkę, potem stoczył się po dachu i uderzając się boleśnie, spadł na betonową podłogę balkonu.

- Nie! - krzyknął, gdy spojrzał w górę.

Quinn balansujący na ścianie podtrzymującej balkon skoczył w mżawkę i zniknął. Dewitt oczekiwał łomotu ciała o skałę. Obolały wstał na nogi i podbiegł do brzegu balkonu w chwili, gdy Quinn uczepiony czubka drzewa opadał powoli, w miarę jak młode drzewo ugięło się pod jego ciężarem, obok balkonu drugiej kondygnacji, coraz niżej, aż do Wielkiego 236

Basenu Pływowego, położonego na zewnątrz Akwarium. Dewitt obserwował, jak Quinn ląduje na skalistym brzegu basenu, łagodnie jakby zjechał windą. Przejazdką zniszczył drzewo, które już nie wróciło do pionu. Quinn popędził wzdłuż budynku i zniknął za rogiem.

Dewitt zbiegł dwoma ciągami schodów i dopadł telefonu w Informacji. Ludzie przyglądali mu się ze zdumieniem. Zadzwoił do policji Monterey. Podał miejsce ostatniego widzenia Quinna, w nadziei, że jakimś cudem uda im się go jeszcze zgarnąć.

Poszedł po Emmy do biura ochrony, podniósł ją z krzesła i objął ramionami, przytulając mocno do siebie. Śmiała się i narzekała, że jest kompletnie mokry. Wreszcie poddała się i odwzajemniła uścisk, mamrocząc coś niewyraźnie. Dewittowi zdawało się, że usłyszał: „Teraz wiem, co czuła mama”. Nie był jednak pewien. Kiedy podniosła ku niemu wzrok, powiedziała:

- Miałam szczęście.

13

Ostatnie wezwanie

O świcie zadzwonił telefon. Dewitt

usiadł wyprostowany na łóżku i nim na dobre otworzył oczy, miał już w ręku swój rewolwer marki Smith and Wesson. Umundurowani policjanci pilnowali domu. Mimo tych wszystkich zabezpieczeń Dewitt się bał. I wiedział, że nie poczuje się pewnie, póki Emmy nie znajdzie się znów w samolocie. Tym razem sam odwiezie ją do matki; będzie jej pilnował, póki Michael Quinn nie znajdzie się pod kluczem. Podniósł słuchawkę dopiero, gdy telefon zamilkł, ponieważ Emmy go uprzedziła.

- Ja odbiorę - powiedział córce, która przełączyła rozmowę do jego aparatu.

- Dewitt? - usłyszał Nelsona. Zwracając się do niego, podwładny powinien używać formy sierżancie. Dewitta zirytowało to spoufalanie. Daj kurze grzędę...

- Co tam?

- Mamy samobójstwo, Dewitt. W tej zatoce do parkowania przy plaży. To on.

Chciałem to zgłosić do dyspozytorni, ale nie mają z tobą kontaktu. Pomyślałem, że zechcesz przy tym być... Chcesz, żebym to zgłosił?

- Nie, zaczekaj na mnie - powiedział Dewitt, ważąc każde słowo. Nagle poczuł, że mówienie sprawia mu trudność, a gdzieś w środku włącza się alarm. Ubrał się

szybko, sprawdził obu strażników, i poszedł do zephyra. Otworzył bagażnik i zaczął przeszukiwać jego zawartość. Wkrótce znalazł to, czego szukał - na samym spodzie, pod stertą rupieci.

238

Na czarnym niebie pojawiły się smugi

błękitnawej farby. Zapowiedź świtu. Obrazy - nie wyłączając czerwonego forda escorta z ogrodowym wężem biegnącym od rury wydechowej - były zamglone i rozmazane, jakby oglądał je przez zaparowaną szybę. Żadnych innych samochodów prócz radiowozu Nelsona. Dewitt był zadowolony, że ma szansę jako pierwszy obejrzeć zwłoki. Doktor Christiansen miał rację: Quinn był typem samobójczym. Umundurowany policjant pomachał Dewittowi ręką z drugiego końca parkingu. Był właśnie zajęty wytyczaniem sceny zbrodni.

Dewitt szedł powoli do escorta, wpatrując się w zamglone okienko kierowcy. Stał przy drzwiach, z których przez szczeliny sączył się zapach spalin, zawahał się chwilę, wsunął lateksowe rękawice na dłonie, wyjął rewolwer i jednym szarpnięciem otworzył drzwi, gotowy w każdej chwili do strzału.

Bezwładne ciało patrolowego Buforda Nelsona wypadło z samochodu prosto w ramiona Dewitta. Głowa była głęboko rozcięta w miejscu, gdzie padł ogłuszający cios. Jakiś ruch z tyłu! W chwili, gdy Dewitt zdążył się obrócić z trzydziest-kaósemką w rękę, umundurowany mężczyzna, którym był Michael Quinn, przytknął mu do piersi rewolwer.

- Frajer z ciebie - powiedział, oddając pierwszy strzał.

Błysk z wylotu lufy mignął Dewittowi przed oczami - taki, o jakim każdy glina słyszał, przed jakim go ostrzegano i jakiego wolałby nigdy nie doświadczyć. Ten niepowtarzalny jaskrawożółty kolor siarki ostrzegał, że kula trafia prosto w ciebie. Lewe ramię Dewitta odchyliło się od tułowia i uderzyło w samochód.

Następny pocisk wbił się w pierś, potem jeszcze jeden, i jeszcze - z tej odległości miały siłę młota kowalskiego. Dewitt czuł duszący ucisk pękających żeber. Zaczynał pograżać się w ciemność; jedyną jego myślą było w tej chwili to, że Emmy jest bezpieczna. Że żyje. Pomyślał o Bogu: ze zdziwieniem, że pozwala chodzić po ziemi takiemu człowiekowi jak Michael Quinn, a jemu zabrał tych, których kochał. Sprawiedliwość, powiedział sobie, nie istnieje w naturze. Jest wymysłem rodzaju ludzkiego. Ciemność wzywała go, by pograżył się w nieświadomości. Nie chciał się jednak poddać.

Ujądanie rewolweru wreszcie ustało, zapach kordytu stłumił woń spalin.

- Skurwysyn - dobiegł Dewitta głos Quinna.

Quinn ruszył ku policyjnemu samochodowi Dewitta. Ten tymczasem śledząc uważnie przeciwnika zmrużonymi oczyma, odciągnął spust rewolweru. Z trudem stanął na nogi. W lewym ramieniu czuł rozrywający ból. Mimo że ledwie oddychał, zdołał powiedzieć do odwróconego plecami mężczyzny:

239

- Frajer z ciebie.

Quinn obrócił się na pięcie i wlepił osłupiały wzrok w policyjną kurtkę Dewitta podziurawioną kulami i nie splamioną ani jedną kroplą krwi.

Dewitt odezwał się:

- My w komisariacie nie używamy określenia samobójstwo. Meldujemy to jako ZZ. Nie nazywamy tego miejsca zatoką parkingową przy plaży. Nazywamy je Del Mar. Żaden mundurowy nie będzie dzwonił najpierw do mnie. Złoży meldunek dyspozytorce. Nelson cię wydał.

Quinn stał otumaniony, zapatrzony w podziurawioną, policyjną kurtkę.

- Zastrzeliłem cię - wymamrotał. - Ty nie żyjesz. Dewitt kazał mu rzucić broń. Quinn wolno unosił ramię z lufą odwróconą od Dewitta.

- Rzuć to! - rozkazał Dewitt, unosząc trzydziestkęósemkę na wysokość piersi Quinna.

Zgrabnym łukiem Quinn uniósł swój rewolwer na wysokość ucha.

- Myślisz, że zrobię ci tę przyjemność? Pociągnął za spust.

Przez resztę dnia Dewitt nie rozstawał

się z Emmy. Popłynęli popatrzeć na wieloryby. Musiał jakoś wymazać z pamięci obraz eksplodującej głowy Quinna. Statek na dwie godziny wypływał w morze na odległość dziesięciu mil od brzegu. Nadciągała burza, ale na szczęście przeszła bokiem. Ojciec z córką siedzieli w milczeniu, gdy tymczasem grupa Japończyków i małżeństwo z Iowa chichotali nerwowo, oczekując zapowiedzianego widowiska. O wpół do czwartej stado złożone z siedmiu szarych wielorybów ruszyło za

stateczkiem. Było tak blisko, że pierwszy raz w życiu Emmy udało się jednego dotknąć. Była szczęśliwa. Przez całą drogę do brzegu w to chłodne popołudnie promieniowała radością, wpatrując się w ojca z nieustającym uśmiechem. Pogłaskanie wieloryba zawsze było marzeniem Anny. Siedzieli spleceni razem jak kochankowie, ona wtulona w niego, on z twarzą zatopioną w jej włosach. W tej pozie usnęła. Gdy już byli blisko brzegu, Dewitt się rozplakał.

Wieczorem razem z Hindemanem popijali piwo, oglądając mecz Lakersów.

- Nie mogłem tego zgłosić - wyjaśniał Dewitt, gdy Magie Johnson zajął linię rzutów wolnych. - Quinn był zbyt chytry. Jakakolwiek akcja -samochody, czy co innego - zostawiłby Nelsona i próbował znowu, kiedy indziej. Myliłem się myśląc, że to on będzie w samochodzie. Wystrychnął

240

mnie na dudka. Nie spodziewałem się, że będzie w mundurze Nelsona, i chociaż włożyłem kamizelkę, nie sądziłem, że będzie do mnie strzelał. Przypuszczałem, że będzie próbował mnie zmusić, żebym zaprowadził go do Emmy. Taka miała być jego zemsta. Przez cały czas fałszywie oceniałem jego zamiary.

- Swym wyznaniem chciał cię ostrzec?

- Tak sądzi Christiansen. - Dewitt poprawił muszkę. - Już miał ułożony plan ucieczki. Szukał okazji, żeby mi nauręgać, popisać się swą inteligencją, uspić moją czujność fałszywym przekonaniem, że mamy go w rękę... wyjaśnić mi to wszystko. Jego poczucie wyższości.

- Powinieneś był to zgłosić.

- Wiem.

- Mogłem stracić detektywa.

- Mogłeś.

- I przyjaciela.

- Mogłeś.

Dewitt przełknął następny łyk piwa.

- Szczęście, że nie zabił Nelsona. Pewnie chciał mieć zakładnika, gdybym się nie zainteresował pułapką. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, co sobie myślał taki Quinn.

- Co z Emmy?

- W porządku. Nawet lepiej niż w porządku. Przyjęła bez problemów tę historię z Talbotem. Pogodziła się ze śmiercią Anny. Młodość jest elastyczna, Clarence.

Zazdroszcze Emmy młodości.

- Kiedy na Point Lobos?

- Niedługo - skinał głową Dewitt. - Myślę, że jeszcze przed moim przesłuchaniem. Oboje musimy iść naprzód. Oboje chcemy mieć to za sobą.

16-

14

Point Lobos

Cienkie, zielone igły sosen ociekały

wodą po niedawnej burzy. Po tygodniach deszczu wygląd nieba tego dnia -czystego, intensywnego błękitu - miał dla Jamesa Dewitta szczególne znaczenie. Wziął od córki torbę jedyną sprawną ręką. Emmy objęła go rękami w pasie. Jesteśmy partnerami - pomyślał.

Adwokat przekonywał go, że dwukrotnie odraczone wystąpienie Dewitta przed sądem przysięgłych było czystą formalnością, której trzeba dopełnić, bo raz puszczonej w ruch biurokratycznej maszyny nie da się już zatrzymać - jeszcze jedna osobliwość systemu. Dewitt nie dowierzał tym zapewnieniom. Przygotowywał się starannie. Nie ufał ani prawnikom, ani systemowi, który reprezentowali.

Rezerwat zamknięto kilka minut temu. Dostali specjalne pozwolenie, żeby tutaj być.

- A co z nią? - spytała Emmy, podnosząc oczy na ojca. - Dlaczego nawet do niej nie zadzwoniłeś?

- Ze względu na przesłuchanie, Em. Wszyscy sądzą, że lepiej, żebyśmy się teraz nie widywali.

- Ale ją lubisz? - spytała.

Spojrzał na córkę, lecz ta właśnie spuściła wzrok. Patrzyła pod nogi. -A ty?

- Czy to ważne?

- Pewnie że tak.

- Lubię ją, tato.

- Tak myślałem.

242

- Czy ona też przeprowadza się do miasta? - spytała Emmy. Roześmiał się.
- Nie. Nie wiadomo nawet, czy my się przeprowadzimy. Clarence próbuje mi to wyperswadować. Mówi, że praca eksperta w laboratorium już mi nie będzie odpowiadała, po tym jak spróbowałem być policjantem. Naciskają Cappa, żeby odszedł. Wtedy zwolniłoby się jego miejsce.
Nie odzywali się przez kilka następnych minut. Słysząc było tylko szum przyboju, ptaki i wiatr. Na myśl o urnie w pojemniku coraz bardziej ścisnęło go w gardle. Rodzina przecięta na dwoje. Minał niecały rok. Nakazał sobie przestać o tym myśleć, i wzbudzić w sobie uczucie wdzięczności za to, że ma Emmy, i za to wszystko, co ich otacza.
Wspinali się wąską, błotnistą ścieżynką, pod konarami poskręcanych artretycznie drzew, a cienie przesuwają się po ich twarzach. Zatrzymali się na skalnym cyplu, wychodzącym na ocean. Wzburzona turkusowa woda kotłowała się biała od piany. Wiatr niósł ze sobą przyjemne ciepło, zapowiadające rychłe nadejście wiosny. Emmy wzięła od ojca torbę, wyjęła urnę i wręczyła mu ją.
- Dobrze, Em, zrobię to, chyba że wolałabyś sama - zaproponował. Sięgnęła do torby i wyjęła drugą urnę.
- Mama - szepnęła, powoli obracając ceramiczne naczynie w swych małych dłoniach. - Powinna być z Anną i z Rustym, tato. Zawsze lubiła to miejsce - powiedziała zachrypniętym głosem.
Dewitt próbował coś powiedzieć, lecz zdołał tylko skinać głową. Jak przez mgłę widział Emmy otwierającą urnę z prochami jego żony; zrobił to samo z urną Anny.
- Chcesz coś powiedzieć? - spytała Emmy, wznosząc ku niemu twarz. Wiatr rozwiewał jej włosy. Z każdym dniem stawała się coraz bardziej podobna do Julii. Potrzęsała głową.
- W porządku, tato - powiedziała twardo w nagłym przypływie determinacji. Podała mu urnę matki. Zetknęli ze sobą obie urny jak dwie kromki chleba. Wiatr stłumił głuchy odgłos uderzających o siebie naczyń.
Policzyła do trzech. Rzucili jednocześnie, a potem spleceni w uścisku patrzyli, jak prochy rozlatują się na wietrze, jak urny opadają jedna za drugą, coraz mniejsze i mniejsze, i jak bezpowrotnie pochłania je czekający w dole ocean.

15

Sąd przysięgłych

Dewitt doskonale wyglądał w pożyczonym od Saffeletiego garniturze. Siedział obok swego adwokata, Howar-da Carstiena, w holu sądu w Sacramento. Stawienie się przed sądem było formalnością. Pewne pytania wymagały odpowiedzi, lecz prawdopodobieństwo wysunięcia przeciw Dewittowi jakichkolwiek oskarżeń było znikome. Carstien, wysoki mężczyzna o czarnych, kędzierzawych włosach i błyszczących oczach, jakoś nerwowo zapytał:

- Słyszał pan o Mahoney?

Czynił wysiłki, by skrócić czas oczekiwania, co tylko irytowało Dewitta.

- Nie.

- Okazuje się, że zdobyła te dowody przeznaczone dla sądu przysięgłych w jakiś nielegalny sposób. Słyszałem, że mogą ją pozbawić prawa występowania w sądzie. A jeśli nawet się wybroni, skończy jako adwokat we Wschodniej Dzielnicy Los Angeles lub innym zakazanym miejscu.

Dewitt tylko się uśmiechnął.

Drzwi sali rozpraw otworzyły się. To wyszła Clare.

- Czekają na ciebie, James - powiedziała z uśmiechem. Dewitt wstał.

Minęli się w przejściu, prawie się dotykając. Wspaniale dziś wyglądała. Piękna jak zawsze. Zatrzymali się, patrząc sobie w oczy. Tęsknił za nią i powiedział jej to teraz, a potem odwrócił się i wszedł do środka.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedział.

Usłyszał, jak drzwi się za nim zatraskują. Stół na podium sędziowskim był olbrzymi. Przysięgli wpatrywali się w niego.

244

Po chwili zajął miejsce na ławie świadków.

Jessie Osbourne była wśród publiczności. Wycofanie jej kandydatury ogłoszono poprzedniego wieczora w czasie burzliwej konferencji prasowej, kiedy to nazwała Dewitta bohaterem. Jej obecność w sądzie była naprawdę dobrym znakiem. Napotkała wzrok Dewitta i skinęła mu, chcąc go podtrzymać na duchu.

- Proszę podać swoje nazwisko - powiedział woźny.

Dewitt nie miał zaufania do systemu, w którym o mało nie zwolniono Quinna, w którym człowiek pokroju Cappa z honorami odchodził na emeryturę i w którym

przywracano społeczeństwu Marvinu Wooda -notorycznego złodzieja. Nie wiedział jednak, czym można by ten system zastąpić. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni, zdjął okulary i trzymając je w jednej ręce, drugą zaczął przecierać szkła. Spod oka przyglądał się woźnemu z Biblią w dłoni.

- James Dewitt - odpowiedział.

i

;

16

Epilog

James Dewitt został zaprzysiężony jako kapitan komisariatu Carmel-by-the-Sea tego samego dnia, w którym Buford Nelson objął funkcje detektywa-sierżanta. W miejscowym barze odbyła się mała uroczystość, z piwem i drinkami zamówionymi na koszt Clarence'a Hindemana. Odchodzący na emeryturę komendant Karl Capp pokazał się na uroczystości, lecz nie został na drinkach. Razem z żoną zaplanowali dziewięciomiesięczną podróż po południowym zachodzie.

Prokurator okręgowy Bili Saffeleti spóźnił się na zaprzysiężenie, lecz nie na drinki. Wkroczył, prowadząc pod rękę Lealę Mahoney. Krażyło mnóstwo nie potwierdzonych plotek na temat tego, w jaki sposób Saffeleti uratował jej karierę. Tak czy inaczej, była teraz jego zastępcą. Krażyły o nich i inne plotki, ale tak samo plotkowano o Clare i Dewittcie, on zaś -znając naturę pogłosek - nie wierzył już temu, co ludzie mówią.

Hindeman do tego stopnia urżnął się na urządzonym przez siebie przyjęciu na cześć Dewitta, że kiedy spotkali się obaj przy sąsiednich pisuarach, oznajmił przyjacielowi o swych zaręczynach z Toną.

- Mówiłeś z Toną? - spytał Dewitt.

- Jeszcze nie - odrzekł Hindeman - ale po tobie ona będzie pierwszą osobą, której o tym powiem.

Clare przepadła gdzieś jak kamień w wodę i Dewitt najpierw zaczął się irytować, a potem niepokoić. Po drinkach był przewidziany uroczysty obiad, lecz sądząc ze stanu zaproszonych gości, standard przyjęcia nie zapowiadał się na zbyt wysoki. Wyglądało na to, że lada chwila ten i ów zamówi hamburgera i na tym skończy się cała impreza.

246

Punkt siódma otworzyły się drzwi. Dewitt był odwrócony tyłem i nie zauważył wchodzących - Clare i jego córki. Kiedy jednak Clarence je powitał, słowa zamarzyły mu na ustach. Wolno obrócił się na krześle w stronę Clare.

- Nic i nikt nie zajmie opuszczonego przez kogoś miejsca, James -powiedziała. - On ma być podarunkiem na nowy początek. Gratulacje!

Emmy wyciągnęła ramiona ze łzami radości w oczach. Zgromadzeni zaczęli klaskać. Dewitt wziął szczeniaka na ręce i wtulił jego miękkie futerko w zagłębienie szyi. Niebieska muszka idealnie pasowała do kokardy tego samego koloru na szyi psa, co wywołało ogólne rozbawienie.

- Nie przyszło nam łatwo znaleźć mieszańca collie i owczarka - dodała Clare. - A takiego psa chciała Emmy.

- Jak masz zamiar go nazwać? - spytała Emmy. Dewitt rozważał to przez chwilę.

- Lobos - odpowiedział córce.

Wywiązywanie się z powinności kapitana przychodziło Dewittowi z trudem. Chociaż nowe stanowisko dawało mu niewyczerpany pretekst do przesiadywania przy kawie z Clarence'em, zazdrościł Nelsonowi pracy w terenie. Nie mogąc przywyknąć do papierkowej roboty, w końcu postarał się o zmianę zakresu obowiązków. Stopniowo na biurku piętrzyła się coraz wyższa sterta papierów, a Dewitt spędzał przy nim coraz mniej czasu, przebywając w terenie z Nelsonem. Hindeman przypominał mu o jego biurowych obowiązkach i wtrącał jakieś aluzje na temat zachowania równowagi, obaj jednak widzieli jasno, że miejsce Dewitta było w terenie. Hindeman postanowił napisać kilka listów.

Lobos siedział skulony przed gabinetem z aktami, gryząc imitację kości z niegarbowanej skóry i ostrząc na niej swe szczenięce zęby. Dewitt przeglądał jeden z raportów Nelsona na temat niedawnej kradzieży.

Hindeman zastukał w otwarte drzwi, z ponurym wyrazem twarzy.

- Co tam, Hindy? - spytał Dewitt. - Skąd to ponure spojrzenie? Znów chodzi o te papiery?

- Właśnie otrzymałem propozycję wypożyczenia ciebie-powiedział. -Oddziałowi do zadań specjalnych.

- Wypożyczenia mnie?

- Toczy się śledztwo. Jesteś im potrzebny. Wciąż jesteś tu kapitanem, ale zostajesz zawieszony w obowiązkach na czas tamtego śledztwa.
- Oddział do zadań specjalnych?
- To spory zaszczyt dla ciebie, James.
- Jakie śledztwo? O czym ty mówisz? Oni nie mają zwyczaju prosić o kogoś, ot tak sobie.

247

- Napisałem kilka listów. Nie chciałem cię stracić. Pomyślałem, że warto im podsunąć twoje nazwisko. Żebyś miał okazję, od czasu do czasu, zająć się jakąś poważną sprawą.

- Co to za śledztwo?

- Harvey Collette poraził prądem strażnika, kiedy ten próbował naprawić jego wideo. Obezwładnił dwóch innych pałką elektryczną tego pierwszego i uciekł z Atascadero godzinę temu. Prokurator generalny chce, żebyś stanął na czele grupy pościgowej. Collette jest traperem; ty zaś zyskałeś sobie sławę eksperta od traperów. Co mam im powiedzieć?

Lobos zostawił kość, zwinął się i ziewnął. Po długiej chwili milczenia James Dewitt odrzekł:

- Powiedz im, że jestem w drodze.

••

MBP Zabrze

nr inw.: KB - 17234